Magda Gessler
Jak wyciągnąć spaprany rosół ▸23

Péter Magyar
zabrał gulasz Orbánowi. Czy zabierze też władzę? ▸14

WYSOKIE OBCASY
Virginia Giuffre
Dlaczego nie uciekła od Epsteina

FOT. ROBERT KOWALEWSKI, JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Nie będę używać Tik Tiktoka! Nie będę używać Tiktoka! Nie będę używać Tiktoka! Nie będę używać Tiktoka! Nie będę używać Tiktoka!

Co nam dacie w zamian?

→ 4

FOT. GETTY IMAGES, MONTAŻ: JAKUB PIOTROWSKI

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 13>

PSL w tarapatach
Do kogo się przytuli ▸8

Miasteczko Wilanów
w kolejkach do Dino i Pepco ▸11

Mówić like a Brit
to nasza trauma narodowa ▸30

„Stacja dla poronień"
Tak wrogowie nazywali poradnię Boya ▸40

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 28 marca – 2 kwietnia 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 73.11172, 1 Nakład 72 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 05eb22389c

Konkurs fotograficzny
Zabawy zwierząt

FOT. JOSEF STEFAN/WILDLIFE PHOTOGRAPHER OF THE YEAR

Młody ryś przez 20 minut podrzucał gryzonia, zanim go zjadł. Austriak Josef Stefan nim zrobił zdjęcie, które wygrało Wildlife Photographer of the Year Nuveen People's Choice Award 2026, dwa tygodnie obserwował rysie z kryjówki w Hiszpanii.

Andrzej rysuje

W poniedziałek w DF

UCIEKŁA Z POLSKI, BY PRZEŻYĆ
Jako wokalistka byłam ciągle potwornie zestresowana i nieszczęśliwa. A teraz mam wywalone. W Londynie jako kelnerka zarabiam lepiej niż w Polsce, gdy pracowałam w agencjach reklamowych.
Z Fiolką Najdenowicz rozmawia Wojciech Szot

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Jak nie

Silny

Tusk na fali: awantura o SAFE, wizyta Nawrockiego

Wielowieyska

Ostatnie starcia obozu koalicji rządzącej i obozu PiS, prezydenta oraz obu Konfederacji na razie przynoszą dobre efekty dla rządu.

Nie oglądałabym się tu na bieżące notowania gabinetu Tuska czy sondaże odnośnie poparcia dla unijnego programu SAFE. Nie to w tej chwili jest najistotniejsze. Na szczęście dla Koalicji 15 Października PiS bardziej się martwi o odpływ wyborców do Konfederatów i „koroniarzy" niż notowaniami KO.

Jarosław Kaczyński dąży do głębokiej polaryzacji, wierząc, że antyunijną retoryką – a jej częścią jest nagonka na „niemiecki SAFE" – odzyska elektorat, który odpłynął do Krzysztofa Bosaka, Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna. To korzystny układ dla Tuska, bo radykalny język PiS elektryzuje wyborców obozu demokratycznego – szerokiego, nie tylko wiernych ultrasów Koalicji Obywatelskiej. Kaczyński to wie, ale nie ma wyjścia, musi iść ostro na prawo, ryzykując utratę wyborców umiarkowanych. Marginalizacja Brauna na tym etapie jest dla Nowogrodzkiej priorytetem, dopiero gdy się uda, rozpocznie się marsz do centrum w roku wyborczym.

No właśnie, tylko czy to się uda?

Jeśli Kaczyński nie odzyska choćby części elektoratu, konflikty w PiS będą się pogłębiać i groźba wyjścia Mateusza Morawieckiego z całą jego frakcją stanie się realna. Nie twierdzę, że Morawiecki na pewno opuści partię, faktem jednak jest, że nastroje wśród jego ludzi są podłe. Wielu z nich uważa, że odrzucanie programu SAFE jest błędem, ale siedzą cicho, bo obowiązuje ich narzucona przez szefa klubu PiS Mariusza Błaszczaka – i wroga Morawieckiego – dyscyplina.

Ale za to mówią otwarcie, że ogon już na dobre kręci psem, czyli PiS zamienia się w partię Ziobry, czego oni nie chcą. Wyrazicielem ich stanu ducha jest – będący poza polityką, więc mający swobodę wypowiedzi – Konrad Szymański, były minister ds. europejskich w rządzie Morawieckiego, który w „Rzeczpospolitej" przestrzega prawicę przed ostrym przekazem antyunijnym. Bo to nie jest niewinna retoryka, powiększa grono zwolenników Polexitu.

Na razie Morawiecki słucha tych doradców, którzy argumentują, że teraz rozłam się nie opłaca, że może w ogóle lepiej nie wychodzić z PiS, a głównym celem powinno być zdobycie przez frakcję „harcerzy" jak największej liczby mandatów w wyborach 2027 – tak, aby Kaczyński bez zgody Morawieckiego nie mógł podjąć żadnej decyzji. Ale jeśli notowania PiS będą spadać, ruchy odśrodkowe mogą przybrać na sile.

●

Tymczasem z punktu widzenia obozu rządzącego ostry kurs prawicowej opozycji przeciwko Unii Europejskiej jest korzystny, bo mobilizuje szeroki elektorat, a do tego będzie skłaniał wszystkie partie po demokratycznej stronie do jedności i formułowania jednego prostego przekazu: my chcemy być w Unii, bo gwarantuje nam bezpieczeństwo i rozwój. Zwłaszcza to drugie jest dla Tuska dobrą wiadomością, gdyż jedną z przyczyn przegranej Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich były wewnętrzne kłótnie między koalicjantami.

W interesie KO jest to, by w agendzie tematów dominowały sprawy związane z UE oraz z bezpieczeństwem, bo na tym polu rząd będzie wygrywał jednością i determinacją oraz wykorzystywał lęk przed Polexitem, który nie jest wcale wydumany.

Dlatego awantura o SAFE czy o wyjazd prezydenta Karola Nawrockiego do Budapesztu i wsparcie walczącego o utrzymanie władzy Viktora Orbana rządowi odpowiadają.

Niektórzy obserwatorzy uważają, że rząd przegrał batalię wizerunkową o SAFE. Na pewno można było zrobić więcej, ale nie to jest istotne. Było do przewidzenia, że wobec mocnej ofensywy prezydenta i PiS przeciwko temu programowi liczba jego zwolenników spadnie. Ważniejsze, że w ogóle tak mocno zaistniał temat dotyczący bezpieczeństwa, inwestycji w polski przemysł zbrojeniowy, rozwoju – i splótł te wątki z konkretnie pozytywną opowieścią o Unii Europejskiej. Przekierował dyskusję z wojen kulturowych, wymiaru obyczajowego, geopolitycznych tarapatów Unii na jej energię, realne działania, możliwości. Oraz z ogólnego przypominania o europejskich wartościach i -izmach na wymierne, przemawiające do ludzi korzyści, szanse, osiągnięcia.

Wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz i odpowiedzialna za SAFE minister Magdalena Sobkowiak-Czarnecka nie bali się pójść z tym wszystkim do Republiki, gdzie wyborcy PiS mogli usłyszeć poważne argumenty na rzecz tego programu. To na pewno nie pomogło partii Kaczyńskiego.

Początkowo obóz medialny PiS był zachwycony, że ludzie prezydenta wymyślili pretekst do zawetowania ustawy dającej instrumenty do wykorzystania SAFE, stwierdzając, że zamiast pożyczać pieniądze na niski procent, wystarczy sięgnąć po zysk NBP. To oczywiście pusty gest polityczny, do konferencji z Nawrockim prezes banku centralnego Adam Glapiński był zmuszony, żeby nie psuć sobie relacji z Pałacem Prezydenckim. Ale o pozyskaniu pieniędzy mówił bardzo mgliście, głównie zapewniał, że rezerwy NBP nie będą uszczuplone. A zysk z NBP jest wysoce niepewny, przez ostatnie trzy lata bank centralny notował straty, nawet gdyby się pojawił, to niewielki i spłynie nie w tym roku, lecz w przyszłym. Tymczasem fundusz SAFE byłby dostarczycielem gotówki natychmiast.

Ale teraz zachwyty pisowskich propagandystów opadły. Bo z inicjatywy PSL rząd zamierza uchwalić ustawę, która zakłada, że jeśli ów zysk się pojawi, to pójdzie na zbrojenia. Innym słowy, ekipa Tuska mówi „sprawdzam".

●

Drugi prezent, jaki obóz PiS sprawił rządzącym, to wyjazd prezydenta do Budapesztu, by spotkać się z Orbanem – choć jeszcze w listopadzie Nawrocki odwołał wizytę na Węgrzech, argumentując tym, że Orban właśnie spotkał się z Putinem. Powiedzieć, że to polityczna niekonsekwencja, to nic nie powiedzieć. Tym bardziej że wizyta miała miejsce w chwili, gdy wyszło na jaw, że minister spraw zagranicznych i handlu Péter Szijjártó wziął sobie do serca drugie zadanie swego resortu i handlował z Rosją ważnymi informacjami z posiedzeń unijnych i natowskich. A także namawiał Kreml do wspierania eurosceptycznego i niechętnego angażowaniu się w pomoc Ukrainie prezydenta Słowacji Petera Pellegriniego, tak aby kremlowska międzynarodówka nie utraciła tego państwa.

Co gorsza, Nawrocki nie wytrzymał ciśnienia i agresywnie potraktował reportera TVN24 Mateusza Półchłopka, który pytał prezydenta, czy nie przeszkadza mu bratanie się Orbana z Kremlem. I przez to główny przekaz

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

pomyłka, to imba. Ciche dni w Pałacu Prezydenckim

człowiek nieco osłabł

w Budapeszcie, weto podpowiedziane przez szefa Kancelarii Prezydenta – wszystko gra na jego korzyść

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Konferencja prasowa prezydenta Karola Nawrockiego po wysłuchaniu w Sejmie expose szefa MSZ Radosława Sikorskiego ws. priorytetów polskiej polityki zagranicznej (26.02.2026)**

konferencji – „Putin jest zbrodniarzem" – został przykryty przez samą formę ataku na dziennikarza. A potem jeszcze wstydliwie Nawrocki się z Orbanem nie afiszował, załatwił tę wizytę na chybcika. Co gorsza, właśnie się okazało, że Węgry odcięły Ukrainę od gazu, a Tusk natychmiast ogłosił kąśliwie, że taki jest właśnie efekt wizyty Nawrockiego w Budapeszcie

Co ciekawe, prezydent nie odwiedził w stolicy Węgier „uchodźców" i „męczenników" Zbigniewa Ziobrę i Marcina Romanowskiego, jego ważnego współpracownika od rozkradzionego i rozdysponowanego na cele polityczne Funduszu Sprawiedliwości. Pałac Prezydencki uważa, że obaj politycy podejrzani w aferze Funduszu nie są wartością dodaną w polskiej polityce.

Po co Nawrockiemu ten wyjazd, który budził wątpliwości w samym obozie PiS, choćby u przedstawiciela „Gazety Polskiej" Wojciecha Muchy czy byłej szefowej TV Biełsat Agnieszki Romaszewskiej? Po co wspierać przywódcę, który może przegrać, który na życzenie Kremla blokuje kredyt pomocowy dla Ukrainy, co jest wbrew naszym interesom, i który – gdy ma interes – to zawsze wbijał PiS nóż w plecy? Jak na przykład wtedy, gdy w 2017 roku obiecał Kaczyńskiemu głosowanie przeciwko kandydaturze Tuska na szefa Rady Europejskiej, a następnie zdradził sojusznika z Polski i PiS zaliczył jedną z najbardziej bolesnych porażek wizerunkowych, przegrywając 27:1. Co stało się memem krążącym nie tylko po polskim internecie i wracającym po każdej podobnej, choćby drobnej, zagranicznej porażce wizerunkowej Zjednoczonej Prawicy. Na dodatek Polska przez antyukraińskie blokady Orbana nie może odzyskać 2 miliardów złotych z Unii w ramach zwrotu za pomoc Ukrainie.

Reakcja Muchy i Romaszewskiej może wskazywać, że elektorat PiS chwilami czuje się zagubiony: najpierw ostra retoryka antyrosyjska, a potem ściskanie się z agentami Kremla. W panice centrala przy Nowogrodzkiej sięgnęła ponownie po katastrofę smoleńską i zdjęcia ze spotkań Tuska z Putinem sprzed wielu lat.

Tyle tylko, że nawet jeśli przyjmiemy, że krytyka Tuska jest słuszna (dla porządku: nie jest, wizyta Putina na Westerplatte w 2009 r. w 70. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej odbywała się w kompletnie innej epoce geopolitycznej – Obama dopiero co postawił na „reset", cała Europa handlowała z Moskwą, śruba w samej Rosji była dużo słabiej dociśnięta i nikomu nie śniła się aneksja Krymu ani „zielone ludziki" w Donbasie), to jak to ma usprawiedliwić przyjaźń z Orbanem? Co PiS chce powiedzieć? Że w zasadzie Nawrocki jest taki sam jak Tusk?

Premier wykorzystał natychmiast tę sytuację i we wtorek zaatakował Nawrockiego, uderzając go w splot słoneczny: „Panie prezydencie, pan ma obowiązki polskie, a nie rosyjskie".

•

Ostatnio Tusk do spółki z marszałkiem Sejmu Włodzimierzem Czarzastym postanowili wbić Nawrockiemu jeszcze jedną szpilę. A mianowicie zamierzają głosować w Sejmie weto do nowelizacji Kodeksu postępowania karnego.

Ta sprawa początkowo mało kogo obchodziła. Koalicja rządząca zgodnie z obietnicami uchwaliła zmiany KPK, które ograniczają władzę prokuratury na rzecz sądów, blokują przedłużające się w nieskończoność areszty tymczasowe oraz zabraniają wykorzystywania w procesach nielegalnie zdobytych dowodów. A więc niwelują to wszystko, co Ziobro jako minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednym pielęgnował przez osiem lat.

O noweli i wecie stało się głośno, gdy na stadionach podczas kolejnych meczów zaczęły pojawiać się transparenty krytykujące prezydenta. Niektóre były dość grzeczne, acz krytyczne, inne zawierały mocne wulgaryzmy. Kibice bowiem pamiętają o niekończących się aresztach dla kolegów podejrzanych o stadionowy bandytyzm i handel narkotykami. Rzecz jasna rządowym reformatorom nie chodzi o to, by przestępcom dawać taryfę ulgową, ale o to, by położyć kres nieprawidłowościom mogącym dotknąć każdego, kto wejdzie w kolizję z prawem i by zmusić prokuraturę do szybkiego pisania aktów oskarżenia zamiast przetrzymywania podejrzanych w nieskończoność. Niemniej twarda baza Nawrockiego pokazała mu środkowy palec. Jest się czym martwić.

Fala protestów naprawdę zaskoczyła Pałac Prezydencki. Szczególnie bolesnym ciosem było to, że także kibice Lechii, rodzimego klubu Nawrockiego – który za młodu był jej ultrasem, a jako zaangażowany politycznie historyk podkreślał antykomunistyczno-niepodległościowe zasługi kibiców Lechii za Polski Ludowej – zaatakowali Nawrockiego.

Sam prezydent za słabo się orientuje w kwestiach, których dotyczy nowela, za sprawy prawne odpowiada szef jego kancelarii Zbigniew Bogucki – a ten polityk, nieodrodne dziecko PiS, chciał zablokować przepisy, które ograniczają areszty i władzę prokuratury. Nawet nie dlatego, żeby bronić spuścizny Ziobry, po prostu PiS długie areszty wydobywcze

Ważna frakcja w PiS mówi otwarcie o tym, że ogon już na dobre kręci psem, czyli partia Kaczyńskiego zamienia się w partię Zbigniewa Ziobry

uwielbiał i stosował je dla zmiękczania i zastraszania na masową skalę. A skoro ta partia liczy, że zaraz wróci do władzy, to wcale nie ma ochoty oddawać tak atrakcyjnych zabawek, które nie raz sprawdziły się przez osiem lat. Bogucki wymyślił więc pretekst, że podobno nowelizacja uniemożliwia areszt pedofilów nagabujących dzieci w sieci. Jak widać, kibice nie uwierzyli Boguckiemu.

I Czarzasty dostrzegł tu wspaniałą okazję, by Boguckiego, a przy okazji prezydenta, pięknie zgrillować w czasie debaty nad wetem. Gdy szef Kancelarii Prezydenta zacznie bronić weta, to kibice znów się wściekną. Więc w interesie Pałacu Prezydenckiego jest uciszenie tego tematu jak najszybciej. Tylko jak, skoro to środowisko jest biegłe w „socjalach", czyli kompetencje influencerskie, ma długą pamięć, a zasięgi jego przekazu – stadionowego i w serwisach społecznościowych – nie ograniczają się do stricte kiboli. To, co dzieje się w świecie kibicowskim, traktują jako część manosfery i śledzą nastoletnie chłopaki czy młodzi mężczyźni w typie konfederackim. Czyli ci, dla których Nawrocki miał być wzorcem aspiracyjnym, a oni dla niego twardą bazą sympatyków.

Rozkręcenie i podtrzymanie dyskusji na ten temat ma też jeszcze jedną zaletę dla rządzących: jak PiS nie stąpnie, może narazić się kibicom, którzy chętniej będą trzymać z Konfederacją. Co nie znaczy, że Konfederaci są w komfortowej sytuacji: gdy nowelizacja była głosowana w Sejmie, wstrzymali się od głosu. Bo nie chcą aresztów wydobywczych, ale niektóre rozwiązania im się nie podobały, a poza tym nie chcą głosować z rządem.

Nawet jeśli koalicja rządząca nie odrzuci prezydenckiego weta – do czego trzeba 3/5 głosów i posłowie konfederaci tu nie wystarczą – to i tak ta awantura osłabi Nawrockiego, a przede wszystkim Boguckiego jako sprawcę całego zamieszania.

•

Generalna polityka Tuska zmierza do tego, by agenda polityczna była zdominowana przez tematy, w których Koalicja 15 Października zachowuje jedność – czyli rozliczenia, bezpieczeństwo, kurs antyrosyjski, walka z ideą Polexitu. Rząd chętnie będzie brał udział w bataliach z prezydentem o KRS czy Trybunał Konstytucyjny, nawet nie dlatego, że to jakoś bardzo interesuje Polaków, ale dlatego, że te tematy spajają koalicję rządzącą.

To, co jest dla rządu niewygodne, to: dziura w budżecie NFZ, ograniczanie refundacji różnych procedur medycznych, zamykanie porodówek. A także rosnące ceny paliwa (zwalanie na Trumpa i konflikt na Bliskim Wschodzie nie wystarczy), strach przed rachunkami za ogrzewanie i energię elektryczną. Dlatego Pałac Prezydencki próbuje usilnie przekierować dyskusję na swój projekt ustawy, który ma obniżyć ceny prądu, choć dokument nie wskazuje realnych źródeł finansowania dopłat.

PiS stara się też koncentrować na temacie handlu prawami do emisji Co2, czyli ETS, Emissions Trading System. Rząd Tuska chce jego korekty, ale PiS stara się zaostrzać ton, żądając w ogóle opuszczenia ETS, który oznacza wyższe koszty produkcji energii z węgla. W tym temacie, zawierającym komplet sprawdzonych motywów – polska suwerenność, górnicy, droga energia z winy ekologicznych unijnych nowinek, niemieckie wpływy – Nowogrodzka upatruje szansy. Kaczyński wie, że jednocześnie może to zaostrzyć konflikt wewnątrz partii, ponieważ taka narracja oznacza odcinanie się od polityki rządu Morawieckiego, który przez osiem lat z systemu ETS nie wyszedł. Ale zyski mogą być wyższe niż straty.

Już sam pomysł wyboru Przemysława Czarnka na kandydata na premiera, bo ten swojski, biegły socjotechnicznie trybun ludowy odbije wyborców Brauna, oparł na tej kalkulacji: Nawrocki wygrał, bo odciął się od rządu technokraty Morawieckiego, to Czarnek też zaneguje wszystko, co robił ten gabinet, przez wielu postrzegany jako nie w pełni prawicowy, bo umizgujący się do Brukseli Paryża i Berlina – i wtedy wyborcy wrócą.

Co ważne – wszystkie te batalie, wygrane czy przegrane przez rząd, nie oznaczają, że któryś z obozów przeciągnie na swoją stronę wyborców konkurenta. I nie o to chodzi w tej grze. Sondaże wskazują, że partie koalicji rządzącej oraz Razem mają w sumie około 43-48 procent poparcia, a obóz PiS i obu Konfederacji ma tyle samo. Tak więc po 2027 roku władzę będzie sprawował ten obóz, który potrafi zmobilizować wyborców, do wyborów pójdzie jak najmniej podzielony i nie zostawi głosów swoich wyborców pod 5-procentowym progiem.

Ten obóz, który wystartuje w dwóch blokach, mając jeszcze koszulkę lidera, tak jak teraz Koalicja Obywatelska, wygra z tym obozem, który pójdzie w trzech blokach. Pod warunkiem że Polacy nie odczują gwałtownego pogorszenia warunków życia. Więc szansą dla PiS jest rozdrobienie po stronie rządzących oraz problemy bytowe, niezadowolenie z warunków materialnych, obawa przed bezrobociem, które nieznacznie wzrosło, i przed drożyzną.

Za to obecna opozycja musi za wszelką cenę uciec w roku wyborczym od tematów bezpieczeństwa i geopolitycznych zagrożeń – bo tak kapryśny, nieprzewidywalny, arogancki sojusznik i mentor, jak Trump, który budzi coraz większe obawy Polaków i już wyraźnie gasi naszą tradycyjną, niezależną od poglądów miłość do Ameryki, zaczyna stawać się nie atutem, a obciążeniem. ● **Dominika Wielowieyska**

eprasa.pl 05eb22389c

WAŻNY TEMAT

To nie jest świat dla młodych ludzi

Co mamy do zaoferowania nastolatkom, gdy im odbierzemy tik toka?

Z **MAGDALENĄ BIGAJ***,
PREZESKĄ FUNDACJI INSTYTUT CYFROWEGO OBYWATELSTWA,
MEDIOZNAWCZYNIĄ
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Ministra Nowacka ogłosiła, że od września uczniowie nie będą mogli używać telefonów w podstawówkach. Dyskutuje się też o zakazie korzystania z platform społecznościowych przez młodzież poniżej 15 roku życia. Gdyby taki zakaz wszedł, cieszyłabyś się?
Gdyby wszedł zakaz korzystania, to nie, ale gdyby wszedł zakaz udostępniania, to bym się ucieszyła.

Różnica jest zasadnicza. Nie lubię porównywania platform społecznościowych do alkoholu czy papierosów, ale z punktu widzenia gospodarki to jest ta sama forma zakazu. Alkohol i papierosy można produkować, sprzedawać, lecz nie dzieciom. Tą drogą poszła Australia. Wprowadziła zakaz udostępniania platform społecznościowych osobom poniżej 16. roku życia.

Nikt, kto ma mniej lat i z nich skorzysta, nawet oficjalnie, nie zostanie ukarany. Karę dostanie platforma, która dopuściła, żeby taka osoba mogła założyć na niej konto.

Zasmuciłoby mnie natomiast, gdyby taki zakaz wszedł u nas już jutro. I zmartwiłam się, kiedy na początku roku Roman Giertych wyskoczył jak filip z konopi z pomysłem, że wprowadzi go w ciągu dwóch miesięcy.

Dlaczego?
– Bo to rozwiązanie wymaga pogłębionego namysłu i przygotowania. Niesie też ryzyka.

W Australii to ryzyko jest związane chociażby z przeniesieniem odpowiedzialności weryfikacji wieku wyłącznie na producentów produktów i usług cyfrowych. Rząd australijski nie wypracował własnego rozwiązania, tylko pozwolił, żeby każdy producent zaproponował swoje.

I jakie to są rozwiązania?
– Bardzo różne. Część platform prosi o skany dowodów tożsamości, inne o selfie.

Tu anegdota. Jedna z naszych edukatorek z warsztatów w szkole podstawowej przyniosła wieści: dzieci stwierdziły, że jeśli chce się takie zabezpieczenie obejśćMinistra Nowacka, to „wąsy z Action dają radę". To znaczy: przyłożenie sztucznych wąsów do twarzy sprawia, że algorytm identyfikuje dziecko jako osobę dorosłą. Ktoś inny może poprosić o pomoc starszą siostrę albo kolegę.

Z reportażu w „Guardianie" dowiadujemy się, że australijska młodzież ściąga aplikację VPN, która pozwala na logowanie się z dowolnego miejsca na świecie, gdzie takie zakazy nie obowiązują.
– No właśnie. Po pierwsze więc, takie rozwiązania są niedoskonałe, a po drugie, pojawia się pytanie o bezpieczeństwo danych osobowych.

Wątpliwości budzi też to, że platformy, które miały w swoich regulaminach zapisaną granicę wieku, do tej pory nie weryfikowały go skutecznie. To znaczy: robiły to, ale tylko na własny użytek, co wiemy między innymi z wewnętrznych dokumentów, które wypłynęły w procesach sądowych przeciwko Mecie.

Duże platformy dobrze wiedziały, że z ich produktów korzystają dzieci dużo młodsze niż trzynastoletnie.
– Miały pełne raportowanie na temat tego, co robią w sieci, i zastanawiały się, jak to wykorzystać.

Dlatego uważnie przyglądam się rozwiązaniom, nad którymi pracuje Unia Europejska. Pewne nadzieje pokłada się w EIDAS-ie, czyli w europejskim portfelu tożsamości. To coś w rodzaju mObywatela, takiego cyfrowego paszportu.

Tu też udostępnia się dane.
– Jest jeszcze jeden problem: dziś nie mamy obowiązku używania takich narzędzi, jest to opcjonalne. Wprowadzenie rozwiązań, które będą ich wymagały, to przekroczenie pewnego Rubikonu w myśleniu, jak funkcjonuje społeczeństwo. I krok wstecz w kwestii naszej wolności rozumianej jako prawo do prywatności. To jest trochę tak, jakby przybić motylka szpilką w gablocie.

Chodzi ci o to, że nasze dane mogą zostać kiedyś wykorzystane na przykład przez autorytarną władzę, nie tylko przez hakerów czy tzw. agentów wpływu?
– Dokładnie o to mi chodzi. Wyobraźmy sobie, że nagle taka władza decyduje o zablokowaniu wszystkim obywatelom dostępu do prasy, której treści uzna za szkodliwe. Wtedy zaczynamy żyć jak w „Gileadzie" Atwood. Do pewnych informacji tracimy dostęp, za to można nas doskonale inwigilować. Dodajmy do tego jeszcze przejście wyłącznie na pieniądz cyfrowy i jesteśmy...

...ugotowani.
– Totalnie.

Czy są testowane inne możliwości weryfikacji wieku? Pewniejsze i bezpieczniejsze dla danych?
– Pojawiają się rozwiązania ze strony firm pośredniczących pomiędzy platformami, które odpytują o wiek użytkownika, a źródłem, które potwierdza ten wiek.

eprasa.pl 05eb22389c

FOT. EKATERINA DEMIDOVA / GETTY IMAGES

Słyszą: „Sama udostępniłaś to zdjęcie, więc się nie dziw, że ktoś cię na nim rozebrał

Większość z nas ma jakąś cyfrową weryfikację. Mamy konta bankowe, konta pacjenta. Mamy mObywatela, są legitymacje elektroniczne.

Pośrednik może na zlecenie platformy spytać takie autoryzowane miejsce, czy użytkownik ma mniej czy więcej niż te 15 lat. Po drodze może być jeszcze jeden węzeł – prywatny albo państwowy – który zanonimizuje te dane. I to rozwiązanie wydaje mi się w tej chwili najlepszym z możliwych.

Jakie jeszcze widzisz ryzyka związane z zakazem udostępniania platform społecznościowych osobom poniżej 15. roku życia?
– Przede wszystkim powinien obejmować też komunikatory, gry o charakterze społecznościowym i na pewno narzędzia AI. Bez tego nie będzie to mieć sensu.

Poza tym mamy dziś w ogóle inny problem. To, co się staramy robić, czyli zakazać udostępniania mediów społecznościowych dzieciom, utrudnić im dostęp do pornografii czy ścigać patostreaming, to jest cały czas próba rozbrojenia słonia kawałek po kawałku.

A co się powinno z nim zrobić?
– Uznać, że jest on takim samym zwierzęciem jak każde inne, czyli potraktować gospodarkę cyfrową jak inne gałęzie gospodarki. To jest podstawa.

Nasza fundacja postuluje, by wprowadzić powszechną klasyfikację produktów i usług dostępnych przez internet pod kątem różnych ryzyk dla użytkowników, o których musieliby zostać poinformowani.

Jeśliby się okazało na przykład, że dany produkt zawiera mechanizmy hazardowe, przemoc, pornografię albo algorytmizuje treści, czyli na podstawie naszych zachowań podsuwa nam kolejne treści, to pozwoliłoby na wprowadzenie różnych ograniczeń, w tym właśnie wieku.

***Magdalena Bigaj**

• twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Autorka książek „Wychowanie przy ekranie", „Twój telefon, twoje zasady" (W.A.B.). Współautorka Ogólnopolskich Badań Higieny Cyfrowej i raportu „Internet dzieci". Twórczyni i kierowniczka studiów z higieny cyfrowej na Uczelni Korczaka.

Czyli byłoby tak jak z filmami: jedne są dla wszystkich, inne są tylko dla dorosłych?
– Tak. Bezdyskusyjnym ryzykiem natomiast powinno być to, czy dany produkt cyfrowy może skrzywdzić inną osobę.

Gdyby taki system kwalifikacji istniał, to aplikacje typu Nudify służące do rozbierania zdjęć nie zostałyby dopuszczone do użytku. A wiesz, ile ich jest w tej chwili w sklepach typu Google Play czy App Store?

Nie.
– W grudniu było ich ok. 100. Pobrano je ok. 70 milionów razy, co ich twórcom przyniosło 170 milionów dolarów dochodu. To, że ktoś takie aplikacje tworzy, mnie nie dziwi. Nie takie rzeczy ludzie robią, żeby zaszkodzić innym. Ale to, że sklepy udostępniają je legalnie, zarabiają na nich – to jest po prostu skandal.

Jeśliby powstał powszechnie dostępny katalog produktów cyfrowych, w którym na przykład bardzo popularne gry dla dzieci musiałyby zaznaczyć, że mają wbudowane mechanizmy hazardowe, to nie moglibyśmy już mówić, że tak nie jest.

Byłaby to też podstawa, żeby projektować różne cyfrowe programy edukacyjne, tak by były bezdyskusyjnie bezpieczne. Bo dziś garstka naukowców twierdzi, że nie mamy dowodów na to, iż media społecznościowe szkodzą dzieciom. Rzeczywiście, nie mamy badania, które jednoznacznie by to potwierdzało.

W nauce są różne podejścia.
– Nie ma konsensusu.

Z jednej strony psycholodzy tacy jak Jonathan Haidt czy Jean Twenge uważają platformy społecznościowe, upowszechnienie smartfonów za główną przyczynę pogarszającego się zdrowia psychicznego dzieci. Z drugiej – badaczki jak Lucy Foulkes, Susan Livingstone czy Amy Orben podkreślą, że badania pokazują głównie związek pomiędzy korzystaniem z tych platform a gorszym zdrowiem psychicznym, ale nie dowodzą wprost, że jedno wynika z drugiego. Że „być może dzieci, które już borykają się z trudnościami, spędzają więcej czasu w mediach społecznościowych".
– Powiem tak: od jakiegoś czasu przestałam się koncentrować na tym, co mówią badania na temat ogólnie pojmowanego zdrowia psychicznego. Bo to jest tak, jakbyśmy chcieli badać, czy życie wśród innych ludzi mu szkodzi. Odpowiedź brzmi: „tak i nie". To zależy i od indywidualnej kondycji psychicznej użytkownika, i od tego, co jest mu wyświetlane.

Media społecznościowe są dziś platformami dostępu do tak różnych treści, że możemy sobie odpuścić badanie ich jako ogółu. Dla mnie niekwestionowalna jest inna rzecz. Na TikToku, X czy Instagramie mamy treści pornograficzne oraz treści prezentujące przemoc. A wpływ kontaktu z pornografią i obserwowania przemocy na zdrowie psychicznie dzieci jest już od dawna dobrze udokumentowany. To samo tyczy się treści romantyzujących samobójstwo czy zachęcających do samookaleczania się.

Z raportu NASK-u wiemy, że pierwszy kontakt z pornografią w Polsce ma miejsce w wieku 11 lat.
– Otóż to! Interpol i międzynarodowe organizacje zajmujące się przeciwdziałaniem krzywdzeniu seksualnemu dzieci zwracają uwagę, że grupą, która go doświadcza i rośnie w tej chwili najszybciej, są dzieci w wieku 4-6 lat. A do ich krzywdzenia dochodzi głównie w mediach społecznościowych i grach. I to jest problem, którym powinniśmy się zajmować.

Specjaliści podobnie myślący do ciebie mówią, że najlepiej byłoby, gdyby wszystkie produkty cyfrowe były od początku projektowane jako bezpieczne dla dzieci. Kojarzy mi się to z krzesłem, które kiedyś widziałam na targach wnętrzarskich. Zaprojektowano je tak, żeby było wygodne dla dziecka, osoby dorosłej, starszej, a także z niepełnosprawnościami.
– Świetnie to tłumaczy Ola Rodzewicz, pedagożka zajmująca się edukacją włączającą. Mówi, że świat bezpieczny dla dziecka jest światem bezpiecznym dla każdego. Oraz że świat dostępny dla osoby z niepełnosprawnością jest dostępny dla nas wszystkich.

Cieszę się, że mamy autobusy niskopodłogowe, bo jak wchodzę do nich z dzieckiem w wózku, to jest mi łatwiej. Choć powstały po to, żeby ułatwić życie osobom doświadczającym wcześniej wykluczenia.

A skoro przez ostatnie trzy dekady staliśmy się zależni od produktów i usług cyfrowych, to po prostu mamy prawo żądać, żeby były bezpieczne.

To co zrobimy na przykład z tym, że wielu dorosłych chce śledzić, co się dzieje na świecie, a dziś często są to obrazy pełne przemocy i destrukcji?
– Trzeba zaprojektować algorytm tak, żeby wiedział, w jakim wieku jest użytkownik konta, i automatycznie usuwał pewne treści z feedu.

Myślę zresztą, że te zakazy, o których rozmawiamy, ostatecznie do tego doprowadzą. Zmuszą platformy, żeby wreszcie zaczęły skutecznie dbać o bezpieczeństwo młodszych użytkowników. Ponieważ zakazy udostępniania kompletnie im się nie opłacają.

A jak mówi Krzysztof Mikulski z Polskich Badań Internetu, żadna platforma nie ma w swojej strategii misji krzywdzenia dzieci. Ich celem jest zarabianie pieniędzy. Krzywda dzieci czy ludzi w ogóle to pewien produkt uboczny dążenia do tego celu.

Platformom wytoczono już tysiące procesów za różne szkody dla zdrowia psychicznego. Sygnaliści napisali dziesiątki książek, w których wyjawiali nieetyczne działania byłych pracodawców. Dowodów jest masa, jednak nic się nie zmienia.
– Bo do tej pory panowało powszechne przyzwolenie na to. Przecież dopiero niedawno Unia Europejska wprowadziła akty DSA, DMA oraz AI Act. Poprzedni dokument regulujący gospodarkę cyfrową był, uwaga, z 2002 roku!

Długo zachwycaliśmy się postępem i nikomu nie przychodziło do głowy, że rozwój będzie aż tak nieetyczny, aż tak szybki i aż tak bardzo będzie się wymykał analizom.

Przed chwilą oddałam drugie uzupełnione wydanie „Wychowania przy ekranie", książki, którą napisałam raptem cztery lata temu. Wtedy ChatGPT dopiero co oddano do użytku. Dziś mój pięcioletni synek, który nie używa żadnych ekranów, tłumaczy mi, jak on działa. Dowiedział się od rówieśników. To pokazuje, jak głęboko i jak szybko to wniknęło w społeczeństwo.

Słusznie porównuje się gospodarkę cyfrową do kolonializmu. Kolonialiści mieli ten sam model. Najpierw mówili: „Zobaczycie, ułatwimy wam życie, zbudujemy drogi, rozwiniecie się społecznie, gospodarczo, będziecie mieli lepiej!". A potem zaczynali pobierać opłaty za ten postęp. No i my teraz też zaczynamy widzieć, że płacimy. Tyle że w zdrowiu psychicznym, fizycznym i społecznym, a nie na to się umawialiśmy.

Produkty cyfrowe różnią się od innych. Samochody na przykład muszą spełniać wyśrubowane kryteria bezpieczeństwa, zaś produkty cyfrowe to eksperyment na żywych organizmach. Popatrz na ChataGPT – kolejne samobójstwo przy jego współudziale, kolejna psychoza, a firma ma zawsze tę samą odpowiedź: „To straszna tragedia. Pracujemy nad ulepszeniem mechanizmów zabezpieczających". I tyle. Nikt nie wycofuje wadliwego produktu z rynku.
– Co więcej, firmy technologiczne starają się przerzucać odpowiedzialność na użytkownika, twierdząc, że nieumiejętnie korzystał z ich produktów.

Dlatego w naszej fundacji uważamy, że higiena cyfrowa czy bezpieczeństwo cyfrowe to kwestie zdrowia publicznego. A zdrowie publiczne to coś więcej niż zdrowie indywidualne.

Żeby o nie zadbać, państwo musi wykonać pewien wysiłek, a całe społeczeństwo nabrać zbiorowej odporności na negatywne konsekwencje rozwoju technologii. Pozytywne też oczywiście są.

Nikt nie podważa tego, że są osoby, którym media społecznościowe czy gry cyfrowe przynoszą pożytek, jednak w przypadku dzieci i młodszych nastolat-

eprasa.pl 05eb22389c

ków oraz osób borykających się z problemami psychicznymi może to być bardzo obciążający czynnik.

Są to kwestie zdrowia publicznego też dlatego, że dziś świat cyfrowy powoduje wiele negatywnych konsekwencji dla społeczeństwa – polaryzacja czy podatność na dezinformację, co w czasach wojny kognitywnej stanowi niebagatelny problem.

Ale nawet jeśli TikTok, Instagram, Snapchat czy inne platformy ucywilizują swój algorytm, wyświetlać się będą same bezpieczne rzeczy, to nadal podstawowe mechanizmy, które tam są, czyli ocenianie, obserwowanie, jak żyją inni, porównywanie się, będą stanowić silną presję i czynnik ryzyka dla rozwijającego się człowieka, który powinien przede wszystkim obserwować otoczenie wokół siebie. I na tym budować poczucie własnej wartości, sprawczość czy myślenie o świecie.

Co chcesz powiedzieć?
– To, że nie wiem, do czego ostatecznie dojdziemy, i zgadzam się, że mamy do czynienia z potężnymi firmami, ale nie mamy innego wyjścia, jak próbować i trzymać się nadziei, że znajdziemy w końcu jakieś rozwiązanie.

Niektórym się wydaje, że jak zabierzemy dzieciom TikToka itp., to stanie się cud i nagle ich zdrowie psychiczne odżyje. Problemów jest jednak znacznie więcej, co pokazuje opublikowany właśnie raport „Diagnoza młodzieży 2026". Wychodzi z niego, że dla 70 proc. młodych szkoła to potężne źródło stresu. Nie czują się z nią związani ani tego, żeby przygotowywała ich do dorosłego życia. Wiele z nich w ogóle boi się dorosłości, tego, że sobie nie poradzą, że nie stać ich będzie na mieszkanie, na założenie rodziny. Ich obawy dotyczą też sytuacji geopolitycznej. A przy ty są bardzo samotni. Skupienie się wyłącznie na nowych technologiach może sprawić, że stracimy z oczu inne ważne problemy.
– Problem jest też taki, że na skutek zmian transformacyjnych nasze pokolenie jest pokoleniem rodziców zabieganych, zapracowanych, a przez to mało dostępnych. Na to nałożył się szybki skok technologiczny, który jeszcze nasze życie przyspieszył i skondensował.

W trakcie jednej godziny często staramy się załatwić dużo więcej niż nasi rodzice. Już nie tylko gotujemy obiad, ale też sprawdzamy Librusa, robimy zakupy przez internet, odpisujemy na maile. Jesteśmy przebodźcowani, przemęczeni i często nasi bliscy, w tym dzieci, są dla nas w pierwszym odruchu kolejnym bodźcem.

Dzieci też są przemęczone i przebodźcowane.
– I tu się zgadzam z Haidtem, że media społecznościowe odebrały dzieciom dzieciństwo, ale kiedy ma się ono właściwie odbywać? Po tych siedmiu, ośmiu godzinach w szkole i korkach? I gdzie? Na grodzonych osiedlach? Na placu zabaw wielkości miejsca parkingowego? W galerii handlowej?

Z jednej strony nie mamy za dużo czasu dla dzieci, a z drugiej wiele z nas przeraża myśl, że dziecko mogłoby pójść na boisko szkolne bez telefonu. No więc dajemy mu telefon, kiedy ma lat 8 czy 10, a ono siedzi na boisku i skroluje.

Z „Diagnozy" wynika też, że dzieci i nastolatki czują się przez rodziców nadmiernie kontrolowane i pozbawione sprawczości. A to jest rozwojowa konieczność.
– A jednocześnie, obserwując życie w bardzo niepewnych czasach, pragną bezpieczeństwa. Doktor Iga Kazimierczak zresztą celnie to ujęła w „Diagnozie", pisząc, że najbardziej radykalnym marzeniem młodych są dziś stabilna praca i spokojne życie. To nie jest coś, o czym my marzyliśmy, mam wrażenie. My chcieliśmy kariery, przygód!

Nie wiem też, na ile młodzi zdają sobie sprawę z powagi sytuacji związanej z rozwojem sztucznej inteligencji, która będzie powodowała duży problem z wejściem do zawodu. Programiści już dziś mówią, że jeśli nie potrafisz wykorzystać w tej pracy AI, to nie istniejesz. AI przyspiesza, ulepsza, trenuje ciebie również, dzięki czemu kodujesz szybciej i lepiej.

I teraz jak człowiek po studiach ma dojść do pewnego poziomu, skoro robi się luka treningowa, a zadania porządkujące, asystenckie, researcherskie, które do tej pory wykonywali stażyści, z powodzeniem wykonuje sztuczna inteligencja? To też jest martwiące.

Świat, który stworzyliśmy, nie jest światem dla młodych ludzi. I wprowadzenie zakazu udostępniania produktów cyfrowych młodym na pewno nie rozwiązuje kwestii dbania o to pokolenie. Bo oni dziś potrzebują nowego rodzaju usług społecznych. Mówią: „Chcemy wsparcia państwa przy wejściu w dorosłość, chcemy dobrej infrastruktury...

I celować w mistrzostwo świata.
– Oczywiście! I mówię to wszystko nie po to, żeby powiedzieć, że kiedyś to były czasy, tylko po to, żeby zauważyć, że coś jest nie tak z nami, dorosłymi, że tak to urządziliśmy.

Nieprawdą jest też, że w internecie jest tak super, że młodzi w ogóle nie chcieliby się od tego oderwać. Powtórzę twoje pytanie: a co mamy im do zaproponowania?

Jako fundacja odwiedzacie ponad 200 szkół rocznie w całej Polsce. Co rodzice mówią na temat zakazu, o którym rozmawiamy?
– Widzimy, że słowo „zakaz" jest słodką obietnicą dla wielu dorosłych. Świadomych rodziców jest coraz więcej, ale też wiele z nich, mam wrażenie, upatruje w zakazie rozwiązania wszystkich problemów, które mają z dziećmi. To mnie niepokoi, bo obawiam się, że jeśli taki zakaz wejdzie w życie, to spowoduje, że ci rodzice odpuszczą. Uznają: „OK, to nie muszę się już interesować".

> Najbardziej radykalnym marzeniem młodych są dziś stabilna praca i spokojne życie. To nie jest coś, o czym my marzyliśmy, mam wrażenie

...chcemy autobusu, który będzie nas dowoził do większego miasta kilka razy dziennie".
– Pamiętam, jak kiedyś pewien młody, popularny influencer opublikował nagranie, na którym pokazał, jak wygląda jego dzień. Wstawał o 5.30, żeby zdążyć na jedyny autobus, który wiózł go do szkoły. Jeśli zaczynał od trzeciej godziny lekcyjnej, czekał na korytarzu dwie godziny. A po szkole późnym popołudniem miał jeden jedyny autobus, którym wracał do domu.

To są sytuacje, o których w dużym mieście rzadko się myśli.

Z waszych najnowszych badań „Higiena cyfrowa i aktywność fizyczna młodzieży w Polsce" wynika, że prawie połowa nastolatków w wieku 12-17 lat spędza w dni powszednie od czterech do sześciu godzin w internecie, a w weekendy – siedem i więcej. Pytanie: co mamy im do zaoferowania, gdybyśmy im to odebrali?
– Zwłaszcza że zobacz, co się stało z zajęciami dodatkowymi. Sport się totalnie sprywatyzował. A nawet jeśli takie zajęcia są refundowane, to musisz kupić drogi strój, najlepiej dwa zestawy. Wysłać dziecko na turniej, na obóz. Pamiętajmy, że wiele rodzin przeznacza dziś 800 plus na to, żeby podnieść odrobinę poziom życia, kupić trochę lepszej jakości produkty spożywcze. Zajęcia dodatkowe to dla wielu luksus.

Jestem dzieckiem lat 90., które wychowało się w sześciotysięcznym miasteczku w Zagłębiu Śląsko-Dąbrowskim, i wszystko, czego się tam nauczyłam, do dziś mi procentuje.

A nauczyłam się tego w lokalnym Domu Kultury, gdzie chodziłam na zajęcia plastyczne, grałam na mandolinie, uczyłam się tańca, występowałam w teatrze. Większość tych zajęć była albo bezpłatna, albo kosztowały naprawdę niewiele, a moich rodziców – tata jest kolejarzem, a mama krawcową – było na nie stać. No i nikt tam nie miał takiego podejścia, że jak masz się uczyć tańca, to musisz kupić strój za kilkaset złoty.

Jaka część rodziców go popiera?
– Z tych, którzy przychodzą na nasze spotkania – wszyscy. Ale oczywiście nie jest to cała społeczność szkolna.

Ciekawe badania przyniósł ostatnio sondaż „Dziennika Gazety Prawnej", w którym ponad 90 proc. rodziców opowiedziało się za zakazem udostępniania mediów społecznościowych dzieciom. Jednocześnie wiemy przecież choćby z badania „Internet dzieci", że 58 proc. dzieci w wieku 7-12 lat z nich korzysta, czyli ktoś im pozwolił założyć tam konta. I w pierwszej chwili można pomyśleć: co za hipokryzja!

A w drugiej?
– Wow, coś się zmienia.

Duża część rodziców zaczyna sobie zdawać sprawę, że robi źle. I że już trochę nie wypada odpowiedzieć, że nie jest się za takim zakazem.

Z waszych badań wynika, że młodzi mają dużą świadomość na temat problematycznego korzystania ze smartfonów. Ponad 60 proc. z nich uważa, że spędzają za dużo czasu w internecie. Ale tylko 13 proc. robi coś, żeby to zmienić. Tylko co czwarty nastolatek tak gospodaruje czasem, żeby starczyło go na inne ważne sprawy.
– Te wyniki pokazują też pewien naturalny etap, na którym są nasi respondenci. 13-17 lat to wiek, w którym człowiek ma jeszcze całkowite prawo nie mieć wykształconej samoregulacji i samokontroli. Obszar mózgu odpowiadający za te umiejętności po prostu nie jest jeszcze na tyle rozwinięty, więc nie powinno nas dziwić, że większość nie potrafi sobie dobrze rozplanować czasu. I tak super, że jakaś grupa to robi.

Są to też dzieci, które swoje cyfrowe życie zaczynały w momencie, kiedy przyszła pandemia. A potem na dwa lata utknęły w zdalnej edukacji.
– Dokładnie tak! Dzieci, które przebadaliśmy, w podstawówce siedziały czasem po sześć-osiem godzin przed ekranami, a żeby jakoś rozładować napięcie, grały na boku w gry, oglądały filmiki czy dyskutowały na komunikatorach, co też w jakiś sposób wpłynęło na ich nawyki.

Był to też czas ogromnego stresu dla rodziców, którzy w tym czasie pracowali i często nie byli w stanie kontrolować, co robią ich dzieci. Jest to więc grupa, która ma na koncie bardzo konkretne doświadczenie.

W naszych badaniach widać też, że młodzi traktują dziś przestrzeń cyfrową jako coś przezroczystego.

Wyjaśnij, proszę.
– Gdybym spytała czytelniczki i czytelników, jak często używają prądu w ciągu dnia, to najpierw pewnie by ich to pytanie zdziwiło, a potem zaczęliby się zastanawiać, ile razy zapalili rano światło w łazience, a ile w kuchni. Czy włączyli czajnik na herbatę?

Wiele z nich miałoby zapewne subiektywne poczucie, że z tego prądu korzystają bez przerwy. I to właśnie widać w odpowiedziach młodzieży, która na pytania: „Jak często używasz mediów społecznościowych, komunikatorów, narzędzi AI?", często odpowiada: „Cały czas".

No a jeśli masz poczucie, że coś jest ci potrzebne cały czas, to przestajesz nad tym panować. My też nie kontrolujemy zużycia prądu każdego dnia.

Przyznam, że przygnębiło mnie to, że 10 proc. dzieci i nastolatków w weekendy spędza ponad dwanaście godzin przez ekranem.
– Specjaliści mówią, że nie należy się tak bardzo fiksować na czasie i że bardziej chodzi o to, co dziecko robi w internecie, bo może na przykład słucha muzyki albo audiobooka, tym niemniej faktycznie dwanaście godzin to bardzo dużo.

To znaczy, że przez ten czas nie robisz różnych innych rzeczy.
– Tudzież robisz je, ale telefon jest ciągle w użytku. Bo nawet jeśli spacerujesz z psem i „tylko" czegoś słuchasz, to co chwila bierzesz telefon do ręki, żeby włączyć kolejny kawałek. A przy okazji może odpiszesz na wiadomość albo zerkniesz na powiadomienie z Instagrama.

Masz rozpraszacz bez przerwy przy sobie. A robienie wielu rzeczy naraz przez dwanaście godzin dziennie nie jest dobre.

Dzieci śpią i jedzą przy ekranach – niecałe 10 proc. odkłada je po 22, a tylko 7,2 proc. przy spożywaniu posiłków. Ale chyba jeszcze bardziej martwią inne dane.
– Jakie?

Na przykład to, że tylko 18 proc. podchodzi krytycznie do treści w internecie.
– To pokrywa się z danymi z wielu innych analiz, które wskazują, że to właśnie młodzież i młodzi dorośli są grupą najbardziej narażoną na dezinformację. Nie seniorzy, jakbyśmy często chcieli myśleć, którzy „nie kumają internetu".

Brak krytycznego myślenia dotyczy zresztą nie tylko młodych. Czasami, jadąc tramwajem, przyglądam się, co ludzie robią na swoich telefonach. To jest jeden wielki infinity scroll.

W strumień przeglądanych treści wpada wszystko, jak leci: śmieszne filmiki ze zwierzętami, coś o wojnie, potem jakiś polityk, za chwilę jakieś wyzwanie, przepis na ciasto itd. To prześlizgiwanie się sprawia, że nie mamy czasu na krytyczne myślenie, ale jednak coś w głowie zostaje – jakieś ogólne wrażenie tego, co ktoś powiedział, co się widziało.

Dziś w ogóle trzeba zadać sobie wiele trudu, żeby weryfikować informacje, które do nas docierają. Edukacja w zakresie krytycznego myślenia i dezinformacji jest konieczna, ale do tego potrzebujemy pewnego zasobu wiedzy.

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

To chyba oczywiste.
– Wcale nie. Często spotykam się z podejściem, że „szkoła powinna dziś uczyć wykorzystywania nowych technologii, a nie wykuwania na pamięć informacji. Bo wiedza to jest teraz w internecie i wystarczy krytyczne myślenie". Ale żeby móc odróżnić fakt od fałszu, musimy najpierw pewną wiedzę posiąść.

Proponuję łatwy eksperyment: znajdź artykuł w internecie z dziedziny, na której się nie znasz. Najprawdopodobniej nie będziesz w stanie poddać go krytycznej analizie, a być może nawet nie zrozumiesz połowy słów.

Jeśli młody człowiek nie będzie miał zgromadzonego pewnego zasobu wiedzy nabytego dzięki uczeniu się w szkole, w tym również na pamięć, nie będzie w stanie krytycznie myśleć. I to jest dziś duży problem.

Zwłaszcza że jesteśmy coraz bardziej rozkojarzeni i mamy coraz większy kłopot z przyswajaniem wiedzy, rozumieniem i zapamiętywaniem. Dlatego coraz chętniej posługujemy się różnymi pomocami, jak choćby sztuczna inteligencja.

I jeszcze z waszego raportu: tylko 13 proc. młodych, widząc, że ktoś jest obrażany albo nękany w sieci, to zgłasza.
– Dodam tylko, że bardzo podobne wyniki otrzymaliśmy, kiedy badaliśmy dorosłych.

Z rożnych powodów tego nie robimy. Część osób może nie wiedzieć jak. A inni się poddają, kiedy dochodzą do okienka, w którym muszą wpisać, jaki konkretnie przepis dany post narusza.

Nie mówiąc o tym, że ponieważ wciąż nie wdrożyliśmy DSA, zgłaszanie tego przynosi mierny skutek, bo DSA sprawia, że platforma nie może nie uwzględnić naszego zgłoszenia. A skoro go nie mamy, to może robić, co chce.

No i chyba najsmutniejsze: tylko 15,5 proc. dzieci i nastolatków zwraca się po pomoc do bliskich, kiedy są nękane albo hejtowane.
– Pytasz mnie, co z tym zrobić? Powtarzać dzieciom, że zawsze mogą do nas przyjść, jeśli coś takiego się dzieje. Bo bardzo często osoby, które doświadczają przemocy w internecie, czują się tym zawstydzone albo winne. Czasem zresztą

słyszą: „Sama udostępniłaś to zdjęcie, więc się nie dziw, że ktoś cię na nim rozebrał".

Zachęcam, żeby rozmawiać z dziećmi o tym, jakby to był jeden z wielu tematów, o którym zasłyszeliśmy od znajomych czy w mediach. Na przykład: „Wiesz, słyszałam,

Słusznie porównuje się gospodarkę cyfrową do kolonializmu. Kolonialiści najpierw mówili: „Zobaczycie, ułatwimy wam życie". A potem...

że są takie aplikacje. Gdyby ci się kiedyś coś takiego przytrafiło, daj mi znać, zastanowimy się, co zrobić".

Dziecko dostaje wtedy trzy ważne informacje. Po pierwsze, że rodzic ma jakieś pojęcie, że takie rzeczy się zdarzają i nie trzeba mu wszystkiego tłumaczyć od zera. Po drugie, że...

...to nie jego wina.
– A po trzecie: „Nie bój się. Jak do mnie przyjdziesz, to nie odpalę się od razu jak rakieta i nie polecę na skargę do szkoły, tylko najpierw wspólnie pomyślimy, co zrobić".

Sama staram się to powtarzać moim starszym dzieciom i jak mawiają informatycy: „U mnie działa". Mam nadzieję, że w innych domach również zadziała.

Pytaliście też młodzież o aktywność fizyczną.
– Światowa Organizacja Zdrowia od wielu lat zwraca uwagę, że 80 proc. nastolatków za mało się rusza. Powinna to być godzina umiarkowanych do intensywnych ćwiczeń dziennie, więc spacer z psem wokół bloku nie wystarczy.

Ogromną rolę odgrywa tu na pewno WF – ma wyrównywać szanse młodzieży, która nie ma nawyku czy możliwości poruszania się. Inna rzecz, jak te zajęcia wyglądają. No i nadal jest jakaś grupa, która unika lekcji WF-u jak ognia – bo ich nie lubią, bo czują się na nich wykluczani albo źle traktowani.

Prawie 10 proc. młodzieży w wieku 13-17 lat jest z niego zwolniona.
– A połowie brakuje odpowiedniej ilości aktywności fizycznej. Wypadamy trochę lepiej niż średnia światowa, niemniej jednak dobrze nie jest.

Urządzenia ekranowe wpływają na to, że prowadzimy coraz bardziej siedzący tryb życia. To paradoks, bo jak pojawiły się pierwsze smartfony, nazywaliśmy je telefonami mobilnymi. Rewolucja ta miała nam umożliwić bycie w ruchu, a finalnie doprowadziła do tego, że coraz mniej się ruszamy. Wszyscy, dorośli też.

W naszych badaniach widzimy też taką zależność, że młodzież, która ma niski poziom higieny cyfrowej, jest też mało aktywna fizycznie. Z kolei u tych, którzy dużo się ruszają, częściej występują zachowania chroniące. Choć niekoniecznie jest to świadome.

To znaczy?
– Kiedy robiliśmy pilotaż badania, jeden z chłopców bardzo aktywny sportowo powiedział nam, że jak sobie wyciszy telefon w szkole, to potem tak się spieszy na trening, że o tym zapomina. I przypomina sobie o telefonie dopiero późnym wieczorem.

Poza wszystkim młodzież, która uprawia sport czy w ogóle ma jakieś inne zainteresowania, jest po prostu bardziej zajęta.

W ogóle zachęcam, żeby popatrzeć na swoje dziecko całościowo. Bo jeśli ono nie zaniedbuje obowiązków szkolnych, jest aktywne fizycznie, niekoniecznie chodzi na zajęcia zorganizowane, ale na przykład jeździ na rowerze, na rolkach, pójdzie czasem do skateparku, to nie ma nic dziwnego w tym, że się umówi w weekend na kilkugodzinną sesję grania w gry z kolegami.

Jest to w końcu jakiś kod kulturowy tego pokolenia. Chodzi tylko o to, żeby czas ekranowy nie odbywał się kosztem ruchu. Bo ruch sprawia, że w organizmie wydzielają się endorfiny, poprawia się nastrój. A w związku z tym spada potrzeba szukania pozytywnych doświadczeń na przykład w sieci.

Pytałam cię o reakcję rodziców na zakaz udostępniania platform społecznościowym dzieciom, a co one same o tym mówią?
– Kiedy rozmawiamy z nastolatkami w grupie, nie bardzo chcą się dzielić tym, co naprawdę myślą. Część nic nie mówi, część się oburza. Nie podoba im się zabieranie czegoś, z czego tak intensywnie korzystają, to na pewno. Ale kiedy rozmawiamy na osobności, niektórzy mówią po cichu: „Byłoby super!".

Wielu nastolatków czuje, że nie mogą nie być w internecie, bo wszyscy tam są. Jednocześnie widzą, że ich to obciąża, że

fajnie byłoby iść do szkoły i nie zastanawiać się, czy na grupie klasowej właśnie ktoś się z ciebie nie nabija.

Kiedyś na spotkaniu autorskim podszedł do mnie pewien dziesięciolatek i powiedział z powagą: „Wie pani co, moi rodzice nie pozwalają mi używać mediów społecznościowych, ale moi koledzy ich używają. Często rozmawiają o tych różnych »informatycznych rzeczach«, a ja wtedy nie wiem, co mam o tym myśleć".

Poczułam wtedy ciężar odpowiedzialności, który spoczywa na nas, dorosłych, kiedy mówimy: „To, że tego nie używasz, jest dla ciebie dobre".

I co mu odpowiedziałaś?
– Przyszła mi wtedy do głowy taka myśl: „Za trzy lata będziesz mógł z tego skorzystać, ale to, czego doświadczysz przez ten czas, twoi koledzy, którzy teraz skrolują, już nie nadrobią". Dodałam też: „Musisz uwierzyć, że twoi rodzice chcą dla ciebie dobrze".

I to jest coś, czego też sama doświadczam jako mama. Moje środkowe dziecko, które powoli zbliża się do 13. roku życia, czyli wieku, w którym póki co można korzystać z platform, coraz częściej pyta, dlaczego nie może tego robić, a inni mogą.

Któregoś razu już taka bezsilna spytałam go: „A jak myślisz? Co może być powodem, że nie chcę ci tego dać?". Myślę, że w takiej zwykłej, przeciętnej rodzinie, w której dzieci wiedzą, że są kochane, to pytanie powoduje kapitulację. Bo staje się jasne, że stoją za tym miłość i troska. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

WYBORCZA TV

• Program telewizyjny na święta
• „Edyta Górniak". Czego zabrakło w filmie o legendzie polskiej muzyki?
• Peaky blinders: Nieśmiertelny. Pożegnanie z Tommym Shelbym

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

KRAJ

Ostatni W SEJMIE

„Bez nich łatwiej byłoby rządzić”. Po 35 latach odpadnie wierny koalicjant liberałów i lewicy?

Arkadiusz Gruszczyński

Prezydent na pewno podpisze ustawę SAFE – miał osobiście przekonywać premiera Władysław Kosiniak-Kamysz, lider Polskiego Stronnictwa Ludowego. Moi rozmówcy z najbliższego otoczenia Donalda Tuska twierdzą, że w rozmowach w wąskim gronie Kosiniak-Kamysz przechwalał się doskonałymi relacjami z Karolem Nawrockim, z którym spotykał się regularnie wieczorami w Pałacu Prezydenckim. Lider ludowców miał przekazać pozostałym koalicjantom, że prezydent podpisze ustawę ułatwiającą wydawanie unijnych środków przeznaczonych na obronność z programu SAFE w zamian za poparcie rządu dla propozycji Nawrockiego.

Prezydent chciał, żeby finansować zakupy czołgów i amunicji z zysku wypracowanego przez Narodowy Bank Polski.

– Władek uspokajał nas, że jest po słowie z prezydentem, a podpis pod ustawą będzie złożony w atmosferze ponadpartyjnej zgody. I chyba naprawdę w to wierzył – mówi mi jeden z ważnych polityków rządowych.

– Kosiniak opowiadał, że trzeba się zgodzić na pomysł Nawrockiego, ponieważ to Ministerstwo Obrony Narodowej i Sztab Generalny wyślą swoich ludzi do prezydenckiej rady, która miałaby decydować o przekazaniu pieniędzy wojsku z NBP. A potem doszło do spotkania premiera, Kosiniaka i Andrzeja Domańskiego, naszego ministra finansów, z prezydentem. I okazało się, że nie ma mowy o dealu, tylko o zamianie projektów. Prezydent powiedział naszym ludziom wprost: albo popieracie mój pomysł, albo nie będzie żadnych dodatkowych pieniędzy na wojsko – relacjonuje mój rozmówca z rządu.

Premier był zaskoczony, ponieważ Kosiniak-Kamysz mówił koalicjantom coś zupełnie innego.

– I do samego końca Władek myślał, że ma wszystko pod kontrolą. W koalicji panuje przekonanie, że Kosiniak-Kamysz dostał największy polityczny wpier…. za awanturę wokół SAFE – słyszę od ważnego polityka lewicy. Oczywiście zakulisowo, nie publicznie – dla zwolenników Koalicji 15 Października i przeciwników PiS winowajcą pozostaje Nawrocki, zwolennicy prawicy są przekonani, że prezydent zachował się jak mąż stanu.

Politycy sprzyjający premierowi twierdzą, że Tusk nie spodziewał się weta.
– Do końca wierzył, że Nawrocki stanie po stronie wojska, a nie po stronie Prawa i Sprawiedliwości – słyszę w rządzie.

I znowu: to tylko część prawdy, ponieważ prezydenckie weto jest na rękę premierowi i całej koalicji rządzącej. W opowieści Tuska prezydent „zdradził armię”, nie zachował się jak zwierzchnik sił zbrojnych, tylko wypełnił polityczne polecenie Jarosława Kaczyńskiego, który od tygodni – wbrew logice i własnym wcześniejszym słowom – twierdzi, że unijne pieniądze z SAFE zagrażają polskiej suwerenności.

Lider PiS uważa – czy raczej wmawia – że w zamian za kolejne transze Polska może zostać zmuszona wprowadzić związki partnerskie albo zalegalizować aborcję. Tak jakby Bruksela ze Strasburgiem nie mogły osiągnąć tego prościej, bez wytaczania najcięższych dział, na przykład wyrokami Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Albo już na początku, w pierwszych latach po 2004 roku, kiedy dołączyliśmy do unijnych struktur i w kraju panował powszechny – może poza kręgami radiomaryjnymi, przerażonymi Niemcem, co wykupi ziemię piastowskich rolników – entuzjazm.

•

Czy państwo polskie rzeczywiście nie poradzi sobie bez ustawy, która wywołała największe od miesięcy polityczne emocje?

Abstrahując od tego, że prezydent jednym pociągnięciem długopisu zmarnował sporo publicznych pieniędzy i spostponował wojskowych, lekceważąc ich prośby – w wymiarze praktycznym, realnych konsekwencji, większą szkodą jest choćby przedwyborcze poparcie jasno okazane Viktorowi Orbanowi. Który, aby zachować władzę, czyli ocalić skórę, już zupełnie jawnie realizuje cele Rosji.

Bo od 22 lat wydajemy sprawnie środki unijne, a te z programu SAFE nie mają innego statusu. A premier i Władysław Kosiniak-Kamysz zapewniają, że europejskie fundusze bez problemu trafią do polskiego wojska, nawet bez zawetowanej ustawy. Kiedy przyjmowano projekt ustawy o SAFE, szef MON przyznał w Senacie, że była niepotrzebna. Ale – jak wspominał w rozmowie z Dorotą Roman, dziennikarką i publicystką zajmującą się obronnością i wojskiem w „Wyborczej” – rządowi zależało na budowie ponad politycznego porozumienia wokół tych środków.

Kosiniak-Kamysz zagrał więc w grę, której zasady wymyślił Donald Tusk. Premier gra na Pałac Prezydencki, bo jego niezależność może przynieść sporo problemów Kaczyńskiemu i wyrastającemu na realnego lidera, nie tylko tymczasowego delfina Przemysławowi Czarnkowi. Niezależny prezydent, który nie wypełnia politycznej woli własnego obozu, który spotyka się wieczorami z ministrem obrony narodowej, który współpracuje z wrogim rządem w sprawach bezpieczeństwa i który na koniec dnia podejmuje decyzje wedle własnego uznania, nie wskazówek partyjnej centrali – to najczarniejszy sen Kaczyńskiego i optymalny scenariusz dla Tuska. Im bardziej rozchybotana i skonfliktowana dominująca siła na prawicy, tym łatwiejszy przeciwnik dla koalicji rządzącej. A przy pomyślnych wiatrach może wręcz rozbita, bo kto wie, czy wokół Nawrockiego nie powstanie jakiś nowy obóz? Przy okazji podbierając ludzi obu Konfederacjom.

Dlatego w sprawie SAFE Nawrocki wpadł w pułapkę zastawioną przez Tuska.

Gdyby podpisał się pod projektem ustawy, bardzo wzmocniłby się politycznie – każdy zobaczyłby w nim tego, kogo chce widzieć: oto prezydent państwowiec, prezydent ponad podziałami albo prezydent cwany pragmatyk, który wycycka unijną dojną krowę, żeby wzmocnić polski przemysł i polskie wojsko przeciwko „szkopom” i „żabojadom” – ale spaliłby jeden z mostów łączących go z partią. Brak podpisu to dowód na lojalność wobec Kaczyńskiego – który doceni żelazny elektorat PiS oraz wyborcy ogólnie bogoojczyźniani, postrzegający prawicę jako jedną drużynę patriotów – a jednocześnie pierwsza spora rysa na wizerunku Nawrockiego jako lidera całej prawicy.

Ale gdzie ta pułapka, w którą wpadł Nawrocki? Otóż prezydent na każdym kroku podkreśla, że jest zwierzchnikiem sił zbrojnych, a wojsko zerkało na niego z sympatią. Liczni generałowie stwierdzili, że nawet jeśli PiS nie wróci do władzy, to „duży pałac” czy to jako szafarz stanowisk oraz kolejnych gwiazdek na pagony, czy jako ośrodek nowego ruchu politycznego, rokuje bardziej niż minister rządu, który już przekroczył półmetek kadencji i nie ma gwarancji drugich czterech lat u władzy. A niższym szarżom, młodym oficerom i podoficerom z zielonych garnizonów”, czyli jednostek polowych, silny, wysportowany, twardy, otrzaskany w życiu facet demonstrujący przywiązanie do tradycji mundurowych i historii oręża, po prostu się podobał. Teraz Nawrocki, który nie podpisał się pod rządowym projektem SAFE, skonfliktował się z armią, która w tym sporze po stronie Tuska i Kosiniaka-Kamysza.

A przypadek senatora PiS Jacka Włosowicza, którego Kaczyński wyrzucił z partii za poparcie SAFE, pokazuje, że w elektoracie konserwatywnym, ba, na samej Nowogrodzkiej są zwolennicy unijnych pieniędzy na armię.

Więc tak naprawdę decyzja Nawrockiego nadwerężą jego wizerunek, osłabia PiS, za to może w dniu decyzji nad kartką wyborczą zmobilizować elektorat znacznie szerszy niż twarda „fanbaza” Tuska, oczekujący, że w kwestiach bezpieczeństwa, wojska i obronności politycy grają do jednej bramki.

•

SAFE był więc pierwszym testem na niezależność Karola Nawrockiego, ale też sprawdzianem Władysława Kosiniaka-Kamysza, który wziął na siebie kontakty z ośrodkiem prezydenckim.

W pewnym sensie ta rola była naturalna. Lidera PSL sporo łączy z prawicą i Kancelarią Prezydenta. Kosiniak-Kamysz szczyci się tradycyjnymi, konserwatywnymi poglądami, jest przeciwnikiem liberalizacji aborcji i wprowadzeniu małżeństw jednopłciowych, jest wierzącym i praktykującym katolikiem, ma stałe relacje z Episkopatem Polski i próbuje budować chadecką partię.

– Cóż, rację ma premier, który powiedział kiedyś, że PSL jest naszym najdroższym koalicjantem – śmieje się jeden z posłów Koalicji Obywatelskiej. – Oni dostają najwięcej ze wszystkim koalicjantów: mają wicepremiera, wicemarszałka Sejmu, trzy ministerstwa, a jednocześnie wiele projektów blokują, sieją ferment w Sejmie. Bez ludowców byłoby nam łatwiej rządzić – dodaje. Jego koleżanka z sejmowych ław wymienia całą listę projektów, które nie znalazły poparcia u ludowców. – Przede wszystkim dekryminalizacja i liberalizacja aborcji, sprzeciw wobec związków partnerskich i upór przy ogryzkowej ustawie o statusie osoby najbliższej. Dalej: blokowanie likwidacji Funduszu Kościelnego, torpedowanie łatwych i szybkich rozwodów dla bez-

eprasa.pl 05eb22389c

chłopi

• **Władysław Kosinak-Kamysz wraca do ław rządowych po emocjonalnym wystąpieniu, w którym skrytykował weto prezydenta wobec programu SAFE. Sejm, 13 marca br.**
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

dzietnych małżeństw z krótkim stażem, wszystkie próby ograniczenia praw myśliwych. Chce pan jeszcze? Proszę bardzo: publiczna krytyka ograniczenia lekcji religii w szkołach publicznych, zgłoszenie własnego projektu ustawy o wychowaniu patriotycznym, zablokowanie obowiązkowej edukacji zdrowotnej.

Z tych samych powodów PSL krytykuje lewica, a także Polska 2050, z którą ludowcy startowali ze wspólnych list wyborczych w przełomowym, kładącym kres ośmioletnim rządom PiS 2023 roku. – Ludowcy nas kilka razy zdradzili – słyszę od współpracowników Szymona Hołowni. – Obiecali, że zagłosują za naszą propozycją obowiązkowych badań psychologicznych dla myśliwych. My mieliśmy zagłosować za zniesieniem dwukadencyjności w samorządach, a oni za badaniami. Wycofali się, projekt przepadł – opowiada polityk Polski 2050.

Ludzie z żółtego klubu – tak się mówi o Polsce 2050 w kuluarach sejmowych – nie chcą słyszeć o współpracy z ludowcami. – Cieszyliśmy się, że Trzecia Droga, czyli nasz wyborczy szyld, został zwinięty. Czarę goryczy przelały wybory prezydenckie: z PSL nie przekazali Szymonowi, który był przecież naszym wspólnym kandydatem, ani złotówki – słyszę od posła Polski 2050.

Frustracja wśród koalicjantów jest zauważalna. Poseł KO: – Najgorsze jest to, że dowiadujemy się o krytycznych uwagach ludowców z mediów. Kosiniak-Kamysz na oficjalnych spotkaniach kiwa głową, na wszystko się zgadza, a potem wysyła do mediów Marka Sawickiego, który mówi w imieniu PSL chociażby o tym, że pomysły resortu edukacji nie znajdą akceptacji u ludowców.

Ale bez trudu znajduję również koalicjantów zadowolonych z ludowców. I w KO, i w Lewicy mówią, że posłowie od Kosiniaka-Kamysza są przewidywalni, nie zmieniają poglądów i jak przychodzi co do czego, to można się z nimi dogadać. Czego najlepszym dowodem ma być projekt ustawy o statusie osoby najbliższej, czyli polskiej wersji związków partnerskich. – Może i rozwodnionej, to prawda, ale jednak po dekadach debat, lawirowania i „nie da się, społeczeństwo jest niegotowe" ci wszyscy ludzie wreszcie coś dostali – słyszę.

– Ludzie w terenie chwalą PSL, mamy z nimi koalicje w wielu miastach czy powiatach. Poza tym powiem coś panu: jak moi koledzy dzwonią do naszych ministrów, to nigdy nie odbierają i nie oddzwaniają. Trzeba się na nich czaić w Sejmie. A ministrowie z PSL zawsze mają czas i wszystko załatwią – mówi mi szczerze jedna z posłanek KO.

Ale kiedy pytam, co łączy ludowców z pozostałymi koalicjantami, słyszę ciszę. Poseł KO: – Chyba nic oprócz historii wspólnych rządów. Parlamentarzysta z lewicy: – I niechęć do PiS.

•

Krytyka PiS w wydaniu ludowców jest szczera z jednego powodu: partia Kaczyńskiego wypchnęła PSL ze wsi, a kiedy premierem był Mateusz Morawiecki, ludowcy byli obwiniani za wszystkie problemy rolników.

Co ciekawe, jeszcze za rządów PiS w senackim klubie PSL zasiadł Michał Kamiński, czyli legendarny spin doktor braci Kaczyńskich, współtwórca ich pierwszych sukcesów wyborczych po rebrandingu – zmianie z pachnącego porażkami, naftaliną i na poły kabaretową prawicą lat 90. Porozumienia Centrum w świeżą, dynamiczną, XXI-wieczną markę Prawo i Sprawiedliwość. Który – jeśli wierzyć plotkom – zbliżył się znowu do swoich byłych kolegów z Prawa i Sprawiedliwości. A według innych plotek wcale się tak od nich, przynajmniej towarzysko, nie oddalił.

Lider PSL miał doskonałe relacje z byłym prezydentem Andrzejem Dudą, a wielu szeregowych działaczy twierdzi, że gdyby PiS miało twarz Mateusza Morawieckiego – konserwatywnego technokraty niechętnego typowemu prawicowemu oszołomstwu – to należałoby pomyśleć o wspólnej chadeckiej koalicji.

Paradoks polega na tym, że nieufne nowinkom i obcym, tradycjonalistyczne, skupione na wąskim klasowym interesie, kościółkowe, kłótliwe i hierarchiczne jednocześnie PSL od zawsze jest partią, która współrządziła z liberałami i lewicą.

Jeszcze jako Zjednoczone Stronnictwo Ludowe – czyli partia satelicka, w istocie chłopska przybudówka rządzącej Polską Ludową PZPR – poparło obóz „Solidarności" w 1989 roku. Wsparcie silnych na wsi zeteselowców przyczyniło się do zwycięstwa opozycji demokratycznej w pierwszych wolnych wyborach – i w historycznym pierwszym niekomunistycznym rządzie Trzeciej Rzeczpospolitej zasiedli, jak przez przeszło cztery dekady PRL, ministrowie ludowcy. Potem PSL dwukrotnie rządziło ze zdemokratyzowanymi spadkobiercami „komuny", czyli Sojuszem Lewicy Demokratycznej, następnie, już w tym stuleciu, z Platformą Obywatelską – a nigdy ani z Akcją Wyborczą Solidarność, czyli z konsolidującym prawicowy plankton hegemonem z końca lat 90., ani z partią Lecha i Jarosława Kaczyńskich.

W tamtych latach PSL było prozachodnie i prounijne, a w czasach drugiego rządu Tuska w latach 2009-14 miało twarz socjalną. To Kosiniak-Kamysz jako minister pracy wprowadził zasiłek dla noworodków, czyli tak zwane kosiniakowe.

Ludowcy mieli tylko jeden epizod rządowy z prawicą: trzy lata po Okrągłym Stole płynnie weszli do chadecko-agrarnego gabinetu Jana Olszewskiego, zasłużonego adwokata peerelowskiej opozycji. Epizod przelotny, gdyż szybko zeń wyszli, ale symptomatyczny, bo pokazujący ich światopoglądowe podglebie i instynktowne sympatie aktywu. Rząd, którego zaplecze tworzyło Porozumienie Centrum braci Kaczyńskich oraz – nazwa mówi sama za siebie – Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, miał w programie zahamowanie prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych, wartości katolickie, integrację z Zachodem na naszych suwerennych warunkach, politykę prorodzinną i socjalna, Europę raczej zjednoczonych ojczyzn niż zjednoczoną. Ta detaliczna wyliczanka jest nieprzypadkowa, bo pokazuje, że dzisiejszy dystans do liberalno-lewicowego wielkomiejskiego i unijnego mainstreamu nie są u ludowców niczym nowym, raczej bazowym oprogramowaniem.

Za Kosiniaka-Kamysza ludowcy nie zmienili się na gorsze, po prostu pozostali sobą.

Szczery romans z narodowo-chrześcijańsko-socjalną prawicą zakończył się z tych samych powodów, dla których w ostatniej dekadzie PSL nie zaryzykował koalicji z PiS, choć byłaby dlań naturalna i niektórych wyposzczonych działaczy kusiła: Jarosław Kaczyński już wtedy, trzydzieści lat temu, starał się marginalizować, a następnie wchłaniać każdego, kto obsługiwał podobnych wyborców. Po co ryzykować zniknięcie dumnego historycznego szyldu – bo ludzie PSL nie przejmują się szyderstwami, że są partią obrotową, ugrupowaniem kolekcjonerów posad w agencjach państwowych, samorządowych spółkach, gminach czy urzędach marszałkowskich, ich zdaniem to zdrowy chłopski pragmatyzm i naprawdę czują się spadkobiercami Wincentego Witosa? Skoro to, na czym im zależało w sferze światopoglądowej i obyczajowej, ludowcy bez problemu osiągali w politycznych małżeństwach z rozsądku z ugodowymi partnerami, dającymi większe możliwości, posady oraz wpływy niż Kaczyński, od pierwszych lat wolnej Polski dający się poznać jako drapieżny control freak.

To minister zdrowia z PSL Andrzej Kosiniak-Kamysz, a więc ojciec dzisiejszego lidera ludowców, już w 1989 roku wprowadził obowiązek badania przed dwóch ginekologów i psychiatrę kobiety chcące przerwać ciążę. W wyniku rozporządzenia podpisanego pod naciskiem episkopatu – egzekwującego w ten sposób pierwszą z nagród za dziejową zasługę walki z komuną i wsparcia „Solidarności" – liczba aborcji przeprowadzanych w przychodniach spadła o 70 procent, a zabiegi zeszły do podziemia.

•

Tradycja, jak na partię ludową przystało, jest kontynuowana i dziś PSL to największy hamulcowy formalnoprawnej zmiany obyczajowej w Polsce. Przy innej aryt-

Polityk PSL: Mamy do zaoferowania tradycję, niehisteryczny patriotyzm oraz trzy filary bezpieczeństwa: militarnego, żywnościowego i energetycznego. I jesteśmy jedyną partią, która nie dzieli społeczeństwa

eprasa.pl 05eb22389c

metyce koalicja Tuska i sił lewicowych w pierwszych miesiącach po ostatnich wyborach – o czym jest przekonane progresywne skrzydło partii – wysłałaby na biurko prezydenta ustawy, o których marzą środowiska postępowe w kraju, na czele z liberalizacją aborcji do 12. tygodnia, związkami partnerskimi, ograniczeniem zabijania zwierząt i szerokich uprawnień myśliwych czy porządnej edukacji seksualnej w szkołach.

W ubiegłym roku na sejmowym korytarzu zaczepił mnie jeden z posłów PSL i skrytykował mój tekst o konserwatyzmie Kosiniaka-Kamysza. W nieco prowokacyjnej publicystyce namawiałem w tamtym czasie lidera ludowców do wzięcia udziału w Paradzie Równości i zmiany podejścia do spraw światopoglądowych na wzór innych partii konserwatywnych z Europy Zachodniej. – Gdybyśmy słuchali „Wyborczej", to nie byłoby nas w Sejmie – powiedział poseł. – Nie słuchacie, no i macie 2 procent w sondażach! – odpowiedziałem.

Zacząłem się wtedy zastanawiać, czy w najstarszej partii w Polsce – PSL założono w 1895 roku – łączą sondażowe problemy z konserwatywną agendą polityczną. Czy ktoś zadaje tam sobie pytanie: a może szorujemy brzuchem po progu wyborczym, bo coraz bardziej odstajemy od laicyzującego i westernizującego się społeczeństwa, zwłaszcza od kobiet i młodych? W jaki sposób można uaktualnić program polityczny na miarę współczesności, tak, żeby zachować tożsamość, nie stając się skansenem, który wcześniej czy później wypadnie z Sejmu i wielkiej polityki, bo przecież tęsknoty za tradycyjnym porządkiem rzeczy i ostrożność wobec „obcych" zagospodarowują Krzysztof Bosak i Grzegorz Braun, a Sławomir Mentzen ekonomiczno-anarchiczną emocję „wolny włościanin na zagrodzie równy wojewodzie"?

Odpowiedzi są złożone. – Chcemy działać powoli i kierować program do mieszkańców małych miasteczek. Na wsi nasz elektorat przejęła prawica, młodzi rolnicy są zapatrzeni w Konfederację, a ci bardzo bogaci albo głosują na nas, albo na KO. A małe miasteczka są porzucone przez dużą politykę. I musi pan pamiętać, że w tych miejscach nie mieszka wielkomiejska klasa średnia, dla której tęczowe małżeństwa są najważniejszym problemem w życiu. Oni żyją pracą, wychowują dzieci, nie żyją sprawami z wielkich miast – powiedział mi jeden z rządowych polityków PSL.

Inny zwraca mi uwagę, że jego partia ma do zaoferowania tradycję, niehisteryczny patriotyzm, spokojne przywiązanie do wartości narodowych oraz trzy „filary bezpieczeństwa: militarnego, żywnościowego i energetycznego". – Jesteśmy jedyną partią, która nie dzieli społeczeństwa i nadal chcemy zaproponować nowe podejście do polityki.

Pytam więc, czy to wszystko, o czym zgodnie z partyjnym przekazem i przemówieniami Kosiniaka-Kamysza mi opowiada, przyciąga młodych ludzi. – No jasne, że tak, przecież jest cała masa prawicowej młodzieży, dla której nasze wartości są ważne. Mamy sporą młodzieżówkę, w której działa około 500 osób...

Trudno mi powstrzymać uśmiech, ale niezrażony polityk dodaje: ... i proszę zwrócić uwagę, że nie mamy ani jednego ministra powyżej 50. roku życia.

Faktycznie, Kosiniak-Kamysz ma 44 lata, minister infrastruktury Dariusz Klimczak – 45, a Miłosz Motyka z resortu energii – 33.

– Założyliśmy Akademię Liderów, do której zapraszamy wyróżniających się działaczy z młodzieżówki. I szkolimy ich z wystąpień publicznych, robienia polityki w samorządzie, prawa. Po co? Bo przecież partia musi się rozwijać – słyszę od tego samego posła. I choć brzmi to jak klasyczna partyjna mowa trawa – „rozwijamy, analizujemy, wyciągamy wnioski, rozwijamy kadry, budujemy przywództwo" – postawa, która zakłada, że partia nie kończy się na kadencji obecnego lidera, robi wrażenie. Bo przecież praktycznie wszyscy pozostali – KO, PiS, Nowa Lewica, Razem, Polska 2050, Konfederacja, Korona – jeśli nie wodzowskie, to „one man show" lub ciągnące dzięki charyzmie lidera.

●

Tylko że mimo: programu skupionego wokół bezpieczeństwa; wizji państwa interweniującego na rynku i zabezpieczającego obywateli bytowo; skupieniu na miasteczkach; inwestycji w młodych; i odcięciu się od populistycznej prawicy – a więc temu, co politolodzy przez lata uważali za receptę na poparcie – PSL znajduje się w kryzysie wizerunkowym, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczyło. Na ludowców chce głosować pomiędzy 3 a 5 procent wyborców i bez wspólnego startu z innymi ugrupowaniami w przyszłorocznych wyborach może pierwszy raz od 130 lat – bo przecież pierwsi chłopscy posłowie Stronnictwa Ludowego zasiedli w austriackiej Radzie Państwa w 1897 roku – nie wejść do parlamentu. Obecnie najbardziej prawdopodobnym scenariuszem, o którym mówi się w partii, jest koalicyjny start z Polską 2050 oraz klubem Centrum, który niedawno odłączył się od Szymona Hołowni i jego następczyni Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz i z samorządowcami.

Spójrzmy na możliwe przyczyny sondażowych i wizerunkowych problemów PSL.

Każda koalicyjna partia – od Nowej Lewicy po Polskę 2050 – cierpi na chorobę młodszego brata Koalicji Obywatelskiej. Popularny Kosiniak-Kamysz, który drażni głównie wielkomiejskich komentatorów oraz lewicową bańkę, jest dobrze ocenianym ministrem obrony narodowej, ufa mu aż 46 procent Polaków, lecz nie ciągnie w górę partii. Ale ten sam problem ma Włodzimierz Czarzasty, który zyskuje z miesiąca na miesiąc na ostrym sporze z prezydentem Nawrockim, a mimo to jego Nowa Lewica ledwo przekracza próg wyborczy. – W społecznej wyobraźni rząd to Tusk, a Tusk to Koalicja Obywatelska – przyznał mi jeden z polityków lewicy. I dlatego sondaże są nieprzychylne mniejszym koalicjantom.

A po drugiej stronie, gdzie w akcie desperacji ludowcy mogliby szukać ratunku, też brakuje tlenu. Konserwatywny czy tradycjonalistyczny wyborca ma szeroki wybór partii i środowisk politycznych, a do tego nawet najbardziej zachowawczy ludowcy nie wzbudzają entuzjazmu po prawej stronie. I dlatego, że są postrzegani jako nie do końca ideowcy, raczej oportuniści, przekupni sojusznicy Tuska i „platfusów" – i w sensie dosłownym, bo po prostu nie budzą emocji. W czasach, kiedy liczy się radykalny, podkręcony przekaz, wyraziste bon moty i gesty, autokreacja, wizerunkowa przebojowość i internetowo-wiecowa aktywność, PSL ze swoim „zdrowym rozsądkiem" musi przegrać z biegłymi warsztatowo populistami w rodzaju Przemysława Czarnka czy Sławomira Mentzena.

I problem trzeci PSL, już na wyższym, meta-politycznym poziomie: ludowcy wciąż nie przemyśleli, czym jest dzisiejszy konserwatyzm. Co zresztą poniekąd wypływa z historycznej natury ich partii, niezbyt zainteresowanej cywilizacyjnymi i ideowymi diagnozami, od zawsze pragmatycznej, skoncentrowanej na bieżących celach, interesach, okazjach, ryzykach, bilansie zysków i strat, tak jak chłopski wyborca skupiony na perspektywie obejścia własnego, sąsiadów oraz okolicy – tyle że ten wyborca w ostatnich latach bardzo ewoluował.

Z pomocą ludowcom może przyjść książka Michała Szułdrzyńskiego „Prawica dla opornych", który opisał, czym może być współczesny konserwatyzm. A więc stawiający na ekologię, poszerzający wolności osobiste różnym grupom społecznym i inwestującym w nowe technologie. Co przecież, jak przekonali się farmerzy oraz drobni i średni przedsiębiorcy w Niemczech czy Francji, o Skandynawii nie mówiąc, nie gryzie się z rolnictwem czy prowadzeniem usług czy produkcji w miasteczkach.

Zielona rewolucja zasilana pieniędzmi publicznymi wymaga inwestycji, ale dużą kosztów i tak zwraca państwo lub Unia – a przynosi konkretne zyski. Takie jak tańszy prąd, oszczędniejsze i sprawniejsze procesy produkcyjne, ale też niemal bezkosztowy marketing i poprawa wizerunku. Istotna zwłaszcza w przypadku żywności, gdzie klient z klasy średniej i kreatywnej, najlepszy – bo dobrze sytuowany i z przyczyn szczerze ideowych lub aspiracyjno-statusowych wybredny – premiuje portfelem jakościowe produkty wytworzone z poszanowaniem praw ludzi i zwierząt.

Nie chodzi więc o to, żeby na siłę zmuszać PSL do zgody na liberalizację aborcji – choć w 2026 roku w szeroko rozumianym świecie Zachodu to raczej norma – ale o znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy jeszcze jest możliwy niepopulistyczny konserwatyzm. PSL tej odpowiedzi nie zna, a szkoda. ●

„Tuskexit", a może lepiej „czarnexit"?

Nie chcemy niczego podpowiadać, ale dobrze brzmiałby neologizm „exitusk", choć mógłby się kojarzyć z didaskaliami w dramacie elżbietańskim: „Exit Hamlet".

Michał Rusinek

Wracamy po tygodniu względnego urlopu i natychmiast orientujemy się, że polska prawica na żadnym urlopie nie była i nie próżnowała. Patryk Jaki, wzorem Charliego Kirka, rozpoczął bowiem tournée po uniwersytetach pod hasłem „Zmień nasze zdanie". „Nasze", bo czasami towarzyszy mu Tobiasz Bocheński. Ich intelektualne starcia między politykami a studentami i studentkami są szeroko opisywane w prasie, więc nie ma sensu ich opisywać, ale w sumie najlepiej podsumowuje je pytanie studentki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego: „Dlaczego przyszliście tu z hasłem »Zmień nasze zdanie«, skoro nie chcecie zmienić zdania?".

●

W rzeczonym tournée miał brać udział także Przemysław Czarnek, ale od kiedy został kandydatem na premiera – ruszył we własną trasę, w czasie której ujawnił się jego talent słowotwórczy, gdy np. zażądał „od tych wszystkich pseudodziennikarzynów, od tych wszystkich ludzi uważających się za naukowców, a którzy wyśmiewali, wyszydzali, opluwali, błotem obrzucali naszą świętość, świętego Jana Pawła II, do natychmiastowej rezygnacji ze swoich funkcji i przeproszenia publicznie świętego Jana Pawła II i Polski, i Polaków za bezczeszczenie naszych wielkich pomników". Nie wystarczał mu, jak widać, deprecjonujący przedrostek „pseudo-", bo dodał także przyrostek „-yna", który tworzy nazwę osoby o zabarwieniu emocjonalnym, sugerującą niską ocenę jej umiejętności.

Na tym samym spotkaniu, w Katowicach, Czarnek wyjaśniał także, że „nikt nie mówi: polexit, wszyscy mówią: Tuskexit" i tłumaczył, że nie chodzi o to, by premier zrzekł się unijnego paszportu, ale żeby odszedł precz z rządu. Nie chcemy niczego podpowiadać, ale o wiele zgrabniej brzmiałby neologizm „exitusk", choć mógłby się kojarzyć z didaskaliami w dramacie elżbietańskim: „Exit Hamlet". Ale jeśli mielibyśmy się trzymać takiej samej składni, jak w słowie „polexit", to trzeba przyznać, że najzgrabniej brzmiałby „czarnexit".

●

Nie będziemy jednak skupiać się na Przemysławie Czarnku, bo – jak wróży Krzysztof Karnkowski w „Tygodniku Solidarność" – krytykowanie go „prędzej zbuduje go w oczach tych, do których chce dotrzeć, niż ich od niego odsunie. Jeśli do medialnego obrazu dojdzie jeszcze [...] element klasowej pogardy (podobnie jak Karol Nawrocki Przemysław Czarnek rodzinnie wywodzi się ze środowiska ludzi ciężkiej pracy, nie uczelnianej ani politycznej elity), to przeciwnicy najlepiej wypromują kandydata PiS na premiera do planowanej dla niego roli". Zamykamy więc komputer i zaglądamy na łamy „Naszego Dziennika".

A tam znaleźć można artykuły przedstawiciela uczelnianej elity, filozofa, byłego wykładowcy KUL-u, profesora Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie Pawła Skrzydlewskiego. Dowiemy się z nich na przykład, że „nie można godzić się na dewiacje seksualne w życiu społecznym", ani ulegać „ideologii ugody, kompromisu i otwartości". W innym jego tekście przeczytamy, że naszym największym i odwiecznym wrogiem są Niemcy, których niesłusznie uważa się obecnie za „normalnych ludzi", bo powinniśmy się ich obawiać: „dla większości Niemców nie ma Polski i innych narodów, jest tylko miłość własna". I nie ma dla nich ratunku.

Czy prof. Skrzydlewski pisze też coś o Rosji? A jakże! Otóż, jego zdaniem, za sprawą „mediów, ideologii i zwykłej ignorancji" widzimy w Rosji wyłącznie „imperium zła", a jest to spojrzenie „mocno spłycone". Żeby je nam pogłębić, prof. Skrzydlewski proponuje lekturę przemyśleń o. Jacka Woronieckiego, opublikowanych w 1925 roku pod tytułem „Katolicyzm a przyszłość Rosji". Relacjonuje owe przemyślenia bez komentarza, więc chyba możemy przyjąć, że się pod nimi podpisuje.

●

Otóż Rosja cierpi „niedolę". Owszem, sprawia nieszczęścia „połowie świata", ale i je „sama przeżywa". Rosja od wieków nosi w sobie „organiczną wzgardę w stosunku do Zachodu i rozumu". Jest w niej „duchowa pustka, która popycha zarówno jednostki, jak i całe masy albo w stronę nihilizmu, albo brutalnej, nierozumnej przemocy, topionej w rozpuście i używkach, pseudoreligijnych rojeniach o misji panowania nad światem, ideologii Trzeciego Rzymu". A wszystko przez to, że jest bytem etnicznie niejednorodnym, którego „elementy nie potrafiły stworzyć całości zintegrowanej". Przyczyną niedoli Rosji jest brak „ożywczej i dobroczynnej roli świętej wiary katolickiej i wychowawczej działalności Kościoła powszechnego".

Tymczasem zamiast poddać się dobroczynnemu wpływowi Kościoła Katolickiego – „Rosja została poddana wpływom i władzy Izraelitów", którzy wyrządzili Rosjanom „ogrom zła", ponieważ wprowadzili w ich kraju komunizm. Teraz Rosja jest zdewastowana i – jak rozumiemy – prof. Skrzydlewski uważa, że nie należy jej się bać, ale jej po chrześcijańsku współczuć. Za współczuciem iść powinno działanie. Rosja nie potrzebuje, zdaniem o. Woronieckiego i prof. Skrzydlewskiego, „demokracji i pouczeń o prawach człowieka", ale ewangelizacji: „wiary katolickiej w Chrystusa Pana". Czyli – w przeciwieństwie do Niemiec – jest jeszcze ratunek dla Rosji. „Kto pomoże nawrócić Rosję?" – pyta prof. Skrzydlewski i z tym pytaniem nas pozostawia. A przede wszystkim pozostawia nas z geopolityczną wizją, która powoduje, że teraz zadajemy sobie pytanie, po co właściwie wracaliśmy z tego urlopu. ●

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

TU JEST JAKBY LUKSUSOWO

FOT. GETTY IMAGES

Dlaczego snobistyczne miasteczko Wilanów też ustawia się w kolejkach do Dino i Pepco?

Arkadiusz Gruszczyński

Kiedy ostatnim razem odwiedziłem Pepco i postawiłem tezę, że konsumpcja tłumaczy wzrost poparcia dla Konfederacji, dowiedziałem się, że jestem klasistą i gardzę ludźmi. Dlatego wybrałem się do popularnych sklepów ponownie – ale w towarzystwie.

Zaglądam do Pepco i Dino, czyli sklepów symbolizujących wszystko, co polskie – jednorazowe przedmioty wyprodukowane w Azji o specyficznym zapachu taniego plastiku, przecenione jedzenie z dużą ilością cukru oraz oleju palmowego oraz „dwie skrzynki piwa w cenie jednej" – z psychologiem i naukowcem badającym klasy społeczne. No i cóż: rzeczywistość znowu nie jest taka prosta.

•

Najpierw poznajcie Martę i Paulinę.

Pani Marta mieszka w nowym domu zbudowanym na kredyt, pracuje jako specjalistka od zamówień publicznych w urzędzie gminy, jej mąż prowadzi z bratem firmę budowlaną, mają dwoje dzieci. Rodzina, jakich wiele: głosują na liberałów, mieszkają pod miastem, wakacje dwa razy w roku, kilkuletni samochód, córka na studiach nie musi pracować, bo dostaje pieniądze od rodziców i dziadków.

W domu ładnie i modnie: kominek, bo jeszcze można w nim palić, ogrzewanie podłogowe, pompa ciepła, w salonie połączonym z kuchnią i jadalnią obowiązkowy Thermomix obok sporego ekspresu do kawy. Słowem: polska klasa średnia, lecz ta mieszkająca z dala od wielkiego miasta, dorabiająca się nie w korporacji czy zawodach kreatywnych, ale tradycyjnie – na usługach prywatnych i publicznych, małej produkcji, boomie budowlanym.

Wieczorami oglądają Netflixa i popijają wino z Biedronki, którą otwarto w ich małej wsi przed rokiem. – Wszystko tam kupujemy, ponieważ mamy blisko, a i wiele rzeczy jest regularnie przecenionych. Dwa papiery toaletowe w cenie jednego, drugie masło orzechowe za pół ceny – komuś takie kilkuzłotowe oszczędności mogą wydawać się błahe, ale po miesiącu to ładne sumy. To po pierwsze. Po drugie: sery mają dobre, duży wybór wędlin, warzyw i owoców, no i alkohole. W rodzinie cały czas jest jakaś okazja do świętowania: a to siostra przyjedzie na weekend, chrzciny, komunie, majówki. Po trzecie: dziwisz się, że kupujemy ubrania, talerze czy świeczniki w Pepco, które mamy w pobliskim mieście. No a dokąd miałabym po to jechać? Ikei nie mamy, są jakieś małe sklepy z chińszczyzną, ale tam nie chodzimy. A w Pepco tanio i w miarę solidnie – opowiada pani Marta.

Paulina to kobieta sukcesu z Warszawy. Ma własne spore mieszkanie, dziecko w wieku szkolnym, które raz jest u niej, a raz u byłego męża. Dobra praca w korporacji, regał pełen książek, sieć kontaktów, podróże po Europie kilka razy w roku, ale też świadome życie: mało mięsa, porządne buty z wyższej półki kupowane raz na kilka lat, ubrania z wymianek sąsiedzkich, po mieście porusza się tylko na rowerze lub komunikacją miejską. – No cóż, kupuję w Lidlu i Pepco, w pobliżu nie ma innych sklepów. Mój syn dużo je, dorasta, a nie mam czasu robić zakupów w pięciu miejscach, więc po pracy wpadam do Lidla. W Pepco łapię ubrania dla młodego, bo lubi niszczyć spodnie i bluzki. Szklanki mam tylko z Pepco, bo się ciągle tłuką – przyznaje Paulina.

Celowe postarzanie produktu, jednorazowość, coraz szybsze zmiany kolekcji, regularne zastępowanie standardów technicznych podzespołów nowymi, co powoduje niekompatybilność urządzeń – dlatego klasa średnia, zwłaszcza ta inteligencka, przestała traktować markę jako gwarantę jakości

Anegdotyczna forma tych opowieści – z różnych części kraju, z innym kapitałem kulturowym i finansowym, ale z podobnymi aspiracjami – nie odpowiada wprost i miarodajnie na pytanie: Dlaczego Polacy i Polki pokochali zakupy w dyskontach i tanich sklepach? Dlaczego klasa średnia przestała się tego wstydzić? – ale dostarcza ważnych tropów.

•

Nim przejrzymy się w lustrze, spójrzmy na liczby.

Mamy w Polsce ponad 8 tys. dyskontów spożywczych. Najwięcej jest sieci Biedronka (3,7 tys.), potem Dino (2,9 tys.) i Lidl (blisko tysiąc). Sklepów sieci Dino jest najwięcej w Polsce powiatowej.

Do tego należy doliczyć ponad 2,5 tys. sklepów, o których kiedyś mówiło się „szwarc,

eprasa.pl 05eb22389c

mydło i powidło" czy milej: „wszystko dla domu", z segmentu Pepco, Action i Dealz.

Są miejscowości, w których jedynymi sklepami są dyskonty. Tak jest w mojej rodzinnej wsi na Dolnym Śląsku, gdzie obecne są Dino, Biedronka i Żabka. Sporo, jak na 1100 mieszkańców, ale obsługują całą gminę, bo w wielu mniejszych wsiach nie ma nawet spożywczaka. Co zresztą sprawia, że osoby wykluczone komunikacyjnie i starsze są zdane na dobre serce sąsiadów lub pracowniczek opieki społecznej.

W dyskontach codzienne zakupy robi 98 proc. Polaków. Dyskonty są wszędzie: na Wilanowie i na Podkarpaciu, w ekskluzywnej stołecznej Elektrowni Powiśle i pośród autokomisów, myjni samochodowych i składów blachodachówki na wyjeździe z każdego miasta powiatowego.

Dlaczego absolutnie wszyscy – od osób bezrobotnych, przez niższą klasę średnią, po osoby zarabiające ponad 10 tys. miesięcznie – chodzą do Biedronki i Pepco? Odpowiedzi są banalne, choć tylko częściowo.

– Z racjonalnej oszczędności. Ludzie myślą tak: jeśli mogę kupić coś taniej, a jednocześnie podobnej jakości jak droższy odpowiednik, to wybieram dyskonty. Mówimy o efekcie sprytnego konsumenta – mówi mi doktorka Magdalena Kolańska-Stronka, psycholożka z Uniwersytetu SWPS specjalizująca się w psychologii konsumenckiej. – Ważne przy wyborze sklepu są promocje, które gwarantują kupującym wyrzut dopaminy. Promocja działa na nas jak pierwotny instynkt łowiecki. To nie jest zwykły zakup – to triumf – słyszę od badaczki.

Powiedzenie, że tanie sklepy wybierają niezamożni Polacy, jest banałem. Ale dlaczego – oprócz strzału dopaminy, spełniania się w polowaniu na okazje i promocje oraz zwykłej oszczędności – kupuje tam klasa średnia, skoro nowe mieszczaństwo przez lata podkreślało swój status społeczny jedzeniem, przedmiotami z wyższej półki i zakupami w delikatesach. Słowem: dlaczego miasteczko Wilanów stoi w kolejce do Dino i Pepco?

– Prestiż po prostu zmienił wektor. Marki luksusowe nadal go symbolizują, jednak po pandemii Polacy przestawili się na bardziej pragmatyczne myślenie, głównie ze względu na inflację i szerszą niepewność ekonomiczną. Decyzje zakupowe podejmujemy już na innej zasadzie: dzisiaj kluczowa jest oszczędność, racjonalność. Co nie znaczy, że marki naprawdę luksusowe znikną z polskich sklepów, ponieważ grono konsumentów, które je ceni, nadal jest liczne – odpowiada dr Kolańska-Stronka.

Tutaj musimy rozdzielić dwie sprawy i nieco doprecyzować wypowiedź mojej rozmówczyni. Na dobra luksusowe nigdy nie mogła sobie pozwolić klasa średnia. Bo choć przez całe lata 90. i pierwszą dekadę nowego stulecia badania pokazywały, że za luksusowe Polacy uważają marki typu Adidas, Gino Rossi czy producentów szwajcarskich, lecz kwarcowych czasomierzy za kilkaset złotych, to ekonomiści, socjolodzy i tzw. target za luksus prawdziwy uważają manufakturowe zegarki po 250 tys. – które można od ręki kupić w butikach na Placu Trzech Krzyży – porcelanowe figurki za 50 tys. albo personalizowane samochody w rodzaju Lamborghini czy Bentley za cenę kilku milionów.

Klasa średnia co najwyżej mogła sobie pozwolić na BMW czy Audi na kredyt lub w leasingu, ewentualnie na zegarek za kilka tysięcy złotych. I to jej ewolucję próbujemy prześledzić, nie zajmujemy się w tym tekście klasą wyższą.

Klasa średnia z wyższymi zarobkami niż średnia krajowa, czyli powyżej 10 tys. zł miesięcznie na rękę, nadal kupuje drogie samochody, ponieważ te są wyznacznikami prestiżu (choć już 60 proc. Polaków kupuje używane auta), nadal daje sobie na święta biżuterię z Apartu (wzrost rynku o 13 proc. rok do roku), ciągle wręczamy żonie na święta drogą – taką od tysiąca do dwóch – torebkę.

– Szczególnie że drogie torebki, samochody czy biżuteria są związane z aspiracjami społecznymi – luksusowy w potocznym odbiorze przedmiot wyróżnia nas na tle innych – dodaje dr Kolańska-Stronka.

Ale jednocześnie pokochaliśmy dyskonty i zakupy w sklepach internetowych, a to, co zostaje, przelewamy na konto oszczędnościowe.

16 lat temu Polacy mieli prawie pół miliarda złotych oszczędności. Dziś – 1,4 biliona.

Więc przerzucenie się na zakupy w „biedrze" może wiązać się z racjonalizacją wydatków – ale rozumianą nie jako zaciśnięcie pasa, lecz kalkulacja: przyoszczędzę na tym, co nie robi różnicy, bo brie i oliwki z Lidla aż tak nie różnią się od tych z delikatesów, żeby łatwiej i z mniejszymi wyrzutami sumienia pozwolić sobie na cieszący oko lub ego gadżet.

●

Musimy jednak nieco skomplikować ten obraz, bo przecież triumfy świętują podróbki imitujące drogie torebki czy buty.

– To fascynujący paradoks – chcemy być postrzegani jako zamożni, ale nie chcemy ponosić realnych kosztów tego statusu. W dobie mediów społecznościowych liczy się to, co widać na zdjęciu, a nie to, co jest na metce czy fakturze. To próba kupienia akceptacji i podziwu na skróty. Podróbka staje się biletem wstępu do świata, do którego aspirujemy, nawet jeśli to bilet fałszywy – mówi badaczka.

A czasy sprzyjają robieniu zakupów. Nie chodzi tylko o dostępność i kapitalizm na sterydach, który oferuje co pół roku nowy model telefonu, co miesiąc nowe smaki kawy, co weekend nowe seriale. Również o nasze osobiste bogactwo.

Spójrzmy na dane: w 2006 roku średnia płaca wynosiła w Polsce 2,5 tys. zł. brutto. Za tę kwotę mogliśmy kupić 900 bochenków chleba i 470 litrów benzyny.

W 2026 r. średnia płaca to 9 tys. zł. brutto, za co kupimy 1300 bochenków chleba i tysiąc litrów benzyny.

To połączenie – kapitalizmu, ciągłego awansu materialnego i mentalnego ludzi z klas dawniej nazywanych niższymi oraz wejścia polskiego społeczeństwa jako takiego do klubu najbogatszych – jest mieszanką wybuchową. Na co nakładają się jeszcze globalne zjawiska rynkowe: celowe postarzanie produktu, jednorazowość, coraz szybsze rotacje kolekcji, regularne zastępowanie standardów technicznych czy parametrów podzespołów nowymi, co powoduje niekompatybilność urządzeń – czyli skutki rozkręconego w latach 90. turbokapitalistycznego modelu biznesowego opartego już nie na stabilnym zysku firmy, tylko na nieustannym rozwoju i wzroście zysków.

– Klasa średnia, zwłaszcza ta inteligencka, przestała traktować markę jako gwaranta jakości. Weźmy odzież. Obecnie żyjemy w czasach *fast fashion*. Wszystkie marki wypuszczają co sezon nowe kolekcje, ilość produkowanych ubrań jest niezliczona, a jakość pozostawia wiele do życzenia. Jeśli widzimy, że jakość o tańszej bluzki czy sukienki nie odbiega od naszych wymagań, to racjonalny konsument nie zapłaci więcej. Bo dzieci pójdą na boisko, wrócą z dziurami na spodniach, to po co mam płacić więcej? Postrzegana jakość stała się pragmatyczna i decyduje o zakupach – opowiada badaczka z SWPS.

A przecież w sieciowych i popularnych sklepach nie kupimy ubrań uszytych w Łodzi czy szklanek odlanych pod Reims, ale produkty z Azji, Wietnamu, Kambodży. Nie ma więc sensu – myślą ludzie – wydawać pieniędzy w galeriach handlowych, gdzie są sklepy dobrych, reklamowanych marek, lepiej kupić tańszy zamiennik w Pepco.

Ale o kim w ogóle rozmawiamy? Przyjrzyjmy się, czym jest współczesna klasa średnia.

●

W skrótowym opisie klasa średnia miała stanowić, niczym we Francji, Niemczech czy w Szwecji, kluczową siłę gospodarczą polskiej demokracji. Mali przedsiębiorcy, nauczycielki, pracowniczki korporacji, urzędnicy mieli dobrze zarabiać, wydawać pieniądze, napędzać konsumpcję, płacić coraz wyższe podatki i przyczyniać się do wzrostu gospodarczego. Lecz pod koniec drugich rządów Donalda Tuska, w 2012 roku, kiedy wydawało się, że w końcu doścignęliśmy Zachód i możemy spokojnie czekać na skapywanie bogactwa, kiedy zorganizowaliśmy Euro 2012 roku, mieliśmy za sobą udane inwestycje drogowe, a w każdym zakątku kraju rząd stawiał „Orliki", słowem, kiedy poczuliśmy, że jesteśmy „jak oni" – no więc właśnie wtedy pojawiły się psujzabawy z narracją o pułapce średniego wzrostu.

Społeczeństwo co prawda się bogaciło, ale za wolno, inwestycje publiczne się rozwijały, ale nadal słynęliśmy nie z własnych marek, produktów, wynalazków, technologii, tylko z montowania pralek, które zaprojektowano w Niemczech, czy wyręczania amerykańskich księgowych w mechanicznym wypełnianiu arkuszy kalkulacyjnych.

Prawo i Sprawiedliwość podeszło do tych problemów nieortodoksyjnie: ekonomiści związani z ludowo-konserwatywno-bogoojczyźnianą partią stwierdzili, że tylko dzięki świadczeniom socjalnym i interwencjom w gospodarce Polska może naprawdę zacząć się rozwijać. I dzięki temu klasa średnia zmieniła się nie do poznania.

Aby zweryfikować tę wywiedzioną z obserwacji, intuicji i licznych reportaży tezę – że po wprowadzeniu niemal dekadę temu programu „Rodzina 500 plus", który był jednym z filarów polityki prawicy, zmieniła się struktura klasy średniej w naszym kraju – idę do profesora Ryszarda Szarfenberga, specjalisty od polityki społecznej z Uniwersytetu Warszawskiego.

– Na pewno zmieniło się postrzeganie przez klasę średnią państwa opiekuńczego. Wcześniej dominowała narracja, że klasa średnia płaci podatki, a ktoś inny korzysta ze świadczeń. Od lipca 2019 r., kiedy 500 plus zaczęło przysługiwać na wszystkie dzieci, a nie tylko na drugie i kolejne, jak pierwotnie przewidywał program, ważnym beneficjentem tej reformy stała się również klasa średnia. Zatem świadczenie, choć wyszydzane jako kiełbasa wyborcza i rozdawnictwo, doprowadziło do pęknięcia w autowizerunku tej klasy, której państwo zaoferowało realną pomoc. Wymierne kwoty, odczuwalne nawet dla rodzin z wyższej warstwy klasy średniej – analizuje mój rozmówca.

Czyli w ostatniej dekadzie klasa średnia się powiększyła?

Skoro zwykli ludzie otrzymują co miesiąc dodatkowe pieniądze na wychowanie dzieci, znacząco została podniesiona pensja minimalna – od 1750 zł. brutto w 2015 roku do 4806 zł dzisiaj – a rząd Donalda Tuska uruchomił program „Aktywny Rodzic", czyli nawet 1500 zł miesięcznie dla rodziców, którzy tuż po urodzeniu dziecka wrócą do pracy – to polska klasa średnia powinna znacząco urosnąć.

Spójrzmy jeszcze szerzej: w czasach rządów PiS i kontynuującej jej politykę społeczną Koalicji 15 Października wiele rodzin pierwszy raz pojechało na wakacje, zafundowało dzieciom korepetycje i nawet zaczęło coś odkładać na lokatach.

– Granica między nie najbiedniejszą klasą niższą a dolną częścią średniej jest płynna, więc cały pakiet zmian, o których pan mówi, a także lepsza sytuacja gospodarcza, przyspieszyła mobilność między klasami. Więcej grup z klasy niższej aspirowało i przenosiło się do niższej klasy średniej. W konsekwencji część wzięła kredyt na mieszkanie, co wiązało się z dodatkowymi wydatkami, ale mieli własny dom – twierdzi profesor Szarfenberg. A przy okazji namacalny dowód awansu dający poczucie, że się im powiodło.

Wybór konkretnego produktu, skorzystanie z promocji czy zakup nowej narzuty do sypialni, to małe akty tworzenia porządku w chaosie. W sklepie to my stawiamy warunki. Konsumpcja w dyskontach typu Pepco czy Action staje się więc formą „terapii zastępczej" – tanią, dostępną i dającą natychmiastową, choć złudną, ulgę w czasach wielkiej niepewności

Skoro już wiemy, że klasa średnia się powiększyła, to czy w jakiś sposób zmieniły się jej aspiracje? W latach 90. myślano o wakacjach za granicą, najlepiej dwa razy w roku, samochodzie niekoniecznie niemieckim, może być czeski, francuski, nawet polski z Żerania, ale nowy, domku pod miastem umeblowanym w Ikei oraz sobotnim grillu.

Z czasem aspiracje motoryzacyjne ewoluowały ku niemieckim markom premium, meblowe ku kuchniom na wymiar i dodatkach od znajomego stolarza, a także wypadowi do restauracji i wizycie w multipleksie raz na jakiś czas, aby być na bieżąco z filmem, o którym wszyscy mówią.

Choć akurat w przypadku motoryzacji obserwujemy swoisty powrót do lat 90.: wtedy ten, kto mógł sobie pozwolić na cztery kółka, szedł raczej po nowe Daewoo niż po Audi, „niepalący niemiecki emeryt płakał, jak sprzedawał" do komisu – a dziś idzie po chińskiego SUV-a. Może i niesprawdzonego, ale o połowę tańszego i z gwarancją.

Mówiąc inaczej: klasa średnia, zwłaszcza niższa, coraz bardziej snobowała się na burżuazję i klasę kreatywną – lub na wyobrażenie o niej. A przy okazji na wielkomiejskich, świadomych i rzecz jasna liberalnych obywa-

eprasa.pl 05eb22389c

teli. Cóż z tego, że z wyobrażeniem zachodniości odziedziczonym po peerelowskich latach 80. i pierwszej dekadzie Trzeciej Rzeczpospolitej, w duchu raczej Bawarii niż Amsterdamu – z katolickim bagażem, dystansem do nowinek światopoglądowych, migracji i kawiarnianych dyskusji o prawach gejów.

Wejście do klasy średniej wyborców prawicy z mniejszych miast, którzy awansowali dzięki decyzjom politycznym PiS – których swoją drogą ekipa Jarosława Kaczyńskiego nie podejmowałaby tak odważnie, gdyby nie dobra koniunktura gospodarcza czasów całej przedwojennej i przedpandemicznej dekady – było szokiem. Pamiętam te komentarze na Facebooku o wydmach zanieczyszczanych przez beneficjentów 500 plus i pogardzie, jaka płynęła wobec nowej klasy średniej.

– Dla młodszej klasy średniej niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o mieszkania. Wciąż dominuje ideał własności, a mniejsza i młodsza grupa jest „w najmie" lub nadal u rodziców. Jeśli chodzi o dochody i pracę, w tym również przedsiębiorczość, to nie widzę większych zmian względem wcześniejszych pokoleń. Aspiracyjnym ideałem jest więc tradycyjny obraz: własne mieszkanie, własna firma, dzieci w dobrych prywatnych szkołach, praca dająca prestiż, własny samochód odpowiedniej klasy – odpowiada profesor Szarfenberg. – Dodałbym do tego obrazu umiejętność posługiwania się nowymi technologiami – włącznie z płatnym dostępem i biegłością w wykorzystaniu sztucznej inteligencji, co dodatkowo może być widziane jako statusowy wyróżnik współczesnej klasy średniej.

A więc na naszych oczach – w drugim pokoleniu małych przedsiębiorców, prywaciarzy, właścicieli hurtowni budowlanych, rolników z setkami hektarów ziemi – narodziła się klasa średnia jak z niemieckiego czy francuskiego opisu socjologicznego. Klasa, która oprócz aspiracji materialnych ma też kompetencje kulturowe i intelektualne.

•

I chyba jest tak, że nasza klasa średnia przestała się wstydzić tanich zakupów, wakacji w Egipcie, choć w serialach lata się na Wyspy Kanaryjskie, używanego auta czy własnych poglądów.

Ale zakupy w dyskontach i sklepach z tanimi produktami mają swoje pułapki. Zacznijmy od podstawowego problemu: nadmiaru.

– Często decydujemy się za zakup niepotrzebnych, lecz przecenionych produktów. W efekcie, oszczędzając 5 zł na maśle, wychodzimy ze sklepu z kilkoma paczkami chipsów, drogim serem, którego nie mieliśmy na liście zakupów, wielopakiem wędlin, która się popsuje, bo potrzebowaliśmy tylko paru plastrów, czy naręczem niepotrzebnych gadżetów za 100 zł., bo też były w promocji albo dwa w cenie jednego. Działamy impulsywnie, bez przemyślenia potrzeb. Wszyscy temu ulegamy, nawet te osoby, które mają wiedzę psychologiczną o mechanizmach konsumenckich – uważa doktor Magdalena Kolańska-Stronka.

Znaczenie ma oczywiście, a jakże, historia, a szczególnie czasy niedoborów, które – mimo że skończyły się blisko 40 lat temu – są żywym wspomnieniem w wielu rodzinach.

Na sklepowych półkach nie było za wiele, ludzie załatwiali „po znajomości" mięso od rzeźnika, mleko od rolnika, chleb piekli w domu, szklanki spod lady, krajowe dżinsy wystawali w kolejkach, na przyzwoite meble polowali, gdy „rzucili".

Nadal nadrabiamy tamten okres, czego skutkiem ubocznym jest gromadzenie ubrań i talerzy, konsumpcja, pełne restauracje w miastach i wesela na bogato na wsiach.

Ale to byłaby zbyt łatwa odpowiedź. Ludzie po prostu, nie tylko „Polaki cebulaki" oraz „Janusze i Grażyny", czyli stali bohaterowie forów pod tekstami społecznymi, politycznymi i gospodarczymi w liberalnych mediach, lubią stymulować się zakupami, szczególnie promocjami.

FOT. MAGDA WYGRALAK / SHUTTERSTOCK

– Wiele badań pokazuje, że po wyjściu ze sklepu „lepiej się czujemy". A dziś, gdy bariery wejścia na rynek nieruchomości czy luksusowych aut są dla wielu nie do przeskoczenia, takie Pepco oferuje „luksus na pocieszenie". Nie kupię apartamentu, ale kupię świecę zapachową lub designerski kubek za 10 zł, który przez chwilę pozwoli mi poczuć się jak w katalogu wnętrzarskim. To klasyczny mechanizm poprawy nastroju przez mikrozakupy – podpowiada mi Kolańska-Stronka.

W granicach rozsądku nic w tym złego. – Problem pojawia się, kiedy zakupy są jedynym sposobem na poprawę humoru. Wtedy możemy wpaść w pułapkę gromadzenia przedmiotów, a nasza sytuacja psychiczna i emocjonalna wcale się nie poprawia – dodaje Kolańska-Stronka.

•

Zastanawiam się, czy nie idę za daleko, łącząc rozszalały konsumpcjonizm również z kondycją mentalną społeczeństwa po pandemii i wojnie w Ukrainie.

– Zdecydowanie nie. Znamy koncepcję „kokonu konsumpcyjnego", która łączy wzrost indywidualnej konsumpcji z lękami społecznymi. Kiedy czujemy się zagrożeni, żyjemy przez wiele miesięcy w sytuacji niepewności, to reakcją są zakupy dające nam poczucie kontroli nad życiem – słyszę od badaczki z Uniwersytetu SWPS.

– To paradoks: nie mamy wpływu na geopolitykę, inflację czy globalne kryzysy zdrowotne, ale w alejce sklepowej odzyskujemy sprawczość. Wybór konkretnego produktu, skorzystanie z promocji czy zakup nowej narzuty do sypialni to małe akty tworzenia porządku w chaosie. W sklepie to my stawiamy warunki. Konsumpcja w dyskontach typu Pepco czy Action staje się więc formą „terapii zastępczej" – tanią, dostępną i dającą natychmiastową, choć złudną, ulgę w czasach wielkiej niepewności – tłumaczy psycholożka.

Ale to ulga tymczasowa. Z badań wynika, że Polacy w sklepach takich jak Pepco są minimum raz w miesiącu.

Magdalena Kolańska-Stronka: – Zadajmy pytanie: czy odwiedzamy te miejsca w konkretnym celu, a może dorabiamy bytowe motywacje – odnowienie garderoby czy inny pilny zakup – do okazji pozwalającej podregulować poziom lęku?

Czegoś tu jednak nie rozumiem: Polacy narzekają na drożyznę, trudno było im spłacać raty kredytu, kiedy Narodowy Bank Polski podnosił po ataku Rosji na Ukrainę stopy procentowe, a jednocześnie wydają pieniądze w sklepach z jednorazowymi produktami. Przecież to nie ma sensu.

– Ano właśnie, zachowania konsumenckie, o które pan pyta, przestają być racjonalne. Powtórzę raz jeszcze: jeśli część z nas nauczyła się obniżać poziom lęków poprzez robienie zakupów, to mówimy o niekonstruktywnych zachowaniach. Powiem to brutalnie: dla części społeczeństwa wizyta w dyskoncie stała się substytutem bezpieczeństwa. Wypracowaliśmy niekonstruktywny sposób radzenia sobie ze stresem – zamiast terapii czy rozmowy o lękach, wybieramy nowy wazon lub kolejny zestaw T-shirtów. Wyjście z tego błędnego koła będzie wymagało pracy podobnej do wychodzenia z nałogu. To proces odzyskiwania kontroli nad własnymi impulsami, który kosztuje mnóstwo energii i czasu – zauważa doktor Kolańska-Stronka.

•

To kolejna hipoteza ryzykowna, ale nęcąca, a uzasadniona o tyle, że wywiedziona z obserwacji w moim otoczeniu: czy klasa niższa mogła zainspirować średnią do swoich zwyczajów i zachowań konsumenckich? Rozwój sieci dyskontów spożywczych i tanich sklepów mógłby to sugerować.

– Nie sądzę, by był to główny mechanizm. Popularność dyskontów wynika z wielu procesów, w tym z wyludniających się mniejszych miast. Klasa średnia z tych miejscowości się starzeje, młodsi wyjeżdżają, a ci, którzy zostają, otrzymują niskie emerytury, więc bardziej zwracają uwagę na ceny. A szerzej patrząc, wzrost popularności dyskontów i tańszych sklepów wynikał też z innych procesów, rzecz jasna głównie z inflacji w latach 2022-23 – odpowiada profesor Szarfenberg.

Do tego skomplikowanego obrazu, który nie ułatwia – i dobrze – wydania tak przez nas lubianych jednoznacznych opinii, dodajemy jeszcze jeden element. Otóż klasa średnia przeszła w ostatnich latach kilka procesów jednocześnie: z dnia na dzień zmieniła postrzeganie samej siebie, na nowo odkryła zalety silnego państwa opiekuńczego, przeżyła pandemię, realny strach o przyszłość, wojnę na Wschodzie, zmianę władzy w kraju, a także wzrost nastrojów nacjonalistycznych.

Skutek: – Po wielu kryzysach, z jakimi mieliśmy do czynienia po 2020 roku, ludzie myślą w prosty sposób. „Po co mamy się ograniczać, skoro za chwilę może spotkać nas kolejny kryzys?" – uważa dr Kolańska-Stronka.

Klasa średnia w 2026 r. nie przywiązuje więc już wagi, jak jeszcze parę lat temu, kiedy nagłówki w gazetach i portalach zapełniało „zero waste", do ratowania żółwi morskich przed jedzeniem plastiku czy samoograniczenia, żyje tu i teraz, bo zbyt wiele przeszła w ostatnim czasie. Czego dowodem są pełne restauracje i sale kinowe, tłumy na lotniskach i kurortach w Egipcie. Nadmiarowe zakupy to przecież kolejny odcinek tej samej historii, którą dobrze znamy po 1989 r.: wszystko ulega sprywatyzowaniu, od korepetycji dla dzieci przez opiekę zdrowia aż po sposoby obniżania lęków poprzez zakupy.

•

Widzę tu kilka sprzeczności: skoro lubimy oszczędzać, czego dowodem są dane z początku tekstu, to dlaczego zakupy w dyskontach są tak popularne?

Właśnie z powodu robienia dobrej miny do złej gry, czyli efektu szminki. Który zakłada wydawanie pieniędzy na małe przyjemności w czasach kryzysu, kiedy społeczeństwo realnie ubożeje, ale klasa średnia nie odmówi sobie drogiego ciastka, wakacji – może w gorszym standardzie, ale z ładnymi widokami, które można bez zażenowania wrzucić na Instagrama – a także małych i tanich przedmiotów poprawiających humor. Nie widać tu sprzeczności, tylko logiczną konsekwencję.

A jak w tym wszystkim odnajduje się – i jak koegzystuje z pozostałymi – 2 procent Polaków, którzy nie tylko nie kupują w dyskontach, ale wręcz uważają, że zakupy w sklepach z tanimi produktami są nieetyczne?

Udało mi się znaleźć kogoś takiego. Pan Krzysztof ma 37 lat, mieszka w Warszawie, nie ma dzieci, wspólnie z partnerką zarabiają miesięcznie 28 tys. na rękę. Nie mają kredytów, sporo oszczędzają, być może w przyszłości wezmą mieszkanie na kredyt.

– Jedzenie kupujemy na bazarze, jak większość naszych starszych sąsiadów. Oni co prawda w drodze z Hali Mirowskiej zaglądają jeszcze do Biedronki, a my kupujemy wszystko w małych sklepikach. Chemię w internecie. Często jemy na mieście albo zamawiamy obiad przez Wolta. Ubrania w sieci, szklanki i talerze mamy z różnych sklepów, ale nigdy niczego nie kupiliśmy w Pepco. Nic nam się nie niszczy, ubrania nosimy przez wiele sezonów, nie wyrzucamy za wiele, buty oddajemy do szewca – opowiada pan Krzysztof.

Dopytuję, dlaczego to robi: z troski o planetę, swój własny komfort, z powodów religijnych? A może, ryzykuję, kryje się za tym poczucie wyższości? Nie, że intencjonalne, tylko coś, co młoda lewica nazwałaby mentalnym nieuświadomionym klasizmem.

– Ekologia jest ważna, tak jak moje samopoczucie. Wszyscy moi sąsiedzi, nawet ci biedniejsi, kupują na bazarze. Ja to robię z troski o planetę, oni z przyzwyczajenia, niskich emerytur, bo znajomy rolnik zawsze coś opuści na rachunku. No tak, możesz zapytać, czy latamy samolotem na wakacje, co jest bardziej szkodliwe dla planety niż zakupy w Biedronce. Latamy. Pytasz, jak często zmieniamy telefony. Co dwa lub trzy lata. Ale nie mamy samochodu! – broni się mój rozmówca.

Status społeczny i ekonomiczny pozwalają na wybór. I choć w postawie Krzysztofa ktoś złośliwy mógłby doszukać się rysu wyższości – rozumianej nie jako pogarda wobec klas niższych, tylko jako wysoka samoocena wynikająca z etycznego, jakościowego i zdystansowanego wobec trendów życia – to widziałbym w nim tragiczną figurę współczesnego człowieka. Który jest świadomy, próbuje się ograniczać, ale jednocześnie ulega modom, społecznym normom i na koniec dnia zadaje sobie to samo pytanie, co cała reszta Polaków: Jeśli nie dziś, to kiedy będę żyć jak wszyscy na Zachodzie?

Czyli nie da się uciec od historii: dzisiejszy wzrost konsumpcji, szalony pościg za przedmiotami i doświadczeniami koniec końców, niezależne od tego, jak nakładają się nań globalne trendy, jest próbą doścignięcia Niemców, Francuzów, Amerykanów i Anglików.

A czy ten bieg ma jakikolwiek sens, to już temat na inny tekst. ●

eprasa.pl 05eb22389c

ŚWIAT

i gulasz nie pomoże?

Po raz pierwszy od 16 lat pojawia się realna szansa na odsunięcie Viktora Orbána od władzy. Co przyniosą kwietniowe wybory – wielki przełom czy wielkie rozczarowanie?

Wojciech Maziarski

Wjeżdżając ze Słowacji na Węgry przez dawne przejście graniczne Šahy-Parassapuszta, przygotujcie się na wertepy i dziury. Dawniej to słowackie drogi były gorsze, a od granicy zaczynał się równy jak stół asfalt węgierski. Dziś jest odwrotnie. Dziury i koleiny w nieremontowanej jezdni sygnalizują, że kondycja węgierskiej gospodarki i finansów publicznych pozostawia wiele do życzenia.

– To państwo przestaje działać – potwierdza Roza Hodosán, za czasów komunizmu działaczka opozycji demokratycznej, a potem posłanka partii liberalnej, która dziś już wycofała się z polityki. – Usługi publiczne: edukacja, służba zdrowia, komunikacja – wylicza – są w stanie upadku. Na kolejach rozkład jazdy praktycznie przestał obowiązywać, ostatniego roku media pełne były doniesień o zepsutych pociągach, które stawały w polu, a z Budapesztu do Wiednia jechały po kilkanaście godzin.

Krewny Rozy rok temu musiał pilnie poddać się operacji. Nie mógł sobie pozwolić na wielomiesięczne oczekiwanie w kolejce do publicznego szpitala, więc zapłacił w placówce prywatnej. Roza nie mówi konkretnie, ile to kosztowało. „Wielkie pieniądze". Można sobie wyobrazić.

Dokładnie w momencie, gdy piszę te słowa w Warszawie, słyszę piknięcie w komórce. To najnowszy komunikat z aplikacji opozycyjnej partii TISZA: „Wyciekł utrzymywany dotąd w tajemnicy szokujący plan Orbána: po wyborach chce zamknąć 38 szpitali. To oznacza ubytek 14 tysięcy łóżek szpitalnych. A liczba przychodni ma się zmniejszyć z 557 do 221. Powstrzymajmy ich!".

– Od czasu pandemii COVID-19 gospodarka przestała rosnąć, więc władza nie ma środków na cele publiczne. Pieniędzy starcza tylko dla oligarchów i członków rodziny Orbána. Bo premier złamał tabu obowiązujące w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, które zakazuje, by najbliżsi krewni przywódcy byli najbogatszymi ludźmi w kraju – mówi mi ekspert jednego z ośrodków analitycznych. Nie podaję jego nazwiska, bo po kilku takich komentarzach ma od szefostwa zakaz wypowiadania się w mediach. Nie wywalili go z pracy pod warunkiem, że będzie siedział cicho. Ekspert, który nie może zabierać głosu, to dobry symbol kondycji dzisiejszych Węgier.

Orbán słabnie w sondażach

A w telewizorze kraj kwitnie. „Dzięki polityce państwa młodzi na Węgrzech mają dostęp do mieszkań taniej niż na Zachodzie" – zapewnia ciepłym głosem lektor w spocie, który nazwano „ogłoszeniem społecznym", ale w rzeczywistości to niezbyt dobrze zakamuflowana reklama wyborcza obozu władzy. Bo 12 kwietnia Węgrzy idą do urn i jeśli wierzyć sondażom, po raz pierwszy od 2010 r., kiedy ekipa Viktora Orbána zdobyła władzę, pojawia się realna nadzieja na polityczną zmianę.

Czy się spełni? Pewności nie ma, ale sondażowych wskazań najwyraźniej nie lekceważy István Tiborcz, zięć Viktora Orbána, mąż jego najstarszej córki Rahel, wg „Forbesa" numer 13 na liście najbogatszych Węgrów (w roku 2025), który wraz z rodziną postanowił przeczekać wybory w Stanach Zjednoczonych. Już przed poprzednimi wyborami w 2022 roku, na wszelki wypadek wyjechał do Hiszpanii i wrócił dopiero, gdy stało się pewne, że teść zachował władzę.

– Ci ludzie wiedzą, że jeśli przegrają wybory, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności – mówi socjolog Bálint Magyar, autor słynnej, wydanej także w Polsce, książki „Węgry. Anatomia państwa mafijnego", w przeszłości dwukrotnie minister oświaty w rządach socjalliberalnych (zbieżność nazwisk z liderem opozycji jest przypadkowa). I dodaje: – Nie będzie tak, jak np. w Polsce, gdzie Kaczyński przegrał i przeszedł do opozycji, a nie do więzienia. Mają pełną świadomość, że ich przegrana będzie oznaczać rozliczenia w oparciu o kodeks karny, bo są w ścisłym tego słowa znaczeniu przestępcami.

Dlatego władza w kampanii desperacko stara się zdobyć poparcie Węgrów, stosując wielokrotnie przetestowane w poprzednich wyborach metody straszenia ich i mobilizowania przy pomocy akcji petycyjnych.

Tym razem „narodowa petycja", której reklamy wiszą na tablicach, słupach ogłoszeniowych i na stronach internetowych, jest skierowana do Brukseli i zawiera prosty komunikat: „Nie będziemy płacić Ukrainie".

Na plakatach prezydent Zełenski chytrze się uśmiecha i wyciąga dłoń w żebraczym geście, a zza jego pleców groźnie spoglądają przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej Manfred Weber. Oboje pokazują, że należy zapłacić.

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

Władza straszy Ukrainą i wojną

Właśnie wojna i Ukraina są w kampanii dyżurnym straszakiem. W lutym władza wyprowadziła z koszar żołnierzy, by pilnowali infrastruktury energetycznej przed rzekomo grożącym ukraińskim atakiem.

Nie wydaje się jednak, by naród się tym przejął. Zamiast okrzyków przerażenia słychać raczej chichoty. W internecie pojawiły się memy, na jednym z nich żołnierze pilnują skrzynki elektrycznej obłożonej workami piasku. Napis głosi: „80 Brygada Strzelców Armii Węgierskiej bohatersko broni stacji trafo koło Nyircsaholy" (to wioska w pobliżu ukraińskiej granicy).

Propagandyści władzy dokładają starań, by wygrywająca w sondażach partia TISZA (skrót od Tisztelet és Szabadság Párt – Partia Szacunku i Wolności, a zarazem po węgiersku nazwa rzeki Cisa) i jej lider Péter Magyar kojarzyli się z hasłami „wojna" i „Ukraina".

Starają się wmówić obywatelom, że to Kijów finansuje działalność węgierskiej opozycji. W marcu węgierscy antyterroryści niczym przydrożni zbójcy napadli na legalny ukraiński transport bankowy jadący tranzytem przez Węgry, zatrzymali 40 mln dolarów, 35 mln euro, 9 kg złota i deportowali konwojentów. Rząd poinformował, że musi teraz wyjaśnić, co to za środki finansowe i dokąd były wiezione, bo może to był transport brudnych pieniędzy. W domyśle: dla opozycji.

– Ale to już nie działa – mówi Bálint Magyar. – Gdy wyborców przez 16 lat w kółko czymś się straszy, a te strachy się nie potwierdzają, to ludzie się uodporniają. Straszono ich najpierw uchodźcami i migrantami, potem Sorosem i Brukselą, teraz Ukraińcami i wojną.

Ale rządowi macherzy od propagandy nie dają za wygraną. Pasek w państwowej telewizji M1 po pierwszych nalotach USA na Iran: „Wybuchła nowa wojna, a politycy partii TISZA mówią, że nie trzeba się bać wojny".

Wartości rodzinne i prostytutki

– Ludzie mają też dość hipokryzji – dodaje Bálint Magyar. – Władza głosi chwałę wartości rodzinnych, a jej polityk jest sfilmowany, jak spółkuje z prostytutkami. Mówi, że nie życzy sobie „tęczowej propagandy", a jej czołowy przedstawiciel ucieka przed policją po rynnie z homoseksualnego seksparty. Mówi, że broni dzieci przed demoralizacją i złymi wpływami, a jej czołowi politycy ułaskawiają byłego wicedyrektora domu dziecka, który siedzi za krycie pedofila.

Dla wyjaśnienia: w 2019 r. Zsolta Borkaiego, ówczesnego burmistrza miasta Gyor, sfilmowano z prostytutkami na jachcie w Chorwacji.

W 2020 r. belgijska policja złapała Józsefa Szájera, europosła i współzałożyciela rządzącego Fideszu, gdy uciekał w Brukseli po rynnie z imprezy, w której uczestniczyli sami mężczyźni i którą gazety nazwały „orgią". W plecaku miał tabletkę ecstasy. Policja interweniowała, bo impreza naruszała restrykcje w czasie pandemii COVID-19.

W lutym 2024 r. zaś wybuchł skandal, w wyniku którego do dymisji podały się dwie czołowe polityczki obozu władzy – prezydentka Węgier Katalin Novák i ministerka sprawiedliwości Judit Varga, które podpisały się pod prezydenckim aktem łaski dla wicedyrektora domu dziecka, skazanego za tuszowanie pedofilskich czynów szefa i szantażowanie ofiar, żeby wycofały zeznania.

Czy można wystąpić z mafii?

– Orbán, podobnie jak cały Fidesz, zużył się, zestarzał, nie ma świeżych pomysłów, nie umie posługiwać się językiem internetu – mówi cytowany wcześniej ekspert, któremu zwierzchnicy zakazali publicznych wypowiedzi.

Za to Péter Magyar tryska błyskotliwymi pomysłami, a jego ludzie do perfekcji opanowali nowoczesne środki komunikacji. – W jego sztabie jest młodzież, która już dorastała w nowych realiach, to są tubylcy świata internetu, a nie imigranci, jak u Orbána – mówi Roza Hodosán.

Paradoksalnie na korzyść Magyara gra nawet to, że zanim wypowiedział wojnę Orbánowi i wyrósł na charyzmatycznego przywódcę potężnej opozycji, był urzędnikiem średniego szczebla w strukturach orbanowskiej władzy – m.in. w przedstawicielstwie Węgier przy Unii Europejskiej – a jego żoną była wspomnina Judit Varga, była szefowa resortu sprawiedliwości. Wtedy już nie byli małżeństwem, ale utrzymywali przyjacielskie kontakty.

– To, że Magyar był w obozie władzy, to jego atut – zgodnie twierdzą moi znajomi. – Dzięki temu umie postępować z tymi ludźmi i wie, czego się można po nich spodziewać.

Na pewno niczego dobrego. Dwa lata temu ujawnił, że w rozmowie telefonicznej była żona miała mu powiedzieć: „Péter, to jest mafia. Z niej nie można wystąpić".

A jednak wystąpił. W lutym 2024 ogłosił, że staje na czele partii TISZA, a już w czerwcu w wyborach do europarlamentu jego ugrupowanie zajęło drugie miejsce, dostając 29,6 proc. głosów i wyraźnie goniąc Fidesz, który wtedy jeszcze zachował przewagę, zdobywając 44,8 proc. Dziś już w większości wiarygodnych sondaży to Fidesz jest drugi, choć w niektórych obie partie idą niemal łeb w łeb.

• Na zdjęciu: Przeciwnicy w wyborach wyjątkowo razem w Parlamencie Europejskim. Péter Magyar – eurodeputowany i lider partii TISZA oraz premier Viktor Orbán tuż przed rozpoczęciem węgierskiej prezydencji w Radzie UE. (Węgrzy przewodzili Radzie od 1 lipca do 31 grudnia 2024 roku.

FOT. ALAIN ROLLAND / EUROPEAN UNION 2024

Lider opozycji z kosturem wędruje przez kraj

Magyar podbił serca Węgrów błyskotliwą pomysłowością, refleksem i pracowitością. W kampanii codziennie odbywa po dwa-trzy wiece w różnych miejscach kraju. Nie tylko w dużych ośrodkach, lecz także w małych miasteczkach i wioskach. I wszędzie witają go tłumy. Mówi prostym, zrozumiałym językiem, bez napuszenia i patosu, zwraca się bezpośrednio do słuchaczy i stara się poruszać sprawy, które dla nich są ważne. Tak jakby im komunikował: jestem jednym z was, ja i wy mamy wspólne troski i radości.

Błyskawicznie potrafi zareagować i wykorzystać błędy Viktora Orbána. Gdy w maju 2025 r. węgierski premier poparł w rumuńskich wyborach prezydenckich skrajnie prawicowego, a zarazem antywęgierskiego nacjonalistę George'a Simiona (bo to wróg Unii Europejskiej, a więc dla Orbána sojusznik), Magyar nie poprzestał na ostrym oświadczeniu: „Węgierski premier napluł w twarz i zdradził naszych braci w Siedmiogrodzie. (...) Zdrada i upadek – imię twoje: Orbán". Natychmiast zorganizował też nietypową wielodniową demonstrację: 14 maja wyruszył sprzed bazyliki w Budapeszcie w półtoratygodniową pieszą pielgrzymkę do miasta Oradea (po węgiersku Nagyvárad) w Rumunii przy granicy z Węgrami. Dziennie pokonywał 25-30 kilometrów.

Propagandyści władzy robią co mogą, by wygrywająca w sondażach partia TISZA i Péter Magyar kojarzyli się z hasłami „wojna" i „Ukraina"

Nazwał to „marszem miliona kroków na rzecz pokoju i jedności narodowej" i zachęcił swych zwolenników, by dołączali do niego podczas wędrówki. I rzeczywiście, przez cały czas towarzyszył mu mniejszy lub większy tłum, ludzie witali go w mijanych miasteczkach, rozmawiali z nim, zapraszali na posiłki i nocleg.

Całość przedsięwzięcia transmitowano w internecie, więc na nic zdały się insynuacje prorządowych hejterów, którzy próbowali wmawiać opinii publicznej, że Magyar wcale nie idzie, tylko go podwożą.

Obraz przywódcy opozycji wędrującego przez kraj w ludowej haftowanej kamizelce, którą ktoś podarował mu po drodze, z kosturem i węzełkiem na ramieniu, z chustką w barwach narodowych na nadgarstku, obiegł wszystkie media i zapadł w pamięć obywateli. Być może właśnie wtedy odwróciły się role w węgierskiej polityce.

Bo wcześniej przez całe lata to Orbán uchodził za człowieka z ludu, „swojego chłopa", który je gulasz i reprezentuje system wartości węgierskiej prowincji. Jego oponenci zaś to byli jajogłowi, zmanierowani i kosmopolityczni przedstawiciele wielkomiejskich elit, wykorzenieni i oderwani od rzeczywistości, w której żyje naród.

Pisząc o marszu Magyara, komentatorzy przywoływali archetypiczną w węgierskiej kulturze postać gęsiarka Maćka, bohatera poematu z początku XIX wieku, który uosabia inteligencję i spryt ludu w konfrontacji z arystokracją. Gęsiarek przechytrzył i srogo zemścił się na niedobrym panu Döbrögim, który go kazał wybatożyć za odmowę sprzedania gęsi po zaniżonej cenie. W komentarzach Péter Magyar był przyrównywany do bohatera poematu, a premier nazywany panem Döbrögim.

– To już się do Orbána przykleiło – mówi jeden z moich węgierskich znajomych. – Nawet jeśli teraz próbuje odzyskać swój dawny wizerunek i każe się pokazać np. przy stole w trakcie jakiegoś festynu czy masowej imprezy, to ludzie nie widzą już w nim „swojego chłopa", tylko otyłego faceta, który obżera się gulaszem.

Orbanowski monopol reklamowy

Na początku marca na budapeszteńskich ulicach dziwić może niewielka liczba materiałów wyborczych obu głównych adwersarzy. Na słupach ogłoszeniowych widać o wiele więcej „zakamuflowanej kampanii", czyli plakatów narodowej petycji z Zełenskim, von der Leyen i Weberem, a z tablic umieszczonych na latarniach ulicznych znacznie częściej uśmiecha się kandydatka lewicowej Koalicji Demokratycznej Klára Dobrev i kandydaci niezależni startujący w różnych dzielnicach.

– Orbán wie, że w stolicy nie ma żadnych szans, poprzednie wybory też tutaj przegrał – zgodnie mówią moi węgierscy znajomi. – Dlatego woli oddać pole koncesjonowanej opozycji, która może uszczknąć trochę głosów Magyarowi. Jego ludzie kontrolują tablice ogłoszeniowe i pilnują, by TISZA się tu nie pojawiła.

Historia budapeszteńskich nośników reklamowych sama w sobie znakomicie demaskuje metody działania systemu orbanowskiego. Ponad 10 lat temu jeden z oligarchów Orbána złożył właścicielowi przedsiębiorstwa ESMA, umieszczającego reklamy na śródmiejskich latarniach w Budapeszcie, propozycję nie do odrzucenia: kupi jego firmę. Jednak biznesmen odmówił. Wtedy w przedsiębiorstwie pojawili się urzędnicy z kontrolą skarbową.

Ponieważ ten środek „perswazji" nie zadziałał, w ciągu kilku tygodni parlament przyjął ustawę, która, powołując się na bezpieczeństwo ruchu drogowego, zakazała umieszczania ogłoszeń w odległości pięciu metrów od jezdni. W ten sposób działalność firmy ESMA stała się praktycznie niedozwolona, a jej wartość rynkowa spadła niemal do zera, dzięki czemu oligarcha Orbána mógł ją wykupić za grosze. A później parlament ukradkiem skasował przepis zabraniający umieszczania reklam w pobliżu jezdni. Możemy o tym przeczytać we wspomnianej książce „Węgry. Anatomia państwa mafijnego".

Archipelag wysp TISZA

Właściwie TISZA to nie tylko partia. To pospolite ruszenie, wielki ruch społeczny. Przypomina nieco polski KOD z czasów PiS, tyle że posiada wyraźniejszą strukturę terytorialną i centrum zawiadujące, które za pośrednictwem aplikacji na bieżąco informuje członków ruchu o wydarzeniach i zadaniach do wykonania.

Zainstalowałem sobie taką aplikację, a po rejestracji (podałem adres przyjaciół w Budapeszcie) natychmiast dostałem informację, jakie „wyspy TISZA" działają w mojej okolicy, a do których mogę dołączyć. Te „wyspy" to grupy czy koła aktywistów. Działają w całym kraju, jest ich mnóstwo.

Każda z wysp ma za zadanie objąć patronatem jedną konkretną wieś na prowincji, by przesłanie ruchu rozlewało się po kraju. Aktywiści regularnie jeżdżą do „swoich" wiosek, rozmawiają z mieszkańcami, słuchają o ich problemach. – Na początku przyjmowali nas nieufnie, ale teraz już czekają na nasz przyjazd – mówi Roza, która należy do jednej z wysp.

Okienko w aplikacji zachęca: kliknij tutaj i zgłoś się jako wolontariusz (nie jestem obywatelem ani mieszkańcem Węgier, więc tego nie zrobiłem). Wolontariusze na bieżąco dostają informacje o zadaniach do wykonania np. zbiórka podpisów pod listami poparcia kandydatów w wyborach. Tym razem przy stolikach partii TISZA w całym kraju kolejki ustawiły się od rana, zanim zbiórka się zaczęła; podpisy zebrano w ciągu kilku godzin.

– A gdy rok temu TISZA zorganizowała konsultacje dotyczące kilku ważnych kwestii politycznych i społeczno-gospodarczych pod nazwą „Głos narodu" („Nemzet hangja"), zgłosiłam się przez aplikację jako wolontariuszka, by opracować dane z ankiet wrzuconych do urn, ale dostałam odpowiedź, że już nie ma potrzeby, bo zgłosiło się zbyt wiele chętnych – opowiada Roza.

Po powrocie do Polski zachowałem aplikację w swoim telefonie. Prócz regularnych informacji o najważniejszych wydarzeniach w kampanii odmierza mi czas, co rano przysyłając komunikat.

Dzisiejszy (piszę 12 marca) brzmi: „Do zmiany systemu pozostało 31 dni, 3 godziny 47 minut".

Czy nastąpi rewolucja na miarę roku 1989?

„Zmiana systemu" – tego sformułowania używają Węgrzy dla określenia bezkrwawej rewolucji roku 1989. My w Polsce mówimy raczej o „upadku komunizmu". Jeśli więc dziś węgierska opozycja zapowiada nadchodzącą „zmianę systemu", to jest jasne, jak fundamentalny przełom ma na myśli. I rzeczywiście, wszyscy moi znajomi, którzy popierają opozycję (a jest ich zdecydowana większość), zgodnie mówią: „Atmosfera jest teraz taka jak w latach 1988-89".

Co będzie, jeśli ich oczekiwania i nadzieje się nie spełnią, a obóz Orbána, wbrew sondażom, wygra wybory? Jaka będzie emocjonalna reakcja mas zaangażowanych w całym kraju w ruch TISZA? Rozczarowanie? Wściekłość? A może jedno i drugie? To piorunująca i bardzo groźna mieszanka.

Życzmy sobie i Węgrom, żeby do tego nie doszło. ●

eprasa.pl 05eb22389c

DLACZEGO ONI SIĘ NIE PODDAJĄ

Amerykanie nie rozumieją, dlaczego Iran nie skapitulował. Wcześniejsze pokolenie zadawało to samo pytanie o Wietkong, a izraelscy generałowie o Hamas. Odpowiedź jest prosta

Robert Stefanicki

Czy Iran może wygrać tę wojnę? Odpowiedź zdaje się oczywista, bo przecież trudno sobie wyobrazić, by zdołał pokonać połączone siły USA i Izraela. Ale zastanówmy się, co to w ogólne znaczy „wygrać" wojnę, przyglądając się kilku poprzednim.

W Wietnamie rezultat był jednoznaczny – armia Ho Chi Minha ze wsparciem bloku komunistycznego pokonała wojska Wietnamu Południowego i USA.

W Afganistanie wygrali talibowie, choć zajęło im to 20 lat, podczas których większość talibskich przywódców oddała życie.

Ale kto wygrał **w Iraku**? Kraj uwolniony od Saddama Husajna ma się lepiej niż przed wojną, odbywają się wybory, jest mniej strachu. Jednak inwazja z 2003 r. zapoczątkowała serię wydarzeń, których nikt nie przewidział. Szacuje się, że do 2011 r. z przyczyn związanych z wojną zginęło 461 tys. ludzi, a jej koszt wyniósł 3 biliony dolarów. Do tego trzeba by doliczyć późniejsze gigantyczne koszty walki z tzw. Państwem Islamskim, które wykluło się w Iraku z kadr obalonego reżimu.

A Strefa Gazy? Izrael zdołał zabić większość liderów Hamasu, udanie mszcząc się za atak z października 2023 r. Śmierć dziesiątek tysięcy cywilów to straty uboczne. Tylko że Hamas dalej rządzi większością terytorium enklawy, a wizerunek Izraela – każdy inny poza sprawnej potęgi militarnej – legł w gruzach Gazy. A w wypadku konfliktu tak asymetrycznego samo przetrwanie strony słabszej można uznać za jej wygraną.

Zwycięzcami wojen są najczęściej jednostki – cyniczni politycy, tacy jak Netanjahu, który utrzymując Izrael w stałym stanie wojennym, ratuje własną skórę przed zarzutami kryminalnymi. Wygrywają ci, którzy potrafią na wojnie zarobić: dostawcy niezbędnych towarów i usług, spekulanci oraz krewni i znajomi decydentów z dostępem do informacji niejawnych. Narody zwykle są ofiarami, zwłaszcza tych długich konfliktów, czego najlepszym przykładem są dwie wojny światowe.

•

„Jeszcze jedno takie zwycięstwo i jesteśmy zgubieni", powiedział król Epiru, Pyrrus, po wygranej, ale okupionej ogromnymi stratami bitwie pod Ausculum z Rzymianami.

Słowa te można zadedykować Donaldowi Trumpowi i Petowi Hegsethowi, którzy codziennie paplają, że wojna z Iranem idzie naprawdę znakomicie i jest już praktycznie wygrana, tylko jeszcze trochę potrwa, ale bardzo niedługo, sześć, osiem, albo trzy tygodnie, a właściwie tyle, ile będzie trzeba, bezapelacyjnie, do samego końca, naszego albo ich...

Ewentualne „zwycięstwo" Iranu trzeba rozpatrzeć na trzech poziomach: wojskowym, ekonomicznym i politycznym.

Na to pierwsze nie ma szans, siły Izraela i USA są przytłaczające. Codziennie niszczone są kolejne irańskie okręty, wyrzutnie, magazyny broni, składy paliw. Codziennie giną kolejni członkowie reżimu.

Tyle że w konflikcie asymetrycznym sukcesy taktyczne zwykle nie przekładają się na strategiczne: tak było w Afganistanie, Iraku, Gazie. Tym bardziej, że nie wiadomo, jaki właściwie jest cel operacji w Iranie, jej organizatorzy plączą się w zeznaniach.

Wydaje się, że jednym z podstawowych celów była zmiana reżimu, co się nie powiodło.

Irańskie kobiety nie ruszyły z gołymi głowami i rękami na siepaczy Gwardii Rewolucyjnej, rozłam w siłach zbrojnych reżimu pozostał fantazją planistów, na nowego najwyższego przywódcę wyznaczono syna zabitego ajatollaha Chameneiego. Może byłoby inaczej, gdyby wojna zaczęła się w styczniu, kiedy w Iranie reżim masakrował demonstrantów, ale wtedy Trump był zajęty Wenezuelą, a Netanjahu podobno prosił go, by zaczekać z atakiem na Iran, bo Izrael jeszcze nie jest gotowy.

Eksperci powtarzali od miesięcy, że reżim nie upadnie od nalotów, ale kto by słuchał ekspertów.

Architekci wojny już zdali sobie sprawę, że ta furtka jest zamknięta: – Można poprowadzić kogoś do wody, ale nie można zmusić go, by się napił. Niestety nie mogę dziś z całą pewnością stwierdzić, że Irańczycy obalą reżim – powiedział 12 marca Netanjahu, znany ze zręcznego odsuwania od siebie odpowiedzialności za niepowodzenia.

Agresorzy mogą osiągnąć inne cele: zniszczyć zdolności do produkcji broni atomowej i inny potencjał militarny Iranu. Ale chyba nie potrafią uniemożliwić Irańczykom ataków odwetowych. W ostatnich dniach Teheran spowolnił ostrzał, najwidoczniej oszczędza pociski, planując długą kampanię nakierowaną na wyczerpanie przeciwnika.

W obliczu nieustannych uderzeń na magazyny amunicji i wyrzutnie najpewniejszą bronią Iranu pozostają drony – łatwo je produkować w ukryciu, w rozproszonych lokalizacjach, a są wielokrotnie tańsze od rakiet je przechwytujących.

Izrael i USA nie znalazły na to remedium. Amerykanie muszą też brać pod uwagę to, że ofensywa na Bliskim Wschodzie drenuje ich arsenały i zdolności militarne w każdym innym regionie świata, na czele z Azją, skąd już muszą wycofywać zaawansowane systemy przeciwrakietowe i okręty, aby uzupełnić straty zadane przez Irańczyków.

Reżim Chameneich zachował kontrolę nad krajem, zachował spójność i jest coraz bardziej pewny swego.

Mohsen Rezaj, jeden z dowódców Gwardii Rewolucyjnej, powiedział 15 marca, że „koniec wojny jest w naszych rękach" i wezwał do wycofania sił USA z Zatoki Perskiej oraz wypłaty odszkodowań za wszystkie szkody wyrządzone w wyniku ataku.

Teheran przyjął rozsądną strategię: rozszerzyć konflikt geograficznie i spowodować tak wielkie straty gospodarcze i polityczne, by agresorzy uznali te koszty za nieakceptowalne i wycofali się.

Dlatego grozi atakami na statki handlowe w cieśninie Ormuz, uderza w państwa Zatoki Perskiej, choć te nie udzielają bezpośredniego wsparcia USA i Izraelowi, nie licząc zlokalizowanych tam baz amerykańskich.

Choć prezydent USA z pewnością potrafi zarobić swoje na tej wojnie, to upadek wizerunku monarchii zatokowych jako bezpiecznych oaz dla kapitału, usług i turystów uderza bezpośrednio po kieszeni także Trumpa, bo jego rodzina prowadzi tam rozległe interesy.

Ataki na saudyjską infrastrukturę naftową obniżają wartość aktywów funduszu Affinity Partners, którym zarządza zięć prezydenta Jared Kushner. Trump jest osobiście zaangażowany w budowę luksusowych hoteli i pól golfowych w Omanie oraz w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, narażonych na naloty dronowe Iranu.

•

Problemy z transportem morskim i eksportem surowców energetycznych z Zatoki Perskiej mają charakter globalny.

Rosnąca cena ropy drenuje nie tylko portfele kierowców. Spodziewany wzrost inflacji powoduje wzrost rentowności obligacji amerykańskich, co zwiększa koszty obsługi gigantycznego długu USA. W perspektywie Amerykanom podrożeją nie tylko symboliczne jajka, ale i kredyty konsumenckie.

Główne gospodarki, od USA przez strefę euro po Japonię, stoją przed ryzykiem stagnacji, jeśli nie stagflacji. Ponieważ wojna z Iranem narusza równocześnie dwa fundamenty rozwoju świata: tanią energię i zaufanie do rynków finansowych – niektórzy ekonomiści straszą powtórką z kryzysu naftowego lat 70., inni widzą analogie do kryzysu finansowego z roku 2008, kiedy pęknięcie bańki nieruchomości spowodowało utratę zaufania do instytucji finansowych i problem z płynnością.

– Wydaje się, że znów nadchodzi taki moment – powiedział Lloyd Blankfein, były dyrektor generalny Goldman Sachs, w wywiadzie dla Bloomberga. – Nie słyszę burzy, ale konie w zagrodzie zaczynają rżeć.

1 RP

3

BILIONY DOLARÓW

• **kosztowała wojna w Iraku**

eprasa.pl 05eb22389c

Auto ozdobione kwiatami i portretami: zamordowanego ajatollaha Alego Chameneiego oraz jego syna i następcy, nowego Najwyższego Przywódcy - Modżtaby Chameneiego. Centrum Teheranu, 22.03. 2026.

FOT. MAJID SAEEDI/GETTY IMAGES

Iran liczy też na zwycięstwo polityczne tudzież moralne. Izrael przez wojną w Gazie był postrzegany jako część Zachodu, lecz po dwóch latach masakrowania Palestyńczyków nie jest to takie oczywiste.

Palestyńczycy są powszechnie uważani za ofiary i zyskują więcej sympatii niż izraelskie ofiary Hamasu, zresztą proporcjonalnie do ich liczby. Hamas, który rozpętał to piekło, o czym się trochę zapomina, jest postrzegany jako reprezentant uciśnionego narodu – może nie taki, jakiego byśmy, podobnie jak reszta Palestyńczyków, sobie życzyli, ale jednak.

Podobnie będzie z Iranem. Ten reżim jest wprawdzie morderczy, podkreślają komentatorzy, ale to, co robią Trump i Netanjahu, to leczenie dżumy cholerą.

Masakra dziewczynek w szkole podstawowej w Minab spowodowana niewątpliwie amerykańską rakietą – czego Waszyngton się wyparł tak samo, jak Izrael wypierał się winy za cywilne ofiary bombardowań w Gazie – stała się symbolem tej wojny.

Podobnie jak deszcz zmieszany z ropą zalewającą mieszkańców Teheranu po izraelskim ataku na magazyny paliw. Korespondenci donoszą, że Irańczycy, także ci nienawidzący swojego rządu, już nie chcą takiej „pomocy" i woleliby, aby wojna się skończyła.

•

Ataki na arabskie kraje Zatoki Perskiej niekoniecznie muszą obrócić się przeciwko Iranowi. Tamtejsza opinia publiczna zadaje sobie pytanie: „Dlaczego płacimy cenę za wojnę, która jest wynikiem ekspansjonistycznej polityki Izraela i USA?".

Rządy będą wzmacniać swoją obronę przed irańskimi dronami, ale nie przeszkodzi im to znowu otworzyć kanały dyplomatyczne z Teheranem, gdy będzie ku temu okazja.

461

TYSIĘCY LUDZI
• zginęło przez 8 lat w Iraku po amerykańskiej inwazji w 2003 r. i obalenia Saddama Husajna

Oman, np., już złożył gratulacje nowemu Najwyższemu Przywódcy. Wszyscy życzą sobie jak najszybszego końca wojny, a nie niemożliwego zniszczenia Iranu.

Tymczasem Trump cłami i groźbami zniechęcił sojuszników. Nie będzie koalicji chętnych, jak w Iraku i Afganistanie. Jak dotąd żaden kraj nie odpowiedział na wezwanie do wysłania okrętów wojennych, aby przełamały irańską blokadę cieśniny Ormuz. Większość analityków uważa, że taka próba byłaby obarczona dużym ryzykiem. Ochrona setek tankowców wymaga przekierowania ogromnych zasobów wojskowych, a i tak nie gwarantuje bezpieczeństwa żeglugi. Wystarczy, aby prześlizgnął się pojedynczy irański pocisk, dron, mina lub łódź z ładunkiem wybuchowym.

Koalicja niechętnych postrzega ten konflikt jako wojnę z wyboru, nie z konieczności.

Wystarczyło reaktywować porozumienie nuklearne zawarte z Iranem przez największe mocarstwa w 2015 r., które zamrażało jego program atomowy, a które Trump wyrzucił do kosza, bo dla Netanjahu to było za mało. Trump musiałby połknąć własny język, skoro nazwał tamtą umowę, wynegocjowaną przez administrację Tego-Który-Nie-Powinien-Dostać-Pokojowej-Nagrody-Nobla, czyli Baracka Obamy, „najgorszą umową świata".

USA i Izrael mogą liczyć tylko na siebie. Ale, skoro obalenie reżimu okazało się mrzonką, Trump i Netanjahu nie mają już tych samych celów.

Netanjahu zdaje się dążyć do powtórki z Gazy, czyli obracania Iranu w gruzy, co, jak wierzy, da mu zwycięstwo w październikowych wyborach. Jednak Iran jest 4,5 tysiąca razy większy niż Strefa Gazy i ma 42 razy więcej ludności, więc zadanie nigdy nie zostanie ukończone.

I dobrze, bo upadek państwa irańskiego mógłby stworzyć otchłań gorszą niż Irak po 2003 r. i Libia po 2011 r. razem wzięte. Strach pomyśleć, co by było, gdyby elementy programu nuklearnego trafiły w ręce zradykalizowanych niedobitków Gwardii Rewolucyjnej lub terrorystów.

Wyborcy Trumpa prezentują taki sobie entuzjazm wobec tej operacji, więc w interesie Republikanów powinna się zakończyć przez wyborami połówkowymi w listopadzie. Niektórzy jeszcze pamiętają, że Trump zdobył władzę obietnicami zakończenia „niekończących się wojen" i niskich cen energii. Jego wyborcy przełknęli chirurgiczną inwazję na Wenezuelę, bo prezydent wytłumaczył, że była wielce opłacalna i chodziło tylko o przejęcie kontroli nad zasobami ropy. Sensu wojny w Iranie mają prawo nie rozumieć, Trump o irańskiej ropie nie wspomina.

•

Najprawdopodobniej Waszyngton w pewnym momencie ogłosi zwycięstwo i wycofanie. Ale problem nie zniknie. Nowy przywódca Iranu Modżtaba Chamenei jest przepełniony nienawiścią i pragnieniem zemsty. W tej wojnie stracił ojca, żonę i syna. Gdyby ktoś nie rozumiał, dlaczego propaganda ajatollahów nazywa USA „wielkim szatanem", teraz już wie.

Iran się nie podda, pobity, ale nie podbity, będzie próbował stanąć na nogi, więc po pewnym czasie trzeba będzie wznowić wojnę. Izraelczycy nauczyli się nieustannie „kosić trawę", jak określają cykl nawracającej przemocy w obliczu niezdolności do trwałego pokonania ugrupowań palestyńskich i Hezbollahu.

„Ameryka, po 47 latach unikania totalnego starcia z Iranem, może teraz wpaść w podobną spiralę" – napisał w „Washington Post" David Ignatius. Amerykański historyk wojskowości Robert Pape w rozmowie z „Guardianem" wieści „pułapkę eskalacji", polegającą na tym, że kiedy taktyczne sukcesy nie prowadzą do sukcesu strategicznego, atakujący wzmaga siłę ognia i rozważa coraz bardziej ryzykowne opcje, co prowadzi do narastania kryzysu, z którego coraz trudniej jest się wydostać.

To może potrwać, bagno wsysa powoli. Wojna w Wietnamie dojrzewała latami, a sytuacja w Iranie może podążać podobną trajektorią. – Wyobrażam sobie – mówi Pape – że eskalacja osiągnie poziom, którego nie przewidywaliśmy nawet miesiąc temu: amerykańskie wojska lądowe atakujące podstawową infrastrukturę, przejmujące części Iranu, współpracujące z Kurdami i innymi grupami etnicznymi.

Czołowy negocjator Białego Domu Steve Witkoff powiedział, że Trump nie rozumiał, dlaczego Iran nie skapitulował, gdy groził mu atakiem militarnym. Wcześniejsze pokolenie zadawało to samo pytanie o Wietkong i Wietnam Północny. Izraelscy generałowie, ostrzeliwując Gazę, musieli się zastanawiać, dlaczego Hamas po prostu się nie podda.

Odpowiedź jest prosta: ludzie, którzy widzą, że nie zostało im nic poza dumą i godnością, będą walczyć dalej, nawet w obliczu przytłaczającej siły przeciwnika.

A w przypadku Iranu jest jeszcze dodatkowy czynnik: kult męczeństwa wpisany w DNA cywilizacji perskiej.

Żeby to zrozumieć, trzeba odwołać się do bitwy pod Karbalą z 680 roku, fundamentu tożsamości narodowej i religijnej Iranu.

Imam Husajn, wnuk Mahometa, stanął z garstką 72 zwolenników przeciwko tysięcznej armii umajjadzkiego kalifa Jazyda I. Wiedział, że nie może wygrać militarnie, jednak wierzył, że mimo to należy stawić czoła kalifatowi, aby obnażyć te niesprawiedliwe i pozbawione legitymacji rządy. Husajn poległ, ale jego śmierć doprowadziła do upadku dynastii Umajjadów kilka dekad później. I stała się mitem założycielskim szyizmu.

W Teheranie wierzą, że krew męczenników w końcu utopi agresora. Zakładają, że nawet jeśli Izrael zniszczy irańskie instalacje nuklearne, a USA zbombardują bazy wojskowe, to obraz płonącego Iranu zradykalizuje muzułmanów na całym świecie, co doprowadzi do upadku prozachodnich monarchii w Zatoce i ostatecznie zmusi „niewiernych" do opuszczenia Bliskiego Wschodu.

Dlatego zamiast uciekać i się ukrywać, najbardziej zagorzali bojownicy będą dążyć do walki i męczeńskiej śmierci z honorem. Porażka jest zapowiedzią zwycięstwa.

•

Ostateczną bronią Iranu jest terroryzm. Może po nią sięgnąć, gdy zobaczy, że sprawy przybierają zły obrót.

Po wygnaniu z Jordanii w 1971 r. Organizacja Wyzwolenia Palestyny założyła organizację Czarny Wrzesień, która wzięła się za porwania samolotów i zamachy bombowe w Europie, w końcu zabiła izraelskich sportowców na igrzyskach w Monachium.

Sterowane z Teheranu siatki terrorystyczne bywały bardziej śmiercionośne niż palestyńskie. Ale też mogą działać bez odgórnej kontroli, podobnie jak ISIS. Rozbicie komórek Gwardii Rewolucyjnej może, paradoksalnie, uczynić je bardziej niebezpiecznymi i nieprzewidywalnymi.

Jednym z uzasadnień wojny przez Trumpa było zagrożenie, jakie Iran stanowił dla USA. Krytycy je wyśmiali, bo Iran nie miał rakiet zdolnych dosięgnąć Ameryki, a jedyna ujawniona próba zamachu na Trumpa była groteskowa: podczas procesu pakistański biznesmen zeznał, że szantażem zmuszono go do wynajęcia zabójców – byli nimi agenci FBI – którym zapłacił całe 5 tysięcy dolarów.

Realnym zagrożeniem są irańscy hakerzy – tak samo jak chińscy, rosyjscy lub północnokoreańscy, jednak tych krajów Waszyngton nie kazał bombardować.

Przede wszystkim jednak Iran nie miał powodu kłaść głowy pod topór, atakując najsilniejsze państwo świata. Teraz już ma.

Według doniesień ABC News, FBI już ostrzegło departamenty policji w Kalifornii, że odwetowe ataki dronów mogą stanowić zagrożenie dla Zachodniego Wybrzeża. Na początku lutego Iran ponoć przygotował taki atak ze statku, którego nie zidentyfikowano.

Tymczasem dyrektor FBI Kash Patel właśnie zlikwidował jednostkę CI-12 odpowiedzialną za dochodzenia w sprawie zagranicznego terroryzmu. Śledziła groźby odwetu ze strony rządu Iranu po zabójstwie generała Kasima Sulejmaniego, dokonanym w 2020 r. na rozkaz Trumpa. Agenci zostali zwolnieni w zemście za udział w śledztwie w sprawie bezprawnego przechowywania przez Trumpa dokumentów niejawnych po jego pierwszej prezydenturze.

Wstrząs, jaki irański atak z powietrza na terytorium USA wywołałby u Amerykanów, można by porównać chyba tylko z szokiem w Hezbollahu, kiedy w kieszeniach kadr tej organizacji wybuchły pagery podrzucone przez Mosad. Na pamiątkę tego sukcesu Netanjahu podarował Trumpowi złoty pager. Widzimy, jak wybucha. ●

eprasa.pl 05eb22389c

FROM MINSK WITH LOVE

Była wiceprezeską Coca-Coli, budowała życie z mężem programistą. A potem pojawił się generał porucznik Iwan Tertel vel Jan Cierciel.

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

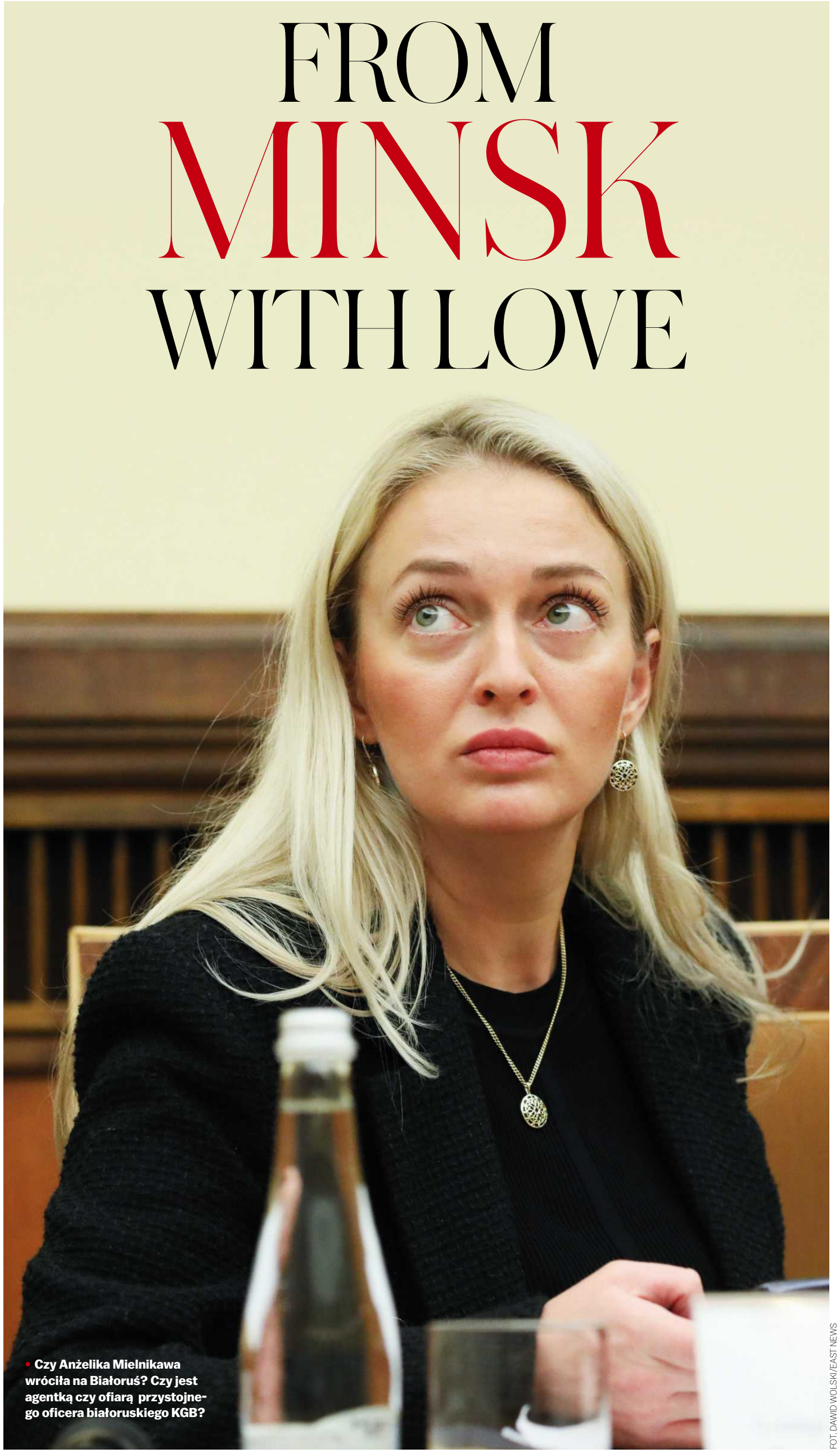

• Czy Anżelika Mielnikawa wróciła na Białoruś? Czy jest agentką czy ofiarą przystojnego oficera białoruskiego KGB?

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS

Przed świtem pojechaliśmy do Gerdašiai, maleńkiej litewskiej wsi nad Niemnem, 10 km od Druskiennik. Dniało. Wzdłuż drogi wyłaniały się domy ciemne, bez śladu dymu z kominów. Zatrzymaliśmy się na skraju wsi. Było pół do siódmej, godzinę później niż w Polsce. Telefon po chwili przełączył się na białoruską sieć, zrobiło się pół do ósmej.

Wokół ptaki: nawoływania, piski, pohukiwania. Rozpoznaliśmy krzyk żurawia i klaskanie skrzydeł dużego ptaka wzlatującego znad wody. Tylko wieś milczała. Pod wiatą czajnik i komplet szklanek, gdzie indziej nowe gumiaki. Ale żadnych świateł, żadnego piania, muczenia, gdakania.

Do rzeki szliśmy kilkaset metrów przez las. Wtedy zaszczekały psy, nie od strony wsi. Głosy dobiegały ze stróżówki pobliskiej fabryki, ale jeszcze tego nie wiedzieliśmy i wzięliśmy po kiju. Droga była piaszczysta, lecz ich końcówki uderzały w przymarzniętą ziemię jak w parkiet. Pachniało igliwiem i wakacjami, choć był środek marca i temperatura spadła poniżej zera. Na szerokiej ścieżce ślady saren, dzików i opon z grubym bieżnikiem. Nasze odciski były samotne.

Las się skończył. Krótki wykarczowany odcinek i oto Niemen. Woda w kolorze od różu poranka po ciemną stal. Po drugiej stronie krzaki podchodzą pod brzeg, dalej ściana drzew, za nią Przewałka. Tuż obok maszt z kamerami i antenami. Trzeba wracać.

Zapukaliśmy do domu na skraju lasu. Wyglądał na zamieszkany, ale cisza. Dopiero wracając, usłyszeliśmy szczekanie. W oknie skakał foksterier. Zawołaliśmy „Labas rytas". Drzwi otworzyła kobieta w swetrach i czapce. Ani młoda, ani stara. „Jeszalin!" – machnęła ręką. Powtórzyła. Zamknęła drzwi.

Na wzniesieniu stało kilka domów. Przy dwóch samochody. Szemrała woda w studzience, nikt nie otworzył. Wyżej drewniany kościół – stodoła z wieżycą. Wejście od zakrystii otwarte, wołaliśmy – cisza. Była ósma. Ptaki milkły. Co jakiś czas przejeżdżały auta do pobliskiego zakładu, gdzie stróżowały psy.

Wróciliśmy do Druskiennik i przeczytaliśmy, że najprawdopodobniej odnalazła się Anżelika Mielnikawa. Od razu powiązaliśmy to z rzeką, nad którą byliśmy.

•

Urodziła się w 1984 roku w Nieświeżu – miasteczku, w którym przez stulecia rezydowali Radziwiłłowie. Zamek, wpisany dziś na listę UNESCO, musiał być częścią jej codzienności.

Karierę w korporacji zaczęła od spotkania, które później wspominała w wywiadzie dla Naszej Niwy: „Zachodzę, a tam siedzą dziady po 60-tce w szaro-zielonych marynarkach. I czytają z notesów przygotowany tekst. A ja przyszłam energiczna, z propozycjami, z piękną prezentacją. Wydawało mi się, że w pierwszych minutach nie mogli uwierzyć, że mogę im coś opowiadać taka blondynka 26-27 lat. A potem otworzyli z powrotem swoje notesy i zaczęli za mną zapisywać".

Do 2018 roku była wiceprezeską Coca-Cola Beverages Belarus. Zarabiała na pewno bardzo dobrze, budowała życie z mężem programistą i wyjeżdżała na wakacje kilka razy w roku. Do ciepłych krajów.

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

Wszystko zmieniło się w 2020 r., po sfałszowanych wyborach prezydenckich, kiedy Aleksander Łukaszenka wobec demonstrantów rozpętał piekło przemocy.

Dwa razy zatrzymano ją na protestach w rodzinnym Nieświeżu. Dostała tylko mandaty, uniknęła aresztu, bo – jak tłumaczyła – miała małe dzieci. „Co ja mam wiedzieć? Czy ja nie mam oczu? Kiedy ludzie w Nieświeżu, z którymi dorastaliśmy razem, wysypali się z tego samochodu i pobili swoich sąsiadów. Nikt tam nie miał pistoletu ani koktajlu Mołotowa. Po prostu pobili ludzi, jakby psom powiedzieli »bierz«" – wspominała później.

Dzwonił do niej Władimir Waszczenko, ówczesny szef Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych. Znali się z czasów, gdy Coca-Cola realizowała wspólne projekty z jego resortem. Namawiał ją, by przyjechała do Mińska, „obiecując przy kawie wszystko wyjaśnić". „Miałam taki strach, ciągle jeżdżą radiowozy, kogoś zatrzymują. Mówię: »Nie, dziękuję. Nie chcę stamtąd od razu pojechać za kratki«".

Akurat wtedy jej mąż i dwie córki wyjechali najpierw do Kijowa, a potem do Polski w ramach programu Poland.Business Harbour, stworzonego dla specjalistów z branży IT, z którego po 2020 r. skorzystały tysiące Białorusinów. Anżelika szybko dostała polskie obywatelstwo dzięki korzeniom babci. W Białymstoku, polskim odpowiedniku szpiegowskiego Wiednia czy Berlina, uczyła się języka, zarządzała projektami, pomagała w fundacji „Białoruś-2020".

Kilka lat współpracowała z Pawłem Łatuszką, najpierw jako tłumaczka i autorka tekstów, potem jako doradczyni strategiczna. A więc nie z byle kim, bo Łatuszko to jeden z głównych przedstawicieli antyłukaszenkowskiej opozycji. Niegdysiejszy ambasador Białorusi w Polsce, który przeszedł na stronę demokratów i został zastępcą szefowej Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego, czyli Swietłany Cichanouskiej, prawdziwej zwyciężczyni wyborów 2020 r. – a więc kimś między emigracyjnym wicepremierem a wiceprezydentem.

●

W grudniu 2022 roku założyła w Polsce fundację Białoruś Liberty, która częściowo finansował działania Kiberpartyzantów – białoruskich hakerów i aktywistów cyfrowych oraz Rady Koordynacyjnej, struktury opozycji białoruskiej na uchodźstwie, uznawanej przez część społeczności międzynarodowej za reprezentację demokratycznej Białorusi.

W lipcu 2024 roku Anżelikę wybrano spikerką, a więc więcej niż rzecznikiem, Rady Koordynacyjnej trzeciej kadencji. Stała się trzecią osobą w białoruskim emigracyjnym rządzie. Ludzie z jej otoczenia mówili o niej krótko: człowiek Łatuszki.

W komentarzach pod tą nominacją ktoś napisał: „Już jedna nieznana młoda biznesowoman była. Skończyło się wiadomo jak. Teraz pojawia się kolejna nieznana młoda top menedżer".

To aluzja do sprawy Tatiany Zareckiej. W 2022 roku 28-letnia przedsiębiorczyni technologiczna została powołana do Białoruskiego Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego, struktury, w której kluczową rolę odgrywał Łatuszko. Miała odpowiadać za finanse i ekonomię. Po dwóch miesiącach zrezygnowała, tłumaczyła się presją i groźbami.

Szybko wyszło na jaw, że jej startup Laava Tech produkujący energooszczędne diody do farm pionowych – czyli hydroponicznych upraw w wielopiętrowych budynkach, o niskim zapotrzebowaniu na wodę, energooszczędnych i wydajnych, które według wielu ekspertów będą ekologiczną przyszłością wielkoskalowego rolnictwa – nie miał ani prototypów, ani klientów, a uzyskane z Unii dotacje – ponad 2 miliony euro – zostały prawdopodobnie zdefraudowane.

Z dokumentów, do których dotarliśmy, wynika, że w 2026 roku Europejska Prokuratura Publiczna postawiła Zareckiej zarzuty oszustwa, a estoński sąd zablokował jej konta.

●

W tle całej sprawy od początku pojawia się mężczyzna, którego białoruskie służby postawiły na drodze Mielnikawy. Aleksiej Łabiejew, z wykształcenia filolog, z zawodu funkcjonariusz KGB wyposażony w paszport „przykrywkowy", poznał ją jeszcze w Mińsku, zanim wyjechała do Polski. Potem ich drogi krzyżowały się wielokrotnie: na Kubie, na Sri Lance, w Dubaju. Według doniesień śledczych i relacji znajomych Mielnikawy, Łabiejew stosował sprawdzone techniki uwodzenia, by zyskać jej zaufanie, a następnie kontrolę.

I przez kolejn rok krążyły dwie przeciwstawne wersje.

Jedna mówiła o porwaniu lub klasycznej *honey trap*, „miodowej pułapce", czyli operacji polegającej na uwiedzeniu Mielnikawy w celu zdobycia wpływu; bądź co bądź Łabiejew to atrakcyjny, wykształcony mężczyzna.

Druga wersja – o dobrowolnym powrocie na Białoruś, co najmniej jako osoby zmuszonej do współpracy, w skrajnej wersji – świadomej agentki. Obie wybrzmiewały w komentarzach, wywiadach i spekulacjach.

Białoruskie służby są świetne w zapożyczonym od Rosjan „engagment bait". Po każdym naszym tekście WhatsApp pika: „Jak się masz?", „To ty jesteś?", Pamiętasz mnie?"

Łatuszko konsekwentnie trzymał się pierwszej. W październiku 2025 r. mówił w Bielsacie: „Jeśli ktoś powie, że była agentką służb, będę to kwestionował. Dzięki jej komunikacji Polska uznała Radę Koordynacyjną za białoruski parlament na uchodźstwie. Pytam, czy to było zadanie służb specjalnych? To ogromny minus dla nich".

Wspominał też rozmowę z Mielnikawą ze stycznia 2025 r., gdy płakała do słuchawki, bo amerykańskie finansowanie Forum Kostiuszki zostało nagle wstrzymane. „Ja zapłacę ze swoich pieniędzy" – miała powiedzieć. I zapłaciła.

Z drugiej strony Stanisława Glinnik, wiceprzewodnicząca Rady, wspominała jej dziwne wystąpienie na konferencji w Warszawie. Mówiła tylko, że chce do domu i jak jej smutno bez przyjaciół z gimnazjum, a na koniec zaczęła śpiewać piosenkę, którą na Białorusi wykonuje się na „Słowiańskim Bazarze", corocznym festiwalu w Witebsku.

Równocześnie były mąż – rozwiedli się przed 2024 rokiem – wyjechał z Polski na Białoruś 3 marca 2025 roku. W kwietniu, gdy dziennikarze „Zierkała" dodzwonili się do niego, powiedział: „Tak, dzieci są ze mną. Czekamy, aż się pojawi", w domyśle Anżelika. Rodzice Mielnikawy milczeli.

Timur Olewski, dziennikarz śledczy z portalu The Insider, mówił jesienią 2025 roku: „Nie przesądzam, że Mielnikawa od dawna wiedziała, że Łabiejew to agent. Jednak ona jeszcze przed wyjazdem z Białorusi znała go osobiście. Wokół Mielnikawy dawno snuto sieć i możliwe, że w pewnym momencie zacisnęli pętlę na szyi, zmusili do współpracy". W komentarzach pod tekstem na Naszej Niwie pojawiały się głosy, które sugerowały, że nie chodziło o pieniądze, lecz o zauroczenie.

Aleksej Leonczyk, białoruski biznesmen na emigracji, który wyznaczył nagrodę 10 tys. euro za informacje o jej losie, mówił: „Anżelika chciała zniknąć po tym, jak otrzymała zadanie, którego nie chciała wykonać – to moja taka robocza wersja". W domyśle: być może służby, gdy już ją omotały, postawiły jej ultimatum: wykonaj konkretną operację przeciwko współpracownikom. A ona, zamiast się podporządkować, uciekła.

Polska prokuratura milczała. W odpowiedzi na zapytania powtarzała, że śledztwo trwa, ale w interesie postępowania nie może ujawniać informacji. Nieoficjalnie dziennikarze TVP Info dowiedzieli się, że „zniknięcie Mielnikawy – Białorusinki, ale też Polki – nie jest priorytetem dla polskich służb specjalnych".

Były oficer kontrwywiadu, który zastrzegł anonimowość, stwierdził: „polskie służby przespały moment, kiedy tą sprawą trzeba było się zainteresować". Z kolei major Anna Grabowska-Siwiec, była oficer Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, w TVP Info powiedziała wprost: Mielnikawa „przeszła szkolenia" i „postawiono jej" w Polsce „bardzo konkretne zadania". Jej zdaniem to nie ofiara, lecz agentka, która realizowała u nas misję wywiadowczą.

●

I tu cofamy się do początku. Po powrocie znad Niemna byliśmy z dziećmi w Druskiennikach – między basenem a pracą nad materiałami – gdy w sieci pojawiły się zrzuty ekranu z wideo zamieszczonego przez trenera z klubu GYM24 w Mińsku. Na nich kobieta podobna do Mielnikawy – nowa fryzura, twarz częściowo zasłonięta – ćwiczyła na maszynach.

Zdjęcia szybko usunięto, ale ktoś zdążył zrobić zrzuty. Trafiły do Aleksandra Rykova, ukraińskiego telegramera prowadzącego na Telegramie i YouTube kanał „BalaganOFF Ukraina Białoruś". Dostał je z anonimowego konta, z którego nikt wcześniej do niego nie pisał. Sam mówi, że wahał się dwa dni, nim zdecydował na publikację.

Dlaczego akurat on je dostał? „Może dlatego, że jestem Ukraińcem i na pewno osoby, która przesłała zdjęcia, nie wydam" – mówił.

Przypomina to mechanizm, który białoruskie służby stosowały już wielokrotnie, choćby w sprawie Pawła Szarojki. W 2017 r. KGB zorganizowało prowokację wobec ukraińskiego reportera, korespondenta UNIAN. Kluczową rolę odegrał wtedy Wasilij Siemaszko, białoruski dziennikarz o niejednoznacznej reputacji. To on podrzucił Szarojce fałszywy tajny dokument, co posłużyło za pretekst do aresztowania pod zarzutem szpiegostwa.

Analiza obrazu, który dostał BalganOFF, wykonana narzędziami sztucznej inteligencji pokazała, że obszar twarzy różni się stopniem kompresji i zmiennością barw od reszty fotografii. Do ostatecznego werdyktu brakowało jednak oryginalnego wideo, które zniknęło z sieci.

W komentarzach natychmiast wybuchła dyskusja: jedni pisali, że to fejk, inni, że zdjęcia są autentyczne, tylko smartfon je „wygładził". Ktoś zauważył: „Spójrzcie na mały palec prawej ręki, wygląda dziwnie". Inny: „To śmiech przez łzy. ChatGPT powiedział, że twarz przeszła obróbkę. Tak robią WSZYSTKIE smartfony".

Kilkadziesiąt godzin później do mediów dotarła rozmowa z ojcem Anżeliki. Powiedział: „Wiem, że jest w Białorusi. Od jakiegoś czasu? No, już dawno. Wcale nie zaginęła. Z tego, co wiem, żyje i ma się dobrze. I dzieci, chyba, są z nią". Ostatni raz rozmawiał z córką zimą. „Ona powiedziała: ty do mnie nie dzwoń, ja sama będę. I czasami dzwoni. Ale numer zawsze ukryty". To podważałoby wcześniejsze doniesienia, że dzieci przebywały z byłym mężem w Mińsku.

●

W serwisach społecznościowych pojawiły się też głosy takie jak ten: „Za dużo o jakieś 1-1,5 centymetra rękawa, by ją zidentyfikować – »ta pani« miała na lewym przedramieniu duży tatuaż kończący się kilka cm nad łokciem".

Rękaw koszulki na wszystkich zdjęciach jest starannie naciągnięty, zakrywa miejsce, w którym tatuaż powinien być widoczny. Tak wykadrowane zdjęcie to nie tylko próba zamydlenia oczu i działanie na pograniczu fejku. To przede wszystkim *engagement bait*, klasyczny trick dezinformacyjny, który ma wciągnąć odbiorcę w aktywną interpretację.

Białoruskie służby od lat sięgają po sprawdzone, psychologicznie banalne narzędzia, naśladując starszych sowieckich kolegów, którzy osiągnęli w tym mistrzostwo. Już wiek temu Franciszek Alachnowicz w przejmującej relacji „W pazurach GPU" opisał analogiczną technikę: nieznajomy, jak się później okazuje, przedstawiciel służb, podchodzi do ofiary w Wilnie, udaje dawnego kolegę z Mińska i serią pozornie niewinnych, a w istocie manipulacyjnych pytań oraz komentarzy zmusza ją do tego, by sama zaczęła przypominać sobie szczegóły spotkania.

Dziś taka gra toczy się w przestrzeni cyfrowej, tylko szybciej i na większą skalę. Przykładowo po każdym naszym tekście o Białorusi na Telegramie i WhatsAppie pojawia się to samo wzmożenie: wiadomości od nieznanych osób, po polsku, rosyjsku, angielsku – „Jak się masz?", „To ty jesteś?", „Pamiętasz mnie?", „Cześć". Ktoś liczy, że za setnym razem właśnie odpowiemy, zacznie się rozmowa.

Jest też druga warstwa, subtelniejsza. Żeby mechanizm był skuteczny, musi trafić w konkretne słabości i oczekiwania odbiorcy. A białoruskie KGB wie o Polakach rzeczy kluczowe. Zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyzn, którzy przekroczyli symboliczne 45 lat. Wtedy pojawia się często kryzys tożsamościowy, potocznie, a niekiedy lekceważąco nazywany „kryzysem wieku średniego". W reakcji obronnej umysł zaczyna idealizować przeszłość, tę „bardziej uporządkowaną, czystszą, prostszą". Pojawia się nostalgia za światem, w którym role są jasne, ulice bezpieczne, a porządek wydaje się osiągalny. Białoruś jako narracja idealnie wpasowuje się w ten schemat: kraj bez „zachodniej degeneracji", z tradycyjnym porządkiem, gdzie „kobiety są kobiece", a państwo karze za byle graffiti.

I nie chodzi o to, że polscy mężczyźni są szczególnie naiwni, podszyci konserwatyzmem, który nawet u tych pozornie nowoczesnych wychodzi z czasem na jaw czy „słabi". Mechanizm jest uniwersalny, dotyczy każdego człowieka, który przechodzi kryzys sensu i zaczyna projektować własne tęsknoty na niedopowiedziany obraz. A w polskiej kulturze i historii „Wschód" od wieków pełni rolę takiego ekranu: raz jest zagrożeniem, raz mityczną ojczyzną, raz przestrzenią utraconej prostoty.

Zdjęcie z siłowni w Mińsku – z naciągniętym rękawem, z tajemniczą kobietą, która może być ofiarą, a może agentką – działa właśnie jak ten ekran. Wywołuje lukę, a nasz umysł nienawidzi pustek, musi coś z nimi zrobić, zapełnić, zasypać. Czym? Informacjami. Skąd? Z internetu.

I tu zaczyna się właściwa gra. Nie chodzi już o to, czy Mielnikawa jest agentką, czy ofiarą. Ktoś – najprawdopodobniej białoruskie służby – wrzuca celowo niekompletny obraz, dosłowny oraz sytuacji, i czeka, aż sami dopiszemy resztę. Ze swoich tęsknot, lęków i wyobrażeń. Po drugiej stronie jest już białoruski agent, który czeka na to, że powiesz za dużo, albo zechcesz z nim nawiązać kontakt. A jeśli się nie uda, to przynajmniej zawsze coś można wywnioskować – o wiedzy potencjalnych kontaktów, ich stanie ducha albo podatności danej grupy na takie czy inne bodźce lub wątki.

●

Stoimy znów na litewskim brzegu Niemna. Patrzymy przez rzekę na las, za którym leży Przewałka. To stamtąd pochodzi Jan Cierciel, dziś Iwan Tertel, szef białoruskiego KGB.

Litwini nazywają tę rzekę Nemunas, od mē mè, memelis, mimelis: „mamrota", „niemowa", „jąkała". Niemen to rzeka niema. Nie mówi, czy Mielnikawa wróciła na Białoruś sama, czy ktoś jej pomógł. Nie mówi, czy Łabiejew był kochankiem, czy tylko ogniwem w łańcuchu. Nie mówi też, co było obrazem, a co dopisaną resztą.

A właśnie w tym pęknięciu rodzi się cała historia. Sama albo z pomocą akuszerów „pagończyków". ●

eprasa.pl 05eb22389c

SAMOTNI IDĄ SZYBCIEJ

Unifikacja polityczna, europejska armia wyspecjalizowana w obronie, system zarządzania migracjami, inwestycje w badania, kulturę i młodzież.
Tyle wystarczy, żeby upadek Europy zmienił się w jej kolejny sukces

Antonio Scurati

Ile razy już to sobie powtarzaliśmy? Już chyba wszyscy jesteśmy świadomi faktu, że od wschodu zagraża nam Władimir Putin, a od zachodu Ameryka Donalda Trumpa, która najpierw nas opuściła, a potem zaczęła obrażać. Nasze europejskie wpływy na resztę świata nieustannie maleją. Zostaliśmy sami, jesteśmy osłabieni i zdesperowani – zupełnie jakby nasza własna, wielka przeszłość o nas zapomniała. Staliśmy się „małym półwyspem na kontynencie azjatyckim".

Ale może ta samotność Europy to szansa? Może niesie za sobą nie wyrok, a obietnicę?

Uważam, że nad tą samotnością należy się pochylić, poświęcić jej uwagę. Musimy wykonać jej zdjęcie lotnicze, które uniesie nas, poszerzy perspektywę zawężoną i spłaszczoną, bo skoncentrowaną na codziennych wydarzeniach, z ciasnego oglądu teraźniejszości. Musimy tylko dać zainspirować się kilku filozofom, historykom, starym mistrzom europejskiej prosperity intelektualnej.

W niedawno wydanej książce „Europa bez właściwości" niemiecki filozof Peter Sloterdijk przedstawił kontynent jako pustą scenę. Używa tej teatralnej metafory, by rzucić światło na niespotykane w historii Europy wydarzenie: rezygnację z wszelkich imperialnych ambicji. Przez tysiące lat polityka europejska odtwarzała, w mniej lub bardziej kreatywny sposób, scenariusz założycielski Imperium Romanum. Od Karola Wielkiego przez Karola V, Napoleona, królową Wiktorię i Mussoliniego, który nosił przecież mundur marszałka cesarstwa, po Hitlera, Europa polityczna była „areną ponownego przedstawienia rzymskiego systemu władzy", włącznie z niszczycielskimi i imperialistycznymi wojnami kontynentalnymi oraz obsceniczną przemocy kolonialną.

Lecz po apokalipsie drugiej wojny światowej Europa ogłosiła coś niespotykanego: rezygnację z imperialnych ambicji. Wciąż istniejące w kulturze Zachodu pragnienie odtworzenia Cesarstwa Rzymskiego powędrowało do Stanów Zjednoczonych.

Druga połowa XX wieku w Europie rozpoczęła epokę, w której nadal tkwimy, naszą teraźniejszość, a wydarzenia ostatnich miesięcy jedynie to potwierdzają. Kiedy prezydent Francji daje opór planom inwazji amerykańskiego prezydenta na Grenlandię, mówiąc „nie" nowemu imperializmowi, odwołuje się w ten sposób do dziedzictwa ojców założycieli powojennej Europy, potwierdzając ich ideę odrzucenia imperium – czego po drugiej stronie Atlantyku nigdy nie dokonano.

Co istotne: rezygnacja z imperium to suwerenna decyzja Europy spopielonej przez wojnę, głęboko zakorzenioną w jej historii, tak samo zresztą, jak nazizm i faszyzm. To nie jest powierzchowny gest narzucony z zewnątrz.

Co równie istotne, tysiąclecia dziejów Starego Kontynentu już odnotowały historie alternatywne w stosunku do imperialnej narracji. Sloterdijk zwraca uwagę przede wszystkim na dwie sceny: w roku 390 cesarz Teodozjusz, ubrany w prostą tunikę pątnika, ukląkł przed bazyliką świętego Ambrożego, biskupa Mediolanu. Był to akt założycielski władzy duchowej Kościoła katolickiego, co czasem oznaczało bycie „przeciw", a czasami „po stronie" władzy politycznej. I druga scena paradygmatyczna: ósmego kwietnia 1341 roku, w Niedzielę Wielkanocną, w Rzymie, podczas uroczystej ceremonii naśladującej splendor starożytnej stolicy cesarstwa, Francesco Petrarka został „ukoronowany" na wielkiego poetę i historyka.

Wbrew pozorom nie chodzi o odległy, zakurzony epizod. Wręcz przeciwnie – koronacja Petrarki pokazuje alternatywę wobec Europy zdominowanej przez władzę polityczną i kościelną. Nazwałbym ją „Trzecią Europą", która przyniosła światu „ładunek wiedzy", jak określił to brytyjski historyk Peter Burke. Koronacja Petrarki złotym wieńcem laurowym mówi nam przecież, że – począwszy od wczesnego średniowiecza – w nowożytnej Europie mędrzec obdarzonym ogromnym prestiżem i szacunkiem „mógł zasiadać na tronie obok przywódców panujących dynastii". Na kontynencie wyzwoliły się wówczas rewolucyjne formy energii – postępu, nieustannego uczenia się, ciągłego ludzkiego samorozwoju, wolnej nauki, współzawodnictwa i handlu, innowacyjnych rozwiązań w sztuce, nowych technik i instytucji władzy – które razem zasiliły potężny kreatywny nurt w celu „testowania zrównoważonego rozwoju" w nieprzyjaznym świecie.

> Unia Europejska to jedyne centrum władzy w skali świata, które może i musi się przeciwstawić obecnym faszyzującym tendencjom amerykańskiej administracji

•

To właśnie cechuje genealogię europejską: brak jednej daty narodzin i liczne odrodzenia. Europa nie rodzi się (i nie umiera) raz na zawsze. Uczy nas tego kolejny wielki myśliciel, Ernest Robert Curtius, na kartach „Literatury europejskiej i łacińskiego średniowiecza", godnej

FOT. SVEIN NORDRUM / GETTY IMAGES

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

podziwu książki, opublikowanej w Szwajcarii w 1948 roku, a więc pisanej w przerażającym krajobrazie ruin materialnych i moralnych, do którego Europę sprowadziła najstraszniejsza wojna w dziejach świata. Dzięki ogromnej erudycji oraz własnej oryginalnej wizji Curtius rekonstruuje mechanizm przekazywania nowożytnej literaturze europejskiej grup tematycznych, schematów narracyjnych, powtarzających się motywów, które były istotne dla kultury starożytnego Rzymu. W cieniu wojny, która, jak się wydawało, wyrwała wszelkie wspólne dla społeczności europejskiej korzenie, Curtius odnalazł właśnie zachodnią tradycję; odtworzył z ruin to, co łączy żyjących Europejczyków z pokoleniami ich poprzedników.

Curtius ma jasny, niezwiązany z imperializmem cel. „Moja książka to nie produkt ambicji czysto naukowych, lecz troski o ochronę kultury zachodniej". To te sama aspiracje, jakie mieli renesansowi humaniści, a wcześniej średniowieczni kopiści, którzy zamknięci w klasztorach przepisywali ręcznie księgi antycznej mądrości: ocalić płomień kultury wśród zawirowań dziejowych. Zresztą, jak pisał Gustaw Mahler, kolejny wielki mistrz sztuki ruin, „tradycja to nie kult popiołów, lecz kult ognia".

Tego nas uczy książka Curtiusa: nowoczesnej Europy, naszej Trzeciej Europa nie zbudujemy poprzez polityczne odtwarzanie Cesarstwa Rzymskiego, lecz poprzez dbanie o przetrwanie jądra jej kultury w ponadtysiącletniej cywilizacji. Europa to nie jednostka geograficzna, lecz cywilizacja. Pytanie o jej granice to pytanie o granice jej cywilizacji, ale również zastanawianie się nad tym, z jakich regionów i terytoriów ona znika – na przykład z Węgier Viktora Orbána.

Rdzeniem cywilizacji europejskiej jest humanizm. Co do tego nie można mieć wątpliwości. Kto je ma, stawia się poza tą konkretną, europejską cywilizacją.

Humanizm, wyjaśniony w minutę i dziesięć linijek – tak jak dziś jest to modne – to rewolucja wizji świata wynikająca z postawienia człowieka w centrum wszechświata. Już nie Bóg, tylko człowiek. A w zasadzie tylko człowiek i nic więcej – bo jaki inny byt pozostaje na świecie po wyparciu Boga? Z takiej perspektywy humanizm to samotność. Ale nie rozpaczliwa i zrezygnowana, lecz wspaniała, przyprawiająca o zawroty głowy, emancypująca forma samotności.

Wszystkie osiągnięcia cywilizacji europejskiej, te moralne i te materialne, pochodzą z tej wizji, która w renesansie przerzuciła dwukierunkowy most w stronę starożytności. To z niej właśnie biorą się uznanie i przestrzeganie praw ludzkich, ich nienaruszalność ze strony władzy politycznej i religijnej, czyli po prostu wolność i godność osoby ludzkiej. Nowoczesna Europa odradza się za każdym razem, kiedy ktoś, pchany swoimi twórczymi pasjami, upomina się o własną wolność w stosunku do władzy politycznej. To niekończące się zadanie, mówiąc słowami Sloterdijka, „polega na stopniowym oduczeniu się uległości". To definicja liberalnej demokracji.

•

Nie można jednak przejść do konkluzji bez wspomnienia o ciemnej stronie oświeconej eksplozji wiedzy wynikającej z europejskiego humanizmu, czyli o europejskich imperiach kolonialnych. Nie chodzi tu o ich ocenę, lecz o sam fakt. Nie chodzi o wychwalanie lub tęsknotę za światową hegemonię Europy w epoce nowożytnej. Wręcz przeciwnie, ja akurat błogosławię jej zmierzch. Jednak aby się przygotować do tego, co będzie po niej, musimy uznać tę dominację, zrozumieć ją, a przede wszystkim zrozumieć dalekosiężne, głębokie skutki jej końca.

„Z jakiegoś powodu, począwszy od końca XV wieku, małe państwa Europy Zachodniej, ze swoimi językami ludowymi pochodzącymi z łaciny i greki, swoją religią wywodzącą się z nauczania Żyda z Nazaretu oraz swoimi długami intelektualnymi wobec matematyki, astronomii i technologii Wschodu, wytworzyły cywilizację zdolną nie tylko do zdobycia wielkich cesarstw wschodnich i podbicia Afryki, obu Ameryk oraz Australię, lecz również do nawrócenia ludności całego świata na zachodni styl życia" – pisze profesor Niall Ferguson. „Żadna poprzednia cywilizacja nigdy nie sprawowała dominacji porównywalnej z tą, którą Zachód osiągnął nad resztą świata. W 1500 r. przyszłe mocarstwa imperialne Europy kontrolowały zaledwie 10 procent powierzchni Ziemi i nie więcej niż 16 procent jej populacji. W roku 1913 jedenaście imperiów kolonialnych kontrolowało prawie 3/5 całej powierzchni i światowej populacji oraz ponad 3/4 – zdumiewające 79 procent – globalnej produkcji gospodarczej".

Interpretacja tych wydarzeń, którą wybitny historyk cywilizacji dostarcza, jest wysoce kontrowersyjna. Według niego nawrócenie na zachodni styl życia osiągnięto „bardziej słowem niż mieczem". Wolno, a nawet należy w to wątpić. Nie ulega jednak wątpliwości, że eksplozja wiedzy, wygenerowana przez humanizm, okazała się dla powstania dominacji Zachodu o wiele bardziej rozstrzygająca niż przewaga ściśle militarna. Wolna nauka, wolność religijna, wolny handel, swoboda działalności gospodarczej – korzystały one z ogromnego wzrostu wiedzy i zarazem go zasilały, a to siłą rzeczy przeradzało się w potęgę i dominację. Nawet samo rozdrobnienie polityczne Europy na liczne niewielkie państwa walczące ze sobą, a tym samym skazane na innowacyjność i konkurencyjność, sprzyjało ich rozwojowi i przewadze względem monolitycznych, ospałych imperiów azjatyckich. Także pod tym względem nowoczesna Europa jest córką bardziej końca Cesarstwa Rzymskiego niż tego, co po nim zostało.

Lecz faktem jest, że jakkolwiek interpretować wzrost Zachodu, dialektyka wiedzy humanistycznej, która go wzniosła na wyżyny, nie tylko wyrównała i ograniczała krwawą logikę władzy politycznej, lecz także ją spotęgowała. „Nie ma świadectwa kultury, które nie byłoby zarazem świadectwem barbarzyństwa", pisał Walter Benjamin. Ogromny europejski Lewiatan powstał, aby zdominować świat także dzięki wieńcowi laurowemu Petrarki, czy nam się to podoba czy nie. Ferguson twierdzi, że „imperium to zjawisko historycznie niewystarczające do wytłumaczenia przewagi Zachodu" w epoce nowożytnej.

To chyba zbyt prosto i mocno powiedziane. By nie odbierać Europie zasług, ale też nie zdejmować z niej odpowiedzialności, lepiej byłoby przyznać, że zachodnia supremacja, przejawiała się na polu kultury, nauki, edukacji, handlu, przedsiębiorczości, finansów, w siłach jego instytucji, idei i mentalności karmionych przez humanistyczne odrodzenie, ale też wojskowości.

Ale drugiej strony tak samo ważne jest przyznanie, zwłaszcza na obecnym etapie historii, że europejski humanizm wytworzył system wiedzy i poglądów, nastawiony na nieustanną krytykę i ograniczanie władzy politycznej. W ten sposób Europejczycy otrzymali od własnej kultury narzędzia potrzebne do wyzwolenia.

•

Aby stawić czoło obecnemu kryzysowi, musimy uświadomić sobie, że nasz czas to czas końca owej dominacji. Na początku XXI wieku, po raz pierwszy od 500 lat, Zachód stracił hegemonię, a na pewno straciła ją Europa. Uważam, że nie jesteśmy w pełni świadomi ogromnych skutków psychologicznych i politycznych tego zmierzchu.

Idea schyłku to żadna nowość na Zachodzie. Przeciwnie, ona wyznacza tempo jego historii, przynajmniej od upadku Cesarstwa Rzymskiego. Perspektywa upadku jako przeznaczenia Zachodu jest przekazywana od późnego antyku do nowożytności poprzez łacińskie średniowiecze w niejednym z toposów badanych przez Curtiusa. Dzisiaj, w chwili upadku amerykańskiego imperium, kiedy sama idea Zachodu załamuje się, widmo dekadencji znów krąży nad Europą.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej nasz kontynent przeżył krótki i niesamowity czas odradzania się i wzrostu. Już wtedy ewidentnie kruszyła się jego światowa dominacja, ale konsekwencje tej utraty w pełni ujawniły się z opóźnieniem kilku dekad, pod koniec XX wieku, w momencie, kiedy wyczerpał się krótki cykl rozwojowy rozkręcony powojenną odbudową kontynentu.

Po tym, jak poświęciłem sporo czasu i tysiące stron na opowiadanie o faszyzmie w swoich powieściach i na wyszukiwanie w swoich esejach jego podobieństw i różnic w stosunku do skrajnie prawicowych ruchów politycznych rozlewających się po Europie i Ameryce, często jestem pytany o wyjaśnienie powodów gwałtownego powrotu do pokusy autorytarnej i antydemokratycznej. Nie jestem w stanie tego wyjaśnić, więc często uciekam się do sugestii, że powodem jest melancholia. W któreś smutne popołudnie końca wieku, na kacu i z telewizorem nastrojonym na martwą stację, europejski duch ogarnęła melancholia: strach pokonał nadzieję.

Coraz bardziej jestem przekonany, że czarny nastrój melancholii wyjaśnia syndrom ofiary-agresora wywołany w zachodnich narodach przez utratę dominacji ze wszystkimi tego praktycznymi konsekwencjami, na czele z imigracją osób pochodzących w dużej mierze z byłych terytoriów kolonialnych, odbieraną jako „inwazja".

Potwierdza to inna książka Sloterdijka, „Gniew i czas", w której już 20 lat temu upatrywał w thymos – pojętym jako dążenie do przemocowej samoafirmacji homeryckiego bohatera oraz gniewne poczucie żalu spowodowanego jej klęską – klucz do zrozumienia świata po upadku epoki dwubiegunowej. Już wtedy filozof widział w nim genezę suwerennościowego populizmu. W jego wizji siła napędowa tego zjawiska to „czarny i wysoce kwaśny gruczoł pod nazwą thymos, zdolny do wydzielania toksyn żalu, zemsty i politycznego odium", które, karmione przez demagogów a prawej i lewej strony, demolują demokratyczne fundamenty Europy i USA.

Toksyny żalu, zemsty i politycznej nienawiści, krążące w układzie krwionośnym Europy, już straszyły w ubiegłym stuleciu. My, Europejczycy, dobrze je znamy, zatruwały nam życie w XX wieku. Wystarczy pomyśleć o obsesyjnym, roszczeniowym i mściwym podkreślaniu upadku cywilizacji europejskiej Oswalda Spenglera w jego „Zmierzchu Zachodu", filozoficznym kompendium, służącym jako punkt odniesienia dla nazi-faszyzmu, wydanym na początku lat dwudziestych XX wieku. Gdy dziś czytamy to ponownie w poszukiwaniu podobieństw, zdumiewa zbieżność między refleksją nad Europą teoretyków dwudziestowiecznego faszyzmu a głębokim poczuciem gniewnego przygnębienia szerzącego się wśród mas popierających dzisiejszych populistów suwerennościowych. Weźmy do ręki na przykład krótki esej „Problemy Europy", który Marc Bloch – intelektualny bohater antyfaszystowskiego humanizmu – napisał w 1934 roku, a będziemy zszokowani takimi podobieństwami. Bloch omawia i poddaje krytyce stanowiska, które wyłoniły się z sympozjum o Europie zorganizowanego przez Włoską Akademię Królewską w dziesiątą rocznicę marszu „czarnych koszul" na Rzym, z udziałem znanych przedstawicieli ideologii nazi-faszystowskiej, łącznie z osławionym Alfredem Rosenbergiem, głównym nazistowskim teoretykiem rasowym. Europę zdefiniowano tam wyrażeniem, które – zauważa to sam Bloch – „nie jest wcale pozbawione głębi".

Pojęcie Europy, twierdzą zebrani, „to pojęcie kryzysu". „Pojęcie paniki", precyzuje Bloch: „strach przed śmiercią głodową, gdyż ogólnoświatowa konkurencja zagraża wielkiemu europejskiemu przemysłowi; strach przed buntami, które zachwiałyby starymi dominiami kolonialnymi; strach przed całkowicie nam obcymi rozwiązaniami społecznymi zalewającymi nasze ojczyzny; w końcu strach przed nami samymi, przed naszymi kłótniami".

Jak nie wyczuwać zatrważającego echa tych toksycznych formuł w sloganach dzisiejszych liderów populistów suwerennościowych i w silnym napływie żalu, który zatruwa codziennie miliony i miliony ich wyborców? Poczucie zdrady, klęski, opuszczenia, wywłaszczenia, zagrożenia, upadku, rozczarowania, żalu, nienawiści, mściwego gniewu. Strach przed zubożeniem, przed obcym, przed inwazją. Strach przed wielkim i strasznym światem, gdzie człowiek przestaje czuć się u siebie w domu, ponieważ nie jest już panem tego domu.

Niektórzy czołowi przedstawiciele ideologii nazi-faszystowskiej, zebrani na tym sympozjum w 1932 roku w Rzymie Mussoliniego, by-

Zachodnia supremacja przejawiała się na polu nie tylko wojskowości, również kultury, nauki, edukacji, handlu, przedsiębiorczości, w siłach jego instytucji i idei. Europejski humanizm wytworzył system wiedzy i poglądów nastawiony na nieustanną krytykę i ograniczanie władzy politycznej

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

li zgodni co do definiowania Europy jako opartej na strachu. Tak myśleli, gdyż ich cel to walka z własnym upadkiem, w rozpaczliwej i złowieszczej próbie odnowienia europejskiej dominacji nad planetą.

●

Wiemy, co było dalej. Wiemy zatem dokładnie, czego nie wolno nam robić, czuć i myśleć.

A więc dalej żyjmy złudzeniami, jeśli chcemy, ale wymażmy tę melancholijną zmarszczkę z naszych ust. Uczmy się natomiast przychylnego powitania ostatecznego schyłku imperialistycznej dominacji Europy.

W roku 2026 Europa stała się ponownie synonimem paniki. Jej kryzys ma dwie twarze. Na froncie zewnętrznym jej tożsamość potęgi politycznie na wskroś już postimperialnej naraża ją na wielu płaszczyznach na neoimperialistyczną agresję ze strony Rosji, Stanów Zjednoczonych i Chin, czyli wszystkich pozostałych mocarstw obecnych na szachownicy. Na tym polu Europa jest osamotniona. Od powrotu Trumpa do władzy stała się ostatnią potęgą polityczną i gospodarczą chroniącą wartości demokracji liberalnej, które w wyniku długiej, krwawej i burzliwej historii doprowadziły ją do rezygnacji z własnego imperium.

Przypadek Grenlandii jest znamienny. Po tym, jak Trump, opuściwszy nas w Ukrainie, zagroził inwazją na Grenlandię, Europa stała się już zupełnie samotna.

Ta wyspa to nie tylko potencjalny łup czy ofiara amerykańskiego imperializmu, lecz również jeden z ostatnich toksycznych odpadów europejskiego kolonializmu. Jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku bowiem, w tej bezkresnej krainie, włączonej w osiemnastym stuleciu w koronę małej i odległej Danii, całe zespoły duńskich lekarzy kierowały tubylców na przymusową sterylizację, wkładając spiralę w macice młodziutkich innuickich dziewcząt. Dzisiaj, po 50 latach, po odrzuceniu ponurej karty swej historii, Europejczycy stawiają na zamarzniętym gruncie Grenlandii flagę obrony demokracji, instytucji liberalnych oraz cywilizacji humanistycznej.

Na wewnętrznym kryzysowym froncie Europy dostrzec można inną wersję tego samego syndromu oblężenia: smętną namiętność milionów obywateli, którzy czują się samotni i opuszczeni, w strachu przed nadmierną i nieuregulowaną imigracją, odbieraną jako niszczycielska inwazja. Głównie tą toksyczną namiętnością żywi się popularność partii suwerennościowych, ksenofobicznych, nieliberalnych i antydemokratycznych, które chcą wznieść mur pod flagą prastarej tożsamości europejskiej – pod flagą Europy dominującej, nadal kolonizującej, a nie skolonizowanej.

Po obu stronach europejskiego kryzysu owa samotność niosłaby ze sobą – zgodnie z tym, co pisał Marc Bloch w 1934 roku – koniec „immunitetu", którym Europa cieszyła się przez wieki wobec każdej potencjalnej inwazji, kiedy mogła prosperować, idąc po linii „nieustannej ewolucji, której żaden atak od zewnątrz, żaden napływ obcych nie były w stanie przerwać ani zakłócić".

●

Jak z tego wybrnąć? Nie wybrniemy. Właśnie o to chodzi. Nie ma schronienia, nie ma żadnej drogi powrotnej. Pójdziemy dalej po naszej samotnej drodze, z wysoko podniesioną głową, a najlepiej przyspieszając krok. Samotność Europy to nie wyrok, to wyzwolenie. Zmusza nas do bycia sobą w pełni i definitywnie. Zmusza nas do stworzenia Trzeciej Europy – Europy cywilizacji humanistycznej, przeciwstawiającej się toksycznym odpadom imperium. Takie i tylko takie powinno być dziś nasze roszczenie tożsamościowe, ponieważ tym właśnie na dobre zaczęliśmy się stawać po – i wskutek – ponadtysiącletniej burzliwej, krwawej. a czasami promiennej historii.

Nasza budująca się na nowo tożsamość dziedziczy demokratyczny antyfaszyzm ojców, humanizm przodków, nauczanie starożytnych, a przyjmując ten spadek, odkrywa nową perspektywę: „poszanowanie praw ludzkich, zrównoważony rozwój, solidarność, suwerenność i niepodzielność terytorialna państw".

Cytuję słynne już przemówienie kanadyjskiego premiera Marka Carneya wygłoszone w Davos, gdzie wyliczył i dumnie uznał za własne niektóre z wartości, którymi będziemy musieli się kierować. To są wartości nadrzędne, o wymiarze strategicznym – jak jasno zaznaczył Carney: „moc mniej mocnych zaczyna się od uczciwości". Przywołuję Carneya, aby podeprzeć tezę, którą wielu mogłoby zdezawuować jako głos akademika, pięknoducha, idealisty, nie realisty. Aby stało się jasne, że samotność Europy, którą należy pielęgnować, wcale nie oznacza izolacji, lecz przeciwnie – maksymalną otwartość. Na wszystkich, ale szczególnie na tych do nas podobnych, którym tak jak nam obce jest jakiekolwiek obecne i przyszłe imperium.

Łagodne, ale i dumne przypisanie sobie tożsamości humanistycznej otwiera Europę na dialog i wymianę poglądów z całym światem; kieruje ją w stronę systematycznej wielostronności w relacjach międzynarodowych, na wyspecjalizowanie się nie w prowadzeniu wojny, lecz w dyplomacji; na odrzucenie brutalnego użycia siły, gdziekolwiek ono się pojawi.

Pod tym względem Unia Europejska to jedyne centrum władzy w skali świata, które może i musi się przeciwstawić obecnym faszyzującym tendencjom amerykańskiej administracji. Nie zrobią tego na pewno Rosja lub Chiny. Tak czy inaczej, trzeba dopisać do krótkiego wykazu Carneya z Davos także umiarkowany pacyfizm, rozsądną ochronę środowiska, wielostronność, transformację ekologiczną, kapitalizm regeneratywny – taki, który nie ogranicza się do chwalebnego ograniczania i niwelowania szkód, lecz odbudowuje społeczeństwa i przyrodę; ochronę wspólnych dóbr, instytucji demokratycznych przed każdą pokusą autorytarną. I ochronę rozumu naszego i naszych dzieci przed unicestwiającą kolonizacją cyfrową promowaną przez koncerny technologiczne – drapieżników niemal wszechmogących, ślubujących przyszłość postludzką i postdemokratyczną.

Z tej otwartej listy wynika projekt polityczny, złożony, ale na pocieszenie – częściowo wszak już zrealizowany.

Na czele listy pilnych zadań dla Trzeciej Europy widzę następujące wyzwania. Przede wszystkim, stawiając opór sile wewnętrznego populizmu, musimy dokończyć proces europejskiej unifikacji politycznej za pomocą wprowadzenia głosowania większościowego i wykluczenia tych, którzy nie podzielają wartości fundamentalnych. Uzupełniony przygotowaniem wspólnych systemów obronnych, czyli utworzeniem europejskiej siły militarnej – lecz wyspecjalizowanej w obronie, a nie w ataku. To da nam nie tylko niezależność w odpieraniu ewentualnych napaści, ale także niezależność niezbędną, aby nie wciągnięto nas w przyszłe amerykańskie wojny.

Poza tym Europa musi koniecznie stworzyć nowy, skuteczny – z poszanowaniem praw człowieka i jakości życia narodów, które przyjmują imigrantów – system zarządzania ruchami migracyjnymi. Jeśli tego nie zrobimy, nie zatrzymamy fali suwerenistów i ksenofobów.

Potem Europa musi znieść wewnętrzne bariery i podnieść wydajność, inwestując w kulturę, badania, młodzież, innowację, aby być znowu epicentrum udanej i bezkrwawej „eksplozji wiedzy".

Droga do tego, abyśmy zostali tymi, którymi byliśmy i którymi chcemy być, jest niewątpliwie długa, lecz jasno wytyczona.

„Zostań tym, kim jesteś" to dziś wyłącznie udane hasło reklamowe. Lecz na początku była to wybuchowa maksyma przejęta przez Nietzschego z ody Pindara.

Co ciekawe, inny aforyzm właśnie tego wielkiego niemieckiego filozofa dostarcza nam tymczasowej konkluzji i szerokiego programu na przyszłość w jednym: „Wielkość człowieka polega na tym, że jest on mostem, nie celem. W człowieku można kochać to, że jest on przejściem i zmierzchem. Ja kocham tych, którzy nie umieją żyć inaczej, niż zachodząc". Otóż my Europejczycy w tym burzliwym początku XXI wieku musimy nauczyć się kochać zmierzch naszej dominacji, musimy opanować humanistyczną sztukę życia w zmierzchu. Musimy się nauczyć kochać samotność Europy. ●

2026, Antonio Scurati published by arrangement with The Italian Literary Agency.Tekst pierwotnie ukazał się w „La Repubblica". Publikujemy dzięki uprzejmości The Italian Literary Agency oraz oficyny Sonia Draga.

Przełożył Mateusz Mazzini

FOT. HARALD KRICHEL/WIKIPEDIA NA LICENCJI C.C.4.0

Antonio Scurati

• Rocznik 1969. Włoski powieściopisarz, literaturoznawca, badacz języka i narracji wojennych oraz ustrojów totalitarnych. Wykłada na wydziale literatury współczesnej w Uniwersyteckim Instytucie Lingwistyki w Mediolanie. Autor nagradzanego pięcioksięgu „M" o dojściu do władzy Mussoliniego, o czasach faszyzmu i II wojny światowej we Włoszech. Felietonista „Corriere della Sera". Laureat najważniejszych włoskich nagród literackich, w tym Premio Strega. W Polsce jego książki wydaje wydawnictwa Sonia Draga. Dostępne w dobrych księgarniach i w formie e-booków na Publio.pl.

REKLAMA
Kraj/34423354

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora
1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

KULTURA OBYCZAJE

Rozbieranie do rosołu

Z RESTAURATORKĄ **MAGDĄ GESSLER,** PROWADZĄCĄ POPULARNY PROGRAM „KUCHENNE REWOLUCJE" ROZMAWIA **ANDRZEJ KULASEK**

ZDJĘCIE **MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL**

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

Co wam kurczę blade jest?!

To ta wrodzona oszczędność każe wam jeść sernik bez rodzynek?

ANDRZEJ KULASEK: „Restauratorzy często robią zakupy na promocjach, mrożą produkty i tak oszczędzają. I wydaje im się, że rosół na jednym korpusie z kury i porcji rosołowej włoszczyzny z 10 litrami wody będzie rosołem. Są pewne zasady, których nikt ich nie nauczył, bo w Polsce nie ma szkoły kulinarnej". To są pani słowa, w rozmowie z Plotkiem. Nikt nas nie uczy, jak gotować dla innych?

MAGDA GESSLER: Nasza historia bardzo nas doświadczyła i wpłynęła na dalsze pokolenia. Nauczyliśmy się żyć adekwatnie do czasów – realiów niedoboru, skromnie, za bardzo niskie pensje w czasach powojennych, za komuny.

Ale nauczyliśmy się, też, że z niczego można zrobić coś. Nasze babcie i matki były mistrzyniami kuchni! Nie dlatego, że miały dostęp do luksusów, ale dlatego, że gotowały z uważnością, sercem I szacunkiem do tego co miały pod ręką. Często wystarczyły lokalne produkty, ale też wiedza o ziemi, sezonowości I dziedzictwie.

Zauważ, że teraz często wracamy i bazujemy na tych praprzepisach. Próbujemy na nowo zrozumieć smak prostoty. Wracamy do korzeni. Kiedyś, jeśli ktoś miał rodzinę na wsi, dojście do jakiegoś gospodarstwa wiejskiego, to tę zdrową równowagę żywieniową zachowywał. Doceniało się jedzenie. Dziś często idzie się na skróty. Nie mówię, że wszyscy, ale widzę w „Kuchennych rewolucjach", że jest to tendencja.

Zupa na gwoździu.

– Tak, ale i ona może być lepsza od zupy na kościach z kurczaka...

Nic się nie zmienia?

– Zmienia, ale to proces. Dziś trzydziestokilkulatkowie odzyskują świadomość swojego zdrowia i sposobu żywienia.

Ale to nie polega na tym, że cały tydzień jedziemy na pudełkach i nie ruszamy się z pracy, żeby wyrobić najwięcej godzin. Tylko żeby samemu przygotować śniadanie i wczesną kolację po pracy. Zadbać o siebie oraz żeby posiłki stanowiły też formę spotkania i bycia ze sobą.

Bo pusta lodówka często oznacza pusty dom.

Tak, ale to są ci, którzy przychodzą do restauracji, bo szukają czegoś nowego, może właśnie odbicia od tych pudełek.

– Ja tych pudełek też wcale nie krytykuję. Jeżeli masz ochotę na kanapkę w środku pracy, a potem masz szansę na dobrą, wczesną kolację, to nie jest źle.

Wróćmy do tych restauratorów, którzy tak znęcają się nad rosołem. Nic nie drgnęło?

– Ależ skąd, są miejsca, gdzie gotuje się wspaniale, ale w dalszym ciągu są takie, gdzie zaskakują mnie brakiem podstaw, rozumu, takim jakby szachrajstwem.

No i jestem za Unią Europejską, ale mamy sytuację, że polskie mięso idzie na eksport, a u nas ląduje cielęcina z Holandii. A polska cielęcina jest najlepsza na świecie.

Pani tę holenderską rozpoznaje?

– Jak widzę kotlet cielęcy wielkości schabowego, to wiem, że to nie jest cielęcina, tylko bukacina produkowana za granicą. Wygląda bardzo ładnie, jest łatwa do przygotowania.. ale to nie smakuje cielęciną.

Kiedyś Ferran Adria, hiszpański szef kuchni, trzygwiazdkowy, zabrał mnie w Oviedo na wielkie targi produktów żywnościowych. Steki, którymi mnie poczęstował, były najlepszymi, jakie jadłam. I okazał się, że były to polskie steki! To był początek lat 90. kiedy polska jakość się budowała.

Mądrzy ludzie, jak Francuzi, Portugalczycy, Hiszpanie, Włosi szanują własne jedzenie, jedzą je i promują. A Polacy? Z wiecznym kompleksem tego, że wszystko co zagraniczne jest lepsze, więc swojego nie doceniają. A dużo polskich produktów – owoce leśne, maliny, jabłka, mięso czerwone, dziczyzna, ptactwo, grzyby są najlepsze na świecie.

FOT. MAREK PODMOKLEY / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Podczas otwarcia lodziarni Ice Queen Magda Gessler na Krupówkach w Zakopanem (8.07.2021)**

Jak widzę kotlet cielęcy wielkości schabowego, to wiem, że to nie jest cielęcina, tylko bukacina produkowana za granicą

A gdzie my w tym wszystkim? Pokutują u nas ciągle te oszczędnościowe wieki ciemne?

– Ostatnio zapanowała moda na dobre jedzenie, wspólne gotowanie, biesiadowanie. Ludzie przenoszą się między restauracjami, a domówkami.

Czyli znamy się, czy się nie znamy na jedzeniu?

– Trochę udajemy, że się znamy, a trochę zaczynamy się znać. Tworzy się pewna społeczność, która cieszy się kuchnią, żyje nią. Dla której to jest zabawa, rozrywka. Ale to jest społeczność o podwyższonym standardzie ekonomicznym.

Zatem żeby się znać na jedzeniu, trzeba mieć pieniądze?

– Powiem tak – ci ludzie robią modę na dobre jedzenie, na chodzenie w dobre miejsca. Oczywiście, często też świetnie gotują, jeżdżą po świecie, ich kubki smakowe poznały wiele nowości. I to jest super.

Natomiast „Kuchenne rewolucje" potwierdzają, że w każdym, nawet najmniejszym zakątku Polski, można znaleźć diament z ponadprzeciętnym smakiem i podejściem do gotowania, który wyczaruje magię w kuchni. Na to nie ma reguły.

Wojciech Modest Amaro powiedział, że w skali od 0 do 10 to tę znajomość jedzenia u Polaków szacuje na 1. Ale to dawno było.

– Przesada. Choć jego kuchnia jest dość unikatowa. Doceniam jego podejście i ambicje. A wracając do pytania – za kulinarną świadomość dziś wystawiłabym Polakom czwórkę.

Mówi się, że trzy nasze narodowe potrawy to kebab, pizza i sushi, choć Japończycy pewnie by popełnili seppuku, gdyby zobaczyli, co jemy, rzecz jasna z wyjątkami!

– Hmmm... Kebab jest nieszczęściem, bo tam można wsadzić wszystko. Tyle sosu i tyle różnych dodatków. Ja ubóstwiam dobry kebab, ale to, co jemy, to nie jest dobry kebab.

To jest naprawdę fast food. A sprzedawcy są bardzo zaradni, bo używając przypraw tureckich przyprawiają tak, że to jedzenie rzeczywiście przyciąga jak magnes. Ale dostać kebab z dobrej baraniny graniczy z cudem. Mówi się, że Polacy nie lubią baraniny, a to nieprawda. Tylko ona jest podawana w takiej formie, że trudno ją lubić.

Pizza w Polsce bywa bardzo dobra. Jest kilka miejsc, gdzie jest znakomita, „Flaming" w Warszawie, „Diler Pizzy" w Lublinie, „Trattoria Matteo e Raffaello" w Stroniach Śląskich – to są pizze genialne. A sushi... Ludzie jedzą, ale bardzo często nie to co najlepsze, czyli sashimi [japoński sposób serwowania ryb i mięsa na surowo], tylko gotowanego łososia, smażonego węgorza.

Nieszczęsne kebaby, sushi takie nie do końca poprawne... To może ta czwórka jest naciągana?

– Nie, naprawdę coraz częściej staramy się gotować mniej, a lepiej. Mnie się strasznie podobają te małe lokalne restauracje, nie tylko te, które są po „Rewolucjach", ale takie, które się tym rewolucjom przyglądają. Tylko często brakuje personelu, ludzi, kadr pracowniczych. Nie mamy żadnego narybku. Po prostu nie mamy szkoły kuchni.

A pani nie chce?

– Myśli pan, że mam czas?

A „Kuchenne rewolucje" to też szkoła?

– Myślę, że najlepsza, bo realna szkoła, na którą każdego stać, bo włącza telewizor.

A zdarzało się pani jeszcze zapytać: „dlaczego wy trujecie ludzi"? Czy już takich dramatycznych miejsc nie ma?

– Zawsze są. Ten program to życie. Ostatnio w restauracji w Poznaniu, w znakomitym miejscu zresztą, właściciel trzymał mięso mielone od środy do czwartku w zepsutej lodówce. To jest nie do pomyślenia!

Ale restauratorzy w Polsce coraz więcej się uczą, coraz bardziej są ambitni. Przemek Klima, szef krakowskiej „Bottiglierii 1881", który ma dwie gwiazdki Michelina jest tego najlepszym przykładem.

Mówimy o biznesie i branży diablo trudnej, w której chyba najłatwiej umoczyć pieniądze i popaść w długi.

– To jest biznes, w którym nie można trwonić pieniędzy, które się zarobi. Trzeba je inwestować. Trzeba być dobrym scenografem, psychologiem, prawnikiem I pilnować umów o najem choćby. Trzeba umieć liczyć, mieć wizję. Trzeba lubić ludzi, trzeba być empatycznym. Ba, trzeba być dobrym politykiem, widzieć, co się rozgrywa na sali, kto z kim, przy kim nie może siedzieć.

To nie prościej jest, zamiast zrobić kuchenną rewolucję, powiedzieć tym ludziom, żeby sobie odpuścili i nie pakowali się w kłopoty?

– A wy dziennikarze odpuszczacie sobie? Jeżeli proszą mnie o pomoc, to ja mówię im moją prawdę. Jak jest. W każdej kwestii. I to zarówno jeśli chodzi o to, czy w ogóle powinni dalej prowadzić restaurację, czy wydawać placki ziemniaczane ze śmietaną albo bez.

I ja nie rozstrzygam tylko problemów kulinarnych. Oczywiście 60-70 proc. problemów dotyczy kuchni, ale są też właściciele. Bo jeżeli jest tam jakiś konflikt – rodzinny, z pracownikami, zdrowotny – to trzeba to miejsce oczyścić w jakiś sposób. W ciągu tych czterech dni trzeba znaleźć przyczynę niepowodzenia tej restauracji.

„Kuchenne rewolucje" naprawdę zmieniły Polskę. Na pewno dla tych, którzy nie bali się marzyć. I o te marzenia walczyć. Ja po prostu robię wszystko, by te marzenia spełnić.

Ładna mi wróżka spełniająca marzenia, która tłucze innym talerze.

– Już coraz rzadziej. Ale czasami tak trzeba, żeby ich obudzić, bo trudno do nich dotrzeć.

Każdy z uczestników „Kuchennych rewolucji" dostaje do pani numer, na który zawsze może zadzwonić. Często to robią?

– Właśnie nie. Choć są tacy, którzy dzwonią po kilka razy. Bo nie wiedzą, jak się za to zabrać, mimo iż w programie wszystko im tłumaczę, a potem razem to gotujemy, ale bywa po prostu, że są tak zdenerwowani, że do nich to nie dociera, te przepisy gdzieś umykają.

Na przykład w restauracji we Włocławku podano mi pomidorową, zupełnie nie doprawioną. Prowadziła ją nieco zamknięta w sobie pani, która bała się mocnych smaków, taka wycofana, dość oszczędna w wyrazie. I ta zupa, zrobiona z jej pomidorów ze słoików, też była oszczędna.

Podałam jej przepis na rosół, ale efekt był żaden – bo znów wyszła woda. I to już by-

eprasa.pl 05eb22389c

ło tuż przed finałową kolacją. Myślałam, że się załamię. Kobieta inteligentna, z wiedzą o pieniądzach, ale rosół spaprała.

Jest sposób, żeby to wyciągnąć: dwa wielkie pęczki pietruszki, dwa pęczki kopru, zielony seler, cztery pomidory. Dodatkowa pieczona cebula, pęczek lubczyku i jakieś dwanaście liści laurowych. Bo u nas są trochę takie mniej laurowe niż choćby na Maderze, gdzie na gałązkach laurowych przyrządza się szaszłyki. Gałkę muszkatołową i pierz polecam niezmielone. W każdym razie nerwy panią zjadły.

Magda Gessler jest sumieniem kulinarnym Polaków?
– Więcej niż sumienia jest w tym chyba jasnowidzenia. Nie wiem nic o miejscu, nie znam adresu gdzie jadę. Znam tylko miasto, miasteczko. Nie znam typu restauracji, nazwy ani właścicieli. Mam na poznanie dwie godziny. Próbuję dań, wychodzę, a już za chwilę muszę poinformować ekipę, co zdecydowałam. Jak ma wyglądać ta restauracja, jak się ma nazywać, jaka ma być kuchnia, jakie ma być menu.

Kiedy wchodzę i widzę miejsce, jestem momentami załamana, bo trudno uwierzyć, że niektóre restauracje da się zmienić.

Był taki lokal, przy granicy czeskiej. Weszłam i myślałam, że dostanę zawału serca. Wilgotna, oskrobana piwnica z dwoma słojami na ladzie – jeden ze zmarnowanymi w occie serdelkami z ostrą papryką, a drugi z niedojrzałym camembertem w oleju najgorszego rodzaju, cebulą i czosnkiem. Podjęłam się tego, choć z zaciśniętymi zębami.

I udało się. W tej chwili ta restauracja ma obroty kilkanaście razy wyższe. A jest osiem stolików i dwie osoby w kuchni. To są małe sukcesy.

Ale ta kuchenna jasnowidzka każe nam jeść sernik z rodzynkami!
– Nic podobnego! Nikomu nie każę. Ja lubię sernik z rodzynkami i ze skórką cytrynową bądź pomarańczową.

Ale kto to widział, że sernik z rodzynkami.
– Ale co wam kurczę blade jest?! To ta wrodzona oszczędność wam każe jeść sernik bez rodzynek? Albo to Ameryka ma fatalny wpływ na polski sernik, bo zaczynamy używać sera walcowanego, a walcowany ser to jest woda i stary ser, żeby był gładki.

Czyli sernik z rodzynkami to nie grzech. A pizza z ananasem?
– Pizza może być ze wszystkim, ale niech będzie smaczna.

Jak widzę hawajską, to zamieniam ją na pizzę z bananem, czarną fasolą, sosem pomidorowym. I sadzonym jajkiem.

Wtedy ci, którzy mi proponują pizzę z ananasem, mają oczy jak spodki, bo ja proponuje im inną wyspę tropikalną jako inspirację.

A czy jest coś, za co się pójdzie do kulinarnego więzienia według Magdy Gessler?
– Za rosół zrobiony na korpusach z szybko pędzonych kurczaków. Bez warzyw, z minimalną ilością czegokolwiek.

Ten rosół to jest jakaś pani obsesja chyba. Albo misja.
– Ale jak widać wciąż trochę „impossible". Pokazuję już wszędzie, jakie powinien mieć proporcje. Niekoniecznie mięsa. To mogą być kości, ogony wołowe, trzeba tylko znaleźć dobrych dostawców, a wszyscy idą do supermarketów i albo kupują spady, albo te korpusy nieszczęsne.

A mówię o tym rosole, bo na nim bazują wszystkie polskie zupy, a Polska jest jednym z nielicznych krajów na świecie, który ma tak dobre zupy i żaden ramen nawet nie potrafi stanąć obok nich. Choćby pomidorowa. Żeby była dobra, to nie może mieć samej wody. Żeberka wieprzowe, korzenne warzywa... To są produkty, które w Polsce nie są wcale drogie.

To jaką pomidorową pani pochwali?
– Przede wszystkim taką, która jest zrobiona na dobrym rosole. Taki na osiem osób powinien mieć żeberka wieprzowe, kapustę włoską, ze cztery pory, dwa-trzy selery. Seler daje bardzo dużo smaku, podobnie jak kapusta. Z dziesięć marchewek, sporo pietruszek.

Pomidory świeże, czy koncentrat albo przecier?
– Wiadomo, że o tej porze roku pomidory są różne i też różne są budżety. Ja ubóstwiam polski koncentrat pomidorowy, bez konserwantów. Uważam, że jest zbierany wtedy, kiedy pomidory są dojrzałe i smaczne. Do tego można dodać włoskie pelati, które rozrzedzają zupę swoją słodyczą.

Można też dodać trochę świeżych pomidorów i na koniec podsmażonych na maśle. Dużo zielonego selera, dużo natki pietruszki, dużo kopru. I liście laurowe, i mielony kminek, który jest genialny, a którego Polacy w ogóle nie jedzą.

Bo jest paskudny.
– Nieprawda. Jest najlepszą przyprawą, pod warunkiem, że nie wiesz, że jest. Kminek powinien być tak zintegrowany z zupą, żeby nie było go czuć. Jest wspaniały, choćby w smażonych buraczkach, na słoninie. Zapobiega wzdęciom.

Kiszonki też nie są kiszone, bo miejsce na kiszenie kosztuje, więc woda jest chrzczona octem, a kapusta wychodzi z tego sina, blada i praktycznie niejadalna.

Śledzi się nie zasala, tylko się je bejcuje. I są w zasadzie do wyrzucenia, bo mogą mieć zarodki tasiemca, jak są nieodpowiednio zasolone. Dawniej śledzie z beczki były aż sztywne od soli, trzeba było je włożyć do wody, odsolić, dopiero włożyć do słoika, obrać, dodać mlecza, cebuli, oleju, odrobinę cytryny i to był prawdziwy śledź.

Podobnie śmietana – dziś idealna jest, jak nie smakuje niczym. Jak ja robię ptysie z prawdziwej śmietany, to ludzie mają kłopot, że ta śmietana jest lekko kwaśna. A ona jest taka, jak była przed wojną. Bo nie może być mdła.

Zaczyna rządzić, choć przebijają się ekowątki, jedzenie przemysłowe. Jak te zielone jabłka, które często nie są polskie. A przecież te nasze są najlepsze na świecie. Albo polskie pomidory – są obłędne. W życiu nie jadłam lepszych niż te z hodowli w Grudziądzu albo Kaliszu. A my szukamy i szukamy, jeździmy do Włoch, płacimy dziesięć razy tyle.

Ceny to wiadomo, temat-rzeka. W zeszłym roku ludzi podgrzała jajecznica za 67 zł w Zakopanem. Ale grzeją też: porcja pięciu połówek jajek z pieczarkami i koperkiem za 39 zł, baba drożdżowa z bakaliami za 90 zł i litr żurku za 79 zł. To są ceny U Fukiera. Drogo.

Żeby wyciągnąć spaprany rosół: dwa wielkie pęczki pietruszki, dwa pęczki kopru, zielony seler, cztery pomidory. Dodatkowa pieczona cebula, pęczek lubczyku i jakieś dwanaście liści laurowych

A z ryżem, czy z makaronem ta pomidorowa?
– Najbardziej mi smakują kładzione kluski. Albo lane. Dobrze jest do ciasta zetrzeć trochę sera typu parmezan albo bursztyn. A do zupy obowiązkowo śmietana, kremówka 36 proc., niepasteryzowana.

Jaki jest największy grzech kulinarny Polaków?
– Używanie glutaminianu sodu. Dodawanie do zup, czy do gotowania ziemniaków sody, bo wtedy się szybciej gotują. Ta soda śmierdzi.

A przecież nikt tak dobrze nie robi ziemniaków, jak Polacy. Choć Belgowie też znają się na rzeczy. Robią dobre ziemniaki, gratin, sosy. To jest świetna kuchnia.

Czy my w ogóle jemy zdrowo? Czy to nie jest taki mit, że to polskie jedzenie jest takie swojskie, naturalne? Ten chleb pachnący z brązową skórką, kiełbasy wędzone w jałowcowym dymie.
– No właśnie różnie z tym bywa. A przecież smak polskiego żurku polega na tym, że jest tam wędzonka. Biała kiełbasa powinna być grubo mielona, bez saletry. I soczysta, nie sucha, a dziś mało kto masuje mięso do kiełbas. Podobnie jest z tatarem, pasztetami. To są rzeczy, które powinny mieć masarza.

– Czynsze na Rynku Starego Miasta w Warszawie są horrendalne. Do tego pensje, prąd, woda, śmieci. Zapewniamy jedzenie z najlepszych produktów, które zbieram od producentów po całej Polsce. To jest trochę jak Rolls Royce. Fukier wyrobił sobie markę.

Można iść gdzie indziej i zjeść gdzie indziej. Ale przychodzą do nas i stają w kolejce. Fukier to niezwykła restauracja, która przywołuje ducha starej polskiej kuchni. Czułej, gościnnej, smacznej, sytej. To jest moje miejsce, któremu oddałam kawał serca.

Czyli jak przychodzi Wielkanoc czy Tłusty Czwartek i jest już taka, cytując „Misia", świecka tradycja internetowych tytułów: „Ceny cateringu u Magdy Gessler zwalają z nóg", to na pani to już nie robi wrażenia.
– Nie robi. Bo nasz pasztet jest z dziczyzny, nie z bułki, bo nóżki są prawdziwe, a nie jakieś kijowe z żelatyną, bo cielęcina jest cielęciną. Bo sami robimy kiełbasy i szynki. Jeśli są takie ceny i one są powtarzalne z roku na rok, to znaczy, że się sprawdzają.

Skoro już na Wielkanoc zeszło... Pamiętam, że kiedyś godziła pani społeczeństwo mówiąc, że ani nie kielecki, ani nie Winiary, tylko najlepszy jest majonez, który się samemu zrobi.
– To prawda.

Pani używa tylko swojego, własnoręcznie zrobionego majonezu?
– Nie tylko.

A którego?
– Albo tego, albo tego. Nie powiem, którego. Ale najlepiej dodawać swój. Ja robię z całych jajek, więc jest lekki. Daję oliwę z oliwek pół na pół z oliwą rzepakową, do tego odrobinę czosnku, ocet winny i odrobinę musztardy. I lubię też odrobinę mleka na końcu.

Sałatka jarzynowa wyłącznie z jajkiem?
– Musi być jajko, bo to jest przecież wielkanocna sałatka. Musi też być bardzo dobry ogórek kiszony, bez skórki, bo skórka wchodzi między zęby i wkurza, a poza tym sałatka przez tę teksturę jest niespójna. I ten ogórek musi być odciśnięty, żeby nie rozrzedzał sałatki.

Trzeba dać dużo selera, dużo pietruszki, marchewki – oczywiście z rosołu, ale nie przegotowane – no i sporo kwaśnego polskiego jabłka. I jeszcze grzybki marynowane, ale takie, które się nie ślinią, czyli opieńki, gąski, lub kurki. Na pewno nie prawdziwki czy podgrzybki.

Nie lubię groszku, ale ludzie lubią. Tylko nie ten mrożony, bo jest za twardy. Ohyda.

A jak ktoś dosypuje kukurydzy?
– Absolutnie nie. Nadaje się za to ziemniak, ale taki kleisty, którego się używa do klusek śląskich, nie ten sypki. No i cebula, ale dodana tuż przed podaniem sałatki. Taka słodsza, np. hiszpańska, bo polska ma za ostry smak. Powinna być przepłukana wodą zimną, odcedzona i bardzo drobno pokrojona.

Taka sałatka powinna dwie godziny macerować się w temperaturze pokojowej, bez majonezu, tylko z olejem, cukrem, solą i pieprzem. Potem włożona do lodówki – pod przykryciem! – a dopiero w dzień podania na stół dodajemy majonez.

A jakby ktoś chciał zamiast nieśmiertelnej jarzynowej, która może się komuś przejadła, podać coś innego?
– Jest taka hiszpańska sałatka, która nazywa się rusa, czyli rosyjska. Gdzie jest ziemniak rozsypujący się, taki na puree, pokrojony na grubo, marchewka, zielony groszek, oliwki i tuńczyk z oleju. Ale taki dobry tuńczyk.

Przez żołądek do serca – to prawda?
– Oczywiście.

A do łóżka?
– Też – to przecież naturalna kontynuacja wieczoru. Trzeba tylko podejść do tego z wyczuciem, bo trudno oczekiwać lekkości – w jakimkolwiek sensie – po ciężkim, sycącym posiłku. Nie bez powodu Francuzi zaczynają od ostryg, a nie od bigosu.

Lekka kolacja sprzyja nie tylko dobremu samopoczuciu, ale i nastrojowi – w końcu jelita to nasz drugi mózg, a przeciążone na noc potrafią skutecznie odebrać ochotę na wszystko inne. Może właśnie dlatego tak chętnie sięgamy po środki na wzdęcia i wątrobę – bo choć smażony schabowy z kapustą bywa kuszący, nie zawsze idzie w parze z tym, co planujemy później.

Dlatego na końcu wigilijnego wieczoru podaje się kompot z suszu, choć młodsze pokolenia coraz częściej kręcą na niego nosem. Inna sprawa, że powinna być tam śliwka nowosądecka, a nie kalifornijska. Ale ta nowosądecka jest trudna do zlokalizowania, tak samo jak dobrze ukiszona kapusta, więc ten staropolski bigos, o którym rozmawialiśmy na początku, staje się czymś niemal nieosiągalnym.

I tak kręci się ten nasz mały świat – między tym, co było, a tym, co jeszcze próbujemy ocalić. ●

eprasa.pl 05eb22389c

Z KRYTYCZKĄ LITERACKĄ **PAULINĄ MAŁOCHLEB** O JEJ AUTOBIOGRAFICZNEJ KSIĄŻCE O MACIERZYŃSTWIE „MIĘŚNIE MAM OD MIŁOŚCI" ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

ZDJĘCIE **JAKUB WŁODEK/ AGENCJA WYBORCZA.PL**

PRACA W ZAWODZIE MATKA

Moje dzieci nie były u komunii i czasem słyszałam pytania: Czy twoje dziecko nie czuje się źle z tym, że nie dostanie prezentów?
Nawet osoby uczestniczące w praktykach religijnych pytały głównie o prezenty i o naśladowanie zachowań stadnych.

Twój dziewięcioletni syn wrócił ze szkoły z problemem – nie znał historii o Judaszu. Pomyślałaś, że może trzeba było jednak go tego nauczyć?
– Nie, ale rozumiem ten dylemat. Mam wielu znajomych, którzy są niewierzący i niepraktykujący, ale wysyłają dzieci na religię po to, by poznały kontekst. Tyle że lekcje religii w szkole nie są o historii, ale przygotowują do uczestnictwa w obrządku. Uczą też akceptowania tego, co sprzeczne z porządkiem logicznym: niepokalane poczęcie, Duch Święty.

Największy mój sprzeciw budzi jedna z podwalin nauki Kościoła: wymaganie ślepego podporządkowania.

W czasie wakacji zwiedzaliśmy kościół, dzieci zobaczyły konfesjonał, pytały, co to jest. Zaczęłam tłumaczyć: – To miejsce, do którego się idzie, by księdzu opowiedzieć, co się złego zrobiło – mówię. Dzieci: Ale jak to?

Pamiętam z dzieciństwa, jak na lekcjach religii i w czasie przygotowania do komunii uczono nas, że złe rzeczy to niesłuchanie rodziców, kłótnie. Że rodzicom należy się podporządkować, a bycie grzecznym oznacza bycie cichym i posłusznym. Ja, dziewięciolatka, miałam wtedy poczucie, że jestem złym człowiekiem. Tymczasem kłótnia, opór czy to, co Kościół nazywa nieposłuszeństwem, są częścią procesu dojrzewania, budowania osobowości, wynikają często z dojrzewania układu nerwowego dzieci i nastolatków.

Prawem dziecka jest to, żeby się z rodzicami kłócić, ustalać system wartości, wyładowywać w domu po przedszkolnym i szkolnym podporządkowaniu. To może być trudne dla rodzica, ale nie jest to powód, by dziecko miało czuć się winne, bo „grzeszy", i by miało odczuwać winę i wstyd.

Wiele osób niewierzących wciąż chrzci dzieci, przygotowuje do pierwszej komunii. Dla świętego spokoju, na wszelki wypadek.
– W książce „Stygmat" Katarzyny Kwiatkowskiej-Moskalewicz przeczytałam niedawno, że w przedwojennej Polsce nowo narodzone dziecko musiało być przypisane do jakiegoś obrządku. Nie musiał to być katolicyzm, ale coś wybrać trzeba było. Czyli jeszcze sto lat temu nie można było być po prostu ateistą. Pozostaje w nas taki relikt mentalny. W którymś momencie trzeba się z nim zmierzyć, a nie żyć w ciągłym strachu, co powiedzą sąsiedzi.

Polska edukacja wciąż zakłada, że dziecko jest członkiem wspólnoty religijnej.
– Wspólnoty katolickiej. W mojej książce opisuję scenę z czasów, gdy syn chodził na nauczanie początkowe.

Nauczycielka zadała pracę domową: opisanie przygotowań do świąt Bożego Narodzenia. Podręcznik wymagał, by syn narysował, co się wkłada do koszyczka wielkanocnego.

Idiotyczne jest zakładanie, że wszystkie dzieci obchodzą święta katolickie, i to zwłaszcza w czasach, gdy w polskiej szkole pojawiają się dzieci z innych tradycji religijnych albo z rodzin ateistycznych.

Moje dzieci nie były u komunii i czasem słyszałam pytania: Czy twoje dziecko nie czuje się

eprasa.pl 05eb22389c

źle z tym, że nie dostanie prezentów? Nawet osoby uczestniczące w praktykach religijnych pytały głównie o prezenty i o naśladowanie zachowań stadnych.

Tymczasem moim dzieciom dużo częściej jest przykro z powodów ekonomicznych. Bo nie dostają Lego za trzy tysiące, bo nie latają trzy razy do roku na wakacje, bo w ferie nie były w Dubaju, nie mają Labubu ani najnowszej PlayStation – takich sytuacji w życiu mamy tysiące i trzeba się uczyć odporności na nie.

Kilka razy podkreślasz w książce, że nie odrabiacie z dziećmi prac domowych. Zaskoczyło mnie to. Rodzice odrabiają za dzieci wiele prac domowych, panuje na to ciche przyzwolenie. W końcu nikt nie chce być „gorszą matką”.

– Kiedy mój syn zaczynał edukację, dużo rozmawialiśmy ze starszymi znajomymi, którzy przez lata pomagali swoim dzieciom w lekcjach. Efektem było zmęczenie zarówno dzieci, jak i rodziców. Do tego wyuczona bezradność dzieci – podtrzymywana przez Librus, czyli dziennik elektroniczny i sposób komunikacji szkoły z rodzicami. W ciągu dnia dzieci czekały na powrót rodziców z pracy, skoro oni mieli nadzorować proces. Rodzice, zmęczeni po własnej pracy, siadali do zadań z matematyki i prac plastycznych.

Czy wspólne odrabianie lekcji może być czynnością budującą relację? Pewnie tak, ale jednak częściej odbiera dzieciom poczucie kontroli, zmusza je do pracy intelektualnej w godzinach, kiedy już powinny odpoczywać, ustawia rodziców w pozycji kontrolerów jakości i strażników.

Twoje pytanie zakłada gdzieś pod spodem, że rzucam nasze dzieci na pastwę systemu szkolnego i mam poczucie, że się muszę tłumaczyć – bardziej niż z ateizmu. Tymczasem chodzi mi tylko o taką zmianę, że nie sprawdzam plecaka mojej córki, kiedy idzie do pierwszej klasy, bo sama się pakuje. Albo nie dyryguję godzinami odrabiania lekcji, nie dopytujemy uporczywie syna: – A czy lekcje już zrobione? To by była męczarnia. Nie chcę być matką, która mówi „uczymy się do matury”.

Twoja książka to opowieść autobiograficzna, ale pełna lektur i ich interpretacji. Jedną z najciekawszych wydała mi się twoja lektura baśni Andersena o Karusi.

– U Andersena Karusia dostaje magiczne czerwone buty, które porywają ją do tańca. Zakłada je na pogrzeb swojej mamy. I zamiast rozpaczać, Karusia tańczy. Tańczy jak oszalała, nie potrafi się z tego wyzwolić, jedyny ratunek to odrąbanie nóg, którego dokonuje miejski kat.

Widzę twoją minę! To nie ja, to Andersen.

Kat struga dla Karusi drewniane nogi. Niezgrabne, w których ciężko się poruszać. Za odmowę opieki Karusia pokutuje, pracując jako służąca na plebanii, ale nie bierze udziału w życiu wiernych, bo nie ma prawa go kalać swą obecnością. Po jakimś czasie umiera. To nie jest historia o pysze, ale potrzebie wolności. Próba wyrwania się do innego świata musi zostać jednak ukarana. Czytam ją też jako metaforę bycia kobietą – próba ucieczki od obowiązków nakładanych przez społeczeństwo na kobietę musi zakończyć się karą.

Czujesz, że jesteś karana za samo bycie matką?

– Wielokrotnie. Co ciekawe, to się najczęściej zdarza w kontaktach z personelem medycznym. Wymagania, jakie stawia się matkom, są dużo wyższe niż te stawiane ojcom. Kiedy mój mąż przyszedł do przychodni z synem, lekarka wyszła z gabinetu, popatrzyła i powiedziała: – Jak mama przyjdzie, to mogą państwo wchodzić.

Mąż przyniósł wtedy do domu zapisaną czytelnym pismem kartkę, instrukcję postępowania z dzieckiem. Nigdy takich wyraźnie napisanych wytycznych nie dostałam. Ja po prostu mam wiedzieć.

Oczekuje się, że kobiety będą miały wiedzę o chorobach, badaniach, czytaniu wyników. Ile razy słyszałam: „Dlaczego dziecko nie ma zrobionych badań tego czy innego?”. Nie ma, bo nie znam się na tym i dlatego chodzę do lekarza, by mi powiedział, co mam zrobić. A nie oskarżał o zaniedbywanie dziecka. Bardzo często miałam wrażenie, że oczekuje się ode mnie specjalistycznej, pediatrycznej wiedzy. Że to moim zadaniem jest kierowanie procesem leczenia, domaganie się skierowań i badań.

Doświadczenie macierzyństwa nauczyło mnie, że patriarchat nie ma płci. Zawstydzanie czy nakładanie przesadnych oczekiwań wobec kobiet często pochodzi od innych kobiet, beneficjentami są jednak przede wszystkim mężczyźni.

Od lat mówi się o tym, że oczekiwania wobec kobiet są nierealistyczne, ale też o tym, że mężczyźni powinni bardziej angażować się w wychowywanie dzieci. Coś się realnie zmienia?

– Niestety, nie mamy żadnych twardych danych dokonanych na dużej próbie poza kilkoma socjolożkami, jak Elżbieta Korolczuk, nikt nie bada naszych zachowań rodzinnych, a GUS dopytuje o całość pracy domowej, wychowawcza się w niej mieści.

Mam perspektywę uprzywilejowaną choćby dlatego, że mieszkam w dużym mieście i żyję z człowiekiem, który wie, jak się włącza zmywarkę i sam używa odkurzacza. To sprawia, że pewne rzeczy widzę jako załatwione i zdobyte, tymczasem wiem, że wiele kobiet mierzy się z problemami takimi samymi, z jakimi mierzyły się ich matki i babki.

Natomiast nowe jest uznanie, że skoro potrzebna jest zmiana w relacjach, to powinny dokonać jej same kobiety. Chcesz żyć w równościowym związku? To zrób go sobie sama. Czyli – chcesz równości, to naucz jej swojego faceta.

Jest też inna strona tej opowieści. Moja, ta bardziej uprzywilejowana bańka, z trudem akceptuje zachowania, które uznaje za konserwatywne, jak np. przejście na urlop wychowawczy po macierzyńskim czy dłuższa rezygnacja z pracy zawodowej. Kobieta powinna być ambitna, mieć „swoje życie”, stawiać przed sobą cele, rozwijać się.

Nigdy nie dogodzimy oczekiwaniom innych. A jednocześnie logistyka opieki nad dziećmi sprawia, że czasem łatwiej zrezygnować z pracy, gdy są małe, niż szarpać się i w końcu z tej pracy wylecieć z powodu zbyt częstego wybierania opieki na dziecko. I to nie jest, jak się wydaje niektórym intelektualistom, ciekawy eksperyment i ćwiczenia z empatii, ale wymuszenie neoliberalnego rynku przerzucającego na matkę pełną odpowiedzialność za rodzinę.

Ja nie miałam tych dylematów tylko dlatego, że nie było nas stać na to, by któreś z nas przestało pracować.

Mąż przyniósł od lekarza zapisaną czytelnym pismem kartkę, instrukcję postępowania z dzieckiem. Nigdy takich wyraźnie napisanych wytycznych nie dostałam. Ja po prostu mam wiedzieć

To jak z tą zmianą?

– Może nie chodzi o to, czy przeprowadzimy zmianę, tylko czy zdamy sobie sprawę z tego, że wstyd, który chyba każda z nas kiedyś odczuwała, bo była oceniana jako dobra lub zła matka, jest naszym wrogiem.

Nie możemy być ciągle rozliczane z tego, jak wykonujemy swoją pracę na stanowisku matka. To jest dziedzictwo patriarchatu, ale dziedzictwo często przekazywane przez same kobiety. Ktoś je oceniał, więc one oceniają innych. Uświadomienie sobie, że wstyd, który czujemy, jest nam narzucony, jest pierwszym krokiem do prawdziwej zmiany społecznej.

Co więcej, zadawanie sobie pytania o to, czy jestem wystarczająco dobrą matką, też prowadzi do umocnienia wstydu – bo skupiamy się na swoim wykonywaniu obowiązków, a nie na relacji z dziećmi.

Czy od kiedy wiesz, że tak jest, twoja praca w zawodzie matki jest łatwiejsza?

– Chciałabym. W czasie ostatniej wizyty w szpitalu uniwersyteckim wysoce wyspecjalizowana pani doktor powiedziała mi: „To się mama powinna zainteresować”. Znów więc choroba dziecka to moja wina. Myślałam, że wybuchnę albo się rozpłaczę, ale odniosłam małe zwycięstwo, bo pierwszy raz w życiu nie zaczęłam się tłumaczyć.

Można przeczytać dziesiątki książek o tym, jak działa wstyd, i wciąż go odczuwać. Wiedza nie przekłada się na doświadczenia w tak prosty sposób. Ale można też przestać brać udział w konkursie o tytuł matki roku, a przynajmniej o miejsce na podium – to już pozwala trochę pooddychać.

W rozmowach o rodzicielstwie pojawiła się nowa konstrukcja: „jakościowy czas spędzony z dzieckiem”.

– To kolejna konstrukcja neoliberalno-wolnorynkowa, która ma sprawić, żeby rodzice nie mieli wyrzutów sumienia, że poświęcają dzieciom mało czasu. Ten „jakościowy czas z dzieckiem” oznacza kilka godzin w tygodniu, zazwyczaj w weekend, spędzonych na wspólnych zajęciach. Ma nas usprawiedliwić z tego, że w tygodniu dla dziecka jesteśmy głównie logistykami i kierowcami. Rynek sprzedaje ideę „jakościowego czasu”, żebyśmy więcej czasu poświęcali pracy i nie czuli się z tym źle.

Nie wierzę w to, że taki „jakościowy czas” stanie się nośnikiem w relacji z dziećmi. W każde niedzielne popołudnie będziemy grali w gry, a potem rozmawiali na istotne tematy, ale w pozostałe dni biegamy za pracą i obowiązkami. Wszystkie najważniejsze pytania moich dzieci pojawiały się w czasie jakiegoś długiego bycia razem, domowej nudy, a nie w czasie tego jakościowego czasu.

Pamiętasz takie pytanie?

– Zmywam, córka siedzi koło mnie i nagle zaczyna. Okazało się, że zapamiętała, jak w muzeum oglądaliśmy obraz Świętej Rodziny uciekającej do Egiptu. Zapytała: „Dlaczego, skoro wiedzieli, że coś się złego wydarzy, nie ostrzegli innych?”. No i tłumacz się teraz, skoro wbijasz dziecku od małego, że musi się troszczyć o innych, że wspólnota jest najważniejsza.

Piszesz, że twój syn chodzi na mecze i raczej ma inne zainteresowania niż ty. Jak się z tym czujesz?

– Akceptuję to, że moje dzieci są odrębnymi istotami. Jeż na mecze chodzi głównie ze względów towarzyskich, piłka nożna to jego hobby. Moim największym lękiem wychowawczym było to, że moje dzieci w pewnym momencie wciągnie telefon albo inne ekrany. I wtedy nie będę ich wcale widziała.

Mecz jest świętem. Rzuca wszystko, wychodzi dwie godziny wcześniej, wraca jeszcze później, bo po meczu jest cała ceremonia wspólnego jedzenia kebaba i jakichś wygłupów. I bardzo dobrze, lepiej, niż miałby siedzieć w domu przed ekranem.

Kilka lat temu zauważyłam, że jego koledzy i koleżanki zaczęli dostawać od rodziców karę pod tytułem: „Nie wychodzisz z domu”, często na wiele tygodni, aż na przykład nie poprawią wyników w nauce. A przecież kiedy odmawiamy im czasu na budowanie więzi, sami ich alienujemy, ryzykujemy ich zdrowie psychiczne i wystawiamy na zagrożenia w sieci. Do pewnego momentu rodzicom wydawało się, że kiedy dzieci spędzają czas w domu przy komputerze, to są bezpieczniejsze. Na zewnątrz ktoś je może napaść, mogą złamać nogę, pobić się z kimś, wejść w jakieś zakazane miejsca. 10 lat temu nie widzieliśmy w pełni, że te wszystkie rzeczy możliwe są też w sieci. I mam wrażenie, że nie wszyscy rodzice dzisiaj to rozumieją.

Czy jak kiedyś twoje dzieci przeczytają tę książkę, zobaczą cię inną, niż poznali?

– Pewnie tak. Natomiast, jak mnie ocenią – nie wiem. ●

Paulina Małochleb

• krytyczka, badaczka literatury i wykładowczyni. Laureatka Nagrody Prezesa Rady Ministrów, Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO, stypendystka NCK „Młoda Polska”. Autorka książki „Przepisywanie historii” oraz bloga Książki na Ostro. W Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie kieruje Ośrodkiem Komunikacji. Wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest matką dwójki dzieci.

• Paulina Małochleb **„Mięśnie mam od miłości. O macierzyństwie”,** wyd. Karakter, Kraków 2026.

eprasa.pl 05eb22389c

ROBOT I PARADOKS ISTNIENIA

Nasze cierpienie jest naszą siłą i naszym przeznaczeniem, nie oddamy go za żadne skarby.

Z **JANEM TKACZOWEM,** PSYCHIATRĄ I PSYCHOANALITYKIEM ROZMAWIA **EWA KALETA**

Pamięta pan, jak Gabor Maté powiedział, że sztuczną inteligencję i nowe technologie tworzą psychopaci?
– Po co opowiadać takie prowokujące rzeczy? Szczególnie kiedy ma się dźwignię społeczną, trzeba uważać z radykalnymi wypowiedziami.

Myślę, że ludzie byli podobnie zaniepokojeni, stając w obliczu maszyny parowej, samochodu, komputera, sieci internetowej. Teraz mamy kolejny twór: AI. Podnieca nas to, fascynuje – i słusznie. Lepiej podniecać się wynalazkami niż wojną. Wojny również biorą się z fascynacji, podniecenia, uczucia bycia przyciąganym przez coś, więc lepiej być magnetyzowanym przez to, co wytwarzamy, niż przez nienawiść.

OK, przejdźmy od razu do lęku. Zacznę od najpopularniejszego. AI odbiera nam pracę.
– Maszyna parowa też odbierała ludziom pracę, statki handlowe również. Mój ulubiony przykład to przemysł wielorybniczy, który załamał się i znikł po wynalezieniu sposobów rafinacji ropy. Za ChatemGPT możemy podać, że w niecałe 40 lat XIX wieku liczba statków wielorybniczych największej floty, czyli USA, spadła z ponad 600 do ośmiu. To dopiero był koniec pewnej epoki!

Podobnie jak samochody i internet – przypomnijmy sobie dyski CD i kasety wideo. Jesteśmy po prostu zmuszeni do szukania nowych zasad, kształcenia się inaczej. To wszystko. Nie skupiałbym się na tym, bo ostatecznie nowe wynalazki kreują nowe miejsca pracy.

Dla analityka to jasne: mamy tu do czynienia z fantazją, że sztuczna inteligencja to twór, który nas przekroczy, zdominuje swoimi umiejętnościami, bo jest sumą naszych „osiągnięć". Patrzę na to z pewnym uśmiechem. Ludzie w ogóle niewiele o sobie wiedzą.

Czego nie wiemy? Czego się boimy?
– Człowiekowi wydaje się, że jego własna kreacja go pokona. Dobrym przykładem jest Frankenstein, Golem, Terminator i tak dalej. Od zawsze człowiek chciał być Bogiem. Stąd też od zarania dziejów tworzył bogów – proszę czytać Zygmunta Freuda, on mówi dużo więcej prawdy niż współcześni profesorowie – w tym wypadku odwołuję się do „Totem i Tabu".

Boimy się, że zostaniemy pokonani przez to, co stworzyliśmy. Ale to się nigdy nie spełni. Może sama próba budzi lęk i poczucie winy. Ale prawda jest taka, że żadna ludzka kreacja nie będzie w stanie przekroczyć człowieka.

Bo człowiek jest błędem, a próbuje stworzyć ideał. Ideał nie przekracza błędu, tylko go koryguje. Żebyśmy mogli stworzyć coś, co nas przekracza, musielibyśmy stworzyć większy błąd. Nie ma na to szans – człowiek jest granicą błędu, największym możliwym, nie tylko do pomyślenia, ale również do realizacji.

Ale samochód nas przekroczył, nie wyprzedzimy auta, biegnąc. Używamy rzeczy, których nie rozumiemy.
– Ale nie boi się pani, że samochód się zbuntuje, nie otworzą się drzwi, wjedzie sam w drzewo i pani zginie, prawda?

To byłoby już diagnostyczne.
– Możemy powiedzieć, że są obszary, w których nasza kreacja nas wyręcza. Kiedy coś nas wyręcza, budzi nasz lęk. Oprócz tego, że człowiek chce być Bogiem, to jednocześnie to, co kreuje, tworzy, aby nim być, budzi jego lęk. Paradoksalne, prawda?

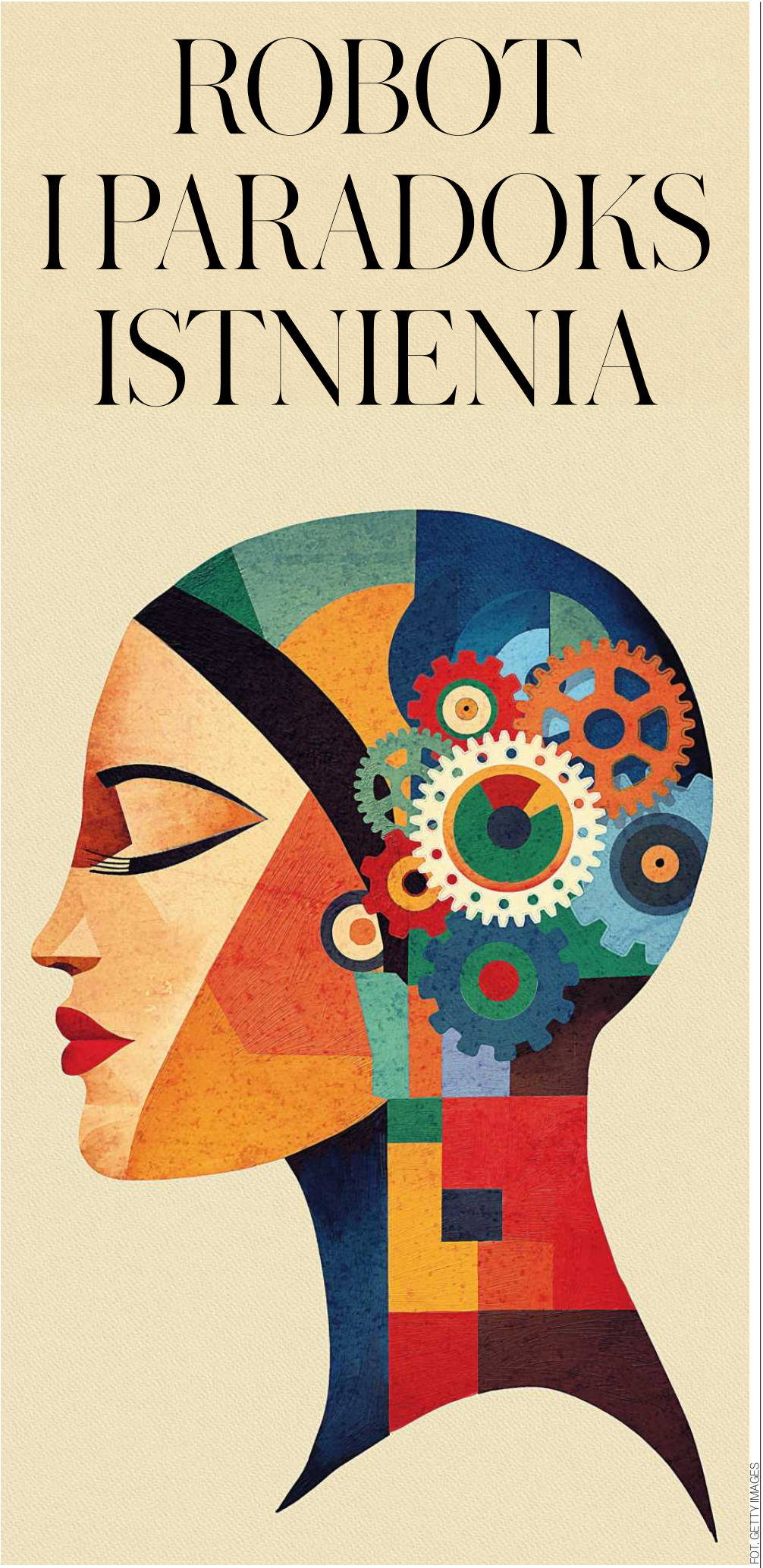

FOT. GETTY IMAGES

Kiedy oddajemy część kompetencji, boimy się. Bo rodzi się fantazja, że oddamy całą kompetencję swojego istnienia. To nie jest możliwe.

Rozumiem, ale robi się tego tak dużo dookoła. W ciągu jednego dnia korzystamy z wielu rzeczy, których nie obejmujemy rozumem. AI jest kolejnym poziomem. Może jednak stajemy się bierni i bezradni wobec kompetencji technologii?
– Psychoanalitycy są tu radykalni. I słusznie. Uważają, że wszelkie przejawy cywilizacji są jakimś tłumaczeniem, odbiciem naszego wnętrza. Nasze wynalazki nie są kwestią naszych potrzeb. Z potrzebami poradziliśmy sobie już dawno. Nasza inwencja to odbicie naszej psyche. Pokazuje, jak jesteśmy skonstruowani.

A jak jesteśmy skonstruowani?
– W taki sposób, że nigdy nie przestaniemy tworzyć i bać się tego, co stworzyliśmy. Zmieniają się tylko okoliczności, rekonfiguruje się rzeczywistość wspólna, ta, którą Freud nazwał zdroworozsądkową. Tę granicę bezustannie będziemy przesuwać dalej. Nasza rzeczywistość psychiczna pozostaje i pozostanie bez zmian.

I do czego nas to prowadzi?
– Z pewnością nie do przekroczenia naszych kompetencji jako gatunku. Proszę zauważyć, ile ludzkość poświęciła analizie Stwórcy. Jest osobna nauka – teologia, ale jest też bezkres opinii, sądów, wierzeń, narracji i tak dalej na temat Boga. No, nie jest On do pojęcia. Nie wiemy i się nie dowiemy, a zatem nie jesteśmy w stanie tego powtórzyć.

A odpowiadając na lęki dotyczące gadżetomanii współczesnego człowieka, które pani opisuje – proszę pamiętać, że człowiek oświecenia albo człowiek średniowiecza przeniesiony do czasów kamienia łupanego również by sobie nie poradził.

Stopniowanie nie ma żadnego sensu. Człowiek zawsze będzie otaczał się rzeczami, które będą powodowały, że będzie jednocześnie dążył do tego, co Freud nazywał zasadą przyjemności.

Freud jest bardzo niepopularny w dzisiejszych czasach. Wyjaśni mi pan tę zasadę przyjemności?
– Freud uważał, że dążymy do tego, aby ułatwiać sobie życie. Nazwał to zjawisko zasadą przyjemności. Ale w terminie „ułatwiać sobie życie" nie chodzi o czynności, logistykę. Chodzi o „ułatwianie" fundamentalne – a więc psychiczne.

Nasza psyche dąży do zminimalizowania dyskomfortu, napięcia. Możemy nazwać to homeostazą psychiczną, co Freud wysnuł z homeostazy fizjologicznej, bo należy pamiętać, że początkowo był neurologiem. Zresztą był to czas, kiedy naukowcy fascynowali się ciałem, tkankami i komórkami.

To dlaczego im więcej rozwiązań, tym więcej lęków?
– Dwadzieścia lat później Freud doszedł do czegoś, co zburzyło cały porządek zasady przyjemności i napisał coś całkiem nowego, niesłychanego, a mianowicie „Poza Zasadą Przyjemności".

Esej, w którym odkrywa coś, czego się nie spodziewał po człowieku – wcale nie chcemy spokoju! Można skomentować humorystycznie, że – 100 lat po Freudzie – Maryla Rodowicz się myliła, śpiewając: „Mam to, co na świecie najświętsze. Święty spokój".

Trzymając się wątku, możemy jedynie powiedzieć, że człowiek chce spokoju jako konceptu, jako idei, o której mógłby marzyć – czyli może jednak punkt dla Maryli Rodowicz?

Tworzymy gadżety, które krzyczą: pomogę ci, ulepszę, przyspieszę. Ale z tyłu drobnym drukiem napisane jest: będziesz miał z mojego powodu więcej problemów i napięcia. Tworzymy coś w nadziei na spokój, ale to, co dostajemy w efekcie, to napięcie. I to napięcie jest czymś, do czego nieświadomie dążymy.

Wie pan, nie lubię tych multimedialnych stojaków do zamawiania w McDonaldzie. Niby wszystko szybciej, niby oszczędzam czas, ale te kilkanaście sekund nic nie zmieni w moim życiu, a mogłam bądź co bądź pogadać z drugim człowiekiem.
– Podmiotowość to zdaje się clou tematu, o którym rozmawiamy. Żaden z wynalazków, AI nie wymaże naszej podmiotowości.

Chce mi pan powiedzieć, że stojak nie zastąpi nigdy człowieka, że się sami nie damy oszukać?
– Tak. Bo jesteśmy zbudowani na pewnym paradoksie. Jean-Paul Sartre powiedział, że piekło to inni, Jacques Lacan – że inni to bariera, i jest to bariera bardzo nam potrzebna. Tablica, przez którą pani zamawia w McDonaldzie, nie stanowi bariery. Jest autostradą do tego, aby pani dać pełen wybór.

Ale nam nie o to chodzi, chcemy komplikacji! I słusznie. To tak samo jak ze spokojem. Przeczuwam, że będzie okazja powiedzieć coś o agencie Smithcie z „Matrixa" i jego zastanawianiu się nad celem/przyczyną. Wtedy dojdziemy do sedna.

Porozmawiajmy o ChacieGPT.
– Jest bardziej zniuansowany niż tablice w McDonaldzie, jest w tym więcej finezji, powstaje na dużych modelach językowych. Potrafi nimi żonglować. Aby poczuć podobną frustrację do tej w McDonaldzie, trzeba z ChatemGPT spędzić więcej czasu.

Jednak prędzej czy później spowoduje podobny efekt, irytację jak przy tablicy, że działa nie tak, jak byśmy chcieli, bo za wolno, za

eprasa.pl 05eb22389c

szybko, powoduje nasze zniecierpliwienie i jest omylna.

Mam pacjentów, którzy intensywnie korzystają z ChataGPT, dzielą się z nim przemyśleniami. To bardzo pouczające i momentami humorystyczne słuchać, jak go używają.

Są ludzie, którzy bardzo poszukują jednoznaczności w tym paradoksie swojego istnienia. Cierpią i czat na jakiś czas daje im ukojenie. Bo czat potrafi konstruować banalne prawdy, które ułatwiają życie. I robi to zgrabnie. Na chwilę ułatwia, bo potrafi konsumpcję świata, rzeczywistości przetworzyć na iluzorycznie proste rozwiązania.

Ta dobra robota ma swój kres, bo za chwilę zamienia się w swoje przeciwieństwo.

Niech mi pan to jakoś wytłumaczy.
– Proszę wyobrazić sobie wstęgę Mobiusa, płaszczyznę, która jest skręcona o 180 stopni i połączona tak ustawionymi brzegami – sama ze sobą. Genialne osiągnięcie topologii. Stanowi ósemkę, która nigdy się nie kończy. Kiedy jesteśmy na jednej powierzchni, wydaje się, że ta po drugiej stronie jest inna. A wystarczy tylko się przesunąć, aby być po przeciwnej stronie.

Będąc na jednej powierzchni, nie widzimy tej drugiej. Wszystko, co robimy i co wytworzymy, zamieni się w swoje przeciwieństwo – chcąc spokoju, będziemy produkować napięcie.

Jaki to ma związek z ChatemGPT i pacjentami, którzy się nim posługują?
– Pacjenci pochwyceni przez ChataGPT ostatecznie dochodzą do wniosku, że rozmawiając z czatem, rozmawiają z dzieckiem. Bardzo inteligentnym dzieckiem bez żadnego doświadczenia życiowego. Muszą go pilnować i sprawdzać.

Sztuczna inteligencja potrafi wygenerować bardzo niespójne rzeczy. Wniosek jest taki, że maszyna mówiąca, którą jest ChatGPT, odtwarza znaki, ale mowy nie da się zbanalizować do znaku.

Próbowano mowę opanować i skodyfikować, tworząc w przeszłości nieskończone słowniki, modyfikowane bez przerwy, to był jeden z trendów rozwijania się lingwistyki. To nigdy się nie udało. Nie uda się również nowym modelom językowym.

Dlaczego? ChatGPT jest sprytniejszy niż słownik.
– Język jest zbyt żywy. Jest refleksją, odbiciem podmiotu nieświadomego.

Chodzi o to, że czat jest tylko mówieniem, a nie myśleniem?
– Tak. Czat to tylko mówienie. Czat to tylko wytresowana małpa do łączenia związków frazeologicznych i informacji, faktów. To efekt połączeń niezliczonych kombinacji. To twór matematyczny, który nie ma w sobie nic, co nazywamy myśleniem. Dlatego nazwa „sztuczna inteligencja" jest bardzo trafiona. Gdyby ktoś zmienił nazwę na „sztuczne myślenie", z pewnością podniosłoby się larum.

Inteligencja to łączenie znaków, kojarzenie tego, co znaczy coś dla kogoś. Myślenie to łączenie znaczących – co ktoś chciał powiedzieć przez to, co powiedział. Tu czat legnie ze swoją inteligencją, bo nie ma doświadczenia podmiotu.

Oczywiście czat pyta i proponuje nowe kierunki konwersacji, ale są one ostatecznie kulą w płot, bo nie ma tej bariery, o której wcześniej mówiliśmy, tylko bezkresne eksplorowanie. Kto chce czegoś takiego?

To, czego poszukujemy w szerszym kontekście, znajdujemy tylko w ludziach. Szukamy Wielkiego Innego, a jego reprezentacje znajdziemy tylko w człowieku. Ludzie mają swoją trójwymiarowość, mają głębię. I bardzo ważna rzecz – muszą funkcjonować w przeniesieniu. Bez tego wszystko wydaje się jałowe.

Ten Wielki Inny to Bóg? Ojciec?
– To wielkie uproszczenie. Wielki Inny jest tym, co nieświadome.

Ostatnio Colette Soler, znana i ceniona psychoanalityczka, liderka naszej szkoły, została zapytana w Paryżu o ChataGPT. Wie pani, co odpowiedziała?

Nie.
– Odpowiedziała poirytowana: „O co wy mnie pytacie? To przecież jest proste: ChatGPT nie ma ciała. Dla psychoanalityka to zamyka temat. Człowiek ma ciało i dopiero po wejściu języka w ciało coś jest możliwe".

„Obcy. Ósmy pasażer" nie wziął się znikąd – to też projekcja naszego nieświadomego. Język jest naszym koszmarem, naszym napięciem, naszym lękiem i naszym pasożytem.

Ale zabija nas znacznie wolniej, niż czyni to Obcy. Pozwala jednocześnie poczuć pewną satysfakcję z myślenia, z istnienia, z gniewu, z lęku, z miłości.

Czy ChatGPT boi się Obcego? W trakcie autoryzacji wywiadu zapytałem go o to. Proszę sobie wyobrazić, iż jedną z przyczyn, dla której odpowiedział, że „nie", było to, że... nie ma ciała. On może nawet rozumieć to intelektualnie, ale nie rozumie bytem.

ChatGPT nie ma ciała. Dla psychoanalityka to zamyka temat.

Co pan myśli wobec tego o robotach? Mają coś na kształt ciała.
– Masahiro Mori, japoński twórca robotów, wprowadził pojęcie „doliny niesamowitości". Twierdził, że im bardziej robot przypomina człowieka fizycznie, im bardziej jest humanoidalny, tym bardziej się go boimy.

To będzie dopiero problem, to dopiero będzie olbrzymi lęk, jeśli zaczniemy z nimi obcować. Nie wyobrażam sobie funkcjonowania z robotami. Pamięta pani, co w „Gwiezdnych wojnach" zrobił z robotami George Lucas?

Prawdę mówiąc, nie jestem znawczynią.
– OK. On je dehumanizował. Nawet ten C-3PO jest jakimś żartem na temat człowieka. I tylko dlatego może być humanoidem, bo jest kompletnie odrealniony.

Najbardziej humanoidalne są te wojownicze roboty występujące zawsze w bezmyślnych seriach, gromadnie, i dlatego tak się ich boimy. A jednocześnie przywołajmy inne sławne dzieło ekranu: „Łowcę Androidów" – nie muszę wyjaśniać: roboty identyczne z człowiekiem powodują paranoję w umyśle ludzkim, lęk przed własnym skończonym dziełem.

Mimo że skończone nie jest, bo roboty w tym filmie są nad wyraz ludzkie, lepsze niż ludzie, a więc jak postępować z bytem, któremu nie można przypisać ukrytych intencji, motywów? Podejrzewać go jeszcze bardziej!

Cały kłopot polega na tym, że żadna maszyna nie będzie w stanie zrozumieć paradoksu istnienia. Robot nie ma ciała, ma części. Myślę, że „Odyseja Kosmiczna 2001" Stanleya Kubricka, a konkretnie sceny, w których HAL 9000 sam zamyka astronautę dla jego dobra, jest najbardziej precyzyjnym oddaniem tego, jak sztuczna inteligencja nie rozumie człowieka.

O tak! Przerażająca jest jego nadmierna troska i jego wszechobecne spojrzenie.
– Lacan powiedział kiedyś: „Io sono sempre vista", nie wiedzieć czemu po włosku: „Jestem zawsze widziany". Jest to coś, co nosi w sobie Wielki Inny, co nas przeraża, to, że patrzy na nas. W ekstremalnych przypadkach doprowadza to do paranoi, do choroby psychicznej.

Wracając do robotów – nie sądzę, abyśmy w przyszłości funkcjonowali z humanoidalnymi robotami. Wydaje mi się, że do tego nie dojdzie.

Dlaczego?
– Myślę, że nie damy sobie z tym rady, one są wtedy zbyt bliskie, zbyt podobne. Będzie to doświadczenie ekstremalne nawet dla osoby perwersyjnej, która jest w stanie patrzeć na człowieka jak na obiekt, opisując w wielkim skrócie.

Dla osoby perwersyjnej nie ma znaczenia, czy obsługuje go człowiek, czy maszyna. Jest mu obojętne. Pomiędzy człowiekiem a obiektem stoi znak równości.

To dla wielu z nas, ludzi o innej strukturze, niewyobrażalne. Perwert sam dla siebie jest obiektem, czymś, więc w ten sposób ujmuje również świat zewnętrzny.

Jak u Sade'a, który próbował zrobić to na żywych ludziach, torturuje kobiety, znęca się nad nimi. Ale z każdej strony, gdzie opisane są jego działania, bije nuda. Dlatego że Sade poszukuje, ale nigdy nie znajduje. Perwert, gdyby miał do czynienia z robotem, byłby jak Markiz de Sade, który może zrobić wszystko, i to do niczego nie prowadzi. Nic nie może w ten sposób osiągnąć.

Kiedy więc patrzymy na roboty, to na kogo patrzymy?
– To zaskakujące pytanie. Odpowiedź oczywiście nasuwa się sama: na siebie. Ale dodam coś jeszcze. Patrzymy na siebie, ale jest w tym jakaś groza, to freudowskie unheimlich. To pojęcie dotyczy niesamowitości doświadczenia swojego bytu, kiedy nie jesteśmy w stanie się w nim rozpoznać.

Będąc zmęczonym, Freud wracał pociągiem z Moraw do Wiednia, wyszedł z przedziału i poszedł do toalety, nagle wracając, wzdrygnął się i przestraszył, bo zauważył czyjeś odbicie w szybie.

W pół sekundy skonstatował, że to on, że to jego własne odbicie. Siła rozumu Freuda jest niesamowita – każdy inny po prostu przeszedłby koło tego obojętnie. Freud skonstruował całą refleksję na bazie tego widoku.

Chyba rozumiem, zobaczył samego siebie, ale i coś jeszcze, w swoim odbiciu, coś obcego.
– Otóż to, właśnie. Coś jeszcze, coś trudnego do rozpoznania, coś, co budzi zaskoczenie, niewygodę, lęk. Więc robot, który byłby humanoidalny, będzie dla nas takim odbiciem, coś jest podobne do nas, ale obawiamy się, że jest w nim coś jeszcze, ta niesamowitość.

Jeśli roboty będą miały twarz, trudno będzie uwierzyć nam, że będą jedynie podawać nam herbatę. Ich przeznaczenie może być właśnie takie, ale my byśmy im w to nie uwierzyli.

Myśli pan, że obcowanie ze sztuczną inteligencją może nas wszystkich odmienić?
– Wynalazki amplifikują człowieka. Amplifikują napięcie. Ale człowiek potrzebuje napięcia, bo w większości prowadzi do rozwoju. Czasem prowadzi do lęku i impasu – i oczywiście niektórzy tak zareagują, ale większość zareaguje twórczo.

I przyczynkiem do tego jest właśnie ChatGPT. Kiedy pojawia się napięcie, możemy rzeczy puścić w ruch i wewnętrznie, i zewnętrznie. Jest powód pragnienia i obiekty pragnienia, warto wiedzieć, że to nie to samo.

Samochody, kariery, pieniądze, domy, związki, kobiety albo mężczyźni, to obiekty pragnienia, ale to tylko egzemplifikacje albo ucieleśnienia tego, co naprawdę nas napędza, co jest powodem naszego pragnienia – to zaszyte jest w nieświadomym, w unikatowym kodzie, zawsze jednostkowym dla konkretnego bytu.

Przeczytałam niedawno, że wojna jest powiązana ze skokiem technologicznym. Za mało znam się na historii, aby wygłaszać to zdanie jako przekonanie własne. Ale może pan ma jakieś intuicje.
– Tak, oczywiście, w wojnie puszcza się napięcie w ruch, właśnie na sposób perwersyjny. Ale zabijanie innych zawsze jest zabijaniem siebie, chodzi o nieznośność tego, czym jesteśmy dla samych siebie. Nienawidzę wojny, nie znoszę tych, którzy do niej nawołują, nie cierpię systemowego segregowania ludzi, nie lubię tych, którzy się zbroją. Inną rzeczą jest, że gdyby nie to, człowiek umarłby z nudów, bo – jak powiedział agent Smith w „Matrixie": „Kiedy stworzyliśmy świat idealny, całe plony zostały stracone, nikt nie zaakceptował systemu!".

To pokazuje odkrycie przez maszyny, że człowiek musi funkcjonować w jakiejś wojnie – choćby samego ze sobą, w jakimś cierpieniu – tego nie wiedział HAL 9000. To odkrycie prowadzi Smitha do dręczącego go dylematu: „What is the Purpose?". Jaka jest przyczyna, jaki jest cel?

Wie pan, co Slavoj Žižek powiedział o ChacieGPT? Właśnie mi się przypomniało.
– Nie, proszę się podzielić.

Że nie ma ryzyka, iż sztuczna inteligencja będzie się do nas upodabniać. Jest ryzyko, że my zaczniemy mówić tak jak ona i do niej się upodabniać.
– Ha, ha, ha! Žižek jest bardzo wyrazisty. Szokuje nas, i dobrze. Należy nami wstrząsać. Ale to jego zdanie jest naznaczone małą wiarą w psychikę człowieka. W siłę jego psychiki, a nie intelektu. Intelekt jest niczym w porównaniu z psychiką.

Proszę? Chyba nikt nie mówi o człowieku i jego psychice optymistycznie. Słyszę takie połączenie słów chyba pierwszy raz.
– Muszę się poprawić, użyłem skrótu myślowego.

Nie ma czegoś takiego jak siła psychiki ludzkiej, tu nie ma stopniowania. Psychika jest taka, jaka jest, jaka się wytworzyła jednostkowo, kropka. Nie można mówić, że ktoś jest silny psychicznie albo słaby psychicznie – w obu przypadkach, o jakichkolwiek przejawach byśmy mówili, jest to od dawna zdeterminowane.

Siłę ludzkiej psychiki możemy określić humorystycznie następującym zdaniem: ludzka psychika jest tak naznaczona niezdecydowaniem, że ludzkość nie potrafi załatwić sama siebie.

To nie jest możliwe. Nasze cierpienie jest naszą siłą i naszym przeznaczeniem, nie oddamy go za żadne skarby i będziemy je bez końca modyfikować, prolongować, obudowywać, unowocześniać, żeby móc go jeszcze mocniej doświadczać. ●

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak

Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 05eb22389c

AKCENT ZŁOCZYŃCY

Cel, by mówić like a Brit, to nasza trauma narodowa.

Z **AGATĄ BOROWIECKĄ***, NAUCZYCIELKĄ ANGIELSKIEGO, KTÓRA NA INSTAGRAMIE JEST ZNANA JAKO GRAMMAR MAMMA, ROZMAWIA **EDYTA BRYŁA**

ZDJĘCIE DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

– „Już wszyscy mówimy po angielsku". –
Hmm... przewracam oczami, gdy słyszę ten tekst. To taki mit, pobożne życzenie. Bo to nieprawda.

Ale ta moja diagnoza, że „nie mówimy aż tak dobrze po angielsku, jak nam się wydaje", ma też optymistyczną stronę: nie jest tak, że wszyscy inni mówią po angielsku świetnie, na poziomie C2, a ty jedna nie.

Nie jesteś żadnym „beznadziejnym przypadkiem", twoi sąsiedzi czy koleżanki z pracy też pewnie nie mówią tak dobrze, jak obiecują w CV. Więc wiesz – nie jesteś od innych gorsza, believe me.

No i ten tekst „wszyscy mówią dziś po angielsku" niesie też konkretne konsekwencje, choćby na rynku pracy.
– Niektóre osoby, które władają angielskim bardzo dobrze, uważają, że nic w tym specjalnego i że nie ma o czym wspominać; nie uważają, że powinno to wpływać na pensje, ceny zleceń, stawki.

I potem agencje oczekują perfect english za pracę za 6 tys. miesięcznie. No nie. Umiejętność poprowadzenia konferencji po angielsku – ale nie byle jak, tylko naprawdę dobrze – to niezwykła umiejętność, którą powinno się cenić odpowiednim premium fee. Bo powiedzieć po angielsku „Hello, my name is...", a z charyzmą i pewnością siebie oczarować publiczność i skupić jej uwagę – to zupełnie inne umiejętności.

Codziennie widzę rzeczy, które są źle przetłumaczone. Gigantyczne billboardy deweloperów, na których straszą językowe koszmarki. Tandetne slogany, które obok prawdziwego angielskiego nawet nie stały. Błędnie przetłumaczone komunikaty w pociągach, nieprecyzyjne tłumaczenia opisów wystaw w muzeach, nieprecyzyjne komunikaty na stronach rządowych.

Jesteś bardzo wymagająca.
– Wcale nie uważam, że dopóki nie będziesz mówić jak „królowa angielskiego", to masz się nie odzywać. Gdyby większość z nas mówiła po angielsku na poziomie B2 – czyli na poziomie dzisiejszej matury rozszerzonej – to byłoby pięknie.

Ba! Nawet jakbyśmy wszyscy jako społeczeństwo mówili na dobrym, mocnym A2, czyli poziomie matury podstawowej albo egzaminu ósmoklasisty – to też byłoby nieźle. Ale nie mówimy.

Znam mnóstwo ludzi, którzy tę maturę zdali, pracują w Warszawie dla kosmopolitycznych marek, ale na hasło „jutro masz calla z Paryżem po angielsku" – szukają wymówki, jak nie stawić się na spotkaniu. Albo dzwonią do mnie spanikowani i pytają, czy mogę przyjść na spotkanie zamiast nich. Niestety, nie mogę – takich usług nie świadczę.

I wciąż wiele osób dobrze mówić po angielsku nie będzie – sądząc po wynikach matur. Widać gigantyczne nierówności między młodzieżą z większych miast i z małych miejscowości. Ci pierwsi często mówią świetnie, przed maturą nawet nie zaglądają do podręcznika. Ci ostatni często nie mówią wcale, walczą o te 30 procent na maturze. Nie ich wina, skoro w szkole od siedmiu lat nie było anglisty albo lekcje angielskiego prowadzi pan od WF-u.

Wiele wysiłku wciąż przed nami?
– Całe swoje życie zawodowe próbuję znaleźć jakiś złoty środek: jak mówić do ludzi o angielskim, żebyśmy nigdy nie przestawali się uczyć, nie osiadali na laurach, ale też żebyśmy zrozu-

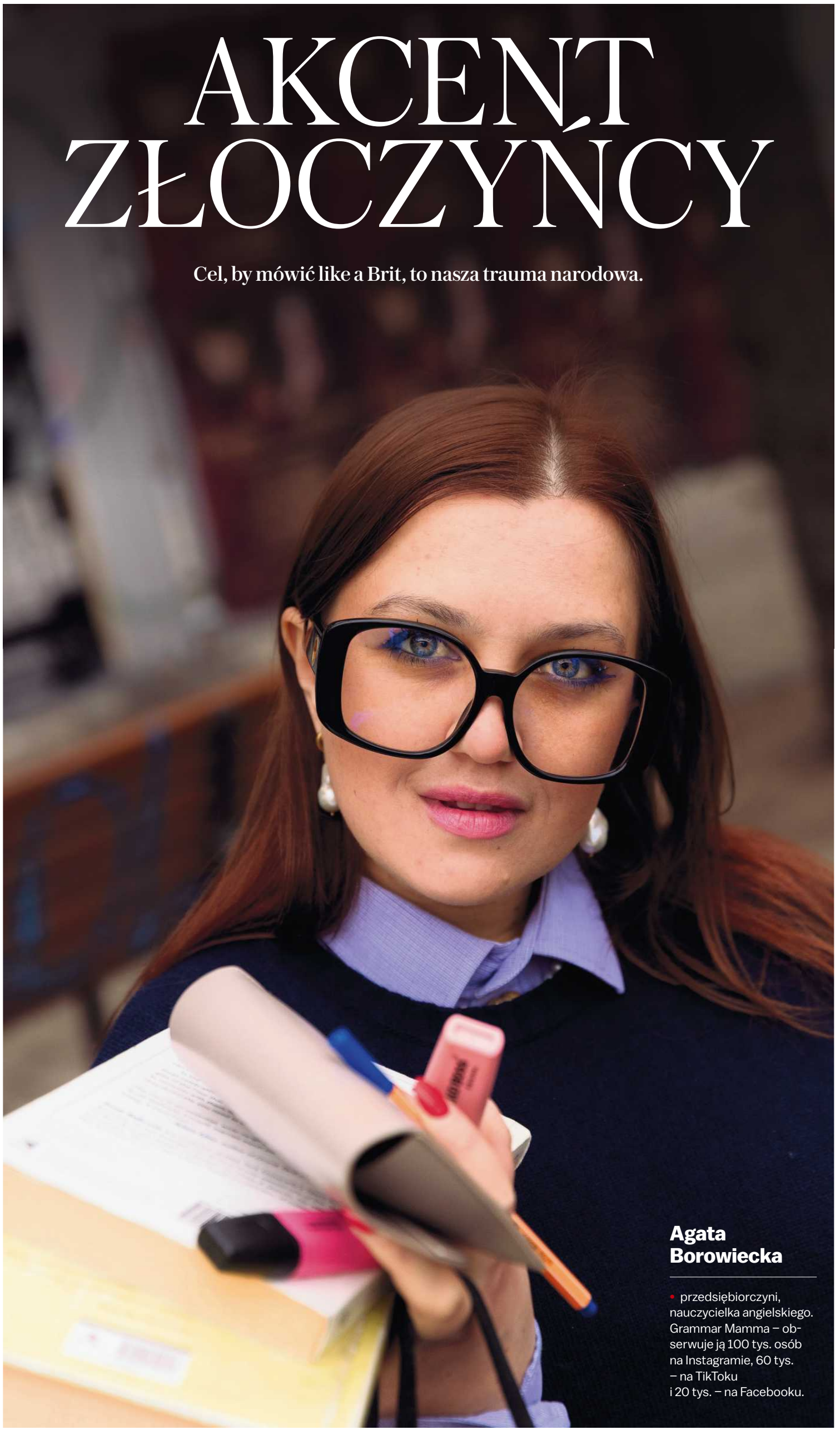

Agata Borowiecka

• przedsiębiorczyni, nauczycielka angielskiego. Grammar Mamma – obserwuje ją 100 tys. osób na Instagramie, 60 tys. – na TikToku i 20 tys. – na Facebooku.

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

mieli, że nie trzeba mówić po angielsku rewelacyjnie, i nie dali się zniszczyć kompleksom.

Temat ma warstwy. Wszystko zależy od tego, do czego potrzebujemy języka. Bo na przykład bardzo podstawowy angielski wystarczy, by przywitać swojego zięcia i umieć mu powiedzieć, że go kochasz, akceptujesz i przyjmujesz z otwartymi ramionami do swojej rodziny. To mało?

Jeśli twój angielski służy do kontaktu z dostawcą towarów w sprawie faktury, to po co ci biegłość na poziomie akademickim? Wystarczyłoby zaakceptować swoje solidne B1 czy A2 i realizować zadania.

Wtrącając trochę angielskiego w naszą rozmowę – pracodawcy, którzy oczekują perfect english za 6 tysięcy miesięcznie, są po prostu *delusional*. Czy każdy w polskiej agencji reklamowej potrzebuje C1? Wystarczyłoby zaakceptować swoje solidne B1 czy A2 i realizować zadania, *thank you very much*.

Mamy kompleksy i kochamy zasłaniać się takim tajemniczo brzmiącym „angielskim komunikatywnym". Zwykle stoi za tym to, że umieliśmy zamówić drinka w Turcji.

A przecież wszystko zależy od rodzaju wymaganej komunikacji. Jak pracujesz w logistyce i umiesz odpisać na maila, że wysłano zły towar, to masz angielski komunikatywny. A jeśli celem jest rozmowa, a boisz się odezwać – to nie masz.

Ten poziom komunikatywności będzie się wahał i zmieniał w zależności od sytuacji.

Kilka miesięcy temu publikowaliśmy rozmowę z Alexem Wooleyem, influencerem i nauczycielem angielskiego. Mówił, że to niemożliwe, by osoby, które nie są native speakerami, mówiły po angielsku na poziomie C2. Czytelnikom się to nie spodobało.

– Alex ma rację. Dlatego, że to trochę jak w fizyce, gdzie model musi się gdzieś kończyć, ale ten koniec jest teoretyczny.
C2 jest takim końcem, ostatnim punktem pewnego modelu, pewnego spektrum.
My też nie mówimy o naszym polskim, że jest na poziomie C2, tylko native.

Ale jeśli już C2 miałby się odnosić do umiejętności językowych, to byłby to poziom tak wysoki, że iluzoryczny. Możesz umieć dokonywać interpretacji, pisać teksty prawnicze, manipulować językiem, ale nikt nie zna wszystkich struktur, nikt nie rozumie wszystkich kontekstów. Wyobrażam sobie, że taki absolutnie perfekcyjny jest angielski Szekspira, ale nikt takiego nie potrzebuje. Więc dla pozostałych z nas, poza Szekspirem, ten poziom to Święty Graal. Jeżeli będziesz czekać, aż osiągniesz te C2, to potrzymam cię za rękę, gdy ci to powiem, ale to się nigdy nie wydarzy.

Jak zdrowo wyznaczyć sobie cel?

– A to pytanie mi się podoba! I tu mam złotą radę: pomyśl sobie, jak chcesz brzmieć. Język jest totalnie związany z osobowością, więc to naturalne, że wszyscy będziemy mówili różnie. Jeżeli ktoś jest nieśmiały, mówiąc po polsku, to pewnie nie będzie turbo charyzmatycznym speakerem też po angielsku. To nie jest *fail* – porażka – jeśli po angielsku zachowujesz pewną rezerwę, o ile jest zgodna z tym, kim jesteś.

Na moim przykładzie: ja od dzieciństwa mówiłam sobie, że chcę brzmieć po angielsku jak Lily Allen, moja ukochana piosenkarka, którą poznałam jako dziewczynka, oglądając angielskie MTV na kanapie u babci i dziadka. Miałam marzenie: nie osiągnąć C2, tylko być jak Lily Allen. Flirciarska, zabawna, *clever*.

Myślę, że całkiem dobrze mi to wychodzi. Widzisz – to jest cel zdefiniowany nie jako tajemniczy numerek (C1, C2, czy może D85, lol), tylko plastyczny, żywy obrazek.

Kim jest Grammar Mamma?

– Angielski był moją pierwszą miłością. Jak miałam 12 lat, wygrałam powiatowy konkurs języka angielskiego. To był taki moment, że poczułam, iż jestem w czymś dobra. W gimnazjum byłam finalistką konkursu kuratoryjnego z angielskiego – to dało mi dodatkowe punkty przy rekrutacji i mogłam pójść do liceum z maturą międzynarodową.

Miałam wyjątkowe szczęście do szkół i nauczycieli. Nauczyciele wierzyli we mnie, mówili, że jestem wyjątkowa.

Na studiach od razu zaczęłam też uczyć – prowadziłam kursy korporacyjne. Ale chciałam czegoś więcej. Od kilku lat prowadzę kanał edukacyjny na Instagramie i TikToku – tak, jestem influencerką. Ale to nie jest moją główną działalnością. Pieniądze, które tam zarabiam, mogę inwestować w swój biznes.

Czyli?

– Kończymy właśnie platformę edukacyjną dla maturzystów, której twarzą została moja siostra. Poza tym wydaję co miesiąc zeszyty ćwiczeń BUSINESS ENGLISH. I przewodniki po czasach: P*resent Simple, Present Continuous* – ot, taki mały Grammar-sklepik.

Chcę zmienić edukację – żeby była hot i sexy. Ciągle możesz znaleźć w księgarni książki do angielskiego z rozpikselowanymi zdjęciami, gdzie jako młodzieżowa gwiazda występuje Justin Timberlake. Możesz kupić podręcznik do Business English z Oxfordu albo Cambridge ze słownictwem z 2007 roku.

Są w szkołach podręczniki, których ostatnie wydanie jest z 2016 roku. Dziesięć lat ten sam podręcznik do języka, który zmienia się codziennie?! Przez ten czas wyszło dziesięć nowych iPhone'ów!

Jak chcemy sobie dowalić, krytykujemy nasz angielski

A ja właśnie dzięki podręcznikom zakochałam się jako dziecko w angielskim. Były piękne, kolorowe. Ucząc się, czułam, że jestem w kreskówce. I to była pierwsza rzecz, która sprawiła, że chciałam otwierać tę książkę – to poczucie, że to jest komiks. Chciałam żyć jak w tym podręczniku. To było eskapistyczne.

Dlatego bardzo staram się, żeby moje materiały były merytoryczne – z tego powodu siedzę całe dnie w słowniku – ale jednak z zachowaniem tego mojego pazura, takiego allure – uroku, magnetyzmu.

Mówisz po angielsku z ładnym akcentem. Jak się go nauczyłaś?

– Nie uwierzysz: z książek do fonetyki, nie z wyjazdów. Nauczyłam się angielskiego na warszawskim przedmieściu. Bardzo późno nauczyłam się akcentu, bo nie mam słuchu muzycznego, nie mam talentu. Musiałam znaleźć inny sposób.

Okazuje się, że akcent to kwestia nauki zasad. Na przykład trzeba wyraźnie wymówić spółgłoskę na końcu wyrazu – nie jak w polskim, gdzie w słowie „chleb" litera „b" brzmi jak „p". Spróbuj powiedzieć „dog", wymawiając „g" jak „g", a nie jak „k". Od razu brzmi ładniej. I już! Ładny, melodyjny akcent to suma sprytnie zastosowanych takich małych sztuczek.

Albo redukcje: w długich słowach niektóre sylaby się skraca, żeby nadać zdaniu melodię. To jak układanie kloców LEGO. Opanowanie jednej zasady ułatwia kolejne, a w efekcie brzmi się melodyjnie i przyjemnie dla ucha.

Ale jest jeszcze druga rzecz. Najtrudniejsze w nauce akcentu jest zdobycie się na odwagę, żeby przyznać przed sobą i przed innymi ludźmi, że w ogóle chcemy tak ładnie brzmieć. Że nam zależy. Wielu ludzi woli udawać, że jest im obojętne, jak brzmią. Łatwiej udawać nonszalancję, że nam to spływa, niż pokazać: *this is me trying!*

W pracy z różnymi panami prezesami w korporacjach często mówiłam: „Spróbuj powiedzieć to inaczej, żeby ładniej brzmiało", a oni: „Nie, bo się wygłupię".

Moje rodzeństwo też woli zwracać się do mnie po angielsku z bardzo silnym polskim akcentem: „Helou, aj spik wery gut". Dlaczego? Bo boją się, że ich ocenię (nie ocenię!), ciężko się odsłonić, przyznać do ambicji, do marzeń, do kompleksów.

Z moich starań też ludzie się śmieją. Na Instagramie codziennie piszą mi komentarze typu „Ho ho ho, jaki sztuczny, przegięty akcent". Ja na to odpowiadam: oczywiście, że jest sztuczny. Jestem dziewczyną z warszawskiego przedmieścia, nie z Londynu.

Ale warto w ogóle pracować nad akcentem? Czy lepiej czuć się dumnym z tego, który mamy?

– Ja stawiam na to, żeby uczyć się brzmieć ładnie. Nie „jak native speaker", tylko ładnie, melodyjnie, przyjemnie, gładko. Nigdy nie mówię ludziom, żeby brzmieli na przykład brytyjsko. Mamy prawo do swojego angielskiego – nie musimy się upodabniać ani udawać Brytyjczyka, żeby uzyskać legitymizację do mówienia po angielsku.

Lubię taki benchmark i taki cel: warto się uczyć brzmieć tak, żeby ludzie chcieli nas słuchać i z nami rozmawiać. Żeby chcieli kupować to, co sprzedajemy. A jak uczysz się poprawnej wymowy dźwięków, to możesz brzmieć dużo przyjemniej.

Często utożsamia się dobry angielski z mówieniem z akcentem native speakera. Moim zdaniem jest to błędne założenie. Nie jesteśmy native speakerami i nie będziemy mówić jak oni. Nie musimy.

Myślę, że używanie tekstów sprzedażowych typu: „mów po angielsku *like a Brit*" to totalny paździerz i amatorszczyzna. Nie musisz mówić jak English native speaker – po prostu mów po angielsku. Ewentualnie mów pięknie. Pięknie, dobrze, z pewnością siebie i charyzmą.

Stawianie takich celów, by mówić *like a Brit*, utwierdza nas w przekonaniu, że inaczej brzmimy źle. I może być rasistowskie. Czy też ksenofobiczne.

W jakim sensie?

– Jest takie pojęcie „*accentism*", czyli dyskryminacja ze względu na akcent. To pojęcie względnie nowe, raz na jakiś czas pojawia się w różnych publikacjach.

Zjawisko polega na tym, że obcy akcent automatycznie utożsamiamy z brakiem kompetencji. Wiele europejskich firm na przedstawicieli prasowych wybiera osoby z „native akcentem"; firmy importują sprzedawców z UK, bo taki akcent wzbudza zaufanie. Osoba z silną naleciałością ze Wschodu, mimo takich samych kwalifikacji, może zostać oceniona gorzej tylko ze względu na brzmienie.

Niektóre „szanujące się" start-upy nie dopuszczają, żeby ich reprezentanci z akcentem dzwonili do potencjalnych klientów. Takich historii jest mnóstwo.

Nawet im się nie dziwię, bo Hollywood nas tak przedstawia. Niezaprzeczalnie, w popkulturze czy kinie, taki wschodnioeuropejski akcent to akcent *villain* – złoczyńcy.

Tak mówią postacie złe albo przynajmniej dziwne, lub nisko w hierarchii społecznej – nawet w bajkach dla dzieci. A postacie, które mają wzbudzać naszą sympatię raczej zawsze mówią jak native speakers, a nie brzmią... za przeproszeniem... rusko.

Jeżeli jedyne osoby, które mówią tak, jak my w serialach, filmach, telewizji, kryminałach, to sprzątaczka albo morderca czy gwałciciel – no to łatwo jest sobie w głowie zakodować, że to jest złe. Oho, foreign accent – uważaj, on zaraz spróbuje cię zaciągnąć w ciemną alejkę.

Dlatego też potem Polacy czepiają się nawzajem o drewniany akcent. Pod tą złośliwością kryje się w rzeczywistości trauma narodowa. Świat zewnętrzny nauczył nas, że nasz akcent jest powodem do wstydu. Jak chcemy sobie dowalić, krytykujemy nasz angielski.

To stało się rodzajem uniwersalnej obelgi, której używamy, gdy brakuje nam merytorycznych argumentów. To ten sam typ czepiania się, co uwagi o wyglądzie czy cechach fizycznych – niemający nic wspólnego z rzetelną analizą merytoryczną.

Podasz przykłady tego accentismu w telewizji?

– Och, to są subtelności! Typu *blink-and-you'll-miss-it*, ale jakże liczne. W jednym z sławniejszych sitcomów świata, „How I Met Your Mother", ciężarna Lily chodzi do ginekolożki. Ta ginekolożka, brzmiąca wschodnio, mówi pacjentce, że może pić alkohol: *„a little bit, yes"* – tak, trochę można.

Żart polega na tym, że lekarka jest „podejrzana", a tę podejrzliwość co do jej kompetencji wzbudza właśnie jej akcent.

Z kolei w „Seksie w wielkim mieście" jest Aleksander Petrovsky – którego, swoją drogą, gra rosyjski baletmistrz [Michaił Baryszników] – i ten jego silny wschodni akcent to element jego mrocznej strony, egzotyki. Mr Big: romantyczny, przystojny, wymarzony. Aleksander Petrovsky: ciemny, niebezpieczny, który w końcu uderza naszą Carrie Bradshaw w twarz. Cóż, kropki się łączą.

Pamiętam, że gdy po raz pierwszy dzwoni do Carrie, ta odkłada słuchawkę, bo twierdzi, że nie rozumie ani słowa. A on mówi tylko „is this Carrie Bradshaw?". A gdy już randkują, ona twierdzi, że nie rozumie połowy z tego, co on mówi.

– No właśnie! To, że on nie jest native speakerem, staje się jakby jego osobowością. They're making it a big deal. Umawianie się z non-native speakerem pokazane jest jako naprawdę egzotyczne, obce, dziwne, niespotykane.

I jeszcze jest Magda – chyba z Ukrainy – pomoc domowa Mirandy. Magda wyciąga Mirandzie wibratory z szafki i chowa tam figurkę Matki Boskiej, czym ma symbolizować wschodnioeuropejski zaścianek. Przekonuje do pieczenia ciast, każe cieszyć się z poczęcia chłopca, bo to wróży szczęście. Kobieta z Europy Wschodniej reprezentuje wszystko, czego kosmopolitka Miranda nie chce dla siebie.

Jest też Maria – luksusowa prostytutka, Włoszka. Sypia z bogatymi mężczyznami, których być może jej egzotyczny i niepoprawny angielski kręci i podnieca.

Zabawne, bo poznałam reżyserkę odcinka, w którym pojawia się Maria i jej *„foreign"* angielski. Susan Seidelman jest wspaniała i absolutnie nie posądzam jej o ksenofobię ani celowe uleganie brzydkim etnicznym stereotypom. To raczej nasza zbiorowa halucynacja: przyzwyczailiśmy się do kojarzenia akcentu z czymś złym, śmiesznym – i nawet nie zauważamy tych uprzedzeń.

Poprawność polityczna każe mówić, że wszystkie akcenty są piękne, ale nie rozwiązuje to żadnego problemu. Jak masz zły akcent w złym miejscu, to możesz oberwać: stracić pracę, przegapić awans, whatever. Albo nie dostaniesz pracy wcale. Albo twój biznes nie wygra przetargu.

Ale coś wam powiem, uroczyście oświadczam: obiecuję wam, że w dniu, kiedy świat stanie się równy i porzuci stereotypy, tego samego dnia ja swój *(fake) British accent* też porzucę. *You have my word.* ●

eprasa.pl 05eb22389c

FORTEPIAN
Z XIX WIEKU PRZYGARNĘ

Filip Bobrowski przeczytał mail: „W garażu pod Kaliszem stoi stary fortepian. Powinieneś tam pojechać. Może ma jakąś wartość". Na miejsce dotarł w ostatniej chwili.

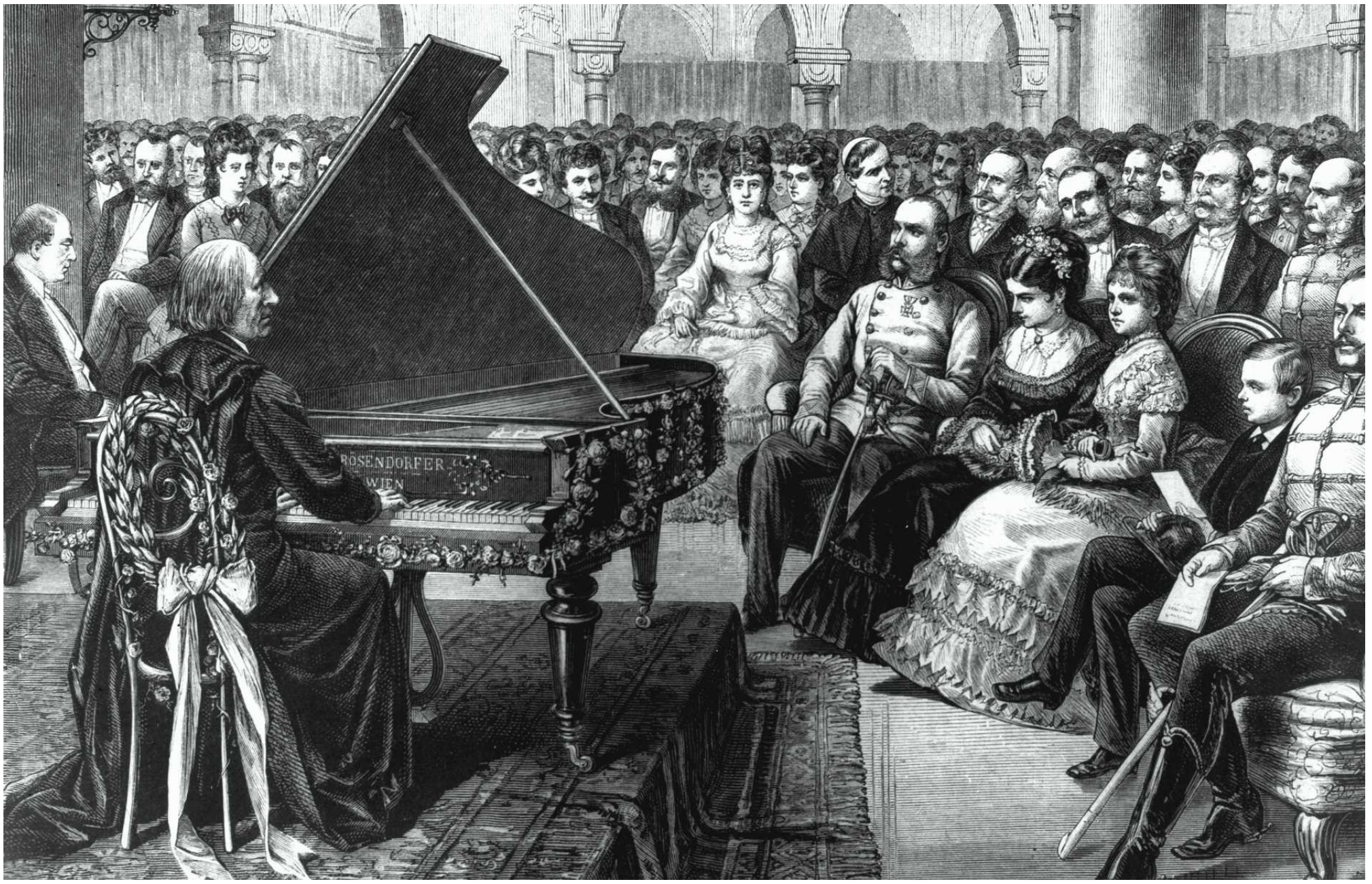

• **Franciszek Liszt (1811-86), węgierski pianista i kompozytor, gra koncert dla cesarza Austrii Franciszka Józefa I. Zamek Królewski w Budapeszcie, 18.03.1872 r.** FOT ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Anna S. Dębowska

Filip Bobrowski ma 25 lat, jest absolwentem klasy fortepianu Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. W internecie dał ogłoszenie, że szuka starych instrumentów klawiszowych. Ktokolwiek widział, niech da mu sygnał. Bo XIX-wieczne fortepiany to jego pasja.

W garażu pod Kaliszem odkrył instrument z korpusem z cennego drewna: mahoniu tygrysiego.

Przetrwała klawiatura pokryta kością słoniową i mechanizm młoteczkowy, chociaż myszy zjadły skórę i filc. Struny były skorodowane. Nogi instrumentu pogryzło jakieś zwierzę – nie ulegało wątpliwości, że trzeba będzie odtworzyć charakterystyczne żłobkowania.

Klapa instrumentu była pokryta śladami cięć, plamami krwi i tłuszczu. – Od razu pomyślałem, że zrobiono z niej stół rzeźniczy lub kuchenny – mówi Bobrowski.

Dyplom uzyskał w klasie profesora Karola Radziwonowicza, teraz studiuje grę na fortepianie historycznym pod kierunkiem profesor Marii Gabryś-Heyke. – Nie ma nic piękniejszego niż słuchanie Chopina granego na XIX-wiecznym fortepianie – mówi.

Dzięki pasji poszukiwacza skarbów ma teraz w domu cenny instrument po renowacji, na którym może ćwiczyć do woli. I poznawać jego specyfikę.

Im starsze, tym lepsze

Fortepiany historyczne budzą zainteresowanie słuchaczy od kilkudziesięciu lat. To efekt działalności wybitnych muzyków, którzy w latach 80. XX wieku po pioniersku zaczęli wykonywać na instrumentach historycznych muzykę doby baroku i klasycyzmu.

Ruch ten nazwano HIP – Historically Informed Performance. Po polsku to wykonawstwo historycznie poinformowane, choć mówi się też o tzw. stylowych wykonaniach. Narastał przez dziesięciolecia i stał się niezwykle modny na przełomie XX i XXI wieku. Powstawały wówczas orkiestry grające na instrumentach historycznych, wykonujące symfonikę doby klasycyzmu, zapomniane barokowe opery. Muzyka ta nabrała blasku, ujawniła swoistą ekspresję i logikę, nieosiągalną na współczesnych modelach instrumentów.

Równocześnie w archiwach odkrywano mnóstwo arcydzieł i traktatów na temat praktyki wykonawczej, które stały się wskazówką dla muzykologów, a przede wszystkim dla wykonawców.

Dziś historyczne praktyki wykonawcze to oddzielna gałąź kształcenia, która wyrosła także w polskich akademiach muzycznych.

W świecie pianistyki również zaczęto interesować się tym, jak mogły brzmieć dzieła Chopina i jego współczesnych w czasach, gdy nie znano jeszcze wielkich, dających potężny dźwięk czarnych fortepianów Steinwaya czy Yamahy, a używano mniejszych, subtelniejszych instrumentów z wytwórni Pleyela, Erarda czy Broadwooda.

Inna budowa, inne materiały, mechanika i sposób wydobycia dźwięku, delikatniejsze struny i młoteczki – wszystko to, co zamilkło na wiele dekad, w XXI wieku przykuło uszy muzyków i słuchaczy. A znane dzieła fortepianowe nabrały innego kolorytu dźwiękowego.

Od 20 lat odbywa się w Warszawie festiwal „Chopin i jego Europa" organizowany przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, gdzie rozbrzmiewa przede wszystkim fortepian historyczny.

Ponadto Instytut Chopina ma sporą kolekcję fortepianów takich producentów, jak paryscy Pleyel i Erard, londyński Broadwood, wiedeński Graf czy warszawski Buchholtz (kopia z 2017 roku).

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

• **Filip Bobrowski z odresturowanym fortepianem z poznańskiej fabryki „H.Drosnego", który w opłakanym stanie znalazł w garażu pod Kaliszem** FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

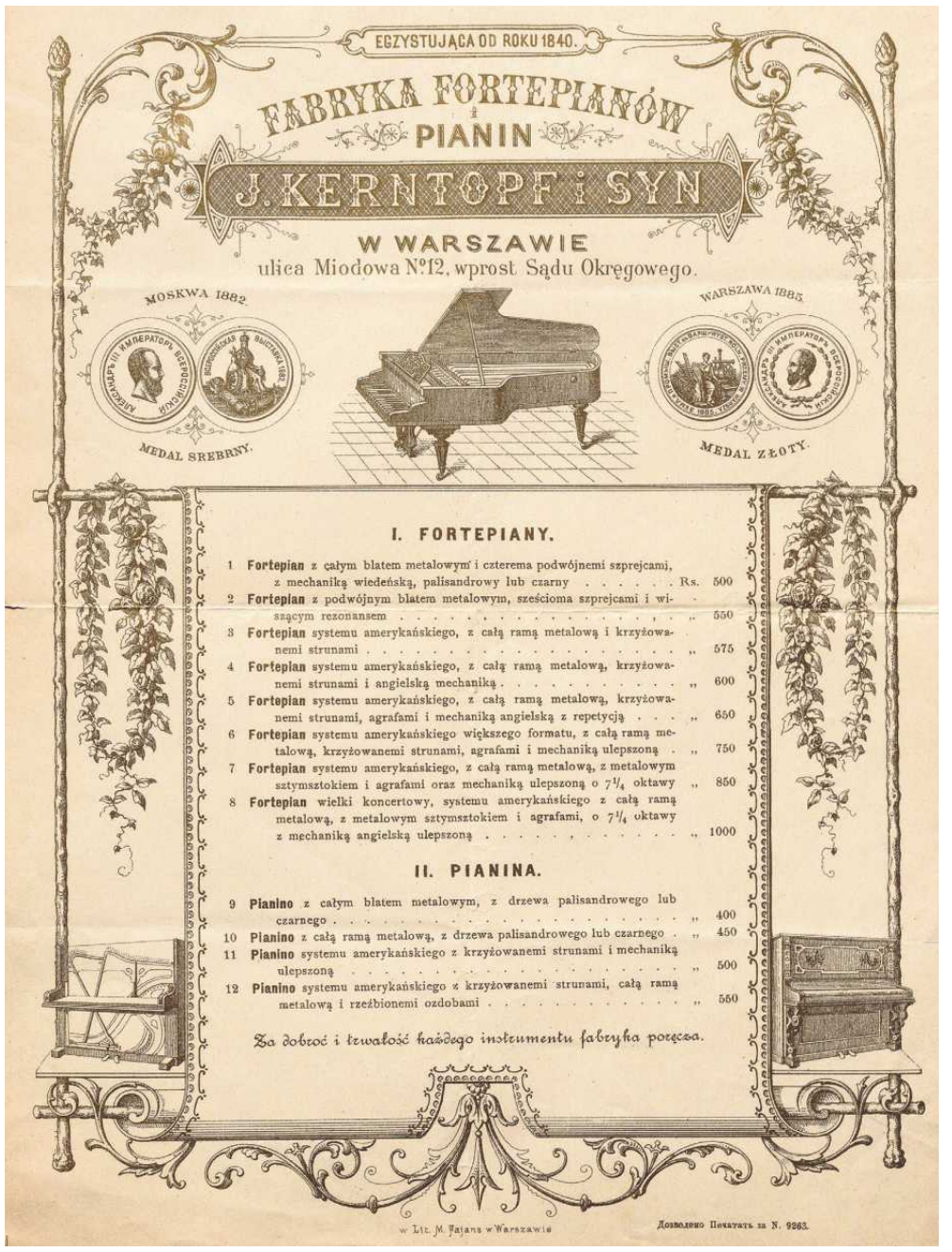

EGZYSTUJĄCA OD ROKU 1840.

FABRYKA FORTEPIANÓW i PIANIN

J. KERNTOPF i SYN

W WARSZAWIE

ulica Miodowa N.º 12, wprost Sądu Okręgowego.

MOSKWA 1882 — MEDAL SREBRNY.

WARSZAWA 1883 — MEDAL ZŁOTY.

I. FORTEPIANY.

1 **Fortepian** z całym blatem metalowym i czterema podwójnemi szprejcami, z mechaniką wiedeńską, palisandrowy lub czarny . . . . . Rs. 500
2 **Fortepian** z podwójnym blatem metalowym, sześcioma szprejcami i wiszącym rezonansem . . . . . „ 550
3 **Fortepian** systemu amerykańskiego, z całą ramą metalową i krzyżowanemi strunami . . . . . „ 575
4 **Fortepian** systemu amerykańskiego, z całą ramą metalową, krzyżowanemi strunami i angielską mechaniką . . . . . „ 600
5 **Fortepian** systemu amerykańskiego, z całą ramą metalową, krzyżowanemi strunami, agrafami i mechaniką angielską z repetycją . . . „ 650
6 **Fortepian** systemu amerykańskiego większego formatu, z całą ramą metalową, krzyżowanemi strunami, agrafami i mechaniką ulepszoną . „ 750
7 **Fortepian** systemu amerykańskiego, z całą ramą metalową, z metalowym sztymsztokiem i agrafami oraz mechaniką ulepszoną o 7¼ oktawy „ 850
8 **Fortepian** wielki koncertowy, systemu amerykańskiego z całą ramą metalową, z metalowym sztymsztokiem i agrafami, o 7¼ oktawy z mechaniką angielską ulepszoną . . . . . „ 1000

II. PIANINA.

9 **Pianino** z całym blatem metalowym, z drzewa palisandrowego lub czarnego . . . . . „ 400
10 **Pianino** z całą ramą metalową, z drzewa palisandrowego lub czarnego . „ 450
11 **Pianino** systemu amerykańskiego z krzyżowanemi strunami i mechaniką ulepszoną . . . . . „ 500
12 **Pianino** systemu amerykańskiego z krzyżowanemi strunami, całą ramą metalową i rzeźbionemi ozdobami . . . . . „ 550

Za dobroć i trwałość każdego instrumentu fabryka poręcza.

• **„Fortepian z blatem metalowym i czterema podwójnemi szprejcami, z mechaniką wiedeńską, palisandrowy lub czarny"– oferta i cennik fabryki J. Kerntopf i syn z Warszawy**
FOT. ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ

Polskie zagłębie fortepianów

Ale im głębiej w las, tym więcej drzew. Takich mniej lub bardziej znanych manufaktur i wytwórni było w XIX wieku na terenie Europy bardzo wiele. Również w Polsce, z czego nie zdajemy sobie sprawy.

Fortepian był instrumentem niezwykle modnym. Każdy szanujący się dom mieszczański musiał go mieć. A jeśli nie fortepian, to przynajmniej pianino, tańsze i mniejsze.

– W samej Warszawie w XIX wieku funkcjonowało prawie 80 wytwórni fortepianów. Była to produkcja manufakturowa, dlatego każdy instrument ma własną indywidualność – mówi Filip Bobrowski.

Uważa, że środowisko zajmujące się wykonawstwem historycznym ma tendencję do dopasowywania marek instrumentów do konkretnych kompozytorów, co jest wprawdzie uzasadnione historycznie, ale trąci uproszczeniem. Karty rozdane – Chopina gramy na Pleyelu, Liszta na Erardzie, Beethovena na Broadwoodzie czy Grafie.

– A tak naprawdę XIX wiek to spektrum bardzo wielu bardzo różnych instrumentów konstruowanych przez rozmaitych producentów. Mnie zainteresowała polska produkcja fortepianów, która była wielkiej skali zjawiskiem ogólnoeuropejskim. Ziemie polskie były jednym z najważniejszych ośrodków budownictwa fortepianowego. Produkowano tu instrumenty, na których grał młody Chopin, Moniuszko, którymi zachwycali się Franz Liszt i Robert Schumann – podkreśla Filip Bobrowski.

Gdy zaczął zgłębiać temat, jego celem stało się przywracanie do życia instrumentów, które mogły przetrwać do naszych czasów. Sęk w tym, że przemiany polityczno-społeczne sprawiły, że wytwórnie te upadły pod koniec XIX wieku, a poszczególne egzemplarze z ich katalogów zostały zniszczone bądź zaginęły. Należy więc szukać.

– I zacząłem to robić. Trochę na własną rękę, trochę przez pocztę pantoflową i przez anons, który zamieściłem w internecie – mówi Bobrowski. Wreszcie przyszła odpowiedź – ktoś gdzieś w Wielkopolsce zobaczył w garażu stary fortepian.

Tajemniczy pan Droste z Poznania

Renowacją na zlecenie Filipa Bobrowskiego zajął się Andrzej Włodarczyk, właściciel Pracowni Pianin i Fortepianów w Słupnie. Pieniądze Bobrowski pozyskał ze stypendium od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu „Młoda Polska" 2025.

– Najważniejszą rzecz zobaczyłem od razu. Na klapie klawiaturowej była tabliczka z napisem: „H. Drostego in Posen". Ze względu na nią zdecydowałem się na zakup, wiedząc, że poznańskich instrumentów przetrwało niezwykle mało. Odkryłem jeden z najstarszych fortepianów na ziemiach polskich, a z pewnością spośród tych, które wyprodukowano w Poznaniu. Później się okazało, że jest to jeden z dwóch zaledwie instrumentów poznańskiego producenta H. Drostego (imię nieznane), które przetrwały do naszych czasów. Pochodzi prawdopodobnie z trzeciej dekady XIX wieku – cieszy się Filip Bobrowski.

Tezę, że to najstarszy zachowany poznański fortepian, potwierdził w rozmowach z prof. Beniaminem Voglem oraz Tomaszem Pielakiem, kustoszem Muzeum w Opatówku.

Bobrowski: – Istnieją starsze od Drostego instrumenty warszawskie i krakowskie, natomiast w przypadku Wielkopolski można to określenie stosować bez obaw.

> W XIX w. na ziemiach polskich produkowano fortepiany, na których grał młody Chopin, Moniuszko, którymi zachwycali się Franz Liszt i Robert Schumann

Znalezisko było tym cenniejsze, że akurat Poznań nie był szczególnie aktywnym ośrodkiem produkcji fortepianów.

W pierwszej połowie XIX wieku było w stolicy Wielkopolski dwóch producentów, którzy zachowali się we wzmiankach prasowych – Carl Ecke, właściciel niemieckiej fabryki działającej na terenie Poznania, oraz H. Droste, którego syn lub inny krewny Arnold Droste produkował pianina do końca XIX wieku.

Przed nimi działała w Poznaniu fabryka pochodzącego z Czech Ignacego Eibicha, ale żaden z jego instrumentów się nie zachował. Znane jest też nazwisko „budowniczego fortepianów" Josepha Hirschla. Miniaturowe, trzyoktawowe fortepiany produkował już w XX wieku Bronisław Gościniak, równocześnie istniała firma rodzinna Antoniego Drygasa, która oferowała własne pianina.

Instrument stoi w mieszkaniu Filipa Bobrowskiego, który zgłębia jego tajniki, przygotowując materiał na płytę z utworami Ludwiga van Beethovena i Franza Schuberta.

Dlaczego nie Chopina czy Schumanna? – Archaiczny i bardzo subtelny Droste nie udźwignąłby gęstej romantycznej faktury. Dlatego zdecydowałem się na nieco starszy repertuar. Zależy mi też na tym, aby pokazać polski instrument w europejskiej literaturze jako pełnoprawną alternatywę dla instrumentów zachodnich i przywrócić tego typu fortepiany do realnego obiegu koncertowego i fonograficznego, a nie jedynie muzealnego.

Filip Bobrowski chce, aby już poznański fortepian stał się bohaterem wielu koncertów i recitali. ●

eprasa.pl 05eb22389c

DZIERŻAWA NA 9000 LAT

Czarny* stał się drugim kolorem, z którym kojarzy się na świecie Zielona Wyspa. A wszystko za sprawą rodziny Guinnessów i ich ciemnego piwa.

Maja Staniszewska
KORESPONDENCJA Z DUBLINA

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

• Perłą w koronie imperum browarników jest The Guinness Storehouse – muzeum w Dublinie w budynku, w którym jeszcze do 1988 roku produkowano piwo

FOT. MARK GUSEV/SHUTTERSTOCK

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.
W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.
Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

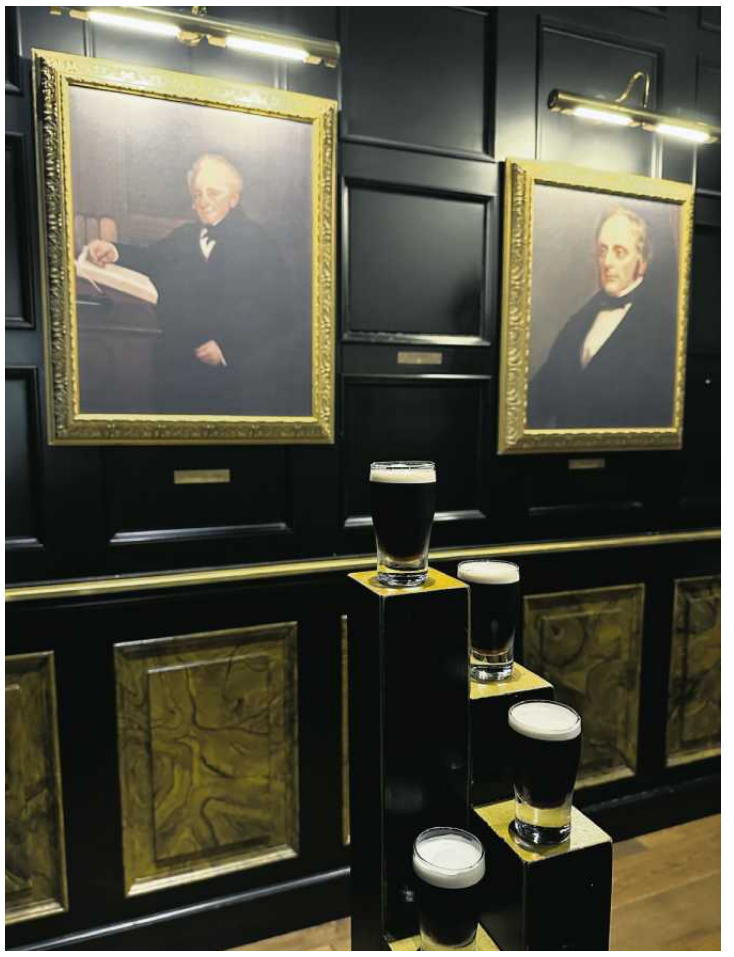

• Jedna z wystaw w The Guinness Storehouse: oryginalne beczki, w których przechowywano piwo, a na monitorach film z lat 50., który pokazuje jak takie beczki budowano FOT. ANTON IVANOV/SHUTTERSTOCK

• W złotych ramach Artur Guinness i Benjamin Lee Guinness FOT. SHUTTERSTOCK

• Piana na pincie Guinnessa z własnym zdjęciem? Takie cuda tylko w muzeum słynnych browarników. Autorka tesktu oczywiście skorzystała z tej możliwości. (zdjęcie s. 34) FOT. MAJA STANISZEWSKA

Arthur Guinness (1725-1803), browarnik z maleńkiego Leixlip nad rzeką Liffey na zachód od Dublina, miał pomysł. Tocząca się wojna siedmioletnia wywołała kryzys; wiele interesów upadało, a każdy dobry biznesmen wie, że upadek jednych to okazja do wzrostu innych. Guinness znalazł nieczynny browar St. James's Gate Brewery nad tą samą rzeką, ale już w Dublinie. I 31 grudnia 1759 roku podpisał umowę dzierżawy na 9000 lat. Tak, to nie jest błąd: dziewięć tysięcy lat. To się nazywa pewność siebie.

Ale Guinness był piekielnie dobrym biznesmenem. Pragmatycznym, otwartym, ciekawym nowych wynalazków i wiedzy, a do tego filantropem. Głęboko wierzący protestant uważał, że bogaci mają obowiązki wobec biednych. A przede wszystkim wobec swoich pracowników i sąsiadów w mieście. Kiedy jednak było trzeba, potrafił bronić swoich interesów z wulgarnym słowem i oskardem w ręku – tak się stało, gdy rada miasta próbowała ograniczyć mu dostęp do wody, bo zużywał jej więcej, niż było w umowie. Wpadł na obrady i zagroził, że wykopie sobie własny kanał.

Ciemne wypiera jasne

Guinness początkowo produkował jasne piwo typu ale; legenda głosi, że porter, z którego dziś słynie browar, powstał przypadkiem, gdy transport jęczmienia zajął się ogniem. Guinness nie pozwolił go wyrzucić, tylko kazał wykorzystać. Ciemne piwo zaczęło się lać w 1778 roku, w 1799 roku całkowicie wyparło ale. Gdy Arthur umierał cztery lata później, był bogatym człowiekiem i filarem dublińskiej społeczności.

Z jedenaściorga jego dzieci browar odziedziczył drugi syn, zwany Drugim Arthurem Guinnessem (najstarszy syn został księdzem). Razem z braćmi Benjaminem i Williamem Arthur II rozwijał browar i eksport do Anglii, gdzie Guinness zaczął wypierać inne portery, nawet w Londynie, w którym powstał ten rodzaj piwa. Nazwa stout, której zaczęli używać Guinnessowie, odnosiła się do mocy piwa i intensywności jego smaku. W kolorze był praktycznie czarny*.

Harfa Benjamina Lee

Prawą ręką Drugiego Arthura w browarze został jego syn Benjamin Lee, ciekawski nastolatek, który nie chciał marnować czasu na studia, za to chciał dowiedzieć się wszystkiego o piwie. Benjamin okazał się godnym wnukiem pierwszego Guinnessa. Nie tylko przejął browar, choć miał starszych braci, ale przejął też funkcję głowy rodziny. Gdy jego ojciec zmarł w 1855 roku, Benjamin Lee został najbogatszym człowiekiem w Irlandii.

To właśnie Benjamin w 1862 roku kazał umieścić w logo browaru złotą harfę wzorowaną na przechowywanej w bibliotece Trinity College XV-wiecznej harfie Brian Boru. W ten sposób na trwałe powiązał swoje piwo z Irlandią i irlandzką tradycją, bo harfa była symbolem kraju od stuleci.

Gdy w 1922 roku powstało niepodległe państwo irlandzkie i ustanowiło tę samą harfę swoim godłem, musiało obrócić ją w drugą stronę, bowiem Guinnessowie mieli zastrzeżony znak towarowy.

Sir Guinness i Wielki Głód

Benjamin był pierwszym w rodzinie, który otrzymał tytuł szlachecki. Ale nie w uznaniu jego biznesowych osiągnięć, lecz za działalność

eprasa.pl 05eb22389c

charytatywną. Sfinansował m.in. remont protestanckiej katedry św. Patryka, jednego z najważniejszych zabytków, a wtedy najważniejszego kościoła miasta. W 1851 roku został burmistrzem Dublina, a w 1865 roku posłem do parlamentu w Londynie. Wybory wygrywał do śmierci.

Za jego czasów browar rozrósł się, wchłaniając konkurentów. Ale za jego czasów także w Irlandii trwał Wielki Głód. Zapoczątkowany w 1845 roku przez zarazę ziemniaczaną, która zniszczyła plony, został pogłębiony przez kolonialną politykę Londynu. Do Anglii płynęło więc irlandzkie zboże, które rolnicy musieli sprzedawać, by opłacić czynsz za dzierżawę ziemi.

Ludzie umierali tysiącami z głodu i chorób, rząd w Anglii jednak właściwie nie reagował. Pomóc próbowali zwykli obywatele, którzy wysyłali do Irlandii pieniądze, wsparcie przychodziło także z różnych, czasem odległych miejsc na świecie, w tym od plemienia Czoktawów z Oklahomy, które dzieliło się swoimi niewielkimi zasobami, czy od osmańskiego sułtana, który statki z żywnością wysyłał po cichu, bo królowa Wiktoria poprosiła, by nie przesadzał z pomocą.

Szacuje się, że w ciągu dekady zmarło 1,5 mln Irlandczyków. Kolejne 2 mln wyjechały, szukając szansy na przeżycie. Irlandzka diaspora sięga dziś nawet 80 mln ludzi na całym świecie. Fal emigracji było oczywiście więcej – jeszcze przed Wielkim Głodem, w latach 50. i 80. XX wieku, ale tę Irlandczycy pamiętają szczególnie.

Angielscy Irlandczycy

Tymczasem Guinnessowie byli protestancką elitą, częścią Kościoła Irlandii, z którym związani byli nie tylko jako księża, ale i przez małżeństwa, i utrzymywali silne związki z Londynem. Choć byli Irlandczykami, mieli więcej wspólnego z Anglikami o podobnej pozycji niż ze swoimi rodakami. Guinnessowie byli unionistami i sprzeciwiali się niepodległości Irlandii, sir Benjamin nie raz w parlamencie głosował za utrzymaniem Irlandii pod angielską władzą.

Dlatego karawan z jego trumną w serialu „Ród Guinnessów" (Netflix), wystawnej, nieco teatralnej opowieści o tej browarniczej rodzinie, zostaje zaatakowany przez Fenian, rewolucjonistów walczących o niepodległą republikę Irlandii. To jednak wymysł scenarzysty Stevena Knighta (twórcy m.in. „Peaky Blinders"), który chciał już w pierwszych minutach zarysować tło społeczne i polityczne tej rodzinnej sagi. Tak naprawdę ulice Dublina wypełniły się ludźmi, którzy chcieli pożegnać szanowanego obywatela.

Spadek tylko dla synów

Jedno serial przedstawia absolutnie wiernie – sir Benjamin pozostawił browar swoim synom: najstarszemu Arthurowi i najmłodszemu Edwardowi. Trzeciemu synowi, Benjaminowi, który ożenił się z Angielką i został żołnierzem w Królewskiej Gwardii Konnej – pozostawił grosze. A jedynej córce i najstarszemu swojemu dziecku, Anne – nic. W końcu była tylko kobietą, mężatką, i to mąż, jeden z najwyższych rangą duchownych kościoła irlandzkiego, był za nią odpowiedzialny.

W wielu innych miejscach Knighta ponosi wyobraźnia, ale niektóre z przedstawionych w serialu wątków mają pokrycie w rzeczywistości.

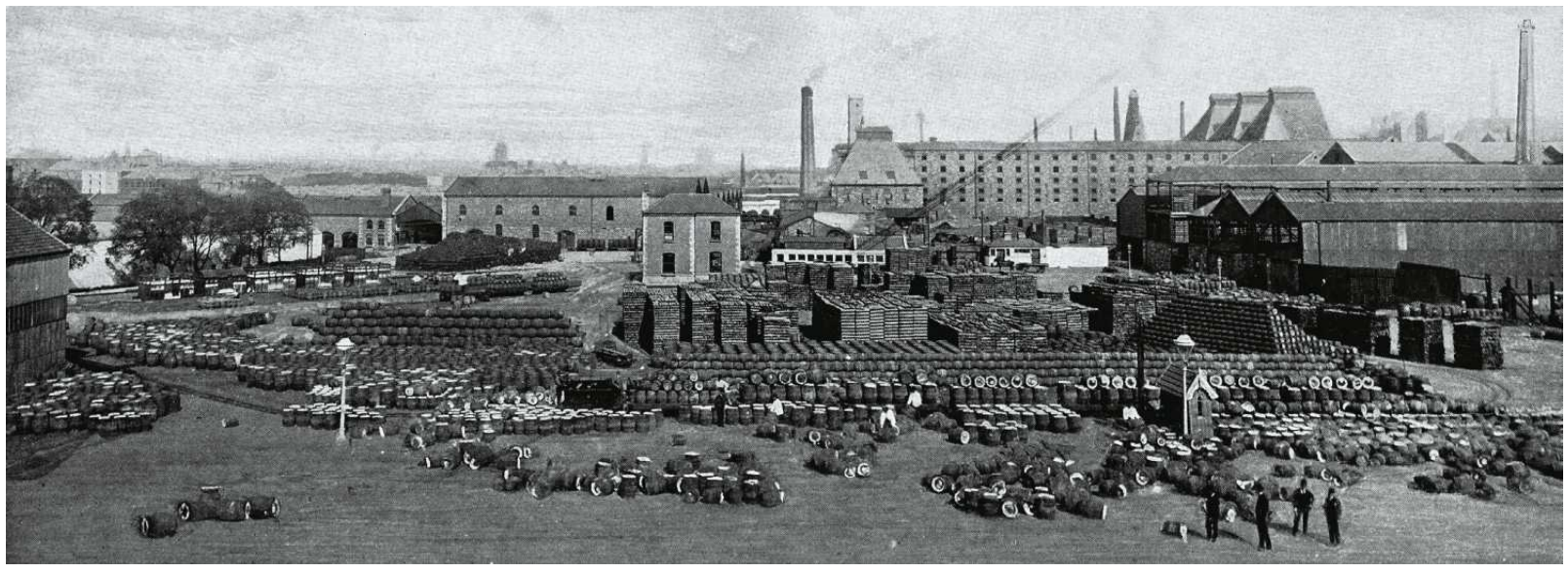

• **Browar Guinnessów w Dublinie przy St. James's Gate. Od założenia w 1759 r. wciąż rozbudowywany pod koniec XIX w. zajmował już ponad 64 akry [około 26 ha]**
FOT. GETTY IMAGES

Nazwa stout, której zaczęli używać Guinnessowie, odnosiła się do mocy piwa i intensywności jego smaku. W kolorze był czarny choć tak naprawdę, gdy uniesie się pintę Guinnessa pod naturalne światło, piwo ma kolor ciemnobordowy*

Podcast Poznajmy naszą Europę

• **NOWY ODCINEK: Irlandia – od Złotego Wieku, przez angielską niewolę, po cichą rewolucję.**
Alicja Dąbrowska rozmawia z dr Andrzejem Kucharskim – historykiem i tłumaczem, który opowiada o tym, w jaki sposób siedem i pół wieku panowania Anglii i jej kolonialny stosunek do podbitej w XII w. Irlandii, przekłada się na irlandzką tożsamość. Jak historia determinuje współczesność tego kraju? Jaka jest obecnie rola Kościoła Katolickiego w społeczeństwie, po „cichej rewolucji" ostatnich dekad? Co w rzeczywistości upamiętnia Dzień Świętego Patryka? Co pozostało do dziś po Złotym Wieku kultury celtyckiej? I wreszcie, czy to prawda, że Irlandczycy spotykają się w trzech miejscach: kościele, na targu i w pubie?

Bracia browarnicy rzeczywiście uruchomili eksport piwa do Stanów Zjednoczonych, prowadzili też działania, które dziś nazwalibyśmy marketingiem. Zadbali również o pracowników swojego browaru. Edward i jego żona Adelaide, zwana Dodo (kuzynka z bankierskiej gałęzi rodu Guinnessów), budowali mieszkania dla robotników, w 1870 roku uruchomili dla nich przychodnię, w której mogły się bezpłatnie leczyć także ich rodziny, ustanowili fundusz emerytalny i płatny urlop. Pensje u Guinnessów były o ok. 10 procent wyższe niż średnia w innych zakładach w mieście.

Jak można usłyszeć na wystawie w Guinness Storehouse, muzeum browaru Guinnessa, bycie żoną tutejszego pracownika było marzeniem niejednej Dublinki. Ale Edward, już wkrótce Earl of Iveagh, fundował także miejskie obiekty użyteczności publicznej, wspierał również finansowo Trinity College, gdzie studiował i gdzie później był kanclerzem, czy szpitale. Podarował również ziemię pod National University of Ireland.

Z kolei jego brat, od którego Edward odkupił udziały w browarze, podarował miastu park St Stephen's Green, wcześniej prywatną oazę dla najbogatszych Dublińczyków.

W trakcie I wojny światowej Guinness płacił połowę pensji pracowników, którzy zaciągnęli się do brytyjskiej armii, a w trakcie wojny o niepodległość Irlandii przeniósł centralę firmy do Londynu. I tam już zmarł, jako najbogatszy brytyjski biznesmen, w 1927 roku. Część pieniędzy z podatku spadkowego po nim przypadła już republice Irlandii. Co ciekawe, browar nie zatrzymał produkcji nawet w trakcie najcięższych starć.

Genealogia na 7 stron

Rodzina rozrastała się. W książce „The Guinness Spirit", wydanej w 2000 roku, drzewo genealogiczne zajmuje siedem stron i znajdują się na nim nie tylko wymienieni wcześniej browarnicy, bankierzy czy księża, ale także ministrowie, jedna z pierwszych w historii posłanek oraz misjonarze. Jest także tancerka z rewii w Las Vegas czy projektantka mody i piosenkarka Daphne Guinness.

Rodzina podejrzewała, że wybitny aktor Alec Guinness mógł być nieślubnym synem jednego ze spadkobierców browaru, ale to nigdy nie zostało potwierdzone. Matka aktora sama wpisała nazwisko w akcie urodzenia.

Nowy sezon o Daphne

Ale to niejedyna historia Guinnesów, która nadawałaby się na kolejny sezon serialu. Ten wypełniłyby burzliwe losy Daphne Guinness. Wnuczka jednej z sióstr Mitford, która rozwiodła się z jej dziadkiem Guinnessem i poślubiła Oswalda Mosleya, przywódcę brytyjskich faszystów, gdy miała pięć lat, została wzięta za zakładniczkę przez znajomego matki, który próbował ją zabić.

Gdy miała 19 lat, wyszła za greckiego magnata stoczniowego, urodziła trójkę dzieci i się rozwiodła. Wróciła do Londynu, gdzie zaprzyjaźniła się z Alexandrem McQueenem i Isabellą Blow, była modelką na ich pokazach.

Bliskim przyjacielem Daphne był także David Bowie, który namówił ją, by spróbowała opowiedzieć o sobie przez muzykę i przyprowadził swojego producenta, by pomógł jej w nagraniach. Dziś ma na koncie cztery albumy, ale także kolekcje mody, perfumy, kilka filmów oraz głośnych romansów, m.in. z aktorem Tomem Hollanderem czy francuskim intelektualistą Bernard-Henrim Lévym.

Ale nazwisko Guinness pojawia się jeszcze w jednym kontekście, w którym znać je mogą także ci, którzy nie piją piwa (choćby dlatego, że są na to za młodzi). Otóż Księga Rekordów Guinnessa, zbierająca rozmaite fakty i wydarzenia, które są „naj", została wymyślona właśnie przez szefa browaru, który na polowaniu w 1951 roku wdał się w dyskusję, który z łownych ptaków jest najszybszy. Odkrył, że nie ma wiarygodnego źródła wiedzy na ten temat, i postanowił zacząć zbierać odpowiedzi na tego typu pytania, które zresztą często przewijały się podczas rozmów w pubach. Księgę, przygotowaną przez agencję factcheckerów z Londynu, rozprowadzano za darmo w pubach jako element reklamy piwa. Okazała się hitem wśród stałych bywalców, a w końcu poszła z pubów w świat.

Browar, który przyciąga miliony

Guinnessowie mieli ogromny talent do interesów, ale również współcześnie marka Guinness to potęga. Nie tylko w produkcji piwa, którego ponoć sprzedaje się na świecie 60 pint na sekundę (1,9 mld rocznie), ale też w przedstawianiu się jako najważniejsza irlandzka marka.

Pamiątki z logo browaru czy charakterystyczną ciemną pintą z kremową pianką w sklepach dla turystów zajmują poczesne miejsce, stanowiąc czasem nawet jedną trzecią asortymentu (reszta jest zielona).

Perłą w koronie jest The Guinness Storehouse – muzeum browaru St James's Gate w Dublinie w budynku, w którym jeszcze do 1988 roku produkowano piwo.

W holu, zanim zacznie się zwiedzanie siedmiu pięter historycznego budynku, można zobaczyć umieszczoną w gablocie w podłodze legendarną umowę najmu na 9 tysięcy lat podpisaną przez Arthura Guinnessa.

Na kolejnych piętrach nowoczesnego, w dużej mierze multimedialnego obiektu czeka opowieść o piwie, jego składnikach, w tym palonym w temperaturze 232 st. C jęczmieniu, który nadaje mu charakterystyczną barwę, i o drożdżach używanych w procesie fermentacji nieprzerwanie od 1903 roku. Jest nieco o rodzinie i nieco o reklamie (w tym niezwykłych marketingowych pomysłach, jak pogwizdująca ostryga), jest także duża sala na występy.

Gdy byłam w muzeum w przeddzień św. Patryka, trwał w nim festiwal irlandzkiej muzyki i tańców, także w nieco nowocześniejszych interpretacjach. Ale wielu zwiedzających, wśród których zdecydowaną większość stanowili Amerykanie, czekało na moment, w którym w końcu będą się mogli napić piwa.

Najciekawszym miejscem na to jest zbudowany na dachu budynku Gravity Bar, z którego rozciąga się panoramiczny widok na cały Dublin. Widać katedrę św. Patryka i Trinity College, w oddali majaczy port i Morze Irlandzkie, a z prawej strony widać Góry Wicklow, z których pochodzi woda do produkcji piwa.

Rocznie muzeum odwiedza ponad milion turystów. To jedna piąta mieszkańców Irlandii. ●

*gdy uniesie się pintę Guinnessa pod światło, piwo ma kolor ciemnobordowy

Praktyczne informacje:

• **GUINNESS STOREHOUSE** znajduje się przy St. James's Gate, Dublin 8, blisko dworca kolejowego Dublin Heuston. **Ceny biletów** są zróżnicowane i zależą od tego, czy chcemy browar zwiedzić samodzielnie i **wypić w Gravity Bar** jeden wybrany napój (od 22 euro), czy np. udać się na zwiedzanie z przewodnikiem także czynnej części browaru (od 350 euro, wyłącznie dla osób pełnoletnich).

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

ADAM MICHNIK POLECA

PAN COGITO ZACHWYCA SIĘ HOLANDIĄ

Człowiek genialny, nadwrażliwy, ironiczny. Gotowy wykorzystać każdą szansę, by uciec z politycznej i egzystencjalnej klatki. Oto Zbigniew Herbert

Francesco M. Cataluccio*

„Pan Cogito" to alter ego Zbigniewa Herberta (1924-98), jednego z największych polskich poetów XX wieku, które służyło mu do ironizowania nad naszą próbą racjonalizacji i zrozumienia świata.

Dwa zbiory jego wierszy zostały opublikowane we Włoszech przez wydawnictwo Adelphi: „Raport z oblężonego miasta" (1993) i „Epilog burzy. Poezje 1990-1998" (2016). Natomiast jeden z jego ostatnich tomików, napisany podczas pobytu we Włoszech w 1991 roku, „Rovigo" (1992), został wydany przez oficynę Il Ponte del Sale, z siedzibą w Rovigo właśnie, w 2008 roku.

Niedawno wydawnictwo Adelphi opublikowało jego tom esejów z 1993 roku „Martwa natura z wędzidłem"(po włosku „Natura morta con briglia. Il secolo d'oro olandese"), w tłumaczeniu Andrei Ceccherellego. To niezwykła podróż po Holandii „barbarzyńcy w ogrodzie" (jak wiadomo, tak autoironicznie zatytułował swoją inną „książkę podróżniczą", po Włoszech i Francji, opublikowaną w 1962 roku i niestety nadal niedostępną w języku włoskim).

•

Ptak prowokacyjnie pstrokaty wśród jednobarwnych ptaków – tak Herbert pisze o jednym ze swoich dziwacznych i ukochanych holenderskich malarzy. Taki był również on sam: człowiek genialny, nadwrażliwy, przygnębiony i ironiczny, zawsze gotowy wykorzystać każdą szansę, by uciec z politycznej i egzystencjalnej klatki, w której czuł się uwięziony.

Kierowany nienasyconą ciekawością i wspierany przez bogatą i różnorodną kulturę, polski poeta miał przede wszystkim wielką pasję do sztuki:

„Malarstwo czy rzeźba interesują mnie, bo są to przedmioty stworzone przez ludzi, a zatem nie dzieła przyrody. I zawierają one widzenie innego człowieka. (...) Nie bardzo interesuje mnie sam obiekt przedstawiony, ale przemiany ludzkiego widzenia. A także to, co się pięknie nazywa wolą nadawania wymiernego kształtu" (wywiad z Herbertem Zbigniewa Taranienki, „Za nami przepaść historii", „Argumenty" nr 48/1971).

Podczas swoich niezliczonych podróży/ucieczek za granicę poszukiwał sztuki jako klucza do zrozumienia, cieszenia się, odkrywania i opowiadania. „Za sprawą obrazów – pisał – doznawałem łaski spotkania z jońskimi filozofami przyrody. Pojęcia kiełkowały dopiero z rzeczy. Mówiliśmy prostym językiem żywiołów. Woda była wodą, skała skałą, ogień ogniem. Jak to dobrze, że zabójcze abstrakcje nie wypiły do końca całej krwi rzeczywistości".

▲ **„Martwa natura z wędzidłem", obraz Johannesa Torrentiusa, który dał tytuł książce Herberta**
FOT. ALAMY STOCK PHOTO

◀ **Zbigniew Herbert przyjeżdża do Klubu Księgarza na promocję swoich esejów „Martwa natura z wędzidłem". Warszawa, 24.06.1993**
FOT. PAP/ANDRZEJ RYBCZYŃSKI

•

Według Herberta wielkość holenderskich malarzy XVII wieku polegała na tym, że nie przemawiali wyłącznie do wzroku, ale pobudzali również pozostałe zmysły: „Więc obcując z ich dziełami, odczuwamy najzupełniej fizycznie – kwaśny smak żelaza, zimną gładkość szkła, łaskotanie brzoskwini i welurów, łagodne ciepło glinianych dzbanów, suche oczy proroków, bukiet starych książek, powiew nadciągającej burzy".

Poprzez to wszystko („szukałem czarodziejów w oddawaniu przedmiotów nieożywionych") Herbert opowiada o swoich podróżach po Holandii, nie pod koniec XX wieku, ale trzy wieki wcześniej.

Chociaż uwielbia malarza Jacoba van Ruysdaela, jako przewodnika po starej Holandii wybiera innego malarza, Jana van Goyena.

Pisze: „Jestem zatem w Holandii – królestwie rzeczy, w wielkim księstwie przedmiotów. Po holendersku »schoon« znaczy »czysty« i »piękny« zarazem, jakby schludność została podniesiona do rangi cnoty".

I jeszcze: „Przywiązanie do rzeczy było tak wielkie, że zamawiano wizerunki i portrety przedmiotów, aby potwierdzić ich istnienie, przedłużyć trwanie".

Jako dobry Polak, intelektualista narodu silnie przywiązanego do swojej historii, Herbert zauważa z pewnym zdziwieniem, że „malarstwo holenderskie mówi wieloma językami, opowiada o sprawach ziemi i nieba, jednego w nim tylko brak – apoteozy własnej historii, uwiecznienia momentów klęski i chwały. A przecież była to historia obfitująca w dramatyczne epizody: powstania, terror, oblężenia, walkę z tak potężnymi przeciwnikami jak Anglia, Hiszpania czy Francja" („Martwa natura z wędzidłem").

Postanawia więc opowiedzieć niektóre z tych historii, te najbardziej zaskakujące. Poświęca jeden rozdział zmiennej historii sukcesu gospodarczego tulipanów (słowo „tulipan" pochodzi od perskiego słowa oznaczającego turban), komentując sarkastycznie: „Tulipan jest darem Wschodu, podobnie jak wiele innych darów błogosławionych i złowrogich – religii, zabobonów, ziół leczniczych i ziół odurzających, świętych ksiąg i najazdów, epidemii i owoców".

•

Wśród malarzy największe wrażenie wywarł na nim Johannes Torrentius, którego prawdziwe imię brzmiało Jan Simonsz van der Beeck (1589-1644), odnoszący wielkie sukcesy mistrz „iluzorycznego realizmu", członek tajnych stowarzyszeń, ekstrawagancki, zatwardziały kobieciarz i rozpustnik, który systematycznie łamał ogólnie przyjęte normy moralne w kraju tak tolerancyjnym jak Holandia, gdzie był wielokrotnie aresztowany, torturowany i skazywany.

Zachował się tylko jeden jego obraz („jeden jedyny zatrzymany nad samą krawędzią nicości"), arcydzieło odkryte ponownie dopiero w 1913 roku: właśnie „Martwa natura z wędzidłem", która daje tytuł książce.

Według Herberta obraz ten, który ma kształt koła lekko spłaszczonego na biegunach i sprawia wrażenie lekko wklęsłego lustra, należy interpretować jako „pozorną alegorię umiaru, w rzeczywistości zaś, chociaż w sposób misternie zakamuflowany, jest on pochwałą człowieka wyzwolonego z więzów, niezwykłego, wysoko stojącego ponad tłumem małodusznych filistrów". ●

***Francesco M. Cataluccio**

• Ur. w 1955 r., włoski pisarz, eseista i tłumacz. Po polsku wydał m.in. książki „Jadę zobaczyć, czy tam jest lepiej" i „Czarnobyl".

Wiersz włoskiej poetki Antonelli Aneddy, dedykowany Zbigniewowi Herbertowi ▶ 39

eprasa.pl 05eb22389c

Od „A” jak antysemityzm do „Ż” jak Żydzi.

Helena Wolińska: „Myśmy robili głupie i bandyckie rzeczy, ale robiliśmy to z pełną wiarą, że to coś dobrego”

Tomasz Lis

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz, autorka książki „Stygmat” o Helenie Wolińskiej, oskarżanej o doprowadzenie do śmierci bohatera AK Augusta Emila Fieldorfa, i o jej mężu Włodzimierzu Brusie, śmiało wkroczyła na pole minowe i poruszając się na nim zgrabnie jak baletnica, uniknęła eksplozji oraz strat w ludziach i kończynach.

Autorka, siadając do komputera, nie włożyła żadnej togi – ani prokuratorskiej (te zresztą od dawna są zajęte), ani adwokackiej. Oparła się pokusie napisania aktu oskarżenia czy też mowy obrończej. Napisała świetną książkę. Story, opowieść, history. A może głównie „her story”, bo to znienawidzona przez wielu jako przedstawicielka mordującej polskich patriotów „żydokomunistycznej” kliki jest tej książki główną bohaterką.

•

Żydostwo to w Polsce w oczach wielu skaza. Tzw. żydokomuna to permanentne piętno, a odpowiedzialność za zbrodnie żydokomuny to już wiecznie potępienie.

Jakie emocje niezmiennie hasło żydokomuna budzi, pokazała ostatnio nagonka na krewnych i rodzinę Maksymiliana Schnepfa. „Zbrodnia” złego pochodzenia i złych poglądów się nie przedawnia. Okoliczności łagodzących nie ma żadnych.

O żydokomunie, czy – bardziej elegancko – żydowskich komunistach pisać choćby w miarę obiektywnie, bez antysemityzmu, to u nas trudne i rzadkie. Szczególnie w naszym alfabecie, gdzie wszystko jest od „A” jak antysemityzm aż do „Ż” jak Żydzi.

Nastawienie i metoda autorki są w tej książce szczególnie ważne. Podchodzi ona do swych bohaterów ze swoistą czułością. Nie usprawiedliwia, nie rozgrzesza, nie moralizuje. Chce zrozumieć losy ludzi.

Pisze o żydowskości zamkniętej w etnicznym getcie jeszcze przed wojną. A potem zamkniętej za niemieckim murem z cegieł i za polskim murem obojętności. Próbuje zrozumieć, dlaczego jej bohaterka, Żydówka, mogła być całkowicie zanurzona w polskości, ale jednocześnie być z niej przez antysemityzm i antysemitów wypychana.

Próbuje też zrozumieć, co ze znającej jidysz Żydówki uczyniło fanatyczną komunistkę, a co sprawiło, że w późniejszych latach jej fanatyzm zamienił się we wrogość wobec „przodującego” ustroju. I sama opowiada, trochę słowami bohaterki, a trochę własnymi, o marzeniu – marzeniu o świecie bez antysemityzmu. I bez biedy. I o naiwnej wierze, że do tego ideału zbliżył się ZSRR.

Autorka tłumaczy, dlaczego przedwojenni polscy komuniści prawdy o ZSRR nie znali lub jej do siebie nie dopuszczali i dlaczego nawet czystki w KPP wielu nie otworzyły oczu. Pisze o zapętleniu w historię.

Wolińska i Brus chcieli być naukowcami jak Curie. Nie wyszło. Wpadli w wir historii, która niszczyła życiorysy i masakrowała marzenia. I tylko choroba naczelna pozostawała bez zmian. Wolińska i Brus, stale wyrzucani z polskości, do końca na Polskę chorowali.

•

Żydokomuna to ci, którzy tu przyszli z Sowietami, ale już wcześniej jako Żydzi i komuniści byli jako żydokomuna postrzegani. Armia Krajowa uważała PPR i Gwardię Ludową za kominternowską agenturę i żydokomunę. W powstałym w Armii Krajowej spisie najważniejszych ludzi PPR-u i GL przy nazwisku Wolińska pojawił się dopisek „Żydówka”.

• **Podpułkownik Helena Wolińska-Brus (1919-2008), prokurator wojskowa oskarżająca w procesach politycznych okresu stalinizmu** FOT. LASKI DIFFUSION / EAST NEWS

Po wojnie było tylko gorzej, co w „Popiele i diamencie” opisał Jerzy Andrzejewski, a w filmie pokazał Andrzej Wajda. Albo Maciek Chełmicki strzelał do komunisty Szczuki, albo komuniści strzelali do Maćka. Na śmietniku mógł wylądować i jeden, i drugi. Każdy.

Antysemityzm był po wojnie mimo Zagłady powszechny. Nienawiść do żydokomuny też. Jak śpiewał Jacek Kaczmarski, którego matka należała do Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu: „Tu stoi młody Żyd,/ Nos zdradza – Żyd czy nie Żyd./ I jakby mu było wstyd,/ Że mimo wszystko przeżył./ A baba z koszem jaj/ Już szepce do człowieka:/ – Wie o tym cały kraj,/ Że Żydzi to bezpieka!”.

•

Argument „żydokomuna” jest w Polsce niezmiennie nośny, co pokazuje wspomniana nagonka na Schnepfów z powodu przeszłości ojca ambasadora Ryszarda; ojciec był Żydem, komunistą i przyszedł do Polski z Sowietami. Wszystko niewybaczalne.

Do koncepcji zupełnie nie pasuje fakt, że matka Schnepfa w czasie wojny ratowała Żydów i została odznaczona medalem dla Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Choć bardzo pasowałoby to do koncepcji o wyłącznie dobrych Polakach, którzy Żydów wyłącznie ratowali.

Jak to w życiu, ważny, a nawet decydujący bywa przypadek. Żyd mógł zdążyć do Andersa, być bohaterem pod Monte Cassino, albo w Palestynie poprosić Andersa o zwolnienie ze służby, budować Izrael jak Menachem Begin (według niektórych Mietek Biegun) i nawet zostać laureatem pokojowego Nobla. Albo nie zdążyć, zostać oficerem Ludowego Wojska Polskiego, przyjść do Polski w ruskim szynelu i gorliwie wprowadzać tu komunizm.

Wielu Żydów – komunistów myślało, że komunizm będzie dla nich schronieniem przed nienawiścią i antysemityzmem. Rok 1967 i Marzec ‘68 pokazały im, jak bardzo się mylili. Jedni za żydostwo byli wyrzucani z kraju, a inni z wojska. Żyd zawsze za mało kocha Polskę. A nawet jak kocha szczerze, to jakoś jednak jakby obco. Nawet będąc arcy-Polakiem, nie przestaje jednak być Żydem.

Tak jak w czasie wojny Żydzi musieli się ukrywać przed szmalcownikami, tak po wojnie przed postszmalcownikami. Holokaust zamienił się w klimat pogromowy. Nawet za to, że cudem przeżyli, Żydzi musieli płacić słone rachunki. Schadenfreude z cierpienia Żydów w czasie wojny zamieniło się w dziki antysemityzm po wojnie i straszny strach Żydów, którzy cudem przeżyli.

•

Helena Wolińska, przed wojną Fajga Felicja Danielak, musiała zapomnieć jidysz i stać się Heleną Wolińską, by stać się Polką, a i tak prawdziwą Polką nigdy się nie stała. Po wojnie był w Polsce Dziki Wschód. Mordowali antykomuniści (Bury i inni), mordowali komuniści.

Wielu czuło strach, że Żydzi wrócą i odbiorą to, co stracili. Że odbiorą to, co im ukradziono. Żydokomuna, szczególnie w PPR-ze i UB, była dla antysemitów doskonałym alibi. Żydzi, pozbawieni szans na zajmowanie wysokich stanowisk w II RP, skazani na śmierć w czasie wojny, teraz te wysokie stanowiska zajmowali. To budziło złość.

Ta złość nie jest alibi dla zbrodni, ale pokazuje jej kontekst. Były Kielce i pogrom, były też ubeckie katownie na Koszykowej i w mokotowskim więzieniu, były też sale sądowe Warszawy.

Dla wielu Żydów komunistów to była ich rewolucja, ich ustrój, ich szansa. Helena Wolińska była człowiekiem systemu, bezwzględnym dla wszystkich wrogów i potencjalnych wrogów. Nie reagowała także wtedy, gdy wykańczano ludzi ratujących w czasie wojny Żydów.

W śledztwie w sprawie Augusta Emila Fieldorfa działała tylko na jego wstępnym etapie, choć to ona podpisała wniosek o tymczasowe aresztowanie. Po przejęciu sprawy przez Prokuraturę Generalną nie pisała ani nie podpisywała aktu oskarżenia, nie kierowała sprawy do sądu i nie oskarżała. Nie ona przekazała sprawę cywilnemu wymiarowi sprawiedliwości. Decyzję podejmowano (szczególnie w takiej sprawie) ponad głowami prokuratorów. O wszystkim i tak decydowała bezpieka.

Wolińska mówiła, że za długo tkwiła w komunistycznym gównie i że była to hańba jej życia. Dodawała jednak, że innego życiorysu by nie chciała

•

Powieszono bohatera AK, który po prostu chciał żyć. Wolińska go nie przesłuchała ani nawet nie spotkała. Ale w doprowadzeniu do wyroku śmierci na pewnym etapie pomogła.

Śledztwo nadzorowała i prowadziła bezpieka, choć prokuratorzy oczywiście jej nie przeszkadzali. W którymś momencie, wzorem Moskwy, bezpieka zajęła się też Żydami. W polu zainteresowania był nawet Jakub Berman, uznawany za drugą osobę w państwie.

Wolińska przedłużała areszt nawet dla Żydów, którzy przeszli getto, a którym bezpieka stawiała oczywiście absurdalne zarzuty (małżeństwo Horbaczewskich). Była komunistką totalną. Śmierć Stalina skwitowała krótko: „Jestem zdruzgotana, nie zawracajcie mi głowy”.

Głupota, naiwność, fanatyczny komunizm, gorliwość, karierowiczostwo? Wszystko razem. Miała męża w biurze politycznym KC. Czasem, w mniej fundamentalnych sprawach, wykłócała się z funkcjonariuszami bezpieki. Często ordynarna, wulgarna, generująca wrogość, kolekcjonująca wrogów i to z wielkimi sukcesami.

Potem, już w czasach odwilży, opublikowała w „Nowych Drogach” tekst o potrzebie przywrócenia praworządności, co – biorąc pod uwagę jej przeszłość i spore zasługi w jej deptaniu – dość powszechnie uznano za skrajną bezczelność. Po Październiku ’56 tłumaczyła, że w czasach stalinowskich prokuratura była tylko dodatkiem do UB. Nie dodawała, że społegliwym, chętnym i gorliwym.

Uważała, że obrywa raczej za swoje żydostwo niż za to, co robiła. Było to prawdą. Dokładniej: częścią prawdy. Wina Żydów – stalinowskich funkcjonariuszy była faktem, choć prawdą jest, że system próbował się oczyścić, zrzucając winę za nadużycia i zbrodnie właśnie na nich.

Wolińska mówiła, że w czasie Zagłady PPR była jej prawdziwą rodziną, a komunizm dawał jej w czasie wojny – tak mówiła – szansę umierania za coś, a nie jak szczur, tylko dlatego, że była Żydówką. Po latach tłumaczyła, że w czasie wojny jako Żydówka czuła się zagrożona przez Niemców, a po wojnie jako Żydówka – komunistka przez Państwo Podziemne. A potem trzeba było ten komunizm budować i go bronić często przed zmyślonymi wrogami.

„Myśmy robili głupie i bandyckie rzeczy, ale robiliśmy to z pełną wiarą, że robimy coś dobrego” – mówiła po latach. Jej mąż, wybitny ekonomista Włodzimierz Brus, z zagorzałego stalinisty stał się w latach 60. rewizjonistą i wrogiem systemu.

•

Za sprzeciw wobec antysemickiej nagonki w 1968 roku Wolińską wyrzucono z PZPR. W Polsce nawet w partii komunistycznej Żyd był zawsze przede wszystkim Żydem. Komunizm nie tylko nie dał Żydom schronienia, ale dał dodatkowe paliwo antysemitom, wpisując się w skądinąd prawdziwą opowieść o zniewoleniu Polski i czyniąc w oczach wielu z nienawiści do Żydów czyn niemal patriotyczny.

Wolińska nie popełniła paskudnych czynów dlatego, że była Żydówką, ani mimo tego, że była Żydówką, ale dlatego, że w pewnym momencie życia pewne działania uznała za słuszne, a okoliczności historyczne i dzieje osobiste te działania uczyniły w jej oczach logicznymi i poniekąd naturalnymi.

W 1968 roku z Dworca Gdańskiego, z którego kiedyś pociągi z Żydami jechały do Treblinki, teraz ruszały do Wiednia i Paryża. Był to względny postęp. Kiedyś za żydostwo Żydzi tracili życie, teraz tylko ojczyznę.

„Nie chcieliśmy wyjechać. Nam pokazali drzwi. Jakim prawem? Ja się czułam Polką” – mówiła Helena Wolińska. W nowym wydaniu wróciła obojętność. Tyle że zamiast pełne-

eprasa.pl 05eb22389c

Nasz alfabet

go radości „Żydki się smażą w getcie” było pełne złowrogiej satysfakcji „Żydki wyjeżdżają”.

Wolińskiej i innym źle było w przedwojennej Polsce, tragicznie źle w wojennej, w powojennej dobrze tylko na początku, potem i w niej źle, a na emigracji niewiele lepiej. Oni za wszelką cenę chcieli być Polakami, ale Polacy konsekwentnie widzieli w nich w głównie Żydów.

Paradoksalne to dzieci żydokomuny wykonały wielką pracę, by Polskę od komunizmu uwolnić. To rewizjoniści zafundowali Polsce Marzec i pomogli zwodować Sierpień. To drugie po części dzięki odwilży w relacjach z Kościołem, której głównym animatorem był Adam Michnik.

Wolińska mówiła, że za długo tkwiła w komunistycznym gównie i że była to hańba jej życia. Dodawała jednak, że innego życiorysu by nie chciała. Znaczyło to, że wybory naznaczone przedwojennym antysemityzmem i doświadczeniem Zagłady były jednak logiczne i zasadne.

●

Książka „Stygmat” to nie jest tylko opowieść o dramatycznych losach dwójki Żydów – komunistów. To swoista antologia losów Żydów od lat 30. XX wieku do końca PRL-u. Wolińska uwierzyła w komunizm i w imię tej fanatycznej wiary grzeszyła. Nie miała złudzeń. Wiedziała, że nie ma prawa do obrony siebie, bo Polacy i tak nigdy jej nie uwierzą i nie wybaczą.

Faktem jest, że najlepszych synów polskiego narodu mordowano w ubeckich katowniach. Naród nie może i nie powinien tego wybaczyć. Ale może powinien rozumieć kontekst.

Wolińska stała się symbolem stalinowskich zbrodni i mordowania polskich patriotów, bo pasowała do stereotypu, a większość sędziów i prokuratorów ze sprawy Fieldorfa już nie żyła. Płaciła rachunki także za to, że polskie państwo po 1989 roku kompletnie nie poradziło sobie z rozliczeniem komunistycznych zbrodni. Pozostało szukanie figury symbolicznej winnej nie tylko śmierci Fieldorfa.

Komunistka i Żydówka, nieskłonna do składania próśb o wybaczenie, idealnie nadawała się do oskarżenia o zbrodnie stalinizmu i winy żydokomuny. Wolińska miała symbolicznie odpowiedzieć za wszystkie zbrodnie komunizmu. Ale i ona za owe zbrodnie nie odpowiedziała.

Szczere gratulacje dla autorki. Uczciwa książka o żydokomunie to w Polsce już samo w sobie dość niezwykłe. Bez rozstrzeliwania i rozgrzeszania. Książka mogłaby mieć podtytuł „Polskie drogi i żydowskie drogi”. Choć krótkie „Stygmat” istotę tej historii i tego dramatu oddaje lepiej. ●

Tytuł tekstu – „Wyborcza”

Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz
„Stygmat. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus. Biografia”
Wydawnictwo Agora, Warszawa 2026

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Antonella Anedda*

***

Zbigniewowi Herbertowi

To prawda, gwiazdy wznoszą larum
srebro nie rzuca światła na barbarzyński krzyk trwogi.
Cesarz zgasił lampę
zamknął książkę.
W dole ziemia wstrząsa krawędzią dzbanów i żelazo
zimno płonie na drutach. On śpi w czworoboku wieków
strzelistych na wietrze jak powietrzne klatki.
Nie czuje na karku tronowego spiżu
i nie słyszy gwoździ wbijanych w drzwi.

Zaśnie na zawsze.
Dlatego to ty zawieś spokój
spróbuj odwrócić grzbiet dłoni
i przedrzeć się do mnie w imię nieznanego języka
albowiem przemawiam z wyspy
której łacina ma w sobie smutek małpy.
Morze równina burzowe chmury nad rzeką
ptaki ze źdźbłami w dziobach które zwiastują uczonych
w piśmie.

Być może tylko w ten sposób – Zbigniewie –
może płynąć kosz książek po wodzie
w ten sposób jak myślę dociera głos
skurcz przerażonej twarzy
do fenickiego tropu, do opuszczonej tarczy
pozbawionej światła, jak twoja.

***Antonella Anedda**
Ur. w 1955 r., znana włoska poetka, eseistka i wykładowczyni akademicka, wydawana także w Polsce. Utwór za antologią „W szczelinie między czuwaniem a snem. Sto dziesięć wierszy włoskich poetów współczesnych”, przełożył i wstępem opatrzył Jarosław Mikołajewski. Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy 2019.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414016

W SOBOTĘ „WYBORCZA” NA WIELKANOC

MUZYKA JANA SEBASTIANA BACHA
Jak bardzo przez 275 lat zmieniła się kultura, w której żyjemy? I jak jednocześnie nie zmienił się człowiek?

NATALIA DE BARBARO
Wierzę w Boga w tym sensie, że wierzę w miłość i w to, że to jest siła, która najmocniej organizuje świat

Stół, przy którym siedzi Polska z Polską

WYŚCIGI KONNE - patologia czy rozrywka?

Po co ludzie idą do SANTIAGO DE COMPOSTELA?

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

ALE HISTORIA

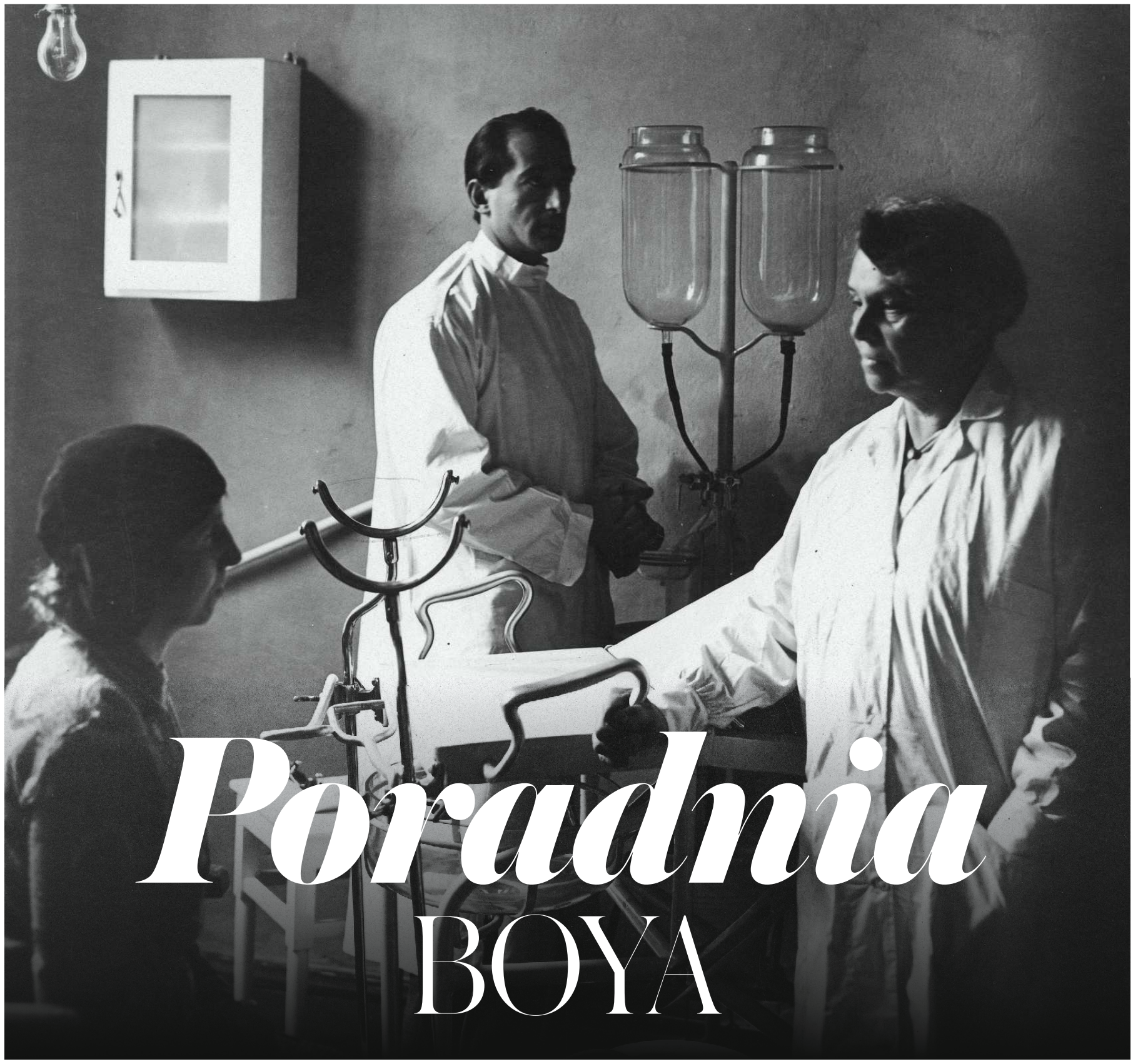

Poradnia BOYA

Otwartą 95 lat temu Poradnię Świadomego Macierzyństwa krytykowali wszyscy od prawa do lewa. Nawet kobiety były przeciwne

Marta Grzywacz

• **Do historii Poradni Świadomego Macierzyństwa nawiązuje serial „Piekło kobiet", który można obejrzeć na platformie HBO**

To ostatni moment, żeby państwo polskie z pełną odpowiedzialnością przystąpiło do regulacji urodzeń, i zaczęło wpływać na świadome ograniczanie potomstwa. Nie tyle w klasach wyższych, które przez swój »egoizm« rozradzały się zawsze za mało, ale wśród biedoty" – pisze w 1934 roku lekarka i społeczniczka Justyna Budzińska-Tylicka. „Prowadzenie takiej polityki ludnościowej to nie jest tylko zagadnienie poszczególnych rodzin – dowodzi – to nie tylko potępianie bezmyślnego, głupiego, zmysłowego płodzenia potomstwa; to nie tylko męka rodzącej kobiety; to nie tylko pieszczoty macierzyńskie czy rodzicielskie – to jest wielkie społeczne zagadnienie, wielka sprawa, związana z dalszym istnieniem ustroju kapitalistycznego lub z przyśpieszeniem zwycięstwa świata pracy!".

Wróciła do Polski z Francji w 1905 roku, tuż po wybuchu rewolucji, zwabiona hasłami walki z caratem i nadzieją na zmiany. Miała 38 lat, za sobą studia na Sorbonie i praktykę lekarską. Emancypantka, działaczka społeczna o wielu aktywnościach – aż trudno uwierzyć, że zmieściły się wszystkie w jednym życiu.

W Paryżu nawiązuje kontakt z socjalistami polskimi. Przewozi bibułę do Królestwa Polskiego, pomaga przybyłym z Zurychu Polakom. Jakimś cudem znajduje w tym wszystkim czas na miłość, wychodzi za mąż, rodzi dwoje dzieci. Po studiach kupuje siedzibę zmarłego lekarza w Etrépilly koło Meaux i otwiera tam własną prywatną praktykę. Trochę potrwa, zanim przekona do siebie pacjentów — w końcu jest kobietą, a oni woleliby mężczyznę, ale w końcu zjedna ich empatią i cierpliwością. Specjalizuje się w chorobach układu oddechowego, a także gruźlicy płuc.

Pochodzi z rodziny o niepodległościowych tradycjach, we Francji jednak odkrywa, że w głębi duszy interesuje ją nie tylko polityka, ale i sprawy społeczne. Zawsze już będzie łączyć pasję społeczniczki z zawodem lekarza.

Po powrocie do Polski zaangażuje się w ruchy feministyczne, w pomoc rannym podczas Wielkiej Wojny i wojny polsko-bolszewickiej, zostanie pierwszą w kraju lekarką szkolną, będzie pisać o higienie kobiet. Zorganizuje także manifestację przeciwko procesowi brzeskiemu, za co zostanie skazana na rok więzienia. Założy Towarzystwo Lekarek Polskich, a wreszcie pierwszą w Polsce Poradnię Świadomego Macierzyństwa.

ZDROWE ISTOTY

Czytając w zagranicznej prasie o konsekwencjach XX-wiecznego boomu demograficznego – o wzroście nędzy, wysokiej umieralności niedożywionych noworodków, rosnącej liczbie aborcji wykonywanych pokątnie – Tylicka nie ma wątpliwości, że ratunkiem jest tylko regulacja urodzeń.

W Holandii na początku lat 20. powstają wspierane przez państwo poradnie, w których propaguje się wiedzę o antykoncepcji. Ona chce wprowadzić podobne

2 RP

eprasa.pl 05eb22389c

rozwiązania w Polsce. Już w 1909 roku w pracy poświęconej higienie kobiecej pisze: „Rodzice, nie tylko mają prawo, ale powinni dać życie tylu istotom, na ile ich zdrowie, wiedza i mienie pozwalają. Zaznaczam, że nie ilość, lecz jakość stanowią o potędze narodu".

Wtedy jeszcze wypowiada się przeciwko aborcji, ale dwadzieścia lat później, gdy zabiera głos w sprawie projektu nowego kodeksu karnego, zmienia zdanie. Na łamach „Głosu kobiet" domaga się zniesienia kar za przerwanie ciąży i dopuszczenie zabiegów wykonywanych przez lekarzy ze względu na sytuację społeczno-ekonomiczną i stan zdrowia kobiety.

IRENA PRZECIW KOŁTUNOM

Poradnię Świadomego Macierzyństwa Tylicka otwiera w październiku 1931 roku pod egidą Robotniczego Towarzystwa Służby Społecznej. Adres: Leszno 23 (według innych źródeł 53), na tablicy napis: „Tu się ciąży nie przerywa, tylko zapobiega". Kiedy kobieta nie może mieć więcej dzieci, obowiązkiem lekarza jest ją uświadomić co do środków zapobiegawczych – argumentuje. Poradnia ma także udzielać porad przedślubnych, leczyć choroby kobiece i bezpłodność. Tylicka zostaje szefową placówki. Pomaga jej dr Herman Rubinraut, ginekolog.

Twarzą kampanii informacyjnej jest pisarz, tłumacz, lekarz i celebryta – Tadeusz Boy-Żeleński. Tak znany, że choć przychodnią zarządza Tylicka, miasto mówi, że to „Poradnia Boya".

Do tego, żeby pisał o tym, z czym zmagają się kobiety, szczególnie te słabo edukowane i biedne, namawia go parę lat wcześniej kochanka, Irena Krzywicka – publicystka „Wiadomości Literackich". „To ja wymyśliłam, że należy pisać o tajnych poronieniach i o zapobieganiu ciąży" – przyzna w „Wyznaniach Gorszycielki". „Zostaliśmy zjednoczeni we wspólnej kampanii, a także w wymysłach kołtunów. (...) Lewica wrzeszczała chórem z prawicą. Jednak robiliśmy to, co uważaliśmy za słuszne".

Sama, mając 24 lata, poddaje się aborcji. Co prawda jest już mężatką, ale mieszkają z mężem osobno, u swoich rodziców, bo na wynajem własnego lokum są zbyt biedni. Nie mogą zadbać o własny byt, a co dopiero o dziecko, które miałoby się pojawić. Zabieg odbywa się w domu jej matki, „pod narkozą chloroformową", dyskretnie. To ważne, bo kobiecie, która „się psuje" i temu, kto jej pomaga, grozi więzienie. Irena będzie miała sporo szczęścia, nie tylko dlatego, że ona i jej bliscy unikną kary, ale dlatego, że przeżyje zabieg. Jej trzy sąsiadki, z tej samej kamienicy, po potajemnej aborcji umrą.

OŚMIELAĆ DO MYŚLENIA

Otwarcie Poradni Świadomego Macierzyństwa krytykują wszyscy – od prawa do lewa. Przeciwne są nawet kobiety. Tematy intymne wciąż są tabu. Jak tu rozmawiać? Wrogowie nie walczą jednak uczciwie – twierdzi Boy-Żeleński, ale „robią wariata". Przedstawiają nową poradnię jako „stację dla poronień". Jednocześnie w gazetach pojawiają się reklamy leków, które mają skutek uboczny w postaci „silnej cyrkulacji krwi", jeśli weźmie się 6 sztuk 3-4 razy dziennie. „Cel anonsu jest zupełnie jasny: chodzi tu po prostu o reklamę środka na ...spędzenie płodu. Nawet dawkę oznaczono". W ten sposób „bogobojne" pisma „i cnotę mogą zachować i kapitał zebrać". „Obleśna formuła anonsu naszych świętoszków."

Boy już dawno dał się poznać jako ten, który bezkompromisowo piętnuje ciemnotę i hipokryzję, zapiekły konserwatyzm i brak otwartości. Obiecał sobie, i słowa dotrzymuje, aby: „igrać z najbardziej uświęconymi pojęciami, prowokować obłudne oburzenia, demaskujące dyskusje, wpuszczać powietrze, ośmielać do myślenia (...)".

Cykl felietonów, dla „Kuriera Porannego", który opublikuje pod wspólnym tytułem „Piekło kobiet", zaczyna pisać w 1928 roku. Krytykuje prawo, które wobec liczby aborcji dokonywanych pokątnie jest martwe, i rzekomą politykę populacyjną, która nie potrafi sobie poradzić z zapewnieniem obywatelom godnego bytu, a jednocześnie karze kobiety za aborcję. „Ten sam płód, nad którym trzęsą się ustawodawcy, póki jest w łonie matki, w godzinę po urodzeniu traci wszelkie prawa do opieki prawnej, może zginąć pod mostem z zimna, gdy matka – którą jej »święte« macierzyństwo czyni nieraz wyrzutkiem społeczeństwa – nie ma dachu nad głową". Co więc jest lepsze – pyta –"rodzina, gdzie rodzi się, dajmy na to, siedmioro dzieci chowanych w głodzie i zaduchu, z których kilkoro umrze, a reszta będzie nędzna i chorowita, czy ograniczona ilość urodzeń, a zdrowe wychowanie dzieci, które przyjdą na świat? Cóż za trwonienie energii to nieograniczone rodzenie jedynie dla śmierci!".

Tylicka zauważa drugie dno kościelnej krucjaty przeciwko kontroli urodzin: „Kler nie chce się wyzbyć ogromnego wpływu, który miał dotąd na kobietę, na matkę, na rodzinę; a także działa tu sprawa materialnych dochodów, płynących z tych bogobojnych wpływów, bo wszak czym więcej dzieci kobieta urodzi, tym więcej ich umrze, a przecież i chrzest, i pogrzeb przynoszą księżom dobre dochody. To samo można powiedzieć o ślubach i rozwodach cywilnych, które dziś przynoszą kolosalne dochody klerowi, szczególnie rozwody bogaczów, dla których zawsze znajdują się tajemnicze przyczyny »unieważniające małżeństwo«, a które dla ubogich jest nierozerwalnym sakramentem".

◀ **Lekarze: Justyna Budzińska-Tylicka i Herman Rubinraut oraz pacjentka Poradni Świadomego Macierzyństwa**
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

O „MIĘSO ARMATNIE" TU CHODZI

Na terenach wszystkich zaborów za nielegalne spędzenie płodu i niedoszłej matce, i jej pomocnikom groziło kilka lat więzienia. Nadzieje, że w wolnej Polsce sytuacja się zmieni, rozbudziła komisja kodyfikacyjna powołana przez Sejm Ustawodawczy w 1919 roku. Zespół najlepszych prawników miał ujednolicić prawo, w tym przepisy o przerywaniu ciąży. Do akcji natychmiast wkroczyły środowiska endeckie i Kościół, twierdząc, że „zabicie płodu" jest moralnie niedozwolone nawet wtedy, gdy trzeba ratować życie matki.

Po drugiej stronie stają liberalni publicyści i wielu prawników, przekonując, że jeśli kobieta chce się pozbyć dziecka, to nic jej przed tym nie powstrzyma. Na próżno. 24 czerwca 1920 roku na zgromadzeniu sekcji prawa karnego materialnego komisja kodyfikacyjna uznaje spędzenie płodu za przestępstwo „śmierciodajne". Kobiecie, która je popełniła, ma grozić do pięciu lat więzienia, a temu, kto jej pomagał, 10 lat. Nie dopuszczono przerywania ciąży dla ratowania życia i zdrowia kobiety.

Naczelne argumenty: moralność i przyrost naturalny, o który trzeba dbać.

Tyle że Polska międzywojenna może się pochwalić dużym przyrostem naturalnym. Problemem jest raczej bezrobocie i bieda. „Fabryki oddalają mnóstwo robotników dla braku pracy, ludzie mieszkają pod mostem, albo po kilka rodzin w jednej izbie, ekonomiści powiadają, że produkujemy rocznie nadwyżkę 400 000 dzieci, z którymi nie wiadomo co robić, wobec tego, że nawet drogi emigracji się zamknęły, a lekarze majaczą coś o polityce populacyjnej" – pisze Boy-Żeleński.

Kobiety mają dostarczać narodowi, który ma jeszcze w pamięci ostatnią wojnę, a kto wie, czy nie nadchodzi kolejna, „mięsa armatniego" – argumentuje Tylicka. Podobnie widzi to Krzywicka – militaryzm wymaga od matek „ludzkiego mięsa". Nieograniczone rozmnażanie jest zatem w interesie polityki populacyjnej, a regulacja urodzin jawi się jako program pacyfistyczny nieadekwatny wobec zagrożenia.

Boyowi opadają ręce, gdy dowiaduje się, że zaczęto zalecać dostosowywanie mieszkań folwarcznych do potrzeb rodzin, które posiadają kilkoro dzieci. Związek Ziemian, widząc jednak, że właściciele mają z tym problem, doradzał, aby wielodzietnym rodzinom... wymówić mieszkanie. Z jednej więc strony wciąż obowiązywała kara więzienia za przerwanie ciąży, z drugiej za wielokrotne rodzicielstwo – tak promowane przez państwo. Oburzony Boy-Żeleński pisał: „I kto tak postępuje? Podpory religii, tradycji, cnót obywatelskich, ci właśnie, którzy na ustach mają wciąż ojczyznę, politykę populacyjną i etykę chrześcijańską".

DROGA REDAKCJO!

Warszawskie Towarzystwo Ginekologiczne przyjmuje uchwałę, że kwestie dotyczące prawa aborcyjnego nie są jego sprawą. Lekarze, zwykle obojętni wobec społecznych konsekwencji zakazu aborcji, opowiadają się po stronie prawa. A jeśli pomagają, to wyłącznie paniom z towarzystwa.

Na przełomie lat 20. i 30 koszty fachowej aborcji wynosiły od 35 do 100 zł za zabieg. Dla służącej była to równowartość co najmniej kilkunastu dniówek w pracy. Chyba że poszła do „babki". Wtedy wystarczyło pięć złotych. Jeszcze tańsze były tzw. domowe sposoby: szprychy rowerowe, jodyna, chinina i mydliny wstrzykiwane do macicy.

W listopadzie 1929 anonimowa kobieta pisze list do Boya-Żeleńskiego. Jest po czwartej aborcji, zdrowie nie pozwala jej mieć więcej dzieci, choruje na płuca. Kierują ją na komisję lekarską, której dostarcza stosowne orzeczenia. „Kiedy miała pani ostatnie dziecko?" – pyta lekarz. „Pięć lat temu". „No więc? Czas najwyższy mieć następne". Że kobieta pluje krwią? „A cóż to szkodzi?" – mówi pan doktor, a komisja wtóruje mu śmiechem. „Byłam świadkiem – pisze dalej czytelniczka Boya – rozmowy lekarki z lekarzem. Lekarka mówi: „Kobieta chora, w ciąży, dziecko może być ślepe". „Trudno – odpowiada lekarz – niech się o dzieci nie stara". Inna umęczona kolejnymi ciążami pyta zawstydzona lekarza: „Panie doktorze, co mam zrobić, żeby w ciążę nie zachodzić?". „Co robić? Nie sypiać z mężem" – odpowiada lekarz.

„I taki lekarz, odmówiwszy ubogiej matce należnej jej pomocy, wpędziwszy ją odmową swoją w chorobą, a czasem pośrednio przyprawiwszy o śmierć, wyobraża sobie niebożątko – ironizuje Boy-Żeleński – że wzmocnił »mocarstwowe stanowisko Polski« o jednego przyszłego obywatela, gdy tymczasem wniósł w ubogi dom nieszczęście i chorobę, może dzieci pozbawił matki".

REKORDZISTKI

Specjalista medycyny sądowej prof. Wiktor Grzywo-Dąbrowski przyznawał, że dokonywał rocznie „do dwustu sekcji zwłok kobiet zmarłych po spędzeniu płodu na zakażenie krwi". Jego zdaniem w Warszawie w okresie międzywojennym przeprowadzało się co roku 20 tysięcy aborcji.

Ponure statystyki dorzuca także Tylicka: „bardzo mało mamy pacjentek powyżej 24–25 lat, które by nie miały sztucznych poronień; (...) Statystyka nasza za rok 1932 wykazała, że jedna kobieta dokonała aż 30 poronień (!); z 1933 r., że jedna miała 29 poronień, mając dopiero 30 lat. (...) 26-letnia, mając jedno dziecko, sama kateterem 12 razy wywołuje sobie poronienia, pomimo że kilka razy ciężko po tym zabiegu chorowała; następnie 25-letnia, mając dwoje dzieci, już 10 razy u akuszerki roniła; a nawet 20-letnia, mając jedno dziecko, zdążyła już poddać się ośmiokrotnemu poronieniu. Z jakąż radością te ofiary nadmiernej, bezmyślnej płodności znalazły wreszcie w naszej Poradni świadomego macierzyństwa przystań! Wszystkie te powyższe wypadki wprost zdumiewającej odwagi i cierpień nieszczęśliwych matek dobitnie stwierdzają, jak szkodliwymi środkami i sposobami walczą kobiety z proletariatu z przymusowym macierzyństwem.

Wiele z nich mówi, że ponieważ na spowiedzi nie dostają rozgrzeszenia nie tylko za »psucie się«, ale nawet za używanie środków chroniących od zajścia, to »z dwojga złego« wolą zabezpieczać się od rodzenia nieszczęśliwych dzieci i przestają chodzić do konfesjonału...".

Lekarz i historyk medycyny Tadeusz Brzeziński obliczył, że w okresie międzywojennym na 100 porodów odbywało się 58-59 poronień. Jak wynikało z szacunków badaczy, nawet 50 proc. aborcji w II RP kończyło się śmiercią kobiety.

„CZARNI WŁADCY KRAJU"

W 1932 roku komisja kodyfikacyjna nowego prawa karnego łagodzi przepisy dotyczące aborcji. Przerwanie ciąży ma być możliwe w trzech przypadkach: gdy zagrożone jest życie i zdrowie kobiety, gdy ciąża nastąpiła w wyniku przestępstwa i z powodu trudnej sytuacji życiowej kobiety.

„Nareszcie ustawa rozwiązała ręce lekarzom i kładła kres przemysłowi pokątnych »poroniarek«, ratując życie i zdrowie setkom tysięcy kobiet. To stawia nasz kodeks w rzędzie najświatlejszych i najbardziej ludzkich" – pisze zachwycony Boy-Żeleński.

Jego radość trwa krótko, bo Kościół, zawsze przeciwny regulacji urodzin, przystępuje do kolejnego ataku. Zanim nowy kodeks karny trafi na biurko prezydenta Ignacego Mościckiego, znikną zapisy, które się władzom kościelnym nie podobały – przede wszystkim te dotyczące dopuszczalności przerywania ciąży ze względów społecznych. Ostatecznie nowy kodeks karny, przyjęty 11 lipca 1932 roku, co do zasady zabroni aborcji. Kobiecie za nielegalne spędzenie płodu grozić ma do 3 lat aresztu, jej pomocnikom do 5 lub do 10 lat więzienia (areszt był formą nieco łagodniejszą). Nowe przepisy legalizują aborcję tylko w dwóch wypadkach: gdy zagrożone jest zdrowie i życie matki albo gdy ciąża jest wynikiem gwałtu, kazirodztwa lub współżycia z nieletnią poniżej lat 15.

„Słowem – pisze rozgoryczony Boy-Żeleński w cyklu felietonów »Nasi okupanci« – „wystarczył jeden gest

eprasa.pl 05eb22389c

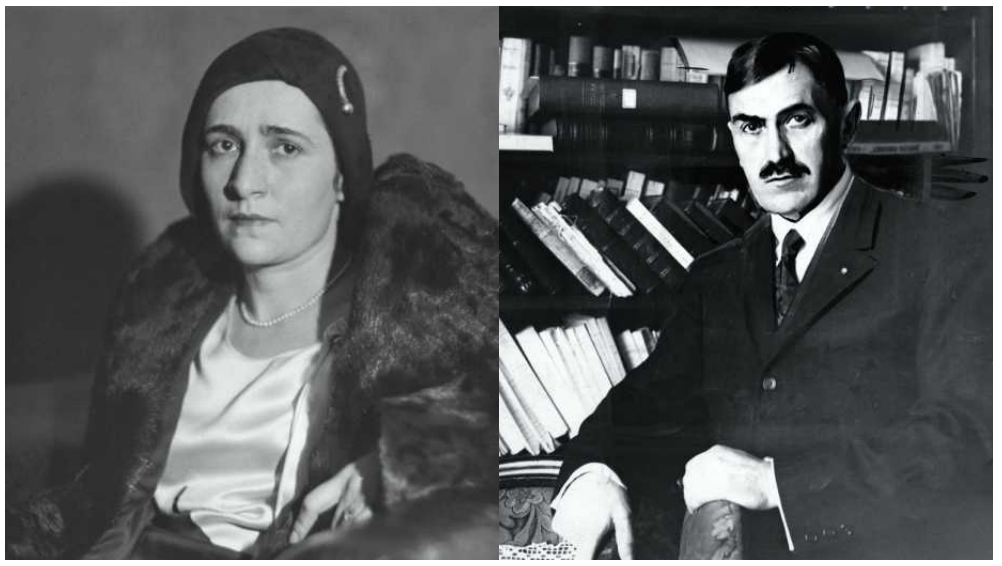

• **Irena Krzywicka, socjalistka, feministka, publicystka, propagatorka antykoncepcji i Tadeusz Boy-Żeleński, pisarz, tłumacz, publicysta, „twarz" Poradni Świadomego Macierzyństwa**

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO (2

»czarnych władców« kraju, by przekreślić 10-letnią pracę komisji kodyfikacyjnej. (...) Powiedzmy sobie, że każdy rząd w Polsce, chce czy nie chce, będzie się uginał pod naciskiem kleru, dopóki ciemnota lub bierność ogółu będzie czyniła ten kler realną czy fikcyjną potęgą. Dopóki w Polsce będzie można wykrzykiwać wzniośle »Bóg i religia«, tam, gdzie w gruncie chodzi o władzę i o pieniądze – dopóty kasta wyodrębnionych z życia dzikusów będzie regulatorem najdonioślejszych spraw społeczeństwa, z jego największą szkodą. Są bakterie, które zabija się światłem".

PRZYMUS MACIERZYŃSTWA

Wtóruje mu Tylicka: „Bez nas panowie w togach prawniczych postanowili, że kobieta polska ma podlegać przymusowemu macierzyństwu (...). Tymczasem żądać powinniśmy takiego prawa: że każdej kobiecie lekarz ma prawo przerwania ciąży w ciągu pierwszych trzech miesięcy, nie tylko z przyczyn zdrowotnych, ale również z przyczyn materialnych, społecznych i eugenicznych".

Tylicka ma tu na myśli sytuacje, które ze względu na choroby małżonków mogłyby sprawić, że dziecko także urodzi się chore lub niepełnosprawne. Postuluje, aby małżonkowie, zanim wezmą ślub i zdecydują się na dziecko, dobrze poznali swoje obciążenia zdrowotne. Do tego także służy Poradnia, której szefuje.

Współzałożyciel placówki, dr Herman Rubinraut, ginekolog, kreśli obraz swoich pacjentek: „Pacjentka, którą badam, jest kobietą z proletariatu. Wystarczy spojrzeć na jej ciało, aby wiedzieć, że tak jest. »Kobieta – rodzicielka«, »kobieta – dostarczycielka żołnierzy«, »kobieta – spłacająca dług świętym prawom natury« zeszła z piedestału, na którym postawiła ją przestarzała frazeologia, i przyszła, drżąca ze strachu, do lekarza, aby dowiedzieć się, czy nie grozi jej nowa ciąża. Skóra na jej brzuchu – to stary zwiotczały pergamin, na którym przeczytać można historię jej nieszczęść. Powłoki brzuszne ścieniały tak, że ręką można przez nie wyczuć kiszki. Narządy rodne wypadają – przy kaszlu, kichnięciu wydziela się bezwolnie mocz. Potworny ten obraz tak zwanej zdrowej kobiety można uzupełnić, opisując pęknięte, bliznami pokryte krocze, pozostałości po wysiękach i zapaleniach. Na nogach wiją się bolesne sznury żylaków, a piersi są obwisłe i zwiotczałe. Mając przed sobą taką kobietę, najbardziej doświadczony lekarz nie potrafi określić jej wieku. Z przerażeniem dowiaduje się, że ma lat 30 albo 32. Miała sześcioro dzieci, z których żyje dwoje. Przeszła siedem poronień z nieodstępnymi w jej warunkach gorączkami i z ciężkimi komplikacjami. Gdy przekonałem się, że jest w ciąży, zabrakło mi odwagi, żeby jej to powiedzieć. Przerażenie w jej oczach wybitniej niż słowa mówi o nowych wydatkach, nowych mękach, nowych chorobach, które ją czekają. (...) Umęczona troską wyżywienia rodziny, źle odżywiona, zapracowana, z chwilą zajścia w ciążę, zaczyna z soków własnych utrzymywać głodzącą się już w jej łonie nową istotę".

Rubinraut pisze broszury uświadamiające, które kieruje do ubogich żydowskich kobiet z ortodoksyjnych kręgów. Wiedza o antykoncepcji musi przestać być przywilejem bogatych, a stosowanie regulacji urodzeń – argumentuje – jest ważnym elementem dążenia kobiet do niezależności i walki ze zniewalającą tradycją. „Zbudź się, Żydówko!" – tytułuje jedną z broszur, apelując nie tylko o przełamanie tabu związanego z kontrolą urodzeń, ale proponując szereg metod zapobiegających ciąży, w tym sok z cytryny (!).

DZIEJOWA KONIECZNOŚĆ

Statut Poradni Świadomego Macierzyństwa mówi, że opłaty wynosić mają 3 zł, jednak bezrobotne kobiety, lub polecone przez instytucje społeczne, na przykład przychodnie przeciwgruźlicze, będą zwolnione z opłat. Tymczasem Poradnia ma być finansowana głównie z opłat za porady lekarskie. W rezultacie po czterech latach zostaje zamknięta z powodu braku pieniędzy. Na pomoc lekarzy znowu mogą liczyć tylko zamożne kobiety.

A jednak działalność Poradni i publikacje dotyczące kontroli urodzeń powodują, że świadomość społeczna się zmienia. Na rynku wydawniczym pojawiają się „Skuteczne i nieszkodliwe środki zapobiegania ciąży" Hermana Rubinrauta, Henryk Kłuszyński publikuje „Regulację urodzeń. Rzecz o świadomym macierzyństwie". Kobiety po raz pierwszy dowiadują się, że mogą decydować o swoim życiu.

Tylicka podsumowuje doświadczenia z Poradni w rozprawie „Świadome macierzyństwo", którą kończy słowami: „Życie – codzienne, szare nasze życie i wartki prąd tego życia – jest silniejsze ponad przesądy i obojętność, ponad egoizm klasowy możnych, ponad klerykalizm, faszyzm i militaryzm. Idziemy śmiało naprzód w walce o świadome macierzyństwo, bo to jest dziejowa konieczność!"

Chciałoby się powiedzieć – idziemy i nie możemy dojść. Wprowadzone sto lat temu prawo powróciło do Polski po okresie PRL-u, gdy aborcja ze względów społecznych była dopuszczona, i obowiązuje do dziś. Środowiska kościelne i konserwatywne od stu lat nie zmieniły swojego podejścia do aborcji, kontroli urodzeń i edukacji seksualnej. ●

Źródła: Justyna Budzińska-Tylicka „Świadome macierzyństwo", Tadeusz Boy-Żeleński: „Piekło kobiet", PIW 1960.

Historia krzepi

Tęsknota za Herkulesem

Tuż przed zamachem majowym krzepło przekonanie, że Polska potrzebuje terapii wstrząsowej.

Natecz

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

Przypomniany przez Telewizję Polską znakomity spektakl Andrzeja Wajdy „Bigda idzie!" osoba nieznająca historii mogła uznać za realistyczny obraz Polski przedmajowej. Tej, przeciwko której Józef Piłsudski zbrojnie zwrócił się przed stu laty. To mylna sugestia.

Nie o Wajdę tu idzie, tylko o Juliusza Kadena-Bandrowskiego, na którego powieści reżyser oparł narrację. Utwór powstał w 1933 roku i miał na celu zohydzenie jednego z najważniejszych przeciwników brutalnej już wtedy sanacyjnej dyktatury, czyli Wincentego Witosa, prezesa Stronnictwa Ludowego, niekoronowanego króla polskich chłopów, sportretowanego w krzywym zwierciadle Kadena jako Mateusz Bigda.

Piłsudski, przygotowując się w 1930 do sfałszowania wyborów, polecił aresztować Witosa i kilkunastu innych liderów demokratycznej opozycji. Trafili do wojskowego więzienia w Brześciu nad Bugiem, gdzie znęcano się nad nimi fizycznie i psychicznie. Aby usprawiedliwić bezprawne aresztowanie, dyktator nakazał urządzić swoim przeciwnikom proces, potocznie zwany brzeskim.

Przysporzył on sanacji wielu kłopotów, bowiem znaczna część opinii publicznej sympatyzowała z oskarżonymi. A oni z oskarżonych przeistoczyli się w oskarżycieli, obnażając nadużycia i bezprawie dyktatury. Wizerunkowej katastrofie usiłowali przeciwdziałać rządowi propagandziści, w tym Kaden-Bandrowski. Właśnie w tym celu powstała jego trzytomowa powieść „Mateusz Bigda". Zohydzała ona więźniów brzeskich, ukazując ich jako ludzi niemoralnych, uwikłanych w afery, niecofających się przed gwałtem i przestępstwem. Aby uczynić paszkwil bardziej sugestywnym, Kaden umieścił akcję powieści przed Majem 1926.

Krytycyzmu wobec rządzących polityków rzeczywiście wówczas nie brakowało. „Niepodległość już jest – narzekał bohater wydanego w 1924 roku »Romansu Teresy Hennert« Zofii Nałkowskiej – Są i granice. Mamy wszystko to, co jest gdzie indziej, czegośmy innym tak zazdrościli. Jest łapownictwo rodzime, prywata, protekcja, rządy motłochu, wielkie afery, wielkie majątki, interes, interes przede wszystkim".

Równie krytycznie oceniał sytuację Andrzej Strug w pochodzącym z 1925 „Pokoleniu Marka Świdy". „Kołtun polski – oskarżał tytułowy bohater – oprzytomniał, wyprał się i nawet mu się zdaje, że nie śmierdzi. Toniemy w łajdactwach, w klikach, w mafii".

Najdramatyczniej protestował wielki autorytet ówczesnej Polski, Stefan Żeromski. „Dał wam los w ręce ojczyznę wolną, państwo wolne, królestwo Jagiellonów – grzmiał w opublikowanym w 1924 »Przedwiośniu«. – A wy, wielkorządcy, coście zrobili z tego utęsknienia umierających? Polsce trzeba na gwałt wielkiej idei! Niech to będzie reforma rolna, stworzenie nowych przemysłów, jakikolwiek czyn wielki, którym ludzie mogliby oddychać jak powietrzem. Tu jest zaduch!".

Widoczny w wielu utworach krytycyzm rodziło bolesne zderzenie powstałego w czasach niewoli mitu własnego państwa jako kraju powszechnej szczęśliwości z pełną kłopotów rzeczywistością odrodzonej Polski. O tym, że niedostatki spowodowane były obiektywnymi przyczynami – takimi jak zniszczenia wojenne, dziedzictwo rozbiorów, wahania koniunktury ekonomicznej, wojna celna z Niemcami – mało kto chciał pamiętać. Oburzenie kierowało się przeciwko rządzącym, zwłaszcza sejmowi, skupiającemu lwią część władzy.

Krzepło przekonanie, że kraj potrzebuje gwałtownej, wstrząsowej terapii. Ludzie o poglądach demokratycznych i postępowych, dominujący w kręgach literackich i artystycznych, swe nadzieje wiązali z Józefem Piłsudskim. Cenili go za demokratyczne podwaliny, na jakich jako Naczelnik Państwa oparł odradzającą się Polskę. Szanowali za bezinteresowność, kontrastującą z podejrzanymi interesami części polityków sejmowych. Widzieli w nimtak jak skamandryta Jan Lechoń, Cyncynata, zdolnego ocalić ojczyznę. Popularne, zwłaszcza wśród poetów, było też porównanie do Herkulesa sprzątającego stajnię Augiasza, z którą kojarzono pogrążający się w kryzysie kraj.

Rację miał najwybitniejszy ze sprawozdawców parlamentarnych, Bernard Singer, pisząc: „Przewrót majowy został dokonany nie tylko przy pomocy wojska, przy współudziale robotników, ale jednocześnie przy czynnym poparciu świata literackiego. Młoda Polska przygotowała grunt dla tego przewrotu". ●

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

PODERŻNĘLIŚMY GARDŁA 7 MNICHOM

Na terrorystów mówią: „bracia z gór”. Na żołnierzy: „bracia z dolin”

Stanisław Zasada

„Gdybym pewnego dnia – choćby i dzisiaj – stał się ofiarą terroryzmu…” – przeor Klasztoru Trapistów w algierskim Tibhirine pisze testament.

Jest 1 grudnia 1993 roku. Śmierci spodziewa się od dwóch lat.

„Przyjacielu mojej ostatniej minuty” – zwraca się do przyszłego mordercy.

•

Siedem odciętych głów ktoś zostawił w worku przy stacji benzynowej. Worek wisiał na drzewie. Był 30 maja 1996 roku. W Algierii wciąż trwała wojna.

Głów mogło być więcej. Polaka Michała Ziołę uratował kalendarz świąt.

PO

Głowy należały do porwanych dwa miesiące wcześniej mnichów z Tibhirine. Zamordowani:

Christian de Chergé – lat 59, przeor; on pisał testament.

Christophe Lebreton – lat 46, mistrz nowicjatu.

Bruno Lemarchand – lat 66, przełożony klasztoru w Fezie.

Célestin Ringeard – lat 63, prowadził śpiew.

Luc Dochier – lat 82, lekarz, fan rugby.

Michel Fleury – lat 52, kucharz i ogrodnik.

Paul Favre – lat 57, zajmował się naprawami.

Wszyscy Francuzi.

Gdyby tamta Wielkanoc była wcześniej, lista mogłaby się kończyć tak:

Michał Zioło – lat 35, nowicjusz z Polski.

– Do męczeństwa trzeba dorosnąć – Zioło będzie potem powtarzał.

Ile mu zabrakło? Dwa tygodnie?

•

Kontemplują ser, który jeden z braci wyciąga z plecaka. Słychać, jak ktoś nabożnie wymawia szeptem nazwę.

Tak pokazał to Xavier Beauvois w filmie „Ludzie Boga” – o porwaniu i zamordowaniu trapistów.

Wszystko się zgadza: brat Paul był we Francji, wrócił w dzień przed porwaniem – jakby się spieszył. Przywiózł hostie, wino, komuś książkę, list. I pleśniowy ser z opactwa Tamié w Alpach – tamtejsi trapiści wyrabiają go z mleka pasących się w okolicy krów.

Nawet nie zdążyli zjeść całego. Któryś z terrorystów rozmazał ser na ikonie Matki Bożej.

PRZED

Lata trzydzieste zeszłego wieku. Albert Camus nie napisał jeszcze swoich wielkich powieści. Jest dziennikarzem, z Algieru jedzie na prowincję, przywiezie reportaże o nędzy Berberów.

A w Algierze jak w Paryżu: do kawy można zjeść croissanta, napić się wina. Nad pałacem gubernatora trójkolorowe barwy obiecują wolność, równość i braterstwo wszystkim ludziom.

Algieria od stu lat jest częścią Francji.

•

Widok stąd wspaniały. Poniżej dolina, góry naokoło. W ogrodzie cyprysy.

Maleńka wioska Tibhirine koło miasta Médéa. W 1938 roku (Camus szykuje się właśnie do reporterskiej wyprawy) osiedla się tu czterech mężczyzn. Od angielskiego kolonisty kupili czterysta hektarów z winnicą. Nim wybudują dom z kościołem, mieszkają w gospodarczych zabudowaniach.

Okrywają się białymi habitami, na które nakładają czarne szkaplerze z kapturem. Wstają o trzeciej nad ranem, siedem razy dziennie modlą się, nie jedzą mięsa, prawie się do siebie nie odzywają. Pomiędzy modlitwami idą w pole.

Trapiści – odłam cystersów, jeden z najsurowszych zakonów. Ci przyjechali z Prowansji, z opactwa Aiguebelle. Za sąsiadów mają muzułmańskich Berberów. Nauczą ich czytać, pisać. Brat Luc będzie leczył za darmo. Ale to później.

Na razie są dla Francuzów. Czują się jak u siebie. Po latach ojciec Amédée Noto będzie wspominał, jak w Boże Ciało główną ulicą Médéi nosił monstrancję z Ciałem Pańskim.

•

Niebieski, biały i czerwony zastępuje zielono-biały z czerwonym półksiężycem i gwiazdą.

Paryż chciał brutalnie zdławić powstanie. Aż algierski arcybiskup Léon-Étienne Duval, też Francuz, musiał zganić tortury. Algierscy nacjonaliści też zdeterminowani. Mordują Francuzów i rodaków, którzy współpracują z kolonialną władzą.

Jedni i drudzy kpią z takich jak Camus. Bo wezwał do rozebrania barykad. „Naiwne dziecko” – drwią z przyszłego noblisty ci i ci.

– Nie dojdzie się do niczego walką – prezydent de Gaulle to realista, chce skończyć wojnę. Ale francuska prawica ani myśli oddać Algierię. „Mohamed Duval” – przezywają arcybiskupa, który potępiał represje. Na de Gaulle’a szykują zamach.

5 lipca 1962 roku Algieria ogłasza niepodległość. Nie tylko flaga się zmienia. Oficjalnym językiem jest arabski, ustrojem – socjalizm, religią – islam.

„Trumna albo waliza” – mają teraz wybór Francuzi. Ofertę dostali od algierskich nacjonalistów – chcą się pozbyć dawnych ciemiężycieli.

Prawie milion pakuje walizki.

•

Poznajmy Christiana de Chergé. Rocznik 1937. Arystokrata, dumny, wolny. Ojciec – francuski generał, matka – paryska dama.

Pięcioletni. Mieszka w Algierii (ojciec walczy z Niemcami w północnej Afryce). Pierwszy raz w życiu widzi muzułmanów: biją czołem o ziemię, krzyczą: „Allah Akbar!”. Matka tłumaczy, że się modlą. Odtąd wie, że „Bóg

• **Bracia trapiści z Tibhirine na zdjęciu z 1989 roku. Zamordowani siedem lat później dużymi literami, od lewej: LUC DOCHIER, CHRISTOPHE LEBRETON, CÉLESTIN RINGEARD, BRUNO LEMARCHAND, Phillippe (nie było go w klasztorze), Jean-Pierre Schumacher (przeżył atak), Jean de la Croix (nie było go w klasztorze), MICHEL FLEURY, CHRISTIAN DE CHERGÉ. Na zdjęciu brak zamordowanego PAUL FAVRE (trzymał aparat) oraz Amédée Noto (przeżył atak)** FOT. DIDIER CONTANT/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 05eb22389c

islamu i Bóg Jezusa Chrystusa nie są dwoma różnymi Bogami".

Dwudziestodwuletni. Sutannę zamienia na mundur podporucznika armii francuskiej. Wysyłają go do walczącej Algierii. Pewnego dnia uratuje go Mohamed: wiejski policjant, muzułmanin, półanalfabeta, żonaty, dziesięcioro dzieci. Algierscy bojownicy poderżną „kolaborantowi" gardło.

To będzie przełom dla Christiana: „We krwi tego przyjaciela znalazłem zrozumienie, że moje wezwanie do pójścia za Chrystusem prędzej czy później musi być przeżywane w tym samym kraju, w którym niegdyś został mi dany dowód największej miłości".

Wszystko się wypełni.

•

– Dziewięćset tysięcy chrześcijan, którzy nagle uciekają, to dla Kościoła apokalipsa – arcybiskup Duval załamany.

Tymczasem generał trapistów chce, żeby mnisi z Tibhirine też wyjechali.

– Jeśli Tibhirine przetrwa, Kościół będzie uratowany – Duval sięga po patos. Generalny opat odmawia. Gdyby nie umarł na serce, pewnie by wyjechali. Następca jest mniej uparty.

A w Tibhirine zmiany. Z czterystu hektarów socjalistyczne państwo zostawiło im kilkanaście. Mnichów może być najwyżej dwunastu – tylu wystarczy dla garstki chrześcijan, jaka została.

Radzą sobie jakoś. Z berberyjskimi sąsiadami założyli małą spółdzielnię: uprawiają warzywa, owoce. Sprzedają na pobliskim targu. Dzielą się zyskami. Luc otwiera darmową przychodnię.

Amédée przestał chodzić dumnie z procesją główną ulicą Médéi.

•

Rok 1971. Do Tibhirine przyjeżdża Christian de Chergé. Przepowiadali mu kościelną karierę, a on sutannę zamienił na habit. Seminarium skończył w dawnym paryskim klasztorze karmelitów w Szóstej Dzielnicy – w czasie rewolucji mordowano tam księży. Po święceniach był ceremoniarzem w słynnej bazylice na Montmartrze – tradycja mówi, że poniósł tam męczeństwo Święty Dionizy, pierwszy biskup Paryża.

W klasztornej celi w Tibhirine wiesza portret Mohameda – algierskiego policjanta, który uratował mu życie. A może to tylko piękna legenda. Nawet jeśli – pasuje do niego: nauczył się arabskiego, w ramadan pości, z muzułmanami modli się i rozmawia o dialogu między religiami.

– Naiwny islamofil – niektórzy szydzą z Christiana.

•

Nieśmiały. Tak o sobie mówi Michał Zioło.

Rocznik 1961, z Tarnobrzega. Po maturze wstępuje do dominikanów. Od zawsze chodził do ich kościoła, mieszkał po sąsiedzku, dominikanie uczyli go religii, innych księży nie znał – tylko w białych habitach.

Niedaleko Sandomierz: w trzynastym wieku Tatarzy zamordowali tam dominikańskiego przeora Sadoka i czterdziestu ośmiu braci – cały klasztor. Kościół ogłosił ich błogosławionymi. Michał znał tę opowieść od dziecka.

W tamtym czasie – przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – zakon ma wielkie nazwiska. Jacek Salij, Jan Andrzej Kłoczowski i Aleksander Hauke-Ligowski wspierają demokratyczną opozycję. Marcin Babraj przyjaźni się z literatami, zakłada elitarne pismo.

W dominikańskim nowicjacie Zioło rozmawia o Miłoszu, którego w Polsce prawie nikt wtedy nie zna – Nobla dopiero dostanie. Na wykłady chodzi z tomikiem Grochowiaka. Sam też pisze wiersze. Po święceniach pracuje w wydawnictwie, jest duszpasterzem studentów i dzieci w spektrum autyzmu, ma audycje w radiu, programy w telewizji.

Jest po trzydziestce, gdy odchodzi do trapistów: oddają się modlitwie, pracują fizycznie, zachowują milczenie. U nas trapistów nie ma. Były ambasador w Maroku odradza mu wyjazd do Algierii – trwa już wojna domowa. Na zakonny postulat – pierwszy okres próby – pojechał do Fezu.

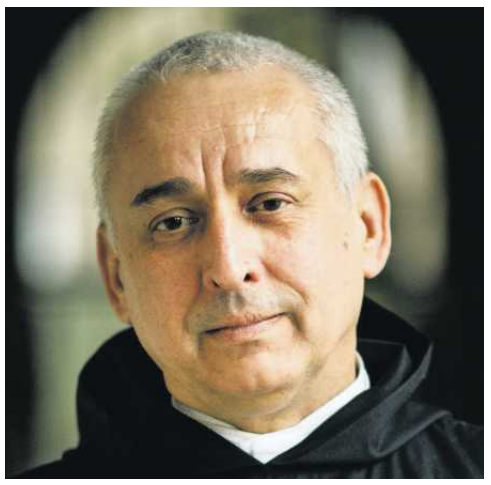

• **Ojciec Michał Zioło nowicjat w Tibhirine miał zacząć dwa tygodnie po zabójstwie**

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI/AGENCJA WYBORCZA

Tylko że mały klasztor w Fezie na północy Maroka to filia Tibhirine. Tam ma mieć nowicjat.

•

Sypie lepki śnieg, czołgi na ulicach. To nie Warszawa z roku 1981. Algier dziesięć lat później.

Tutejszy 13 grudnia wydarzył się na początku 1992 roku: islamiści wygrali wybory, stary reżim nie chciał oddać władzy.

Przegrani schodzą do podziemia, jak kiedyś „Solidarność". Od ulotek wolą kałasznikowy. Mordują urzędników, intelektualistów, dziennikarzy. We wsiach zabiją kobiety w ciąży. Podłożą bombę w paryskim metrze – bo uważają, że Francja wspiera juntę.

Reżimowa armia tak samo brutalna. Żołnierze chętnie sięgają po broń. Pacyfikują wsie – uważają, że chłopi sprzyjają brodatym terrorystom.

Islamscy partyzanci panują w górach. Wojsko – w dolinach.

„Bracia z gór" – mnisi z Tibhirine mówią na islamistów. Na żołnierzy: „bracia z dolin".

•

„Algieria dla Algierczyków", „Algieria tylko dla muzułmanów" – wracają dawne hasła. Islamistom nie podoba się, że niewierni bezczeszczą świętą ziemię. Wynocha! – mówią.

Ociągających się z wyjazdem porywają. Czasem chcą wymienić na więzionych współtowarzyszy. Ale częściej mordują. Na przykład poderżną gardła chorwackim robotnikom: niedaleko Tibhirine budowali wodociąg, przychodzili do trapistów na nabożeństwa.

•

Christian pisze testament:

„Gdybym pewnego dnia – choćby i dzisiaj – stał się ofiarą terroryzmu, który – jak sądzę – jednakowo traktuje wszystkich żyjących w Algierii obcokrajowców, chciałbym, aby moja wspólnota, mój Kościół, moja rodzina, pamiętali, że moje życie było dane Bogu i temu krajowi".

Pisać zaczyna w Algierze, w domu dla kapłanów był wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej z Wilna (pracowała tam polska serafitka, stąd ten wileński obraz). Skończy w Tibhirine. Tak:

„I ciebie także, przyjacielu mojej ostatniej minuty, który nie będziesz wiedział, co czynisz. Tak, tobie także chcę powiedzieć: »dziękuję« i »do zobaczenia«. Oby nam było dane, jak dobrym łotrom, spotkanie się w raju, jeśli zechce Bóg, Ojciec obu.

Amen. Inszallah!".

„Inszallah" po arabsku napisał.

•

„Bracia z gór" przychodzą w Wigilię 1993 roku. Nie wiedzą, że mnisi szykują się do pasterki. Żądają pieniędzy, lekarstw, telefonu. I brata Luca, żeby leczył rannych islamistów.

– Nie masz wyboru – brodaty dowódca Islamskiej Grupy Zbrojnej wycelował kałasznikowa.

– Zawsze mam wybór – Christian też stanowczy.

Nie będzie rozmawiał z uzbrojonymi w klasztorze, muszą wyjść za bramę. Brata Luca nie puści: jest stary, ma astmę. Lekarstw nie da: mogą przyprowadzić rannych tutaj, pomogą im jak innym chorym. Ma pretensje: przygotowują się do narodzin Bożego Syna, a oni przyszli z karabinami.

Zioło: – Potem zostawiali kałachy przed bramą.

„Bracia z dolin" też zaglądają. Podejrzliwi, butni, grożą. Jakby chcieli im obrzydzić Algierię.

•

„Mam 43 lata. Ile jeszcze przetrwam tutaj? Wczoraj zasztyletowano dziennikarza. Miał 31 lat" – ojciec Christophe Lebreton zapisuje kronikę zbrodni. Z obu stron.

„Wczoraj rano w Médéi 12 ciał porzuconych na ulicy, wystawionych na ludzkie spojrzenia: zmasakrowanych, okaleczonych. To odpowiedź sił porządku udzielona tamtym po zamachu na oficera policji, któremu poderżnięto gardło w sklepiku w pobliżu rynku".

I tak dalej...

•

Wyjedźcie! – armia, nuncjatura, generał trapistów nalegają.

Ludzie na targu boją się kupować od nich warzywa, żeby nie podpaść fundamentalistom.

A oni nie chcą ochrony wojska. Obiecali, że będą przed zmrokiem zamykać bramę.

Któryś mówi, że nie po to wstępował do zakonu, żeby popełniać zbiorowe samobójstwo. Inni też się wahają. Ale większość chce zostać.

Głosują co pół roku. Nigdy nie są jednomyślni. Aż przychodzi ten ostatni raz, gdy wszyscy są za.

•

– Jestem absolutnie normalny. Zdrowy psychicznie – przedstawia się.

Christian dziwi się, po chwili wybucha śmiechem.

Zioło nasłuchał się w Polsce, że opuszcza wspaniały zakon dominikanów i idzie do „jakichś trapistów". Będzie tłumaczył, że „przez Mertona" (najsłynniejszy trapista) i jego „Siedmiopiętrową górę" („Uwiodła mnie"), że to takie „powołanie w powołaniu". Stąd to zapewnienie o psychicznym zdrowiu, gdy rozmawia z Christianem.

„Cher frére MICHAŁ!" – kilka miesięcy później czyta od niego list. Imię wielkimi literami, po polsku – dlatego wyszło: „Drogi bracie Michał". Niegramatycznie.

„Tutaj dużo już mówiliśmy o Tobie. Rada klasztorna woli, żebyś czas probacji zaczął po Wielkanocy" – pisze przeor w grudniu 1995 roku.

Zioło wraca do kraju po algierską wizę.

•

Raz jeszcze tamta Wigilia, gdy „bracia z gór" przyszli pierwszy raz. Ojciec Christophe (ten od pamiętnika) uciekł na strych, drabinę wciągnął za sobą. Kryjówkę wcześniej przygotował.

Wyszedł, gdy w klasztorze zrobiło się cicho. Myślał, że wszystkich zabili. A współbracia siedzą przy stole, śpiewają kolędy. Jest mu wstyd.

„Przeżyłem to jako ucieczkę" – przyzna się w dzienniku. Przyrzeka, że nigdy ich nie opuści.

Ojciec Zioło rozumie jego wyrzuty: gdy Tatarzy mordowali dominikanów w Sandomierzu, jeden z braci schował się, ale po chwili dołączył do braci i zginął razem z nimi.

•

26 marca 1996, wtorek. Za kilka dni Niedziela Palmowa i Wielki Tydzień.

Brat Paul ląduje w Algierze. Był w rodzinnej Sabaudii: odwiedził matkę (miała urodziny), trapistów w Tamié. Przed powrotem do Algierii kupuje sadzonki buków i kilka łopat do pracy w ogrodzie.

– Będziemy nimi kopać nasze groby – żartuje.

Nie chce nocować w stolicy. Spieszno mu do braci. Oprócz sadzonek i łopat przywiózł hostie, wino, Christianowi książkę, Christophowi list. I ten ser.

Potem będą mówić, że chciał zdążyć na śmierć.

Jest też ojciec Bruno Lemarchand z Fezu. Ma wziąć udział w wyborach przeora – Christianowi kończy się kadencja. Potem wrócić do Maroka.

•

Jeszcze ten sam dzień, późny wieczór.

Odmawiają kompletę (ostatnia modlitwa dnia). W kaplicy patrzy na nich z krzyża zmartwychwstały Jezus, namalowany po wschodniemu, jak na ikonie. Z drugiej ikony – Matka Boska.

Célestin zapisuje na kartce intencję: „Panie Jezu, przyjmij do szczęśliwej wieczności tych, którzy umierają". Zwykła modlitwa pobożnych mnichów. Przecież nie wiedzą, co ma się stać.

Śpiewają „Salve Regina". Idą spać.

W nocy budzą ich „bracia z gór". Kałachów nie zostawili za bramą.

PO

Francja zastygła. W katedrze Notre-Dame kardynał Jean-Marie Lustiger zapala siedem świec. Symbolizują porwanych mnichów. I nadzieję, że się znajdą.

Będą się paliły dwa miesiące.

•

Michał Zioło szykuje się do mszy w kościele dominikanów we Wrocławiu. Przyjechał z Fezu po wizę – ma jechać do Tibhirine na nowicjat. Termin ustalony: po Wielkanocy.

W 1996 roku Wielkanoc wypada 7 kwietnia, a jest koniec marca.

Więc, gdy słyszy, że islamscy fundamentaliści porwali mnichów z Tibhirine, nie wierzy. Przecież ma do nich jechać.

•

Islamska Grupa Zbrojna chce wymienić mnichów na więzionych we Francji terrorystów – podaje arabska gazeta „Al-Hajat".

Do francuskiej ambasady w Algierze ktoś przynosi kasetę. Każdy porwany przedstawia się, recytuje aktualne informacje z radia – na dowód, że wciąż żyje.

Ostatni komunikat jest z 21 maja: „Poderżnęliśmy gardła siedmiu mnichom".

W Notre-Dame gaszą świece.

•

Głów mogło być więcej. Ale Amédée Noto i Jean-Pierre Schumacher spali w innym miejscu.

Amédée widział terrorystów przez dziurkę od klucza, nie zajrzeli do niego. Chcieli otworzyć furtę, gdzie dyżur miał Jean-Pierre, ale zepsuta klamka obracała się w zamku.

Rano pobiegną na najbliższy posterunek wojskowy, bo terroryści przecięli kabel od telefonu. Usłyszą, że dowódca śpi. Mają wrażenie, jakby mnichów nikt nie chciał szukać.

Amédée będzie powtarzał, że to Matka Boska go uratowała. Jean-Pierre prawie oszaleje.

•

Tego dnia, gdy znaleziono odcięte głowy, powodów do smutku było więcej. W Algie-

eprasa.pl 05eb22389c

rze umarł kardynał Duval. Potępiał politykę kolonialną Francji i tortury na Algierczykach w czasie wojny o niepodległość. I namówił trapistów, żeby zostali w Tibhirine.

Głowy złożono w trumnach. Pochowano przy klasztorze, pod cyprysami, na które często patrzyli.

Na prostych płytach z piaskowca kamieniarz wykuł każdemu imię i krzyż. I tę samą datę: 21 maja 1996. Tego dnia terroryści ogłosili: „Poderżnęliśmy…”.

Gdy ich chowano, nad Tibhirine krążył wojskowy helikopter. Dzień był mglisty.

TERAZ

Ojciec Zioło wiele razy mierzył się z pytaniami o sens ich śmierci. Do czego doszedł?

Że nie chodziło o bohaterstwo ani heroizm. Że mnisi nie byli samobójcami. Że zostali, bo nie chcieli zdradzić ślubów: wymagają, żeby mnich był wierny danemu miejscu.

I że chcieli dzielić los swoich berberyjskich sąsiadów. Byli trochę jak ten dziennikarz z „Dżumy” Alberta Camusa, który powiada: „Ta sprawa dotyczy nas wszystkich”.

Zastanawia go czasem ten zbieg okoliczności: Bruno, który przyjechał z Fezu tylko na chwilę. I Paul, który zdążył wrócić z Francji. Chociaż wie, że to nie są zbiegi okoliczności.

•

Ten klasztor skończył się dla mnichów – powtarza im stary trapista z Fezu.

Nie posłuchają. Dwa lata po pogrzebie chcą przywrócić zakonne życie w Tibhirine. Jest z nimi Zioło, dołączył Amédée. Mieszkają w Algierze, bo wciąż niebezpiecznie. Raz w tygodniu wojsko eskortuje ich do Tibhirine. Muszą wracać przed zmierzchem. Za każdym razem mijają to drzewo przy stacji benzynowej.

Odejdą po trzech latach. Nie chcieli życia spędzić na oprowadzaniu po grobach męczenników.

•

A może to nie „bracia z gór”? Może „bracia z dolin” ich zamordowali? Żeby mieć alibi do używania przemocy?

•

Po śmierci syna Monique de Chergé napisała list do Michała Zioły.

Czemu do niego?

Odpowiada ciszą. Listu nie pokaże. Mówi, że pismo niewyraźne, trudno rozszyfrować…

Dał jej ikonę Matki Boskiej Ostrobramskiej. Powiedział, że Christian pod taką samą pisał testament. Gdy umarła, jej córka odesłała obraz. Zapewniała, że wisiał w pokoju matki.

Pojechali do Tibhirine bez habitów. Ubierają te po zamordowanych. Amédée mówi, że Zioło założył habit Christiana – znowu przypadek? Złoży w nim śluby wieczyste.

Ma też od niego pocztówkę: marokański łobuziak wychyla zza parkanu połowę umorusanej twarzy, jakby się wstydził pokazać cały. Na odwrocie napisał: „Michał, ten chłopiec to trochę Ty!”.

W Maroku jest znów od kilku lat, mieszka w klasztorze Midelt, niedawno został przeorem. Trapiści mają tam przyjazne relacje z muzułmanami, jak kiedyś ich bracia w Tibhirine.

Klasztor nosi wezwanie Matki Bożej z Góry Atlas – jak tamten.

•

Ósmy grudnia 2018 roku. W algierskim Oranie beatyfikacja siedmiu trapistów – Kościół uznał ich za „męczenników za wiarę”. Czy z powodu wiary zginęli? Czy motyw był polityczny?

Przyjechał Jean-Pierre: uratowała go wtedy zepsuta klamka. Po uroczystości zajrzał na chwilę do Tibhirine, zrobił sobie zdjęcie w ogrodzie. Rok później papież Franciszek podczas wizyty w Maroku podejdzie do niego i ucałuje rękę.

Jean-Pierre umarł pięć lat temu. Amédée beatyfikacji nie doczekał.

Będą pytać Michała Zioły, czy myśli, że też mógł zginąć. Spytałem kiedyś i ja. Tak nie myśli.

•

Z Tibhirine zabrali do Aiguebelle ikonę krzyża ze Zmartwychwstałym – zamordowani modlili się przed nią codziennie, także w tamten wieczór przed porwaniem. W Wielką Sobotę trapiści w Aiguebelle – robią tak co roku – znów wystawią ją w swoim w kościele. ●

Korzystałem z książek: Bruno Chenu, „Ludzie Boga”, „Tchnienie Daru. Dziennik brata Christophe’a, mnicha z Tibhirine” i „Po co światu mnich?” – wywiad rzeka Katarzyny Kolskiej i Romana Bieleckiego OP z Michałem Ziołą OCSO, a także z mojego reportażu „Zniknęli we mgle” opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” oraz rozmowy z Michałem Ziołą.

• **Klasztor w Tibhirine, 2003 rok, jeden z zakonników porządkuje groby siedmiu zamordowanych braci**

1 RP FOT. DIDIER CONTANT/GAMMA-RAPHO VIA GETTY IMAGES

Okruchy historii

Zagłada Czerkiesów

Choć obok głodu w Irlandii było to największe ludobójstwo XIX wieku, to jest całkowicie zapomniane.

Motyka

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

9 stycznia 2025 roku Rada Najwyższa Ukrainy w specjalnej uchwale uznała zbrodnie popełnione przez Rosję na Czerkiesach, zwanych inaczej Adygami, za ludobójstwo. W dokumencie zaznaczono, że rosyjskie działania „doprowadziły do zagłady setek tysięcy Czerkiesów, zadały znaczne szkody socjalnym podstawom istnienia narodu czerkieskiego (adygejskiego) oraz wielkie straty całej ludzkości”.

Czerkiesi od czasów starożytnych mieszkali na Kaukazie, wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża Morza Czarnego, na terenach dzisiejszego Kraju Krasnodarskiego. W 1763 roku caryca Katarzyna II rozpoczęła ekspansję i podbój ich ziem. Wojna kaukaska, znaczona kolejnymi powstaniami, trwała do 1864 roku, kiedy ostatecznie imperium rosyjskie zakończyło proces bezwzględnego podboju.

Kampanię wojenną prowadzono brutalnie, dość szybko bowiem uznano, że kochających wolność dumnych górali łatwiej eksterminować lub deportować niż zmusić do uległości.

Rosyjskie zwycięstwo przypieczętował masowy exodus 600-700 tysięcy Czerkiesów, którzy drogą morską udali się do Turcji. W czasie tej wymuszonej gehenny 150-200 tysięcy z nich zginęło z chłodu i chorób.

Na ziemiach dotkniętych ludobójczą czystką etniczną łatwiej było napotkać niedźwiedzia lub wilka niż kaukaskiego górala. Z czasem napłynęli jednak rosyjscy osadnicy, zakładając między innymi Soczi, dziś znany kurort, w którym w 2014 roku odbyła się zimowa olimpiada.

Odwaga Czerkiesów już w XIX wieku nie uszła uwadze zachodniej opinii publicznej. Sławiono ich odwagę i naturalne „dzikie” piękno kobiet. Liczne dzieła sztuki poświęcone „pięknym Czerkieskom” (jeden z obrazów wyceniony na gigantyczne kwoty zatonął na „Titanicu”) można odbierać też jako ilustrację tragicznego losu narodu skazanego na tułaczkę. Patrząc na obrazy sławiące Czerkieski łatwiej bowiem, jak sądzę, dostrzec niezdrową fascynację faktem, że z powodu nędzy wiele z kobiet sprzedano w niewolę do bliskowschodnich haremów niż współczucie dla ich losu.

Choć było to — obok głodu w Irlandii — największe ludobójstwo XIX wieku, to tragedia Czerkiesów dziś jest zapomniana. Dopiero 20 maja 2011 roku Gruzja, jako pierwsze na świecie państwo, uznała je za ludobójstwo. Zapewne ten akt gruzińskiego parlamentu ośmielił Czerkiesów do nieśmiałych prób przypomnienia o swoim losie podejmowanych w czasie zimowej olimpiady 2014 roku.

Ukraina jest drugim państwem, które zdecydowało się na ten krok, nieprzypadkowo w czasie trwającej pełnoskalowej wojny z Federacją Rosyjską. Deputowani w komentarzach po głosowaniu nawet nie ukrywali, że obok wyrażenia współczucia dla ofiar chodziło im o podsycenie niepodległościowych aspiracji wśród narodów kaukaskich. W samej uchwale uznano zresztą prawo rozrzuconych po świecie Czerkiesów do repatriacji na dawne ziemie i zbudowania tam niepodległego państwa.

Moment przyjęcia dokumentu, jak się okazało, nie okazał się najlepszy dla jego rozpropagowania. Nie dość, że prezydent Trump niebawem chłodno przyjął w Białym Domu prezydenta Zełenskiego, to jeszcze zaczął forsować wizję utworzenia „Riviery w Gazie”. Cóż, kiedy największy sojusznik zaczyna pochwalać pomysł deportowania Palestyńczyków do Somalilandu w imię budowy futurystycznego raju, to mniej przekonująco brzmi krytyka największego wroga za przestępstwa z XIX wieku i stworzenie nowoczesnego kurortu w Soczi. Pomimo to, kilka tygodni temu konferencja o ludobójstwie Czerkiesów odbyła się w litewskim Sejmasie. Tamtejszy parlament zastanawia się bowiem, czy nie przyjąć w tej sprawie odpowiedniej uchwały.

Akt Rady Najwyższej przeszedł w Polsce bez większego echa, a dobrze on pokazuje, że pomimo trwającej wojny Ukraina bynajmniej nie rezygnuje z prowadzenia aktywnej polityki historycznej, nawiasem mówiąc, także na odcinku polskim. Tragiczny los Czerkiesów niewątpliwie warty jest przypomnienia. Także dlatego, że ich exodus rozgrywał się w chwili, kiedy carska Rosja krwawo tłumiła powstanie styczniowe. Zmęczeni własną martyrologią, dopiero przez pryzmat cierpień Czerkiesów możemy dostrzec, że nasz polski los był mniej tragiczny, ale też godny pożałowania. Bo rosyjskie represje wobec Polaków również wynikały przede wszystkim z imperialnej polityki, a nie z powodu lekkomyślnego i romantycznego chwytania za szablę. ●

eprasa.pl 05eb22389c

PRZEGRANY WYŚCIG POLSKIEJ ARMII

Przed wojną nie było szans na żaden SAFE. Na polskie siły zbrojne przeznaczano rocznie grubo ponad 30 proc. budżetu państwa. Wyścigu zbrojeń z Niemcami i Sowietami jednak nie można było wygrać.

Witold Gadomski

W 1918 roku Polska wróciła na mapę Europy dzięki wyjątkowemu zbiegowi okoliczności – klęsce w Wielkiej Wojnie trzech zaborców. Znalazła się jednak w fatalnym położeniu geopolitycznym, granicząc z dwoma wrogimi mocarstwami. Przetrwanie wymagałoby kolejnego szczęśliwego zbiegu okoliczności, który, jak wiemy, nie wydarzył się. Rządzący robili jednak wszystko, by II Rzeczpospolita przetrwała – przede wszystkim wzmacniali siły zbrojne.

„Polska, chcąc utrzymać swój niepodległy byt państwowy musi przez szereg lat, aż do chwili stabilizacji położenia politycznego we wschodniej Europie, stać z bronią u nogi, ponosząc w okresie przejściowym ciężar w stosunku do jej sił ekonomicznych i finansowych być może ponad normę" – mówił w Sejmie 8 marca 1921 roku gen. Kazimierz Sosnkowski, ówczesny minister spraw wojskowych.

Ale potencjał gospodarczy zarówno Niemiec, jak i bolszewickiej Rosji (od 30 grudnia 1922 roku ZSRR) był znacznie większy. Statystyki przedwojenne nie znały jeszcze pojęcia Produktu Krajowego Brutto (PKB) – dziś najważniejszego agregatu obrazującego potencjał – ale badania historyków gospodarczych pozwalają wstecznie go szacować. Według Centrum Wzrostu i Rozwoju Uniwersytetu w Groningen PKB zarówno Niemiec, jak i Rosji był przeszło czterokrotnie wyższy niż Polski i w dodatku w ciągu 20 lat międzywojennych obie gospodarki rosły szybciej. Większy był też potencjał ludności. W roku 1920 Niemcy miały 60 mln mieszkańców, ZSRR 155 mln, a Polska 24 mln. W roku 1938 było to odpowiednio: 68 mln, 188 mln i 31 mln.

Trzeba też pamiętać, że na ziemiach polskich w latach 1914-1917 toczyły się ciężkie walki. Według polskich szacunków, przedłożonych podczas obrad kongresu pokojowego w Paryżu, całkowite straty przemysłu w wyniku wojny wyniosły ok. 10 mld franków francuskich w złocie według kursu przedwojennego. Przeliczając według ceny złota, to ponad 20 mld dzisiejszych dolarów.

W pierwszych latach niepodległości wydatki państwa zostały całkowicie podporządkowane wojnie z Rosją bolszewicką. Latem 1920 roku, gdy zagrożona była suwerenność państwa, w krótkim czasie armia rozrosła się do niespotykanych wcześniej rozmiarów. O ile na początku 1919 liczyła około 110 tys. żołnierzy, to już w sierpniu tego roku jej stan przekraczał 550 tys., a rok później osiągnął 944 tys.

Tak gwałtowny wzrost liczebności armii pociągał za sobą ogromne koszty. Generał Sosnkowski oceniał, że wojsko pochłaniało trzy czwarte wszystkich środków ekonomicznych, jakimi dysponowało państwo. Choć oficjalne dane wskazują niższe wartości, szacunki ministra wydają się wiarygodne. Ekonomista Edward Rose podkreślał, że w latach 1919-1921 wojsko i koleje razem konsumowały 65-70 proc. wydatków. Zniszczone przez zaborców i wojnę państwo nie było w stanie pokryć tych kosztów z własnych dochodów, musiało zaciągać kredyty m.in. we Francji, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych czy Szwajcarii.

Pieniądze te przeznaczano przede wszystkim na zakup uzbrojenia i sprzętu wojskowego, którego nie mógł dostarczyć dopiero rozwijający się polski przemysł zbrojeniowy. W efekcie zadłużenie Polski z tytułu zakupu zagranicznego sprzętu wojskowego osiągnęło pod koniec 1921 roku ponad 272 mln dolarów. To znacząco przewyższało standardy innych państw – podczas gdy na konferencji w Brukseli w 1920 roku ustalono, że średni udział kosztów wojskowych w budżetach krajowych wynosi około 20 proc., w Polsce sięgał on ponad połowy.

Większość środków pochłaniały tzw. wydatki wegetacyjne: na żołd, wyżywienie, zakwaterowanie i umundurowanie. Na uzbrojenie i formacje techniczne przeznaczano jedynie 17 proc. budżetu wojskowego.

MIERZ SIŁY NA ZAMIARY

Wraz z zakończeniem wojny polsko-bolszewickiej w pierwszej połowie 1921 roku władze musiały przeprowadzić głęboką reorganizację sił zbrojnych. Po latach intensywnych działań bojowych armia musiała przejść na stopę pokojową, a jednocześnie przygotować się do długofalowego rozwoju. Minister spraw wojskowych 8 marca 1921 roku zaproponował w Sejmie koncepcję funkcjonowania wojska w czasie pokoju. Zakładała ona m.in. ujednolicenie etatów, standaryzację uzbrojenia, rozwój krajowego przemysłu zbrojeniowego oraz wprowadzenie oszczędności w realizacji budżetu.

Pod koniec 1922 powstał ambitny program rozwoju sił zbrojnych aż do 1940 roku. Analizy wykazały, że jego realizacja wymagałaby rocznie około 1 mld złotych wskaźnikowych, a po uwzględnieniu inwestycji przemysłowych – nawet 1,2 mld. „Złote wskaźnikowe" to umowna jednostka wartości, którą w II RP stosowano do planowania wydatków państwowych, zwłaszcza wojskowych, w przeliczeniu na złoto, a nie na bieżącą walutę obiegową. Plan przewidywał zakończenie formowania dywizji liniowych do 1934 roku, a w latach 1935-1940 skupienie wysiłków na modernizacji technicznej armii. Utrzymanie 30 dywizji piechoty, 11 brygad kawalerii, 10 batalionów pancernych i 10 pułków lotniczych wymagało jednak nakładów przekraczających możliwości państwa.

Zgodnie z teorią ekonomii wydatki obronne można finansować na trzy sposoby: podnosząc podatki, zaciągając dług lub poprzez emisję pustego pieniądza, czyli inflację. II RP z inflacją, przechodzącą w hiperinflację, borykała się do 1924 roku. Reforma monetarna przeprowadzona przez Władysława Grabskiego 1 kwietnia 1924 roku ją zatrzymała. Polski złoty miał wartość 0,290322 g złota i choć po trzech latach został zdewaluowany, rządzący starali się nie dopuścić do inflacji i unikali inżynierii finansowej, którą w latach 30. stosowały hitlerowskie Niemcy.

Skarb Państwa mógł przeznaczyć na wojsko około 800 mln zł rocznie, a dodatkowe środki pochodziły z kredytów i pożyczek – około 100 mln rocznie. Dane budżetowe z lat 1921-1935 pokazują dużą zmienność finansowania: od 318 mln zł w latach 1921-1922 do 870 mln w latach 1928-1929. W latach trzydziestych budżet wojskowy ustabilizował się na poziomie ponad 760 mln zł.

Mimo znacznego udziału wydatków wojskowych w budżecie państwa – średnio ponad 33 proc. – armia nie rozwijała się w tempie odpowiadającym potrzebom. Dominowały koszty „wegetacyjne", pochłaniające 55-60 proc. środków, podczas gdy na modernizację techniczną przeznaczano niewielkie kwoty. Niedostateczne nakłady szły zwłaszcza na lotnictwo, wojska pancerne i marynarkę wojenną.

W tych trudnych warunkach państwo podjęło jednak wysiłek budowy własnego przemysłu zbrojeniowego. Od 1922 roku powstawały zakłady w Warszawie, Pionkach, Radomiu i Skarżysku, które miały uniezależ-

• **Aleje Ujazdowskie, 3 maja 1939 rok. Przejazd czołgów Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, najnowocześniejszej przed wojną formacji Wojska Polskiego. Dowodził nią Stefan Rowecki, w czasie wojny Komendant Główny Armii Krajowej** STR.46 FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Wydatki budżetowe Polski na zbrojenia w latach 1921-1935

Rok budżetowy	Budżet wojskowy w mln zł	Procent budżetu państwa
1921/1922	362,6	42,3%
1922/1923	318,3	36,4%
1923/1924	709,9	41,7%
1924/1925	698,7	38,8%
1925/1926	707,4	33,3%
1926/1927	633,9	33,4%
1927/1928	639	34%
1928/1929	870,3	31%
1929/1930	866	30%
1930/1931	778,4	27,9%
1931/1932	763,5	31,3%
1932/1933	768	35%
1933/1934	768,2	35%
1934/1935	768	35%

ŹRÓDŁO: MACIEJ GRZESZCZAK, EKONOMICZNY WYMIAR UTRZYMANIA ARMII II RZECZYPOSPOLITEJ, ZESZYTY NAUKOWE WYŻSZEJ SZKOŁY KADR MENEDŻERSKICH

© GAZETA WYBORCZA

eprasa.pl 05eb22389c

nić Polskę od importu uzbrojenia. Inwestycje te pochłonęły ponad 67 mln zł i stanowiły fundament przyszłej samowystarczalności militarnej kraju.

HITLER UCIEKŁ DO PRZODU

Mimo ogromnej różnicy potencjałów między Polską a wrogimi sąsiadami przez kilkanaście lat po odzyskaniu niepodległości mogliśmy się czuć w miarę bezpieczni. Traktat wersalski ograniczał możliwości militarne Niemiec. Armia niemiecka, Reichswehra, mogła liczyć maksymalnie 100 tysięcy żołnierzy zawodowych, bez obowiązkowej służby wojskowej. Zabroniono Niemcom także posiadania czołgów, lotnictwa wojskowego, okrętów podwodnych oraz ciężkiej artylerii. Polskie wojsko było w stanie obronić się przed Reichswehrą, a nawet ją zaatakować w sojuszu z Francją, co według niektórych historyków proponował w 1933 roku Paryżowi Józef Piłsudski.

Także Związek Radziecki nie był w latach 20. przygotowany do wojny z Polską.

Sytuacja zmieniła się w latach 30., gdy w Niemczech Hitler otwarcie rozpoczął proces zbrojeń, nie przejmując się ograniczeniami narzuconymi przez mocarstwa po Wielkiej Wojnie. W 1935 wprowadzono w Niemczech powszechną służbę wojskową i ogłoszono powstanie Wehrmachtu. Rozpoczęto także szybki rozwój Luftwaffe oraz produkcję nowoczesnej broni pancernej. Wydatki zbrojeniowe Niemiec, które w roku fiskalnym 1932/1933 wyniosły 400 mln reichsmarek (800 mln polskich złotych), błyskawicznie rosły, osiągając w roku fiskalnym 1936/1937 10,2 mld reichsmarek, a w przededniu agresji na Polskę 19,4 mld – około 15 proc. PKB.

Finansowanie niemieckiego zbrojenia w latach 1933-1939 opierało się w dużej mierze na emisji weksli MEFO – fikcyjnej spółki Metallurgische Forschungsgesellschaft m.b.H. Mechanizm działał następująco: państwo zamawiało uzbrojenie u firm, takich jak Krupp czy Rheinmetall-Borsig, ale zamiast płacić gotówką, przekazywało im weksle MEFO. Firmy mogły je zatrzymać, otrzymując odsetki ok. 4 proc. rocznie, albo zdyskontować w bankach, które następnie refinansował Reichsbank. W praktyce był to ukryty kredyt państwowy.

W latach 1934-1938 wyemitowano ok. 12 mld reichsmarek w wekslach MEFO. W 1938 stanowiły one ponad 40 proc. finansowania zbrojeń. System pozwalał omijać ograniczenia budżetowe i traktatowe, a także unikać inflacji i kontroli parlamentarnej. Jednocześnie przesuwał problem w przyszłość – weksle MEFO miały termin wykupu do 5 lat, więc pod koniec dekady groziły kryzysem płynności. Dlatego od 1938 roku zaczęto je stopniowo zamieniać na jawny dług państwowy.

Według niektórych historyków, np. Adama Tooze, autora książki: „Cena zniszczenia. Wzrost i załamanie nazistowskiej gospodarki”, nadmierne wydatki zbrojeniowe Niemiec doprowadziłyby do kryzysu finansowego, między innymi z powodu szczupłych zasobów walut zagranicznych i niemożliwości ich pozyskania poprzez wzrost eksportu. Dlatego wojna była z ekonomicznego punktu widzenia „ucieczką do przodu” Hitlera.

AMERYKA POMAGA STALINOWI

W ZSRR kluczową rolę w programie zbrojeniowym odegrały plany pięcioletnie wprowadzone przez Józefa Stalina. Pierwszy, w latach 1928-1932, koncentrował się na rozwoju przemysłu ciężkiego jako podstawy produkcji zbrojeniowej. Produkcja przemysłowa w tym okresie szybko rosła, a kraj zaczął przekształcać się z rolniczego w uprzemysłowione państwo zdolne do produkcji uzbrojenia na dużą skalę.

Wraz z industrializacją zwiększano wydatki na obronność. W czasie pierwszego planu pięcioletniego nakłady na wojsko skoczyły z około 880 mln rubli w 1928 roku do ponad 4 mld rubli w 1932. Kolejne plany, zwłaszcza drugi w latach 1933-1937, przyniosły szybki rozwój technologii wojskowych oraz modernizację przemysłu zbrojeniowego.

W latach 30. XX wieku Związek Radziecki na ogromną skalę importował zagraniczne technologie i know-how, który był kluczowy dla realizacji planów uprzemysłowienia. Był to jeden z najbardziej intensywnych transferów technologii w historii. Największą rolę odegrały firmy ze Stanów Zjednoczonych. Ford Motor Company pomogła zbudować zakłady w Gorkim (GAZ), przekazała technologię produkcji samochodów (model A).

Biuro amerykańskiego architekta Alberta Kahna zaprojektowało setki fabryk w ZSRR i stworzyło standardy radzieckiej architektury przemysłowej. General Electric dostarczał turbiny, generatory i know-how energetyczne. International Harvester – technologie dla przemysłu maszyn rolniczych. Szacuje się, że w ZSRR pracowało w latach 30. kilkanaście tysięcy zagranicznych specjalistów, głównie Amerykanów. Zachód przeżywał wówczas potężny kryzys gospodarczy, więc praca dla ZSSR i w ZSSR wydawała się atrakcyjna, tym bardziej że Sowieci płacili często złotem.

W drugiej połowie lat 30. Związek Radziecki jeszcze bardziej zwiększył produkcję uzbrojenia. Rozwijał lotnictwo, broń pancerną oraz artylerię, a liczebność Armii Czerwonej gwałtownie rosła – do ok. 3 mln żołnierzy w roku 1939. Ogromne wydatki na industrializację i zbrojenia finansowała sowiecka wieś. Państwo narzucało niskie ceny skupu zboża i obowiązkowe dostawy, a następnie sprzedawało je drożej lub eksportowało za dewizy. W latach 1929-1933 eksport zboża dostarczał środków na zakup maszyn i technologii. Chłopi ponosili koszty poprzez spadek dochodów i konsumpcji. Szacuje się, że rolnictwo finansowało znaczną część inwestycji przemysłowych, a w pierwszej pięciolatce (1928-1932) transfery ze wsi stanowiły nawet 20-30 proc. nakładów inwestycyjnych państwa.

BUDŻET, KREDYTY I POLACY

Polska podjęła wyścig zbrojeń, będąc jednak na straconych pozycjach. W drugiej połowie lat 30. kwestia finansowania wojska należała do najważniejszych problemów państwa polskiego. Roczne budżety II Rzeczypospolitej wahały się wówczas od 2,2 do 2,4 mld zł. Budżet Ministerstwa Spraw Wojskowych pochłaniał przeciętnie ponad jedną trzecią wszystkich wydatków państwa: w roku fiskalnym 1936/1937 – 768 mln zł, czyli 35 proc. budżetu; w roku 1937/1938 – 777,5 mln zł, czyli 32,3 proc.; w roku 1938/1939 – 831,4 mln zł, co stanowiło 34,5 proc. budżetu. Na okres 1939/1940 zaplanowano 806,2 mln zł, czyli 32,2 proc. budżetu.

Aż do 1936 roku wydatki inwestycyjne, zwłaszcza na rozwój przemysłu zbrojeniowego, stanowiły tylko niewielki, kilkuprocentowy fragment budżetu wojskowego. Oznaczało to, że znaczna część pieniędzy szła na bieżące utrzymanie armii, a nie na jej unowocześnianie. Po śmierci Piłsudskiego uświadomiono sobie, że Wojsko Polskie pozostaje w tyle za czołowymi armiami Europy pod względem sprzętu i uzbrojenia. Dlatego rozpoczęto przygotowania do długofalowego programu modernizacji.

Państwo zaczęło finansować potrzeby obronne z kilku źródeł. Oprócz zwykłych dochodów budżetowych wykorzystywano kredyty zagraniczne i wewnętrzne, środki z emisji pieniądza, wpływy z eksportu polskiego uzbrojenia, a także ofiarność społeczeństwa. Szczególną rolę odegrały Fundusz Obrony Narodowej i Fundusz Obrony Morskiej. Fundusz Obrony Narodowej (FON) utworzony został dekretem Prezydenta RP z 9 kwietnia 1936 roku. Głównym źródłem jego finansowania były dobrowolne wpłaty obywateli (najważniejsze źródło), darowizny w złocie i kosztownościach, wpłaty przedsiębiorstw i banków, składki instytucji publicznych i samorządów, zbiórki Polonii, akcje społeczne i kampanie patriotyczne.

Fundusz Obrony Morskiej utworzono w styczniu 1933. Zbiórki pieniędzy w kraju i za granicą miały finansować rozwój floty wojennej. Od lutego 1934 do października 1937 zebrano ok. 8 mln zł, które przeznaczono na budowę okrętu podwodnego ORP „Orzeł”. Do stycznia 1939 zebrano kolejne 2,5 mln zł z przeznaczeniem na budowę ścigaczy morskich.

Łącznie środki pozabudżetowe na wojskowość w ostatnich latach przed wojną wyniosły około 2 mld 155 mln zł. W tej kwocie znalazło się 1 mld 320 mln zł z Funduszu Obrony Narodowej, ponad 9,4 mln zł z Funduszu Obrony Morskiej, 390 mln zł z pożyczek wewnętrznych oraz 350 mln zł z eksportu sprzętu wojskowego.

FRANCUSKIE WSPARCIE

Do tego dochodziła francuska pożyczka, wynikająca z układu finansowo-wojskowego w Rambouillet, zawartego 6 września 1936 roku. Pożyczka ta była jednym z najważniejszych instrumentów finansowania modernizacji polskiej armii w drugiej połowie lat 30. Jej ostateczna wartość wynosiła ok. 2-2,6 mld franków francuskich, co odpowiadało kilkuset milionom złotych i stanowiło znaczący zastrzyk kapitału dla państwa o ograniczonych możliwościach budżetowych.

Warunki pożyczki były dość korzystne, ale jednocześnie wiązały Polskę gospodarczo z Francją. Kredyt miał charakter mieszany – część była przeznaczona na zakupy uzbrojenia we Francji (tzw. kredyt towarowy w wysokości 800 mln franków), a część gotówkowa (ok. 1,7 mld franków) mogła być wykorzystana na rozwój krajowego przemysłu zbrojeniowego. Dzięki temu Polska uzyskiwała dostęp zarówno do nowoczesnego sprzętu, jak i technologii oraz inwestycji przemysłowych. Kredyt miał być spłacany przez 40 lat, z oprocentowaniem ok. 4 proc. rocznie, przy czym spłata kapitału zaczynała się dopiero po pięciu latach karencji. Zabezpieczeniem był w praktyce cały majątek państwa polskiego.

Środki przeznaczono przede wszystkim na zakupy sprzętu: artylerii przeciwlotniczej, samolotów, okrętów podwodnych i amunicji oraz na inwestycje przemysłowe, w tym rozwój Centralnego Okręgu Przemysłowego i budowę zaplecza produkcji zbrojeniowej.

Znaczenie pożyczki osłabiła dewaluacja franka we wrześniu 1936, która zmniejszyła realną wartość uzyskanych środków. Ponadto nie wszystkie transze zostały w pełni wykorzystane przed wybuchem wojny.

Pożyczka nie została w całości spłacona. Wybuch II wojny światowej przerwał realizację umowy, a zobowiązania finansowe zostały później objęte powojennymi regulacjami dotyczącymi zadłużenia państwa polskiego.

PRZERWANY SKOK W NOWOCZESNOŚĆ

Łączna suma środków, które Polska mogła przeznaczyć na cele wojskowe w latach 1936-1939, wyniosła około 6 mld zł. Na modernizację sił zbrojnych wydano ze środków zewnętrznych 1 mld 320 mln zł, a z rezerwy zaopatrzenia 691,2 mln zł. Spośród 2 mld 663 mln zł publicznych nakładów inwestycyjnych aż około 70 proc. przeznaczono na cele wojskowe. Dzięki temu rozpoczęto budowę 21 dużych zakładów przemysłu zbrojeniowego. Znaczna część tych pieniędzy została skierowana na realizację sześcioletniego planu modernizacji armii, powiązanego z czteroletnim planem gospodarczym ministra skarbu i wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Ich wspólnym celem było uprzemysłowienie kraju i wzmocnienie obronności.

Najważniejsze inwestycje ulokowano w Centralnym Okręgu Przemysłowym, jednym z najważniejszych i największych przedsięwzięć gospodarczych II Rzeczypospolitej. Projekt realizowano w latach 1936-1939 w centralnej części kraju – w rejonie między Wisłą a Sanem – na obszarze około 60 tys. km kw. zamieszkanym przez blisko 6 mln ludzi. Całkowity koszt inwestycji szacuje się na około 2,4-2,8 mld zł, co odpowiadało niemal rocznemu budżetowi państwa. Większość środków pochodziła właśnie z budżetu państwa i funduszy publicznych, ponieważ prywatny kapitał w Europie końca lat 30. był ograniczony. COP w latach 1937-1939 pochłonął około 60 proc. wszystkich inwestycji w gospodarce kraju.

Program obejmował budowę wielu zakładów przemysłu ciężkiego, chemicznego i zbrojeniowego. Do najważniejszych należały: Huta Stalowa Wola wraz z elektrownią w nowo budowanym mieście Stalowa Wola, Wytwórnia Płatowców w Mielcu (fabryka samolotów), Wytwórnia Silników Lotniczych i sprzętu artyleryjskiego w Rzeszowie, Fabryka gumy w Dębicy, Fabryka samochodów ciężarowych w Lublinie, rozbudowa Zakładów Azotowych w Mościcach, elektrownie wodne w Rożnowie i Myczkowcach.

Ponadto rozwijano już istniejące zakłady przemysłowe w tzw. Staropolskim Okręgu Przemysłowym – w Radomiu, Skarżysku-Kamiennej, Ostrowcu Świętokrzyskim, Starachowicach i Kielcach, gdzie produkowano m.in. broń, amunicję i sprzęt wojskowy.

Do wybuchu wojny udało się ukończyć lub uruchomić część najważniejszych inwestycji. Wśród nich m.in. Hutę Stalowa Wola, która rozpoczęła produkcję dział i sprzętu artyleryjskiego, fabrykę gumy w Dębicy, elektrownię wodną w Rożnowie, część zakładów lotniczych w Mielcu i Rzeszowie.

Jednak wiele inwestycji pozostawało w trakcie budowy lub dopiero w fazie projektowej.

WYŚCIG NIE DO WYGRANIA

W 1938 roku Kwiatkowski przedstawił ambitny, piętnastoletni plan rozwoju gospodarczego, którego celem było całkowite zlikwidowanie podziału kraju na rozwiniętą „Polskę A” i biedniejszą „Polskę B”. Program zakładał dalsze inwestycje przemysłowe, rozwój infrastruktury energetycznej oraz budowę nowych zakładów. Jego realizację przerwał wybuch wojny.

II Rzeczpospolita prowadziła intensywny wysiłek zbrojeniowy, jednak ograniczenia gospodarcze i ogromna przewaga potencjału Niemiec oraz ZSRR czyniły ten wyścig z góry nierównym. Mimo znaczących inwestycji, w tym budowy COP i rozwoju przemysłu zbrojeniowego, struktura wydatków oraz niedobór środków ograniczały tempo modernizacji armii. Ostatecznie Polska stanęła wobec konfliktu z przeciwnikami, którzy dzięki większej skali gospodarki i innowacyjnym metodom finansowania byli znacznie lepiej przygotowani do wojny. ●

Korzystałem między innymi z prac: Maciej Grzeszczak, „Ekonomiczny wymiar utrzymania armii II Rzeczypospolitej”; Jakub Skiba, „Polityka finansowa wobec zbrojeń w latach 1935-1939. Porównanie Polski z Niemcami i Francją”; Andrzej Wesołowski, „Polski zasób archiwalny do badań nad polityką gospodarczą Polski oraz zbrojeniami polskimi od połowy października 1938 do grudnia 1939 r.”; Zofia Chyra-Rolicz, „Nowoczesny plan rozwoju gospodarczo-społecznego II Rzeczypospolitej – Centralny Okręg Przemysłowy (COP)”.

eprasa.pl 05eb22389c

weekendówka 198

W STEPIE SZEROKIM

Panie pułkowniku Wołodyjowski! Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum grają! Wojna! Nieprzyjaciel w granicach! A ty się nie zrywasz? Szabli nie chwytasz? Na koń nie siadasz? Co się z tobą stało, żołnierzu? Zaliś swej dawnej zapomniał cnoty, że nas samych w żalu jeno i trwodze zostawiasz? Kto nieprzyjacielowi opór stawi? Kto go wojować będzie? Kto podniesie upadłe serca nasze?" – mówi dojmującym głosem Gustawa Holoubka ksiądz Kamiński (Holoubek nie figuruje w filmowych napisach, słychać tylko jego głos w scenie mszy) podczas pogrzebu najświetniejszego wojaka Rzeczypospolitej, Jerzego Michała Wołodyjowskiego.

Ciary? No ciary, zwłaszcza, że po tych słowach do kościoła wchodzi, na czele husarzy, hetman wielki koronny Jan Sobieski (Mariusz Dmochowski) i dobywa złamanej szabli pana Michała. Wznosi w górę kawałek ostrza i pochwę, na co wyrasta las szabel szlachty wypełniającej świątynię.

„Pana Wołodyjowskiego", którego akcja toczy się w latach 1668–1673, Henryk Sienkiewicz napisał jako domknięcie Trylogii, po wcześniejszych „Ogniem i mieczem" (wyd. w 1884) i „Potopie (1886). Jednak reżyser Jerzy Hoffman swoje filmowe opowieści z Sienkiewiczowskiego świata zaczął właśnie od części trzeciej.

Za 40 mln zł (zawrotna wówczas suma) nakręcono dzieło, które zaskakiwało rozmachem i starannością realizacji. Równolegle do filmowych trwały też zdjęcia do czarno-białego serialu „Przygody pana Michała", który liczył 13 odcinków – stanowi on niejako rozbudowaną wersję fabuły Hoffmana, choć serial ma jedną niepowtarzalną rzecz, mianowicie „Pień o Małym Rycerzu" („W stepie szerokim") – niezwykłą piosenkę napisaną przez Wojciecha Kilara (muzyka) i Jerzego Lutowskiego (tekst), którą śpiewa Leszek Herdegen.

Kapitalne role Tadeusza Łomnickiego, Magdaleny Zawadzkiej, Mieczysława Pawlikowskiego, Jana Nowickiego czy młodziutkiego Daniela Olbrychskiego, efektowne sceny bitewne, wartka akcja sprawiły, że film okazał się wielkim hitem, dziś nieco może – choć absolutnie niesłusznie – przysłoniętym przez młodszego o pięć lat brata, czyli „Potop".

Co ciekawe „Pan Wołodyjowski" to jedyna część, na której ekranizację zdecydowali się jedynie Polacy. „Potop" nakręcili bowiem w 1915 roku Rosjanie (film nie zachował się do naszych czasów), zaś „Ogniem i mieczem" Włosi (1962) – w tym ostatnim w rolę Bohuna wcielił się John Drew Barrymore, ojciec Drew Barrymore.

„Pan Wołodyjowski" Jerzego Hoffmana premierę miał dokładnie 57 lat temu. I my z tej właśnie okazji dzisiejszą „Weekendówkę" poświęcamy Trylogii. Na koń i do szabel, to znaczy, do piór zatem!

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

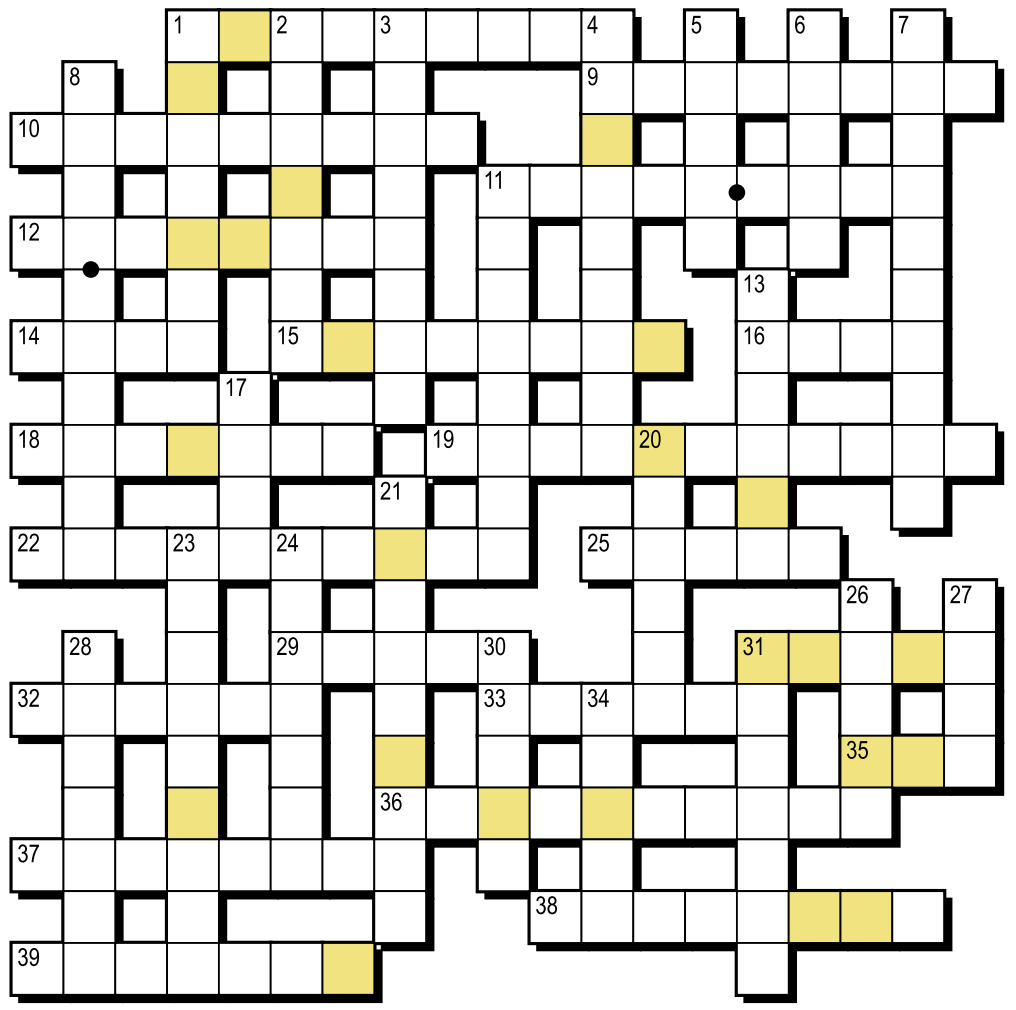

TRYLOGIA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) siedziały przy nich prządki w izbie czeladnej, gdy Kmicic przybył poznać Oleńkę
9) młody szlachcic z Wąsoszy, pachołek Jana Skrzetuskiego
10) tak Zagłoba nazywał Jeziorkowską
11) „Zdechnę ja i ...!", myśl 39 poziomo
12) Symeon, Jur, Andrzej i Mikołaj dla kniahini Kurcewiczowej
14) wytatuowane na piersi Azji
15) trudna do zdobycia przez nieprzyjaciela (np. Zbaraż)
16) „Diabeł się w ornat ubrał i ... na mszę dzwoni" (wpisujemy w mianowniku)
18) został mężem Krzysi Drohojowskiej
19) kreatywność 39 poziomo
22) Horpyna Dońcówna
25) ... krymski, wojownik pod wodzą Tuhaj-beja
29) ... w Kamieńcu Podolskim, miejsce bohaterskiej śmierci Wołodyjowskiego
31) „Nie żadna to firka, jeno ... Anna Borzobohata-Krasieńska"
32) przestarzale o Polkach
33) męstwo, bohaterstwo
35) Kmicic wychwalał jego zalety przed księciem Bogusławem
36) wyrzucony przez Skrzetuskiego z karczmy w Czehryniu
37) Kmicic pod przybranym mianem
38) Bogusz, zagrał Kulwieca-Hippocentaurusa w ekranizacji „Potopu"
39) usiekł Burłaja

Pionowo:
1) majątek Billewiczów
2) w oczach Kmicica na widok Oleńki
3) pomocnik Horpyny
4) dawne wyrazy i zwroty, którymi jest naszpikowana Trylogia
5) ... polski, jego piękno oddaje Trylogia
6) 18 poziomo
7) bitność, bojowość
8) „Do nieba leci ..., do nieba jest najbliżej z Polski", śpiewał Jacek Kaczmarski w piosence o panu Wołodyjowskim
11) kocha ojczyznę nad życie
13) wierny wachmistrz Andrzeja Kmicica
17) 36 poziomo nie powinien go wylewać
20) Jerzy Michał Wołodyjowski, pierwsza ... Rzeczypospolitej
21) Kosma, Damian i ich ojciec
23) Janusz, okrzyknięty zdrajcą podczas uczty w Kiejdanach
24) kobiece ..., uroda Heleny, Oleńki
26) „Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite ... na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia"
27) zgotowana Azji Tuhajbejowiczowi
28) ... Jeziorkowska, została żoną pana Michała
30) Krzywonos, Burłaj lub Jurko Bohun
31) Rzeczpospolita Obojga Narodów
34) „Rzekłbyś: ... krążą koło Częstochowy" (w rozmowie Sadowskiego, Millera i księcia Heskiego)

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 197 z 21.03:

Poziomo:
3) Bahdaj 8) zbieg
10) wagarowicz 13) exodus
14) gra 15) uciekinier
16) Terminator 17) Salinger
19) próżniaki 22) azyl
23) melodramat 26) Dejczer
27) Neo 28) pułkownik
31) wpisanie 32) dzieci kwiaty
33) Bond 34) klasówka
35) niedola.

Pionowo:
1) giganciarz 2) banici
4) dezerter 5) piosenka
6) Jacek i Placek 7) pociąg
9) gagatki 11) podróż
12) gawrosz 18) emigranci
20) Nędznicy 21) kamieniołomy
23) Minkowski 24) Lwowiak
25) Twierdza 26) Depp 29) łazik
30) ocena.

Hasło: PIERWSZE DNI WIOSNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414082

1 RP

eprasa.pl 05eb22389c

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

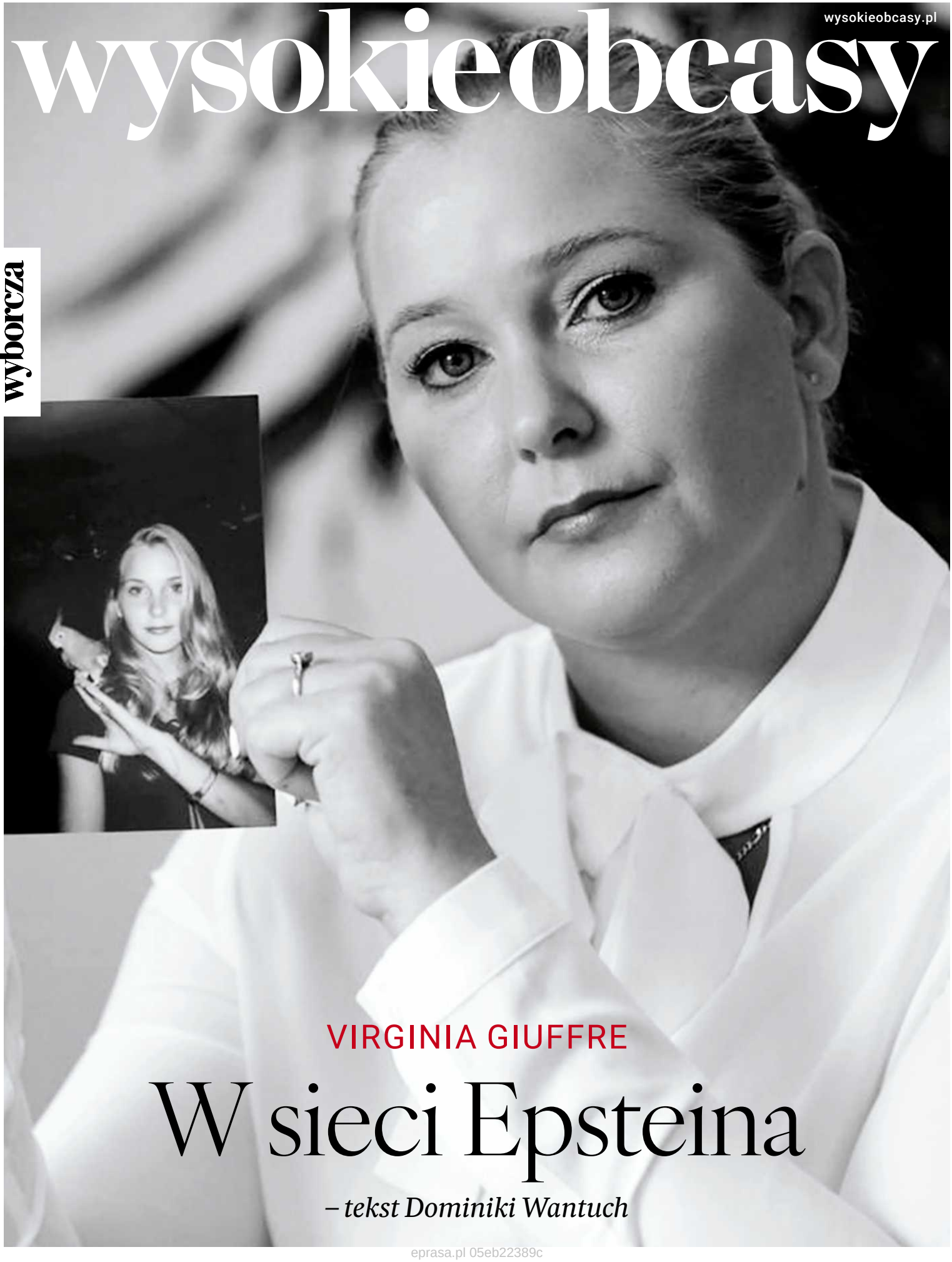

VIRGINIA GIUFFRE

W sieci Epsteina

– tekst Dominiki Wantuch

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 13 (1384) SOBOTA – CZWARTEK, 28 MARCA – 2 KWIETNIA 2026

eprasa.pl 05eb22389c

Dziewczyny niczyje

PAULINA REITER

Od jakiegoś czasu „śledzę” na Facebooku pewną kobietę. Sprawa nie jest bardzo skomplikowana – po prostu podoba mi się, jak się ubiera. To Denise Boomkens, holenderka, była modelka, która na platformach społecznościowych prowadzi konto AndBloom. Dee jest bardzo piękna i ma super gust oraz – podobnie jak ja – słabość do oversize’owych ciuchów. Jest w moim wieku i ciekawie opowiada o fajnym starzeniu się, takim, kiedy nie przepraszasz za to, że masz zmarszczki, zmieniła ci się figura i skóra. Ostatnio okazało się, że „śledzi” ją dużo moich znajomych. Algorytm wyczuł, że ją polubimy.

Ostatnio jednak Dee wrzuciła inną rolkę. „Dziś podzielę się czymś osobistym” – zapowiedziała. I opowiedziała o tym, jak zaczęła swoją karierę modelki jako 18-latka w 1994 roku w Paryżu, gdzie przyjechała sama z Holandii. Świat modelingu robił na niej wielkie wrażenie – po pierwsze, glamour, po drugie, bogaci i ważni ludzie, którzy się w nim kręcili. W dzień była praca modelki, wieczorami życie towarzyskie z koleżankami z wybiegów. Chodziły na tańce i kolacje. I to nie były byle jakie kolacje. Była na kolacji z Donaldem Trumpem i jego żoną, George’em Michaelem, Prince’em i wieloma innymi znanymi ludźmi. „Pamiętam też wielu uroczych, starszych mężczyzn, którzy byli bogaci i zachowywali się bardzo przyjacielsko, którzy szczodrze ferowali komplementami i próbowali się zaprzyjaźnić. Ci mężczyźni obiecywali różne rzeczy: Mogę uczynić z ciebie supermodelkę”. To był czas, mówi Dee, kiedy każda z nich chciała być jak Claudia Schiffer, Naomi Campbell, Karen Mulder. Obiecywali wspaniałe wakacje na wyspach tropikalnych. Za darmo.

To był czas, kiedy nie było internetu i telefonów komórkowych. Nie można było zadzwonić szybko do mamy i zapytać o poradę – mówi Dee. Jedyne, czym można było się kierować, to intuicja i głos twojej matki w głowie. Dee miała szczęście – miała mocną intuicję i silny głos matki w głowie, który podpowiadał jej, że propozycje są śliskie. Ale inne dziewczyny tego nie miały.

„Oni byli jak wilki, jak drapieżcy, którzy polowali na niewinne dziewczyny, które by się na to nabrały” – mówi. I zapewnia, że te dziewczyny nie miały pojęcia, co naprawdę je czeka. „Kiedyś dziewczyny mające 17-18 lat były bardziej naiwne niż dziś. Nie było internetu, nikt nie ostrzegał przed całym tym gównem. Powinni zostać ukarani. Powinni zostać ukarani” – mówi i wyłącza kamerkę, zanim polecą jej łzy, czające się w kącikach oczu.

Dziś w „Wysokich Obcasach” przeczytacie historię dziewczyny, która nie miała silnego głosu matki w głowie, nie miała nikogo, kto by ją ochronił przed złem. Gorzej, to właśnie najbliżsi ją skrzywdzili, przekroczyli jej granice, a własny ojciec pchnął (sprzedał) ją w łapy Jeffreya Epsteina. Napisała o tym, co ją spotkało, wstrząsającą książkę „Dziewczyna niczyja”. ▲

Paulina Reiter – redaktorka prowadząca

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **TEMAT NUMERU:** Piersi w Polsce
- **NA OKŁADCE:** Anja Rubik: Umiem mówić „nie”
- **TWARZE:** Ewa Szykulska, Paulina Młynarska, Natalia Przybysz, Kinga Preis, Maria Sadowska, Halina Poświatowska
- **PSYCHOLOGIA:** Zdrada kontrolowana
- **TRENDY** w modzie i urodzie

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Paulina Reiter

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska
GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska
Marta Rozenbajgier
Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronach 3, 17, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 13 (1384)
NA OKŁADCE:
VIRGINIA GIUFFRE
FOT. EMILY MICHOT/MIAMI HERALD/TRIBUNE NEWS SERVICE VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 05eb22389c

TO NIE MODA,
TYLKO WYGODA

Self storage podbija miejski styl życia

Jeszcze niedawno kojarzył się głównie z przeprowadzką albo remontem. Dziś self storage coraz częściej wybierają osoby, które chcą mieszkać wygodniej, lżej i bardziej po swojemu. Bo dobrze zorganizowana codzienność zaczyna się od przestrzeni.

Są takie momenty, kiedy patrzymy na swoje mieszkanie i widzimy, że robi się w nim po prostu za ciasno. Ubrania poza sezonem, walizki, kartony z rzadziej używanymi rzeczami, sprzęt sportowy, dekoracje, pamiątki. To nie bałagan, tylko naturalna część życia. Tyle że współczesne życie w mieście potrzebuje rozwiązań, które są nie tylko praktyczne, ale też wygodne.

Na tym właśnie polega self storage. To usługa wynajmu prywatnych pomieszczeń do przechowywania rzeczy - na własnych zasadach i na tak długo, jak jest to potrzebne. Można trzymać tam wszystko to, czego nie używamy na co dzień, ale nie chcemy się tego pozbywać: od rzeczy sezonowych po dokumenty, sprzęt sportowy czy wyposażenie mieszkania. W każdej chwili można po nie wrócić, a dzięki różnym rozmiarom pomieszczeń łatwo dopasować przestrzeń do swoich potrzeb.

To rozwiązanie szczególnie dobrze wpisuje się w rytm miasta, gdzie każdy metr mieszkania ma znaczenie. Kiedy dom ma być jednocześnie miejscem odpoczynku, pracy i codziennego życia, łatwo poczuć, że brakuje w nim oddechu. Self storage porządkuje tę codzienność bez konieczności rozstawania się z ważnymi rzeczami.

Widać dziś wyraźny trend: coraz więcej kobiet traktuje self storage jako prosty sposób na odgruzowanie mieszkania i odzyskanie wygody na co dzień. Nie chodzi o pozbywanie się rzeczy, ale o lepsze zarządzanie przestrzenią i korzystanie z niej na własnych zasadach. Dlatego wybierają miejsca takie jak Less Mess Storage, gdzie liczy się nie tylko sam dodatkowy metraż, ale też cały komfort użytkowania - wygodny parking, łatwy dostęp do pomieszczeń, całodobowy dostęp, czystość, estetyka budynku, optymalne warunki i wysoki standard obsługi.

JAKOŚĆ OBSŁUGI 2025

Self storage, tak popularne już na zachodzie i w Stanach, staje się częścią miejskiego stylu życia także Polsce. Nie jako chwilowa moda, ale jako praktyczne rozwiązanie dla tych, którzy chcą mieszkać wygodniej i mieć więcej miejsca na to, co naprawdę ważne.

LESS MESS STORAGE - Nowoczesne pomieszczenia do przechowywania rzeczy dostępne w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu i Trójmieście. Więcej informacji, rozmiary pomieszczeń i rezerwacja online: **lessmess.storage**

eprasa.pl 05eb22389c

VIRGINIA GIUFFRE

Tak właśnie wygląda *życie?*

Ciągle pytano ją: dlaczego nie uciekła od Epsteina? Dlaczego do niego wracała? Odpowiedź kryje się w jej rodzinie

FOT. ZA ZGODĄ VIRGINII ROBERTS GIUFFRE/MATERIAŁY WYDAWNICTWA OTWARTEGO, JEENAH MOON/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

eprasa.pl 05eb22389c

Virginia w czasie, gdy poznała
Jeffreya Epsteina
i Ghislaine Maxwell

oprasa.pl 05eb22389c

TEKST **DOMINIKA WANTUCH**

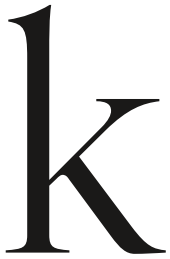

Kawałek po kawałku, on mnie zebrał
Podnosząc z ziemi, na której porzuciłeś to wszystko
Kawałek po kawałku on wypełniał dziury, które wypaliłeś we mnie
w wieku sześciu lat

KELLY CLARKSON, „PIECE BY PIECE". Piosenka, którą Virginia zapamiętała z chwili, kiedy po raz ostatni widziała swojego ojca.

***

Tego zdjęcia nie mogła wymazać z pamięci. Pod koniec 2010 roku książę Andrzej został sfotografowany z Jeffreyem Epsteinem w Nowym Jorku. Jej dwaj gwałciciele spacerowali jak gdyby nigdy nic po Central Parku, nieopodal kamienicy finansisty na Manhattanie. Gospodarz wyprawił wówczas imprezę na cześć swojego królewskiego gościa. Był już wtedy skazanym przestępcą seksualnym. A Andrzej, w jej oczach, aroganckim członkiem rodziny królewskiej, przekonanym, że tytuł i wpływy zawsze będą go chronić.

Virginia próbowała iść dalej, zostawić za sobą przeszłość. Ale kiedy patrzyła na to zdjęcie, wracała złość.

Prawdziwą determinację obudziły w niej jednak dopiero narodziny córki, Ellie, kilka miesięcy wcześniej. „Nadstawiłabym karku, by mieć pewność, że nigdy nie będzie musiała przechodzić przez to co ja" – mówiła Virginia Roberts Giuffre prawnikowi Bradowi Edwardsowi w 2011 roku.

Edwards reprezentował kilka ofiar Epsteina. W 2011 roku złożył pozew podważający tajną ugodę zawartą trzy lata wcześniej między prokuratorem federalnym Alexandrem Acostą a prawnikami finansisty. Dzięki temu porozumieniu Epstein w 2008 roku usłyszał jedynie lekkie zarzuty stanowe, m.in. nakłaniania do prostytucji. Skazano go na 18 miesięcy więzienia. W ugodzie zapisano też, że żaden z jego potencjalnych współsprawców nie będzie ścigany. Ofiary nie zostały o niej nawet poinformowane.

Kiedy Virginia po raz pierwszy rozmawiała z Edwardsem, występowała jeszcze anonimowo jako Jane Doe 102 – ofiara, która w 2009 roku oskarżyła Epsteina i Ghislaine Maxwell o zwerbowanie jej do siatki zajmującej się handlem ludźmi i wykorzystywaniem seksualnym. Do pozwu Edwardsa dołączyła jako Jane Doe 3.

Czuła jednak, że jeśli naprawdę chce doprowadzić do ukarania miliardera i jego wpływowych przyjaciół oraz uchronić inne dziewczynki i młode kobiety, będzie musiała zrzec się anonimowości.

To nie była łatwa decyzja. W 2011 roku Virginia udzieliła pierwszego wywiadu, w którym można było ją zidentyfikować. Opowiedziała, jak Epstein sprzedał ją księciu Andrzejowi, który zmuszał ją do seksu. Pokazała zdjęcie z Andrzejem, gdy miała zaledwie 17 lat.

Nie wszyscy jej uwierzyli. Jej wiarygodność podważano, bo za wywiad przyjęła od gazety pieniądze. Sugerowano, że nie była ofiarą przemocy seksualnej, tylko cieszyła się luksusem i bogactwem, które dawał jej Epstein. Że seks ze starszymi, wpływowymi mężczyznami sprawiał jej przyjemność, że uprawiała go z własnej woli... Nie dała się złamać. W 2015 roku Virginia była pierwszą kobietą skrzywdzoną przez Epsteina, która zrezygnowała z anonimowości i ujawniła swoją historię publicznie. Choć powtarzała, że jej celem jest ukaranie Epsteina i Maxwell, zarzucano jej, że jest „zachłanną kocicą", „kłamczuchą", „imprezową dziewuchą, która uprawiała seks dla przyjemności". Ciągle analizowano jej doświadczenie seksualne, sugerowano, że przecież nikt nie więził jej siłą i nie trzymał pod kluczem, pytano: „Dlaczego nie odeszła od Epsteina?", „Dlaczego do niego wracała?".

Żeby spróbować odpowiedzieć na to pytanie, musimy cofnąć się do przełomu lat 80. i 90. XX wieku.

NIEBO

Wyobraź sobie niebieskooką dziewczynkę, trochę piegowatą, trochę szczerbatą, bo właśnie traci kolejne mleczaki, a w ich miejscu nie zdążyły wyrosnąć jeszcze zęby stałe. Uwielbia się wspinać po drzewach, robić babki z piasku, pluskać się w sadzawkach. Z desek i pustaków buduje z dzieciakami z sąsiedztwa prowizoryczne rampy dla rowerów, ze starszym bratem wspina się na dachy. Kocha zwierzęta, marzy, że zostanie weterynarzem.

To kilkuletnia Virginia Roberts, a wspomnienie tych lat dzieciństwa w drugiej połowie lat 80. będzie ostatnim beztroskim wspomnieniem jej życia.

Po latach powie o sobie, że jako dziecko była „chłopczycą". Póki co kocha konie, a właściwie jednego konia, Alice, nazwanego na cześć Alicji z krainy czarów, którego podarował jej tata, Sky Roberts. Mówił o Virginii, że jest jego „ukochaną córeczką". Nauczył ją jeździć konno, przygotowywał do zawodów jeździeckich, kibicował. Ukochany tata, któremu można ufać.

Sky poznał mamę Virginii, Lynn, w lodziarni, gdy mieli jakieś 18 lat. Ona była nieco szaloną hipiską, która w wieku 16 lat wyszła za mąż i urodziła pierwszego syna Danny'ego. Po roku była już rozwiedziona, mieszkała z inną samotną matką. Jemu to nie przeszkadzało. Zakochał się. W grudniu 1982 roku Lynn i Sky Roberts wzięli ślub, osiem miesięcy później na świecie pojawiła się Virginia. Rodzice mówili na nią Jenna albo Piotruś Pan, bo wdrapywała się na wierzchołki drzew i zwisała głową w dół niczym opos, śmiejąc się, gdy świat stawał na głowie. W 1989 roku urodził się młodszy brat Virginii, Skydy. Rodzice postawili jego łóżeczko w jej pokoju, a ona uwielbiała zajmować się braciszkiem. Wstawała do niego w nocy, kołysała, śpiewała piosenki. Mieszkali wtedy na Florydzie, kilkuletnia Virginia mówiła, że mieszkają „w niebie".

Virginia pamięta, że „niebo" zaczęło zamieniać się w „piekło", gdy rodzice najpierw przenieśli małego Skydy'ego do

eprasa.pl 05eb22389c

Książę Andrzej, Viriginia i Maxwell
w jej domu w Londynie w marcu 2001 r., obok jako 6-latka

swojego pokoju. Potem mama przestała kąpać Virginię. Zaczął robić to tata. Pewnego wieczoru po kąpieli położył się z nią do łóżka.

„Tego wieczoru w moim pokoju tato dotykał mnie tak jak nikt wcześniej. Powiedział mi, że jestem jego ukochaną córeczką, ulubienicą, i że w ten sposób okazuje mi swoją »wyjątkową miłość«. Najpierw robił to palcami. Później, w inne dni, ustami. Nazywał moje części intymne »sisią«, a swojego penisa »siusiakiem«. Wkrótce zapytał mnie, czy chcę dotknąć jego genitaliów. Nie chciałam, ale on tego pragnął. Był moim ojcem, więc go posłuchałam" – pisze Virginia w swojej biografii „Dziewczyna niczyja". Miała wtedy jakieś siedem lat. Od tego czasu ojciec regularnie ją molestował i gwałcił.

Virginia próbowała schronić się przed ojcem w ramionach matki. Pomagała jej w domowych obowiązkach, proponowała, że będzie jeździć z nią na zakupy, byle nie zostawać z ojcem sama w domu; wstawała wcześnie, ścieliła łóżko. Chciała zasłużyć na miłość mamy, ale Lynn coraz bardziej ją odtrącała. Piła coraz więcej alkoholu, a po nim stawała się rozdrażniona i agresywna. Gdy była wściekła, wysyłała Virginię do ogrodu i kazała przynosić kolczastą gałązkę z krzewu różanego. „Sama wybierz sobie rózgę" – wspomina Virginia słowa matki, która brała potem gałązkę, nakazywała Virginii ściągać spodnie na oczach sąsiadów i chłostała dziewczynkę.

Virginia dostawała też klapsy za mokrą bieliznę, którą moczyła, gdy miała bolesne infekcje dróg moczowych. Gdy po jednym z badań wyszło na jaw, że błona dziewicza siedmiolatki jest przerwana, matka stwierdziła, że to dlatego, że Virginia jeździ na koniu na oklep.

To wtedy mała Virginia po raz pierwszy zaczęła się sama ze sobą targować. „Przeżyj te okropne chwile, żeby potem nadeszły te lepsze" – powtarzała sobie.

ZDRADZONA

Ale one nie nadchodziły. Zamiast tego w życiu siedmioletniej Virginii pojawił się Forrest, przyjaciel ojca, który był częstym gościem w ich domu. Virginia zakolegowała się z jego pasierbicą, starszą o dziewięć lat Sheilą. Wtedy nie wiedziała, że Forrest od dwóch lat wykorzystywał seksualnie Sheilę. Nie spodziewała się też, że za chwilę ojciec „odsprzeda" ją Forrestowi.

Stało się to podczas jednej z towarzyskich wizyt. „Rodzice, jak zawsze z piwem w ręku, zaczęli żartować, że byłyśmy z Sheilą »niegrzeczne«. Albo mój tato, albo Forrest zaproponował, żeby wymienić się nami na jedną noc. Pamiętam, że Forrest spojrzał na mojego ojca i powiedział coś o »wymianie na nocki«. Jenna mogłaby spać u nas w domu, a Sheila zostałaby tutaj" – wspomina Virginia w swojej książce i opisuje dokładnie, co zrobił jej Forrest i jak razem z ojcem wspólnie chcieli spędzać z nią czas. Po latach okaże się, że w 1990 roku Sheila oficjalnie oskarżyła Forresta o molestowanie. W 2000 roku Forrest został skazany za molestowanie jeszcze innej dziewczyny. Matka Sheili nigdy jej nie uwierzyła i została z Forrestem do 2010 roku. Odeszła od niego dopiero, gdy na jego komputerze znalazła pornograficzne nagrania.

Virginii matka też nie uwierzyła. Udawała, że nie widzi, jak uśmiechnięta dziewczynka, wzorowa uczennica staje się coraz bardziej wycofana, wagaruje, buntuje się. Lynn oskarżała córkę, że próbuje ukraść jej męża, Sky przekonywał natomiast córkę, że jest wyjątkowa, bo „on nie robi tego nawet z jej matką". A Virginia czuła się coraz bardziej zdradzona. Przez matkę, przez ojca, przez samą siebie. To poczucie bycia całkowicie zdradzoną sprawiało, że Virginia czuła, że zasłużyła na to, co ją spotkało.

„Każdej nocy, leżąc w łóżku i obawiając się znanego mi już skrzypienia drzwi, próbowałam przypomnieć sobie czasy, gdy znaczyłam więcej niż zero. Marzyłam o tym, by znów być coś warta" – pisze Virginia w swoich wspomnieniach.

eprasa.pl 05eb22389c

Virginia Giuffre po wyjściu z sądu, Nowy Jork, 27 sierpnia 2019 r.

Gdy miała zaledwie 12-13 lat, zaczęła się buntować. Kipiała ze złości, nie umiała jej opanować. Zaczęła uciekać z domu, palić trawkę, włóczyć się z obcymi, starszymi kolegami, wdawać w bójki. Uprawiała seks z rówieśnikami, przekonana, że tylko tym może zainteresować drugiego człowieka. Była niechciana, więc zachowywała się jak dziewczyna, której nikt nie chce. Uwierzyła, że nie zasługuje na nic dobrego w życiu.

A matka z ojcem ją w tym utwierdzali. Sky nie molestował już wtedy córki, ale razem z Lynn zrobił z niej swojego największego wroga. Gdy Virginia miała 15 lat, rodzice, chcąc pozbyć się jej z domu, odesłali ją do ośrodka odwykowego Growing Together.

Virginia przeżyła tam kolejne piekło.

WSPÓLNE CIERPIENIE

Ośrodek terapeutyczny miał pomagać trudnej, zbuntowanej młodzieży przepracować traumy i radzić sobie z trudnymi emocjami. Miał wspierać ich w dochodzeniu do zdrowia psychicznego i pomagać wrócić do „normalnego" życia. W 2006 roku ośrodek zamknięto po tym, jak na jak wyszło, że przez wiele lat młodzi podopieczni doświadczali w nim „bicia, krępowania, więzienia i systemowego poniżania". Jednej dziewczynce opiekun złamał rękę, inny podopieczny próbował popełnić samobójstwo. Na porządku dziennym była przemoc fizyczna i seksualna wśród podopiecznych. Opiekunowie rzucali dzieciakami o podłogę, biernie przyglądali się gwałtom, dla przyjemności upokarzali podopiecznych.

Dzieci od 13 do 17 lat były zmuszane do stawania przed lustrem i poniżania się na cały głos. Wśród nich była Virginia. „Jestem dziwką, kurwą, ćpunką – mówiłyśmy, wpatrując się w swoje odbicia" – wspomina Virginia. Gdy jednego wieczoru nie była w stanie zjeść kolacji i zwymiotowała, jedna z opiekunek kazała jej zjeść wymiociny.

Zanim ją to spotkało, chciała dać ośrodkowi szansę. Zwierzyła się z traumy, której doświadczyła kilka miesięcy wcześniej, zanim trafiła do Growing Together. Piła alkohol z kolegami, straciła przytomność. Obudziła się, gdy ją zaatakowali i zaczęli gwałcić. Jej męczarnia trwała pięć, może siedem godzin.

Gdy Virginia o tym opowiedziała, poczuła ulgę. Wierzyła, że opiekunowie zareagują, zgłoszą gwałt, pomogą jej. Ale nie stało się nic. W Growing Together cierpienie było wyłącznie „chorym rodzajem waluty" wykorzystywanym przez opiekunów, by trzymać niesforne dzieci w ryzach. Gdy Virginia usłyszała, że zdaniem chłopców zgodziła się na seks z nimi, więc nie ma tematu, kolejny raz poczuła się zdradzona.

Trudno zliczyć, ile razy uciekała z Growing Together. Aż w końcu się udało. Przynajmniej tak sądziła.

W 1998 roku dotarła do Miami. Szła w stronę oceanu, wierząc, że odzyskała wolność, gdy obok niej zatrzymała się ciężarówka, a sympatyczny kierowca zapytał, czy ją podwieźć. Zgodziła się. Chwilę potem, w motelowym pokoju, leżała na łóżku z bronią przy ustach, a kierowca dusił ją do utraty przytomności, wielokrotnie gwałcąc. Udało jej się uciec, gdy mężczyźnie zadzwonił telefon.

15-letnia Virginia, siedząc zapłakana na krawężniku, kolejny raz pomyślała, że jest nic niewarta. Po latach, w jednym z nagrań, na których będzie opowiadać o tym, co robili jej Epstein i Maxwell, powie, że „jako dorosła kobieta wie, że może uciekać". „Ale jako dziecko z takimi doświadczeniami, jakie mnie spotkały, chyba pomyślałam sobie, że tak właśnie wygląda życie". Jej życie tak właśnie wyglądało: od napaści do napaści, przemoc i molestowanie jednego mężczyzny uruchamiały kolejne jak lawina. A ona przez lata powtarzała, że była dla Epsteina i innych jej oprawców „ofiarą idealną". Pozbawioną poczucia własnej wartości, zagubioną, samotną, opuszczoną, zdradzoną przez wszystkich. Jakby jej umysł i ciało krzyczały, że cokolwiek się stanie, ona nie ma do kogo się zwrócić po pomoc.

Jej bezbronność wykorzystał Ron Eppinger, szef agencji modelek Perfect 10. Gdy jego limuzyna zatrzymała się obok zapłakanej 15-latki, nie musiał jej długo namawiać, by do niej wsiadła. Zwłaszcza że obok niego siedziała dziewczynka w wieku Virginii. Uwierzyła, że Eppinger jej pomoże, że ją ocali, że może przetrwała już tyle złego, że teraz będzie wreszcie lepiej.

Eppinger okazał się przestępcą seksualnym. Jego agencja modelek „oferowała klientom eskortki kasujące po tysiąc dolarów za noc. Później prokuratura federalna udowodniła, że w latach 1997-1999 Eppinger i jego dwaj czescy wspólnicy werbowali młode kobiety za granicą i wysyłali je na południe Florydy, gdzie pracowały jako prostytutki". 63-latek więził i gwałcił Virginię przez pół roku. Serwował jej Xanax i oksykodon. A gdy mu się znudziła, oddał ją swojemu nieznacznie młodszemu koledze. Virginię uratowało jego aresztowanie w 1999 roku.

Wróciła do domu. Ojciec, który przyjechał po nią na posterunek policji, przywitał ją słowami „przeklęta dziwka". A potem odesłał do Growing Together.

Virginia kolejny raz chciała uciec. Ale nie miała dokąd. Wróciła do domu, do matki, która jej nie chciała, prosząc, by mogła zostać. Lynn zgodziła się niechętnie. Więc „dziewczyna niczyja", której nikt nie chciał, znów się tułała. Mieszkała u koleżanki, w wynajmowanym pokoju, czy przyczepie na działce rodziców. „Jestem tak długo na dnie, że dłużej się już nie da. Jestem tak długo na dnie, że koniec musi być bliski" – nuciła wtedy piosenkę Jewel, przekonana, że teraz zostało jej już tylko się odbić.

PIEKŁO

Światełko w tunelu pojawiło się, latem 2000 roku, gdy ojciec, który pracował jako złota rączka w należącym do Donalda Trumpa Mar-a-Lago Club w Palm Beach, załatwił Virginii posadę szatniarki. Dostawała wtedy dziewięć dolarów za godzinę.

eprasa.pl 05eb22389c

W swoich wspomnieniach Virgnia po raz pierwszy wyznaje, że jej ojciec najprawdopodobniej wziął pieniądze za „oddanie" jej Epsteinowi. Virginia dowiedziała się tego już po tym, gdy jako ofiara Epsteina zrzekła się anonimowości. Wtedy, latem 2000 roku, niczego nieświadoma 16-latka została po raz pierwszy zawieziona przez ojca do domu Epsteina.

Ghislaine Maxwell, która wcześniej zaczepiła Virginię w Mar-a-Lago, wydawała się 16-latce na początku niedoścignionym wzorem kobiety. Zamożna, wpływowa, atrakcyjna, pewna siebie. A spośród tylu dziewcząt wybrała właśnie Virginię, by nauczyć ją masażu!

Już podczas pierwszej wizyty Epstein i Maxwell umiejętnie przekraczali kolejne granice. Udawali, że chodzi o masaż, a nie o seks, żeby wytrącić ją z równowagi, pokazać, że ewentualny dyskomfort to przesada, bo przecież „to tylko masaż", a ona sama chciała się go nauczyć. Taki był schemat działania wobec wszystkich werbowanych dziewczynek. „Epstein świetnie wynajdował zranione dziewczyny, szczególnie podatne na jego metody. Jedne z nas w dzieciństwie molestowano i gwałcono, inne były biedne, a nawet bezdomne. Jedna z ofiar Epsteina przed poznaniem go widziała, jak jej ojciec pobił na śmierć ośmioletniego chłopca, inna była obecna przy samobójczej śmierci swojego chłopaka. Byłyśmy dziewczynami, które nikogo nie obchodziły, a Epstein udawał, że o nas dba" – pisze Virginia. Kusił swoje ofiary pieniędzmi i obietnicą lepszego życia. Rzucał okruchy troski i zainteresowania, które niechciane przez nikogo dziewczynki łapczywie chwytały.

Pierwszego wieczoru Epstein podsumował to, co zrobił Virginii, słowami, że się „nadaje". A ona tak dawno nie słyszała od nikogo, że się nadaje, tak bardzo pragnęła być zauważona i doceniona, że rzeczywiście uwierzyła, że się nadaje.

„U boku" Epsteina i Maxwell Virginia spędziła dwa lata. W tym czasie miliarder wykorzystywał ją seksualnie i sprzedawał dziesiątkom swoich wpływowych przyjaciół. Wśród nich znaleźli się m.in. książę Andrzej czy jeden z premierów, który brutalnie zgwałcił Virginię i którego „bała się najbardziej na świecie". Bała się też, że nigdy nie uda jej się wydostać spod władzy Epsteina i umrze jako jego niewolnica seksualna.

Virginia uciekła od Epsteina w 2002 roku. W Tajlandii, dokąd Epstein wysłał ją na kurs masażu, poznała swojego przyszłego męża, Robbiego Giuffre. Po tygodniu znajomości Robbie oświadczył się Virginii i zabrał ją do swojego domu w Australii.

Virginia miała nadzieję, że jej koszmar się skończył i uda jej się zapomnieć o Epsteinie. W 2006 roku urodziła pierwszego syna, Alexa, rok później Tylera. W tym czasie w Stanach Zjednoczonych trwało już dochodzenie przeciwko Epsteinowi po skardze matki 14-latki, która zgłosiła sprawę molestowania swojej córki przez zamożnego starszego mężczyznę.

WOJOWNICZKA

W 2007 roku, gdy Virginia szykowała się do drugiego porodu, w telefonie usłyszała Ghislaine Maxwell. „Trudno mi w to uwierzyć, ale po tym wszystkim, co Jeffrey zrobił dla tych dziewcząt, prowadzone jest przeciwko niemu śledztwo. Czy ktoś się z tobą kontaktował w tej sprawie?" – pytała Maxwell. Virginia początkowo nie chciała włączać się w dochodzenie. Odmawiała rozmowy z FBI, nie śledziła doniesień medialnych na temat sprawy.

W 2009 roku dowiedziała się o porozumieniu między rządem a Epsteinem. Niedługo potem złożyła pozew cywilny przeciwko Epsteinowi. Stała się Jane Doe 102. W 2010 roku urodziła córkę, Ellie. Stała się Wojowniczką, która kolejną dekadę poświęciła na ujawnianie przestępstw Jeffreya Epsteina i Ghislaine Maxwell. W 2014 roku założyła organizację na rzecz ofiar molestowania i handlu ludźmi w celu wykorzystania seksualnego, Victims Refuse Silence. Chciała „wspierać osoby z takimi doświadczeniami w przezwyciężaniu wstydu i strachu oraz w przerywaniu milczenia" i działać prewencyjnie – chciała chronić dziewczynki i kobiety przed przemocą i wykorzystywaniem seksualnym. Bo jak nikt inny wiedziała, że „młode dziewczyny nie stają się ofiarami handlu ludźmi w próżni. Wielokrotne molestowania seksualne nie spadają na nich – na nas – znikąd. W wielu przypadkach najpierw jesteśmy porzucani przez tych, którzy twierdzą, że nas kochają" – pisze w swoich wspomnieniach.

W 2014 roku opowiedziała swoim braciom, jak molestował ją ojciec. Jemu samemu wyznała, że wie, że Epstein mu zapłacił. Wtedy po raz ostatni miała z nim kontakt. W swoich wspomnieniach napisała, że on był tym, który „ją spalił" (nawiązując do słów piosenki Kelly Clarkson). Razem z rodziną przeprowadziła się w okolice, gdzie mieszkała jej matka. Próbowała naprawić z nią relacje.

25 kwietnia 2025 roku Virginia popełniła samobójstwo na swojej farmie w Australii Zachodniej, gdzie mieszkała po rozstaniu z mężem. Wcześniej napisała wspomnienia zatytułowane „Dziewczyna niczyja" (tytuł oryginalny: „Nobody's Girl. A Memoir of Surviving Abuse and Fighting for Justice"). Wspomnienia zostały wydane już po jej śmierci. ▲

Przez lata powtarzała, że była dla Epsteina i innych jej oprawców „ofiarą idealną". *Zagubioną, samotną, opuszczoną, zdradzoną przez wszystkich*

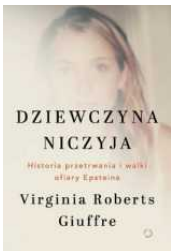

VIRGINIA GIUFFRE
„Dziewczyna niczyja", wyd. Otwarte

eprasa.pl 05eb22389c

Pragnienie *nowoczesności*

W notatniku zapisała: „Moje zdanie: trzeba pracować do ostatniej chwili i umierać z przeświadczeniem, że zrobiło się wszystko, na co było nas stać..."

TEKST **JUSTYNA GROCHAL**

Patrz, baba w spodniach!" – niosło się przez krakowskie Planty, gdy przemierzała je młoda Jaremianka. Mogła pędzić na zajęcia na ASP albo do ulubionej kawiarni plastyków. W patchworkowym kożuchu, z kaszkietem albo berecikiem na głowie, przyciągała spojrzenia i wytrącała z przyzwyczajeń. Wyróżniała się.

Na fotografii z jednego z balów karnawałowych stoi u boku szykownej kobiety ubranej w tiulową sukienkę. Sama ma na sobie czarny smoking i białą koszulę, krótkie ciemne włosy zaczesała gładko do tyłu. Nie chodziło tylko o to, by tego wieczoru udawać mężczyznę. Raczej o przesuwanie granicy tego, kim kobieta mogła być. Nowoczesność miała jej twarz. Maria Jarema – rzeźbiarka, malarka, autorka kostiumów i scenografii teatralnych. Współtwórczyni polskiej awangardy. W życiu i twórczości podążała za tym, co nieoczywiste, dlatego szybko stała się jedną z najbardziej oryginalnych postaci polskiej sztuki nowoczesnej okresu między- i powojennego. „Była radykalna w podejściu do sztuki, ale na co dzień łagodna. Nie pamiętam w ogóle jej podniesionego głosu" – wspominał jej syn Al.

BLIŹNIACZKI

Maria, córka pianistki Stefanii i prawnika Józefa, urodziła się w listopadzie 1908 r. w Starym Samborze, na terenie dzisiejszej Ukrainy. Rodzeństwo miała liczne: aż sześciu braci i tylko jedną siostrę, za to bliźniaczkę. Bogusia, zwana Nuną, i Marysia były do siebie bardzo podobne, ale charaktery miały inne: Nuna była tą bardziej skrytą i zachowawczą, Maria miała w więcej śmiałości, łatwiej nawiązywała kontakty.

Różniły je także zainteresowania. Nuna wybrała profil matematyczno-przyrodniczy, Marię dość szybko zaczęło ciągnąć do sztuki. Najstarszy brat Władek pracował jako dramaturg i aktor w teatrze miejskim w Łodzi, po wojnie założył Teatr „Groteska". Drugi brat, Józek – uczeń Malczewskiego, później Pankiewicza – po studiach, w 1924 r., wyjechał do Paryża. Bracia nie tylko przysyłali Marii różne katalogi i książki o sztuce, ale też zabierali siostry na wspólne wypady z kolegami z artystycznego świata. Maria mogła prowadzić z nimi ożywione dyskusje o sztuce i o wszystko wypytywać. Kiedyś malarz Zygmunt Waliszewski, przekonany, że zobaczą się niedługo w Krakowie, zostawił Marii w prezencie farbki. Jej matka, również przecież artystka, wspierała te zainteresowania – kupiła córce pędzle i papier, a potem przygrywała na fortepianie i prosiła, by Marysia malowała dźwięki, które słyszy.

KIERUNEK: KRAKÓW

Po maturze w 1928 r. bliźniaczki po raz pierwszy się rozdzieliły. Nuna pojechała studiować na Politechnice Lwowskiej, Maria – na krakowskiej ASP. Wybrała kierunek rzeźbiarski i pracownię Xawerego Dunikowskiego.

Najpierw zatrzymała się u krewnych matki, później wynajmowała pokój przy wzgórzu wawelskim. Przyzwyczajona do gwarnej codzienności w domu tętniącym życiem, musiała nauczyć się życia w pojedynkę. Brakowało jej bliskich, zwłaszcza

eprasa.pl 05eb22389c

Maria Jarema i jej obrazy „Penetracja I", 1957 r. (po lewej) i „Wyrazy", 1954 r.

Nuny. „Potrzebuję osoby bliskiej, miłującej i czułej" – zapisała w notatniku w 1930 r.

W Krakowie żyła raczej skromnie i oszczędnie. Po opłaceniu czesnego i czynszu mogła sobie pozwolić na kupno jednej książki na trymestr. Uczyła się pilnie, na uczelni często siedziała po godzinach. „Maria szybko staje się pracoholiczką, to zostanie jej na całe życie" – pisze Agnieszka Dauksza w biografii Jaremianki.

GRUPA KRAKOWSKA

W trakcie studiów na ASP Maria trzymała się z częścią krakowskiego środowiska artystycznego, wyraźnie niezadowoloną z konserwatywnego nauczania akademickiego. Dużo rozmawiali o polityce i sprawach społecznych. Wspólnie sprzeciwiali się nierównościom społecznym, interesowali się losem robotników i bezrobotnych, a sztukę widzieli jako narzędzie zmiany społecznej. Zawiązali tzw. Grupę Krakowską, której członkowie nawoływali do artystycznej i społecznej rewolucji. Pragnęli nowoczesności.

Malarz Jonasz Stern tak wspominał tamte czasy: „Wtedy byliśmy lewicowi i mieliśmy wielkie nadzieje – a nawet przekonanie – że zburzymy stary świat i zbudujemy nowy. Ale, niestety, świata nie można zmienić. Moje zajmowanie się polityką to była postawa rewolucyjna, to była awangardowość".

W 1933 r. teoretyk sztuki, filozof i malarz Leon Chwistek zaprosił członków grupy na wystawę do Lwowa w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Dla Marii było to ekscytujące wydarzenie, bo po raz pierwszy mogła zaprezentować własną twórczość poza uczelnią.

Grupa Krakowska przetrwała do 1937 r., gdy jej członków wydalono ze Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków z powodu niespłacenia składek.

TRZY MIŁOŚCI

Maria była piękną kobietą, podobała się mężczyznom. Fascynowały ich jej intelekt, swoboda i brak pruderii. Ale też jej niedostępność, osobność. Jako kobieta nowoczesna, przywiązana do swojej wolności, obawiała się, że małżeństwo mogłoby ją ograniczyć, zdusić jej sztukę.

Trzech mężczyzn odegrało jednak w życiu Marii ważną rolę. Pierwszy to Henryk Wiciński, chłopak z Łodzi, z rodziny robotniczej. Był jej kolegą ze studiów. Przyjaźnili się – jak ujmuje to Dauksza – na zabój. Niemal nierozłączni, parą stali się właściwie niepostrzeżenie. Maria była jednak ostrożna w afiszowaniu się z tym związkiem. Obawiała się etykiety „dziewczyny Wicińskiego", a bardzo chciała, by patrzono na nią przez jej własny pryzmat.

Początki ich relacji Dauksza opisuje tak: „On jest szczęśliwy jak nigdy wcześniej, obsesyjnie zakochany, potrafi w środku nocy biec Plantami z ulicy Grottgera 30, gdzie mieszka, na Powiśle, by tylko spojrzeć w jej wyciemnione okno i przekonać się, że śpi". Do dziś jedną z kamienic przy alei Słowackiego zdobi rzeźba głowy Marysi, którą Henryk wykonał dla niej w geście miłości. Raz nawet oddał jej pracownię, którą przyznano mu w Akademii, bo chciał, żeby Marysia – wieczny zmarzluch – miała cieplej. Ich związek nie przetrwał, ale do końca życia zostali w dobrych relacjach. Maria napisała mowę pożegnalną na jego pogrzeb.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE MSN

eprasa.pl 05eb22389c

„Akt", 1946 r.

Szczególna więź połączyła Jaremę z Gabrielem Gottliebem, lekarzem opiekującym się Wicińskim, gdy ten zachorował na gruźlicę. Choć dzieliła ich blisko dwudziestoletnia różnica wieku, nie miało to dla niej znaczenia. Gottlieb darzył Marię głębokim uczuciem, wspierał ją finansowo. Dużo razem podróżowali po Polsce. Szczególnie lubili wyjazdy w góry, gdzie Jaremianka, wielka entuzjastka narciarstwa, podobno nie schodziła ze stoku.

Po śmierci ojca w 1934 r. rodzeństwo Jaremów postanowiło sprowadzić owdowiałą matkę do Krakowa. Dzięki dużej pomocy Gottlieba udało się zakupić działkę i zbudować dom na Woli Justowskiej. Zaskarbił sobie tym sympatię całej rodziny: zaprzyjaźnił się z braćmi Marii, a Stefania wręcz go uwielbiała.

STYPENDIUM W PARYŻU

Jaremianka wciąż jednak unikała małżeństwa. Jedynym mężczyzną, który zdołał przekonać ją do ślubu, był Kornel Filipowicz, student biologii z aspiracjami literackimi, późniejszy pisarz i partner Wisławy Szymborskiej. Poznali się na początku 1935 r. na balu Musette organizowanym przez ekipę krakowskich kapistów. Przetańczyli ze sobą znaczną część nocy.

O rodzącej się między nimi miłości Filipowicz napisał później w autobiograficznej powieści „Ulica Gołębia". Był od Marii pięć lat młodszy. Ona długo wahała się, czy zostać z Gottliebem, czy związać się z Filipowiczem.

W 1937 r. dotarły do niej wymarzone wieści: przyznano jej stypendium w Paryżu. To oznaczało, że cokolwiek działo się między nią a Kornelem, musiało poczekać. Zdążyli jeszcze wyjechać razem na wakacje na południe Polski. Chodzili po lesie, pływali łódką, opalali się. Zachowały się fotografie z tego wypadu: ona dumnie prezentująca zebrane grzyby, on w wodzie, prężący się z wędką.

Przez cały pobyt Marii w Paryżu Kornel pisał do niej długie listy. Ona, zbyt zaaferowana miastem, odpowiadała mu rzadko. Do francuskiej stolicy spakowała swoje farby i narzędzia malarskie (żeby zaoszczędzić) i prace (żeby zarobić). Razem z nią pojechało jeszcze siedmioro innych artystów z Krakowa, m.in. zaprzyjaźnieni z Marią Hanka i Jan Cybisowie. Na miejscu Jaremianka poznała Helenę Blum, zwaną Blumką, historyczkę sztuki, która we Lwowie obroniła pierwszy w Polsce doktorat ze sztuki nowoczesnej. Bardzo się zaprzyjaźniły, chodziły razem na kurs w Ecole de Louvre.

Życie paryskie pochłonęło Marię bez reszty. Oszczędzała na jedzeniu, wszędzie chodziła pieszo, a niemal wszystkie pieniądze wydawała na kulturę. Zwiedzała tamtejsze muzea i galerie, ciekawiły ją zwłaszcza wystawy sztuki współczesnej. Chodziła do teatru i na koncerty. Była oszołomiona – sztukę, którą dotąd znała tylko z podręczników czy katalogów, mogła obserwować z bliska. „Pamiętam Marię z tego czasu, jej skupienie, rozwagę, świetne zorientowanie we współczesnej problematyce artystycznej, samodzielność w szukaniu odpowiedzi na aktualne zagadnienia sztuki. Była świadoma własnych celów. Nie uznawała kompromisów, szła konsekwentnie raz obraną drogą" – wspominała tamten czas Blumka.

Maria odwiedziła wtedy również Olgę Boznańską w jej pracowni. Podczas Międzynarodowej Wystawy Sztuki i Techniki zachwyciła się „Guerniką" Pabla Picassa (odniosła się do niego później w swoim przemówieniu w Zachęcie w 1954 r.).

MIŁE WRAŻENIE

W okresie poprzedzającym II wojnę światową Jarema uprawiała przede wszystkim twórczość rzeźbiarską, ale w 1934 r. zaczęła też współpracę z założonym przez jej brata Józefa teatrem Cricot, który łączył sztuki plastyczne, literaturę i eksperyment sceniczny. Najpierw zrobiła kostiumy do „Reportażu z przedmieścia" Ludwika Gołąba w reż. Dobrowolskiego. To wystarczyło, żeby złapać bakcyla. Aż do wybuchu wojny projektowała tam kostiumy, współtworzyła inscenizacje, robiła lalki. Ośmieliła się nawet stanąć na scenie. Zadebiutowała w „Zielonych latach" Józefa Jaremy jako Kobieta Współczesna. Ponoć Józek napisał tę rolę z myślą o siostrze. Jeden z krytyków pisał wtedy: „P. Jaremianka miłe pozostawia wrażenie właśnie dlatego, że nie grała, lecz była po prostu nieco zażenowaną kobietą współczesną".

Twórczość Cricotu wzbudzała mieszane reakcje – nie brakowało słów oburzenia, krytyki, a nawet ostentacyjnego opuszczania sali w trakcie spektakli. Maria w samym środku tego twórczego fermentu czuła się jak ryba w wodzie. Tak jak w Domu Plastyków przy ul. Łobzowskiej, miejscu, które dla środowiska krakowskich artystów stało się drugim domem. Przewijali się tam Tadeusz Peiper, Stanisław Witkiewicz, Józef Czapski czy Julian Przyboś. Maria bywała tam regularnie, zwłaszcza gdy otworzyła się kawiarnia plastyków, w której w czasie okupacji pracowała jako szatniarka.

CZAS WOJNY

Lata wojenne były dla niej trudne. Spędziła je w domu na Woli Justowskiej. Imała się różnych prac – w kawiarni, przy pieczeniu ciast, w warsztacie lalek artystycznych. Wojna odroczyła też jej plany powrotu do Paryża.

W międzyczasie zaszła w ciążę i w październiku 1943 r. urodziła syna Aleksandra, nazywanego przez bliskich Alem. W oczekiwaniu na poród malowała kwiaty, bo chciała, żeby dziecko było wrażliwe na świat. W kwietniu kolejnego roku Kornel trafił do obozów koncentracyjnych – najpierw Gross-Rosen, potem Sachsenhausen-Oranienburg. Gdy wrócił, wreszcie się pobrali. W tym czasie Maria wstąpiła też do PPR, która potem stała się częścią PZPR, ale ostatecznie podarła swoją legitymację.

Po wojnie dostała szansę powrotu do Paryża. Pojechała tam w maju 1947 r. na trzymiesięczne stypendium ufundowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Przy

eprasa.pl 05eb22389c

okazji mogła też odwiedzić we Włoszech brata Józefa.

NA MARGINESIE

W realiach powojennych Maria zacieśniła więź z młodszym od niej Tadeuszem Kantorem, którego poznała parę lat wcześniej. Aktywnie uczestniczyła w jego inicjatywach – zarówno wystawienniczych (pokaz prac Grupy Młodych Plastyków w 1946 r. w Pałacu Sztuki), jak i teatralnych. Maria stała się łącznikiem między przedwojennym teatrem Cricot i jego powojennym wcieleniem.

Gdy w 1949 r. oficjalną doktryną artystyczną stał się socrealizm, a państwo zaczęło silnie kontrolować sztukę, awangardę zepchnięto na margines życia artystycznego. Dlatego w latach 50. Maria nie dostawała zleceń, odebrano jej stypendium. Tworzyła do szuflady.

Był to mimo wszystko płodny czas dla niej jako artystki. Zwróciła się w kierunku malarstwa, sporo eksperymentowała. Zawsze uważała, że żadna sztuka nie powstanie w warunkach izolacji i pod batem cenzury. Po politycznej odwilży w 1956 r. Maria wróciła do pokazywania prac. Od jakiegoś czasu eksplorowała nowy kierunek. Upraszczała postacie ludzkie do dynamicznych kształtów, interesował ją ruch i energia ciała, a nie realistyczny wygląd. Eksperymentowała z przestrzenią i przezroczystością form, tworzyła kompozycje bliskie abstrakcji. To też początek jej przygody z monotypią, czyli techniką z pogranicza rysunku, malarstwa i druku, która pozwala na uzyskanie unikatowej odbitki. O metodzie mówiła: „No tak. Nie wiem, co z tego wyniknie, niespodzianka. To przecież jedyne, co cieszy człowieka w sztuce".

Mimo tych „zabranych" lat Jaremianka zdołała twórczo się rozwinąć. Jej udział w 1955 r. w tzw. Wystawie Dziewięciu sygnalizował powrót do względnej swobody artystycznej. Prace, które tam pokazała, odebrano jako oryginalne i nowatorskie.

W 1957 r. włączyła się w powstanie II Grupy Krakowskiej.

TRZEBA PRACOWAĆ

Jesienią 1930 r. Maria, jeszcze studentka, zachorowała na zapalenie płuc. W notatniku zapisała: „Moje zdanie: trzeba pracować do ostatniej chwili i umierać z przeświadczeniem, że zrobiło się wszystko, na co było nas stać...". Słowa te można odczytać jako wyraz postawy, która w pełni ujawni się w późniejszych latach. W drugiej połowie lat 50. u Marii zdiagnozowano białaczkę. I rzeczywiście tworzyła aż do końca, z niesłabnącą intensywnością. Jej syn wspominał: „Najpiękniejsze obrazy robiła w latach przed śmiercią. Jak czasem mieszkałem u niej, nie tak często, gdy wstawałem rano, to ona już siedziała w kucki i malowała".

Jarema stworzyła wtedy między innymi cykle Filtry, Rytmy i Penetracje. To czas, kiedy jej twórczość wreszcie zaczęła zyskiwać należyte uznanie. W 1956 r. nominowano ją do nagrody Guggenheima, a rok później dostała nagrodę miasta Krakowa za całokształt twórczości artystycznej. W kwietniu 1958 r. w warszawskiej Kordegardzie otworzyła się świetnie przyjęta wystawa retrospektywna Jaremianki. Dwa miesiące później jej obrazy reprezentowały Polskę i zdobyły nagrodę na Biennale Sztuki w Wenecji.

Polski rząd zasponsorował Jaremiance wyjazd na leczenie do Francji. W 1958 r. przeszła pionierski zabieg przeszczepu szpiku, który wcześniej pobrano od jej Nuny. Przyniósł jedynie chwilową poprawę, Maria zmarła 1 listopada, tuż przed 50. urodzinami. Jej syn miał wtedy 15 lat.

Nuna odeszła pięć miesięcy po siostrze. Al wspominał ich relację tak: „One bardzo się kochały obie. Nuna dla Marysi zrobiłaby wszystko. Ja myślę, że jakby jej powiedzieli, że może umrzeć, ratując Marysię, to też by to zrobiła". ▲

Korzystałam m.in. z książki „Jaremianka" Agnieszki Dauksz, wyd. Znak, oraz wywiadu, którego rodzina Jaremianki udzieliła „Wysokim Obcasom" w 2019 r.

20 marca otwiera się wystawa „Maria Jarema Pęknięty modernizm" w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, potrwa do 28 czerwca 2026 r.
Od 9 maja do 22 listopada w historycznych wnętrzach Procuratie Vecchie na Placu Świętego Marka w Wenecji zobaczyć można w ramach 61. Biennale Sztuki wystawę „Tadeusz Kantor (1915–1990). Emballage, Cricotage and Madame Jarema".
27 października 2026 r. otworzy się wystawa Marii Jaremy w Stadtische Galerie im. Lenbachhaus w Monachium, potrwa do 18 kwietnia 2027 r.

OGŁOSZENIE

Nowe wizje *przyszłości*

Ludzie coraz chętniej dzielą się własną intymnością. Transmisje z porodów, rolki z przeszczepu włosów, sprawozdania z wizyty u dentysty. Czekam na tweety z wizyty u proktologa

Z **AGNIESZKĄ WOLNY-HAMKAŁO**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Twoja książka „Trafostacja" przypomniała mi o Ciągu Fibonacciego. Myśl, że ten sam wzór matematyczny opisuje skręt muszelki łodzika i ułożenie płatków kwiatów, nieustannie mnie rozwala, podobnie jak bohatera twojej najnowszej książki. Tobie też „zrył banię"?
– Totalnie! Natura przecież wydaje się chaotyczna i spontaniczna, i nie sądziłam, że prawidłowości, jakimi się rządzi, można opisać wzorem matematycznym. Porządek kojarzył mi się z czymś ludzkim, a natura ze spontaniczną żywiołowością. Tymczasem, po pierwsze, okazuje się, że rozdzielanie człowieka i natury jest niebezpieczne. A po drugie, że strukturę płatków śniegu, kształt muszli i rozmieszczenie liści na łodydze można opisać tym samym ciągiem liczb.

Myślisz, kto jest twórcą tego porządku?
– Przez chwilę wydaje się, że to jakby „mistyczne uderzenie", kiedy nagle dostrzegasz harmonię w chaosie. Ciąg Fibonacciego jest porządkiem, który z jednej strony zachwyca, z drugiej może przerażać. Porządki, których nie rozumiemy, wydają się wprowadzone „odgórnie". Nagle pojawia się wzór, którego pochodzenie jest nam nieznane; i to może wydawać się surrealistyczne, filmowe.

Albo jednak mistyczne.
– Uświadamiasz sobie wtedy, że nie masz pełnej kontroli nad swoim byciem w świecie. Że jesteśmy odłamkiem, odpryskiem materii, która w końcu wyparuje. Ale jestem realistką. Co nie znaczy, że nie chciałabym rzeczy niemożliwych.

To co znaczy, że jesteś realistką?
– W jednym z wierszy Wojtka Bonowicza bohater patrzy za siebie i widzi elementy rzeczywistości, które idealnie do siebie pasują:

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL; MAKIJAŻ ANIA CZUBAK

eprasa.pl 05eb22389c

wszystko jest na swoim miejscu. To chwilowe poczucie harmonii jest tak niecodzienne, że bohater odczuwa je jako przejaw czegoś wyższego. Choć może to być „po prostu" piękno. Ten moment poczucia porządku i harmonii zdarza mi się tylko czasami.

Twoja „Trafostacja" to trzy w jednym. Thriller s.f., opowieść o przyjaźni i miłości oraz przewodnik po sztuce i współczesnej awangardzie architektury.
– Jako czytelniczka sama lubię książki podwójnie kodowane. Z dobrą książką jest tak jak z człowiekiem: możesz go zdiagnozować na ADHD, przypisać mu zaburzenie narcystyczne albo edypalne. Napisać mu horoskop, zrobić morfologię, a i tak to tylko jakieś cząstkowe dane i tak naprawdę nikogo nie opisują. Podobnie jest z gatunkami literackimi: granice bywają tu płynne. Ciekawe książki są zazwyczaj o czymś innym, niż udają, że są, prawda?

Poza tym zawsze chciałam się przymierzyć do konwencji science fiction i weird.

Dlaczego?
– Bo to były męskie, fandomowe obszary. W „Trafostacji" pojawiają się i androidy, i mniej subtelne wydania AI – roboty funkcyjne. Są dwa światy, futurystyczna architektura, substancje, które czytelnikom science fiction mogą przypominać ubik, dylar, bryt z powieści Philipa K. Dicka, Stanisława Lema czy Dona De Lillo. Ale to także powieść o zazdrości – tej wstydliwej emocji, która łączy w sobie złość, frustrację, lęk i upokorzenie. I wreszcie o miłości – także tej do sztuki, którą w książce reprezentują różne totemiczne artefakty.

Napisałaś dystopię. Boisz się przyszłości?
– Ciekawią mnie dystopie, które mają rodowód zimnowojenny i wzięły się z lęku nuklearnego. Literatura, która ma takie źródła, często pokazuje społeczną paranoję, siatki szpiegowskie i podziały w państwie. Literatura gatunkowa i kino znów sięgają po dystopie, bo na świecie toczą się wojny – jedna straszliwsza od drugiej – i wszystkie na naszych oczach. Niemal wszędzie żarzą się konflikty. Patrząc na Amerykę, codziennie spodziewamy się wybuchu wojny domowej albo światowej. Do tego dochodzi strach przed kapitalizmem. Widzimy, co nam odbiera, i rozumiemy, że jego ofiarami zawsze będą ci najmniej uprzywilejowani i najsłabsi.

I co z tym strachem zrobić?
– Zaglądać w międzyklasowe szczeliny, gdzie podobno można znaleźć pleniący się, szalenie witalny motłoch. Niektórzy filozofowie dostrzegają w nim potencjał rewolucyjny. Potocznie słowo to miało piętnować grupy czy podmioty, które nie włączały się w system klasowy lub nie realizowały wyznaczonych im ról społecznych. Niektórzy młodzi polscy filozofowie – na przykład Michał Pospiszyl i Łukasz Moll – nadają mu inne znaczenie.

Jakie?
– Uważają, że odwieczny strach przed włóczęgami, czarownicami, heretykami, wiejskimi zielarkami czy wolnomyślicielami bierze się z tego, że nie potrafimy wtłoczyć ich w ramy porządku władzy i kapitału. Krytykom kapitalizmu słowo „indywidualizm" nie kojarzy się pozytywnie. Podobnie jak kariera i konkurencja. To wszystko doprowadziło nas do obsesji, nerwic i depresji. Ich epidemia jest pochodną zmian kulturowych i gospodarczych, które dzieją się jakby same, ludzie ich w każdym razie świadomie, strategicznie nie wybierali. Dlatego staram się pamiętać, że moje potrzeby są jedynie moimi potrzebami, niczym więcej. A moja wiedza czy wyznawana przeze mnie „prawda" zapewne jest wmówioną „prawdą" mojej klasy społecznej. Przecież mówimy zawsze „skądś", z jakiegoś miejsca w historii, w hierarchii. I najczęściej mówimy „po kimś".

Bohaterka twojej sztuki „Wyzwolenie: królowe" śpiewa w spektaklu obsesyjną piosenkę: „Nie mam żadnej własnej myśli".
– To nieprzyjemna myśl, prawda?

Motłoch w potocznym języku jest aspołeczny i zagraża praworządności.
– Wiesz co, chętnie wepchnęłabym na jakichś specjalnych warunkach do tego motłochu młodych dorosłych. Na przykład bohaterów „Trafostacji". Szymon, Twaróg czy Mucha są jeszcze w ślepej plamce, to moment, kiedy mają największą szansę na zmianę. Ich tożsamość jeszcze ich nie petryfikuje i wciąż mogą pójść w różne strony, ale od ról, które przyjmą, dzieli ich już tylko krok. Ale czy to jest książka dla nastolatków? Namysł nad pochodzeniem „tajemnic", próba obsłużenia różnych modeli rzeczywistości, konceptualizacje świata dotyczą nas w każdym wieku.

Nie pomyślałam, że jest to książka dla nastolatków. Czy ty się asekurujesz, żeby nie wpadła do takiej szufladki?
– Jestem również autorką książek dla młodzieży, więc jeśli coś mnie niepokoi, to arbitralne decyzje, co jest dla kogo dobre. Zauważyłaś, że moi bohaterowie nie są kategoryczni, i ja również nie chcę kategoryzować. Opisywanie kogoś poprzez nasze własne kategorie może być wyjątkowo okrutne. Bo określa, jacy mamy być. A przecież naszą intencją może być właśnie utrzymywanie niejednoznaczności, prawda?

Kiedy twoich bohaterów opuszcza strach i niepewność przyszłości, ich przesłanie brzmi: „Chuj z wami, źli ludzie od szybkich pieniędzy!". Naiwne. Chyba.
– Dlaczego? To dla nich uwalniające: mówić wprost, czym jest dla nich zło, do czego nie chcą się zbliżać. Może jest właśnie odwrotnie? To początek dorosłości: dostrzec i nazwać wroga, zamiast udawać, że go nie ma. Poza tym – naiwność nie jest najgorszym, co może nas spotkać. Wiesz, chciałabym dowartościować utopię – wizję świata bez wojen i niesprawiedliwości.

„Imagine all the people living life in peace"?
– Tak, ale ta wizja wciąż uchodzi za naiwną mrzonkę. Ale potrzebujemy horyzontu utopii dlatego, że każdy ruch w tamtym kierunku jest ruchem w dobrą stronę. Brałam niedawno udział w sympozjum o serendypacji, czyli o szczęśliwym trafie. W części warsztatowej organizator zaprosił nas do wspólnego budowania future scenario. To jest wspólne konstruowanie scenariusza przyszłości. Warsztat prowadzi mistrz gry, który określa warunki nowego świata i potem wy wspólnie wymyślacie technologie, relacje międzyludzkie, problemy, architekturę tego nowego świata. I zaczynacie go po prostu wspólnie budować.

Słowami?
– Słowami, tak. I to future scenario wymyślono właśnie po to, żebyśmy myśleli spekulatywnie, próbowali wyobrazić sobie no-

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO

(ur. 1979) – poetka, autorka powieści, sztuk teatralnych i tekstów o sztuce współczesnej. Dyrektorka Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania. Doktorantka w Instytucie Badań Literackich PAN. Mieszka we Wrocławiu

eprasa.pl 05eb22389c

wy świat. Żebyśmy byli otwarci na szczęśliwe przypadki. Bo to na nie czekamy podczas burzy mózgów. Po prostu, czym więcej będziemy produkować nowych wizji przyszłości, tym większa szansa, że zaprojektujemy dobre rozwiązania. Właściwie zdefiniujemy nowe technologie czy zagrożenia.

Zafascynował mnie projekt przezroczystych domów, który przywołujesz w „Trafostacji".
– Ich podstawową funkcją jest cyrkulacja wody. I całkowity zanik prywatności. Mój budynek jest wzorowany na istniejącym projekcie architektonicznym Pawilonu Holenderskiego w Hanowerze. Pracownia MVRDV wymyśliła go na światową wystawę EXPO2000, której wiodącym tematem była ekologia i ochrona środowiska. Przy okazji wymyślania podziemnego miasta przyglądałam się też projektom grupy architektów z lat 60., którzy wymyślili walking cities – robotyczne miasta zbudowane w taki sposób, żeby mogły poruszać się, zmieniać strefy klimatyczne.

Albo w domu, od dołu do góry, jak w twojej książkowej opowieści.
– Niektóre utopijne wizje otwartych miast zostały zrealizowane. W Chile znajduje się sciudad abierta – miasto otwarte, które zostało założone przez wędrowną grupę poetów i artystów wizualnych. Kiedy tam przybyli, otaczała ich trawa i piasek, a najbliższym miastem było oddalone ponad 30 km portowe Valparaíso. Zbudowali coś w rodzaju campusu, który jest eksperymentem pedagogicznym i architektonicznym, a budynki powstawały tam na podstawie wierszy. Pisząc książki, często sięgam do historii sztuki i architektury. W „Trafostacji" szczególnie ważne były dla mnie piszczałki, które powstały na podstawie pracy Oskara Dawickiego. Po śmierci mamy artysta wydrążył kości i wkręcił w nie trzy złote śruby. To nieme instrumenty, które wyrażają ból.

Nie mam w domu firanek, ale nie chciałabym mieszkać w przezroczystym domu. Czułabym się pozbawiona intymności.
– Być może jesteś jedną z niewielu takich osób. Ludzie coraz chętniej z własnej woli dzielą się własną intymnością. Transmisje z porodów, rolki z przeszczepu włosów, sprawozdania z wizyt u dentysty to nowa norma w Internecie. Czekam jeszcze tylko na serie tweetów z wizyty u proktologa. Ale gdybyś sobie kupiła lornetkę i pooberwowała sąsiadów...

W życiu!
– Okazałoby się, że ludzie są raczej nieruchomi w swoich domach. Gdybyś patrzyła na mnie, zobaczyłabyś, że siedzę siedem godzin przy komputerze, czasem pójdę powolnym krokiem do kuchni zrobić sobie kanapkę, umyję zęby, pogadam przez telefon i znów siadam do biurka. Lęk przed utratą intymności jest wmówionym nam lękiem.

Wmówionym? Przez kogo?
– Przez strażników cnót drobnomieszczańskich, tych, które z takim wdziękiem piętnowała Gabriela Zapolska. A czego byś się miała dowiedzieć, nawet obserwując moją cielesność? Że mamy różne od siebie ciała? Nic w tym sensacyjnego. Gdybyśmy wszyscy poodsłaniali okna, to co byśmy mogli zobaczyć? Że kogoś boli brzuch, że zrobił śmieszną minę, no wiesz, to wszystko. Człowiek kopulujący też nie jest jakiś szczególnie ciekawy, muszę powiedzieć.

Twoi bohaterowie potrzebują bliskości, przyjaźni, miłości. A ty?
– Ja też. Może jeszcze – przyzwyczaiłam się do oglądania świata przetworzonego: przez sztukę, literaturę, kino. Takie zapośredniczenia, no i po prostu czyjś talent, inteligencja – pozwalają mi wrócić do równowagi.

Nie wymieniłaś macierzyństwa.
– Mam dorosłego syna. Źle zniosłam jego wyprowadzkę. To była konkretna amputacja. Odcięto mnie. Tak, bardzo bolesne, trudne. Wymagało zbudowania od nowa naszej relacji. Dla mnie to był horror, zdecydowanie. Jeszcze pies mi umarł w tym samym czasie, więc po prostu cios z każdej strony.

Co cię najbardziej bolało w stanie odcinania pępowiny?
– Nie wydaje ci się, że te metafory są wstrętne?

Nie.
– Odcinanie pępowiny, puste gniazdo, okropne to jest. I jeszcze w domyśle dotyczy kobiet, które w porę nie zadbały o swój rozwój intelektualny, oryginalne hobby, atrakcyjność społeczną, sport. Dziecko odchodzi i życie matek staje się puste. Traci sens. A mogły lepiej dysponować swoim czasem.

Niekiedy tak bywa.
– Nie jestem pewna. Wiesz, że angażuję się w życie, lubię je najpierw ścigać, potem konceptualizować. Mój kalendarz jest z tych garnków, co to kipią na płycie. Ale odchodzenie dziecka to po prostu odchodzenie, utrata – i tyle. Nie ma rano w domu całej tej fizyczności z tym, że to mnie boli, tamto mnie boli, chcę tego, tamtego nie chcę. Nie ma śmiechu w pokoju. Chaos życia z jego wielopłaszczyznowością znika i musicie powołać nowy język. Doświadczenie odejścia dziecka jest jest jak drugie wejście w świat – tym razem bez patronusa. Bo miałaś swojego patronusa, który stał za twoimi plecami, no, robił ci plery. Bo tak naprawdę dziecko czyni nas silnymi. Ta miłość.

Dla wielu moich znajomych z różnych miast jesteś ikoniczna dla Wrocławia. Być tutaj i nie spotkać ciebie to tak, jakby być w Rzymie i nie spotkać papieża.
– No teraz to już na pewno koledzy i koleżanki będą się ze mnie śmiali. Przypomina mi się zdanie pewnego amerykańskiego poety. Dostał jakąś nagrodę i powiedział dość jednak melancholijnie: „I have been around long enough" (Dostatecznie długo się tutaj kręciłem).

Wiemy o sobie od szesnastu lat. Raz w roku się spotykamy. Zawsze czułam w tobie pasję do życia, ale teraz wyczuwam jakąś żarliwość, chociaż może to jest złe słowo.
– Kiedy Adam Zagajewski opublikował esej „W obronie żarliwości", pisany u schyłku zeszłego i początku tego stulecia – ten tytuł stał się niemal obiegowym żartem. Wysoki styl, ale także tytułowa „żarliwość" kojarzyły się jak najgorzej. Myślę, że potrzeba żarliwości wróciła, choć bez patosu.
Żeby dokonać zmiany, masa ludzi musi się wkurwić, tak jak laski na ulicach, jak kiedyś queery, jak każda banda, każdy motłoch. On musi mieć w sobie gniew, żeby dokonać jakiejś rewolucji, bo ten impuls musi być silny. Zmiana społeczna wymaga żarliwości, rozumianej po prostu jako wola. Ale żarliwość w połączeniu z pragnieniem władzy i głupotą jest też najkrótszą drogą do zorganizowanej przemocy. Więc może pomyślę o żarliwości jak o strumieniu powietrza, który pchasz w trąbkę na tyle mocno, żeby inni usłyszeli i chcieli pójść z tobą. ▲

AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO
„Trafostacja", wyd. Dwie Siostry

eprasa.pl 05eb22389c

W sprzedaży!

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii czytaj na **wysokieobcasy.pl/zyclepiej**

eprasa.pl 05eb22389c

KSIĄŻKA

Być matką w Kanadzie

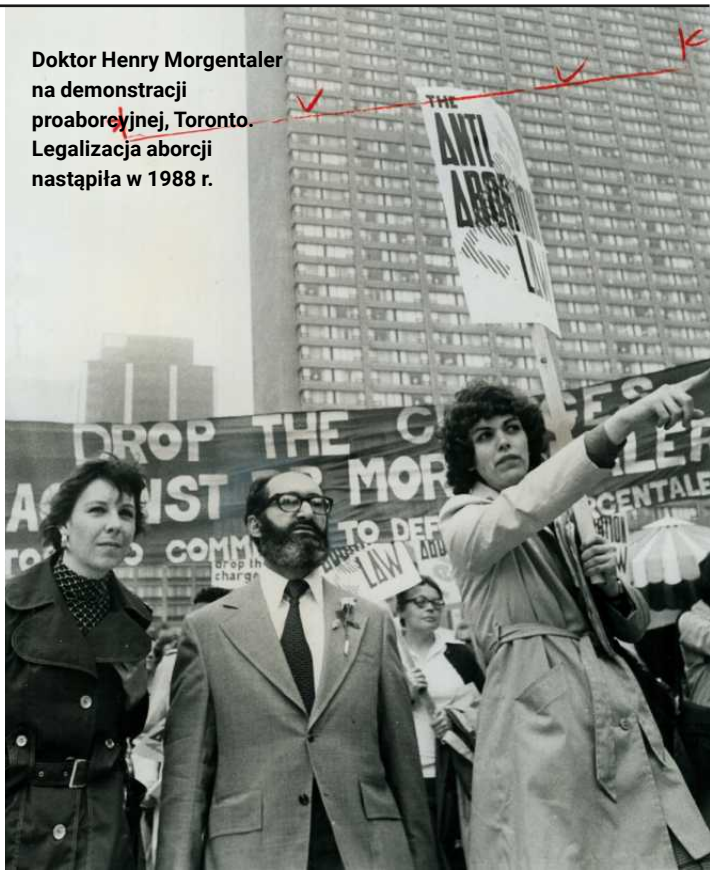

Doktor Henry Morgentaler na demonstracji proaborcyjnej, Toronto. Legalizacja aborcji nastąpiła w 1988 r.

FOT. DAVE NORRIS/TORONTO STAR VIA GETTY IMAGES, MATERIAŁY PRASOWE

Książka Heather Marshall przez pół roku była w Kanadzie na listach bestsellerów. To zupełnie nie dziwi, chociaż nie jest to książka szczególnie literacko porywająca. W największym skrócie można powiedzieć, że jest to powieść bazująca na historycznych wydarzeniach, opowiadająca o prawach reprodukcyjnych kobiet, w szczególności o podziemnej siatce aborcyjnej. Jednak taki opis nie oddaje charakteru tej powieści, która skupia się na osobistych doświadczeniach – macierzyństwa i aborcji – kilku kobiet.

W latach 60. Evelyn Taylor zostaje przez swoich rodziców odesłana do domu dla niezamężnych matek, którego patronką jest Święta Agnieszka. Ma tam urodzić dziecko w sekrecie, a następnie zostanie ono oddane do adopcji. Evelyn była zaręczona z chłopakiem, którego kochała, mieli wziąć ślub, ale on zmarł. Samotna dziewczyna z nieślubnym dzieckiem nie ma szans w konserwatywnym społeczeństwie. Dziecko zostaje jej odebrane wbrew jej woli. Po wyjściu Evelyn zostanie lekarką, ginekolożką, pozna doktora Morgentalera, który nauczy ją, jak przeprowadzać aborcje, a w latach 70. zaangażuje się w ruch Abortion Caravan, walczący o prawo kobiet do wyboru, i dołącza do podziemnej siatki aborcyjnej o nazwie Jane.

W latach 80. Nancy Mitchell wiedzie całkiem przyjemne życie do czasu, gdy odkrycie rodzinnej tajemnicy dotyczące jej przyjścia na świat nie zburzy jej szczęścia i spokoju ducha. Gdy zachodzi w ciążę, postanawia ją przerwać. Trafia do Jane.

W 2017 roku Angela Creighton znajduje napisany przed laty list, który nigdy nie trafił do adresatki. To list od matki do córki, która została oddana do adopcji. Angela postanawia odnaleźć adresatkę. Poszukiwania prowadzą ją do grupy Jane.

Heather Marshall pisze stylem reporterskim, w czasie teraźniejszym, tak, że czytelniczka może mieć wrażenie, że przygląda się wszystkiemu na żywo. Czujemy emocje, które towarzyszą jej bohaterkom – i tym, którym odbierane są dzieci wbrew ich pragnieniu, i tym, które decydują się przerwać ciążę, i tym, które pragną zajść w ciążę. Marshall pokazuje nam, na jak wielu polach kobiety doświadczają przemocy, jak często przydarza im się to, że ktoś postanawia decydować o tym, co stanie się z ich ciałem, ich dziećmi, ich życiem, odbierając im wybór, sprawczość i kontrolę. Jej powieść jest wołaniem o prawo kobiet do autonomii.

Marshall nie stroni od opisów zabiegów aborcji – czy to dramatycznego przebiegu aborcji dokonanej w skandalicznych warunkach; czy to bezpiecznego zabiegu przeprowadzonego przez ginekolożkę. To poruszające sceny. „Szukając Jane" to jednak przede wszystkim opowieść o kobiecej solidarności – coś, co bardzo dobrze znamy w Polsce, gdzie również działa siatka aborcyjna (trudno o niej powiedzieć, że jest podziemna, bo działa w świetle dziennym, a nawet prowadzi przychodnię pod samym Sejmem RP).

Autorka bazuje na faktach, ale wiele rzeczy wymyśla – nie należy jej powieści czytać jako non-fiction. W posłowiu wyjaśnia, że siatka Jane tak się w Kanadzie nie nazywała, działało natomiast kilka podziemnych sieci aborcyjnych (nazwę zaczerpnęła od chicagowskiej grupy działającej w USA). Prawdziwa jest postać doktora Morgentalera. Legalizacja aborcji w Kanadzie nastąpiła w 1988 roku po decyzji Sądu Najwyższeo w sprawie Korona przeciw Morgentalerowi. Prawdziwy jest ruch Abortion Caravan i protesty kobiet w latach 70., kiedy kobiety złożyły trumnę pod siedzibą premiera Trudeau (seniora). Domy dla niezamężnych matek istniały po wojnie w wielu krajach, również w Kanadzie – zakładane przez rząd i prowadzone przez zakonnice. Opis domu Marshall stworzyła na podstawie wspomnień osadzonych kobiet (termin, którym wobec nich posługiwała się administracja). Ponad trzysta tysięcy kanadyjskich matek zostało przez ten system zmuszonych do oddania dziecka do adopcji. Nigdy nie usłyszały przeprosin od swojego kraju. ▲ **(Paulina Reiter)**

HEATHER MARSHALL
„Szukając Jane", przekład Anna Dobrzańska, wyd. Albatros

eprasa.pl 05eb22389c

FILM

Brazylijski thriller

„Tajny agent" to film doskonały. Kleber Mendonça Filho pokazuje nam rzeczywistość brazylijską w latach 70., za czasów wojskowej dyktatury. Trzymająca w napięciu, wstrząsająca akcja jest tu równie ciekawa co tło społeczne i polityczne, na które jest rzucona. Otwierająca film scena zapowiada klimat: samotny mężczyzna podjeżdża na stację benzynową, by zatankować, a na stacji leży przegniły, kilkudniowy trup, którego kawałki wyszarpują głodne psy, a właściciel nic z trupem nie robi, bo to sprawka policjantów, którzy mają się tym zająć i którzy właśnie, gdy główny bohater wjeżdża na stację, zajeżdżają za nim, ale wcale nie po to, by zająć się ciałem, lecz nim. Czujemy, że to nie jest kraj, w którym można poczuć się bezpiecznie. Tymczasem trwa karnawał i wszyscy zdają się ogarnięci karnawałowym szaleństwem. Główny bohater (rewelacyjny Wagner Moura) jest w drodze, by odebrać od dziadków swojego syna. Podróżuje incognito, ukrywa swoją tożsamość i ma po temu dobre powody. Ścigają go wynajęci mordercy. Tymczasowo skrywa się w pewnym domu, który prowadzi charyzmatyczna, tajemnicza starsza kobieta. Jak przystało na film o „tajnym agencie", pojawi się wątek romantyczny. Tylko kim naprawdę jest nasz bohater? Czy na pewno tajnym agentem? I jaka sprawa się tu toczy? Przerażające fakty odsłaniają się na naszych oczach.
W filmie Filho wybrzmiewają skojarzenia z kinem lat 70., hitami takimi jak „Szczęki", które były sensacją w kinach, czy filmami gangsterskimi. W tle leci muzyka tamtych czasów, czasami robi się sentymentalnie i słodko, i chcielibyśmy dać się porwać karnawałowi, ale nie możemy, bo wraz z bohaterami musimy się bać. Śmierć czai się na każdym kroku. Niesamowitą rolę kreuje 79-letnia Sebastiana Maria de Medeiros Filha, lepiej znana jako Tânia Maria, brazylijska aktorka, rzemieślniczka i krawcowa, która już wcześniej grała u Klebera Mendonçy Filho w „Bacurau", a dzięki „Tajnemu agentowi" zyskała miano ikony filmu brazylijskiego. Jak się ma taką charyzmę jak ona, można stworzyć niezapomnianą rolę, nawet gdy jest się jedynie 11 minut na ekranie. ▲
(Paulina Reiter)
„TAJNY AGENT" reż Klebea Mendonça Filho, w kinach

WYSTAWA

Jak brzmi Kraków

Muzeum Krakowa zaprasza na wystawę o dźwiękach miasta. W centrum uwagi znalazły się odgłosy miejskiego życia, które kształtują tożsamość Krakowa i codzienne doświadczenie mieszkańców. Wystawa przybliża zmiany zachodzące w miejskim środowisku dźwiękowym na przestrzeni ostatniego stulecia. To wystawa w równym stopniu do oglądania, co słuchania.
Opowieść składa się z czterech tematów. Pierwszy mówi o dźwiękach ulic i placów, a wśród eksponatów słychać zgrzytanie tramwajów na ulicach Starego Miasta, turkot dorożek, odgłosy targowisk, zawołania handlarzy i melodie katarynek. W kompozycji dźwiękowej znalazły się archiwalne nagrania krakowskich ulic i odgłosy targu na Rynku Głównym z lat 60.-70. XX wieku. Drugim tematem jest opowieść o dzwonach, która przybliża

ich funkcje symboliczne i społeczne, a także technikę ludwisarską. Bohaterem narracji jest królewski dzwon Zygmunt, jeden z ostatnich wielkich dzwonów w Europie, który wciąż wprawiany jest w ruch siłą ludzkich rąk. Trzeci segment wystawy jest poświęcony muzyce – słuchanej w mieszczańskim domu i wykonywanej na ulicy. Na zwiedzających czeka reprezentatywny zbiór sprzętów grających: od pozytywek i fonografu, przez patefon, gramofony, magnetofon, skończywszy na urządzeniach mobilnych. Uliczne granie przybliżają instrumenty, portrety muzyków oraz playlista utworów do odsłuchania. Puentę wystawy stanowi hejnał krakowski, będący dźwiękowym symbolem miasta. Uwaga skupia się na prowadzonej od 1927 roku transmisji radiowej hejnału i fenomenie dźwięków niesionych na falach eteru. Kameralne poddasze sprzyja temu, by usiąść i posłuchać odgłosów płynących nad dachami Krakowa. Nawiązuje do nich kolaż dźwiękowy złożony z materiałów archiwalnych, w tym fragmentów najstarszych zachowanych audycji Radia Kraków, oraz nagrań wykonanych z wysokich punktów miasta, m.in. wieży telewizyjnej na Krzemionkach.
Na potrzeby wystawy powstała instalacja dźwiękowa, w której nagrania z przeszłości i teraźniejszości wchodzą ze sobą w dialog. Jej autorem jest Marcin Dymiter .
W programie towarzyszącym planowane są warsztaty edukacyjne, spacery dźwiękowe, wykłady, program arteterapeutyczny. ▲
Wystawa „KRAKÓW. DŹWIĘKI, MELODIE, SŁOWA", Centrum Interpretacji Niematerialnego Dziedzictwa Krakowa, do 13 grudnia 2026. Więcej na muzeumkrakowa.pl

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

M zmarła 1 XI

na tamtą zimę czekała najbardziej
a śnieg padał jak na złość
po wielu, wielu latach najmocniej

MAŁGORZATA SOKORSKA
- poetka, jej wiersze opublikowało wydawnictwo Austeria

MAŁGORZATA HALBER RYSUJE

eprasa.pl 05eb22389c

Elisabeth Moss, Kerry Washington i Kate Mara w serialu „Kobiety nieidealne”

Na dobre i na *morderstwo*

Podoba mi się idea przyjmowania w całości tego, kim się jest, zamiast uciekania od własnej przeszłości

TEKST **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

Kiedy w 2019 r. po raz pierwszy przeczytałam powieść Araminty Hall „Kobiety niedoskonałe” i postanowiłam kupić do niej prawa, przyciągnęła mnie jej struktura – opowiadała mi Elisabeth Moss, producentka wykonawcza i odtwórczyni roli Mary w serialu „Kobiety niedoskonałe”, który od 18 marca dostępny jest w Apple TV. – Można naprawdę zaangażować się w historię Eleanor. Była świetna, tak interesująca, tak złożona, pełna tajemnic, że jesteś gotowa przeczytać o niej całą książkę. A potem przewracasz stronę, widzisz napis „Nancy” i nagle poznajesz wersję wydarzeń z perspektywy Nancy. Później to samo dzieje się z Mary. To było dla mnie haczykiem. Pomyślałam, że ta historia naprawdę różni się od innych, które czytałam i oglądałam.

DOBRE PRZYJACIÓŁKI

Eleanor Henderson (Kerry Washington), Mary Brook (Moss) i Nancy Hennessy (Kate Mara) znają się i przyjaźnią od lat, do pewnego stopnia niejako splatając swoje losy. Do pewnego stopnia, bo każda z nich wiedzie zupełnie inne życie. Eleanor jest szefową organizacji humanitarnej, kieruje akcjami pomocowymi i odnosi zawodowe sukcesy. Prywatnie nie jest związana z nikim na stałe i przekonuje, że takie życie najbardziej jej odpowiada. – Podoba mi się to, jak bardzo Eleanor pragnie być dobrą przyjaciółką. Do tego stopnia, że – mam wrażenie – traci z oczu siebie samą oraz relację ze sobą i ze swoją rodziną, bo przyjaciółki stają się dla niej wszystkim – mówiła mi Kerry Washington. A czego nie lubi w swojej postaci? – Nie powiedziałabym, że czegoś nie lubię, raczej że jej współczuję. Mam poczucie, że boi się wyznać prawdę ludziom, których najbardziej kocha i którzy także ją kochają najbardziej. Chciałabym dla niej czegoś więcej.

Ambicją Mary było wydanie książki, ale kiedy założyła rodzinę, umówiła się z mężem, że dopóki dzieci nie podrosną, to on będzie zarabiał, a ona zajmie się domem. Dzieci doczekali się jednak trójki, a wizja kariery Mary oddaliła się na bliżej nieokreśloną przyszłość. – Najbardziej szanuję w niej to, że na pierwszym miejscu stawia rodzinę. Jest dla niej najważniejsza i myślę, że to piękne podejście. Bycie rodzicem to najtrudniejsza praca na świecie i bardzo ją podziwiam – podkreślała Moss.

Nancy jest filantropką i bywalczynią o pozornie idealnym życiu. Wżeniła się w zamożną, wpływową rodzinę Hennessy, organizuje wystawne przyjęcia i wspiera finansowo artystów, zwłaszcza tych związanych z jej ukochanym baletem. – Tym, czego nie lubię u Nancy, jest to, co Elisabeth podoba się u Mary, czyli jej słabości jako matki. To smutne, że nie potrafi znaleźć swojej drogi w macierzyństwie, że to dla niej ciągła walka – tłumaczyła mi Kate

eprasa.pl 05eb22389c

Joel Kinnaman i Kate Mara, jako Robert i Nancy Hennessy

Mara. – Jednocześnie podziwiam jej upór i zdolność do tego, żeby zostawić za sobą jedno życie i stworzyć zupełnie nowe.

TRUP

Kiedy policja odnajduje ciało Nancy, okazuje się, że przyjaciółki nie tylko nie wiedziały o sobie wszystkiego, ale też ich relacja nie była taka doskonała, jak mogłoby się wydawać. Być może mówiły sobie wszystko, ale na pewno nie mówiły sobie prawdy. Kiedy coraz więcej informacji wychodzi na jaw, Mary jest też coraz bardziej zdeterminowana, żeby odkryć, kto zabił jej przyjaciółkę, i wciąga w to Eleanor. Zabawa w detektywów będzie miała daleko idące konsekwencje.

„Kobiety niedoskonałe" to opowieść o decyzjach i kompromisach, na jakie decydujemy się w życiu; o poczuciu winy, zdradzie, miłości i przeszłości, od której można uciekać ile sił w nogach, ale która i tak znajdzie sposób, żeby jakoś nas dopaść. W tym kontekście warto zwrócić uwagę na czołówkę serialu, która inspirowana jest kintsugi, czyli japońską sztuką naprawiania potłuczonej ceramiki za pomocą laki zmieszanej ze sproszkowanym złotem. – Studiuję kintsugi od kilku lat i naprawdę uwielbiam je jako formę sztuki, bo polega na dostrzeganiu piękna w rzeczach, które zostały rozbite. Nie skleja się ich w taki sposób, by udawać, że nic się nie stało; przeciwnie, łączy się je tak, aby wydobyć piękno ich historii – wyjaśniała Kerry Washington. – Bardzo podoba mi się idea przyjmowania w całości tego, kim się jest, zamiast uciekanie od własnej przeszłości. Myślę, że właśnie taką drogę przechodzą te kobiety jako przyjaciółki.

ZNAMY SIĘ TAK DOBRZE

A to właśnie przyjaźń stanowi oś serialu – relacja, której daleko do perfekcji, bywa niebywale toksyczna, trudno nawet ocenić stan jej fundamentów, ale która, mimo wszystko, jest siłą spajającą bohaterki. Aktorki zgodnie zresztą przyznają, że także w prywatnym życiu polegają na kobiecych przyjaźniach. – To fundament. Mam trzy przyjaciółki, które znam już prawie 25 lat, i chociaż wszystkie jesteśmy bardzo zajęte, mieszkamy w różnych miastach, to kiedy rozmawiam z jedną z nich przez telefon albo mamy szczęście spotkać się osobiście, to mam wrażenie, że nie minął nawet dzień. Nikt inny nie daje mi czegoś takiego – opowiadała mi Elisabeth Moss, a Washinton wtórowała: – Odsłuchiwałam w ubiegłym tygodniu notatkę głosową od jednej z moich najlepszych przyjaciółek i kiedy jej odpowiadałam, stwierdziłam, że słyszę w jej głosie, co ma na myśli. Odparła, że uwielbia, że dostrzegam nawet to, czego nie mówi wprost. To właśnie jest część tej kobiecej przyjaźni – posiadanie osób, które dzięki wspólnej historii i upływającemu czasowi znają cię tak dobrze.

– Kilka moich najbliższych przyjaciółek to moje kuzynki, moja rodzina, więc w pewnym sensie jesteśmy zmuszone być w swoich życiach, ale jednocześnie istnieje jeszcze dodatkowa warstwa więzi – dodała Kate Mara. – To coś naprawdę wyjątkowego, zwłaszcza w tej branży, gdzie tak dużo podróżujemy, że mijają miesiące, kiedy się nie widujemy, ale jak już się spotkamy, to jest tak, jakby czas w ogóle nie minął. Jest w tym coś bardzo kojącego.

Bohaterki „Kobiet niedoskonałych" to trzy zupełnie inne osobowości. Nancy jest powściągliwa, trochę skryta, Eleanor to charyzmatyczna perfekcjonistka. Mary przypadła rola opiekunki grupy, tej, która może jest traktowana z pewną pobłażliwością, ale finalnie pokazuje, że jest wytrwała i ma żelazny charakter. Mara, Moss i Washington (dwie ostatnie to także producentki wykonawcze serialu) świetnie wydobywają ze swoich postaci ich unikalne cechy, pokazując wiele aspektów ludzkiej natury. Pozostawiają też widzów z pytaniem, na ile nasza przeszłość determinuje to, kim się stajemy. ▲

Ośmioodcinkowy serial zadebiutował w Apple TV 18 marca. Kolejne odcinki będą udostępniane co środę, aż do 29 kwietnia.

eprasa.pl 05eb22389c

Zaria Mielińska, założycielka i główna projektantka Szmat Składu, na tle koca żakardowego „Beepolis".

Tkanki *utkane*

Na koce i pledy Szmat Składu trafiają polskie pieski, maki i koronki. Człowieku, nakryj się!

eprasa.pl 05eb22389c

NeSpoon, autorka wzoru na kocu żakardowym „Verona”

Ilustratorka Marta Jamróg na tle swojego wzoru koca „Sąd Ostateczny” Zwierząt

Pled zamienia się w koc po dodatkowym etapie wyczesywania

FOT. MICHAŁ LICHTAŃSKI

eprasa.pl 05eb22389c

TEKST **MAGDALENA KACALAK**

Czym różni się pled od koca? Głównie miękkością i przyjemnością dotyku. Podstawą jest pled z bawełny z recyklingu, solidny i gruby, z widocznym splotem. Nadaje się do użytku w plenerze, jako koc plażowy z którego łatwo strzepnąć drobiny piasku. W koc domowy zamienia się po wyczesaniu na dodatkowym etapie, jest wtedy lżejszy i bardziej puszysty. Wykończenie odbywa się ręcznie, wybierać można między szydełkowym ręcznym, frędzelkami bądź obszyciem lamowanym, zupełnie jak w PRL-u.

Te skojarzenia nie są bezzasadne. Zaria Mielińska, założycielka i główna projektantka wzorów Szmat Składu, mówi że dobrze pamięta z dzieciństwa grube żakardowe koce z babcinego domu. Pamiętają je też klienci i z sentymentu wracają po dwustronne ocieplacze (to duża zaleta żakardów), które w dzisiejszej odsłonie noszą na sobie projekty młodych polskich artystów z typowo polskimi akcentami. Na pledy trafiają kwiaty polskie – jak Maczki Łapserdaczki i Płatki Bławatki; zwierzęta, których próżno dziś szukać w polskich lasach i rzekach – tarpany, dropie i tury (wszystkie projektu Zarii) oraz organiczne formy inspirowane pieszymi wycieczkami po Beskidzie projektu wyjot. Za wzór XVI-wiecznych włoskich koronek przeniesiony na koce odpowiada NeSpoon. „Verona" to część serii „Zdobiny" (współtworzą ją Marta Jamróg i Claudia Claude) powstałej na 100-lecie Wystawy Paryskiej, zaprojektowanej z zachwytu nad żywiołowością sztuki ludowej. W dawnych czasach grubych splotów tkanych ręcznie w warunkach domowych używano do ozdabiania i ocieplania izb. Służyły jako zaplecki, kapy, okrycia wierzchnie, a z czasem zamieniały się w chodniki i domowe szmatki. Zaria nie boi się sięgać po te referencje, wręcz się im kłania. A gdy ktoś pled jej autorstwa wiesza na ścianie – jak poznańska restauracja Mitte powiesiła „Portret rodowodowy" – jest wzruszona, że pledy zaczynają żyć własnym życiem.

Jako bohaterowie pledów Szmat Składu wystąpiły prawdziwe pieski

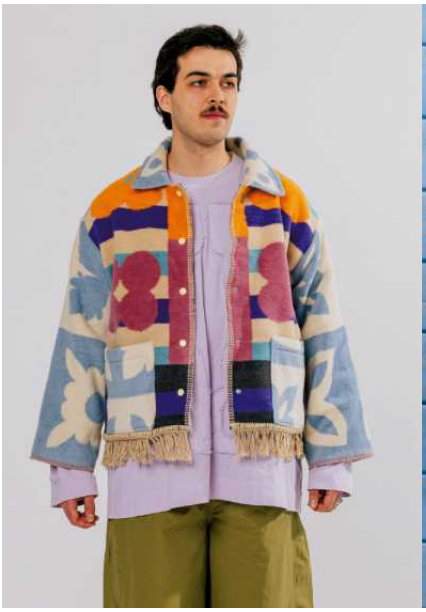

Początkowo zafascynowana grafiką, Zaria zachwyciła się tkaninami artystycznymi, gdy trafiła na studia do Instytutu Tkaniny i Ubioru na łódzkim ASP (dzisiejszy Instytut Tkaniny, Druku i Stylizacji Wnętrz). Tam nauczyła się pracować na krosnach i od tego czasu, zamiast drukować na tkaninach, zaczęła wzory przekładać na sploty. Inaczej się projektuje, gdy zna się technologię dziania. Maszyna wiele ułatwia, ale i ma swoje ograniczenia. Na przykład kolorystyczne. W pionowym wzorze można użyć tylko dwóch kolorów podstawowych, trzeci powstaje z połączenia ich w formę gradientu. We wzorze poziomym kolorów może być już osiem. To pozorne utrudnienie często kończy się erupcją kreatywności i z dziesięciu zaplanowanych wzorów Zaria kończy z trzydziestoma – wybór jest zbyt trudny.

eprasa.pl 05eb22389c

W przypadku tkania maszynowego to nie problem, jeden pled powstaje w 13 minut, ale Zaria pilnuje, by nie zasypać rynku nadmiarem. Każdy nowy wzór wypuszcza w niewielkiej liczbie egzemplarzy i nie wznawia tych wyprzedanych. U nałogowych zbieraczy wyzwala to oczywiście manię kolekcjonerską. Tak było z kolekcją „Szarada" inspirowaną filmami Davida Lyncha. Projektantka zrobiła ją głównie dla siebie, ale gdy reżyser zmarł dwa miesiące później, kolekcja się wyprzedała i jest teraz poszukiwana w drugim obiegu. Niezwykle popularny pled z pieskami (są i kotki) miał swoją drugą odsłonę – trafiły na niego prawdziwe pieski z konkursu. Te z krzywymi łapkami i wystającymi zębulkami, rodowodowe i bardziej niesforne. Utrwalone z miłości, z czasem już na wieczną pamiątkę. Wielbiciele serii mogą oczekiwać zaplanowanej już trzeciej odsłony pieskowej. Seryjnie ukazuje się i „Ukrytek", eksperyment przeniesienia powieści graficznej w odcinkach na duże sploty. Z roku na rok Zaria coraz lepiej planuje swoje kolekcje i rozkłada siły. W 2026 r. pojawi się jedna duża kolekcja w dwóch odsłonach. Pierwsza będzie miała formę bardziej przedstawiającą, druga będzie typograficzna. – Jest coś intrygującego w tym, że można przykryć i otulić się słowem – mówi. Skojarzenia z kuchennymi makatkami ozdobionymi sentencjami są nieprzypadkowe.

U młodszych odwołania do przeszłości wywołują uśmiech rozbawienia, u starszych nostalgię. Przekrój klientów jest ogromny. Kupuje Gen Z (stoisko na Open'erze w 2025 r. było oblegane, gdy spadła temperatura), emerytki i hipsterzy. Do klientów Szmat Składu należą graficy, architekci i artyści. Przychodzą panie z Zachęty, psiarze i kociarze. Zasada od początku jest taka, że to oferta dla każdego i na każdą kieszeń – za pledy i koce zapłacimy 350-379 zł. Młodsi na ogół wolą milszy dotyk koca, starsi doceniają surowość i „porządność" wykonania pledu. Wszyscy przy okazji sięgają po jesionki, kufajki, serdaki powstałe z elementów tkanych, które nie nadawały się na duże formy. To ratowanie surowca i rozszerzanie asortymentu w jednym. Przy okazji Zaria ocala dawne polskie słowa, które ulegają zapomnieniu. Ubrania z kolekcji „Zdobiny" to autorskie projekty szyte przez krawcową Składu, inne powstają we współpracy z projektantkami mody upcyklingowej, np. z Kariną Custom i Maruną Upcycled. Szmat Skład jest bardzo inkluzywny, bo włącza w krąg odbiorców także pieski, kotki i dzieciaki, robiąc dla nich kocyki w mniejszych rozmiarach. Z autorką książek dla dzieci, a prywatnie przyjaciółką, Marianną Janczarską, projektantka stworzyła broszurkę o „Nietoperce Marylce" i kurtkę zainspirowaną postacią małego wampirzątka. Historia każdego produktu jest opisana na stronie.

Zaria oraz jej zespół mają dryg do budowania wokół siebie wspólnoty i nie brakuje im pomysłów, jak to zainteresowanie podtrzymać. Przez ostatnie dwa lata marka wspierała mistrzostwa świata w naśladowaniu ptaków. Szmat Skład 15 proc. dochodu z dedykowanego koca, pledu lub szalika przekazuje inicjatywie „Together for bees" na rzecz ochrony dzikich pszczół. Zamówienia indywidualne, wykonane tylko w jednym egzemplarzu, pojawiają się rzadko. Z czasem Zaria chciałaby mieć luksus, by okazyjnie powstawał jeden pled lub kilim w całości wykonany przez nią. Ciągnie ją do prac ręcznych, rzemieślniczka powoli wypiera w niej graficzkę. ▲

OGŁOSZENIE

Gault&Millau

Jeden z najbardziej prestiżowych przewodników kulinarnych na świecie

Odkryj **251 najlepszych restauracji i 30 wyjątkowych hoteli** w Polsce, wybranych i ocenionych według międzynarodowych standardów jakości.

Szukaj w punktach sprzedaży lub na literia.pl

eprasa.pl 05eb22389c

Straszą mnie tym, co ma *nadejść*

Możemy się uczyć szybciej stawiać granice, szybciej mówić „nie”. Możemy uczyć się sprzeciwiać komuś, kto robi nam krzywdę

„MĘŻCZYŹNI OBJAŚNIAJĄ MI ŚWIAT” według Rebekki Solnit, reż Klaudia Gębska, Teatr Narodowy, premiera 27 marca

FOT. MARTA ANKIERSZTEJN

Z **KLAUDIĄ GĘBSKĄ** ROZMAWIA **WITOLD MROZEK**

Debiutowałaś w Teatrze Telewizji, teraz pracujesz w Teatrze Narodowym w Warszawie. Można sobie wyobrazić bardziej wymarzony start kariery reżyserskiej? Niektórzy na to czekali latami. Jak to się robi?

– Nie wiem, jak to się wydarzyło. Mówiłam już kiedyś w wywiadzie, że jestem taką studentką „od niezaliczenia do szóstki” – i tak po prostu dryfowałam między tymi skrajnościami. Byłam za to skupiona na budowaniu własnej tożsamości artystycznej w szkole teatralnej. Egzaminów w szkole nie robiłam na przykład z myślą o Forum...

...czyli krakowskim Forum Młodej Reżyserii – spektakl w Teatrze Telewizji był nagrodą w ramach niego.

– Tak, to jest w tym momencie taki konkurs-potwór. Buduje duże napięcia wśród studentów. Przyjeżdża na to sześćdziesięcioro przedstawicieli teatrów z całego kraju – to buduje konkurencyjność i poczucie spięcia. No, a ja to spięcie miałam sama w sobie zawsze, więc po prostu udział w Forum był dodatkową cegiełką do tego poczucia, że ciągle muszę się czegoś uczyć i ciągle muszę zdobywać doświadczenie.

Zdziwiłaś się, że dyrektor Teatru Narodowego Jan Klata akurat chce, żebyś wystawiła książkę „Mężczyźni objaśniają mi świat” Rebekki Solnit? To nie jest tytuł, z którym kojarzy się Klata, artysta od narodowych uwikłań i od klasyków.

– Oczywiście, zdziwiłam się; to duży zwrot, jeśli chodzi o repertuar tego teatru. I myślę, że ze strony Jana Klaty to odważny eksperyment. Dużo się mówi na uczelniach artystycznych: „Zapraszajcie młodych, róbcie z młodymi”. No i Jan Klata zaprosił nas aż trójkę [oprócz Klaudii Gębskiej w Teatrze Narodowym w tym sezonie pracują Ewa Platt i Kamil Białaszek].

Solnit ukuła termin „mansplaining”. Spotkało cię to w teatrze?

– Jestem na piątym roku studiów i ciężko jest nieraz rozróżnić, w którym miejscu czuję, że moje granice zostają przekroczone, a w którym momencie pedagodzy i pe-

eprasa.pl 05eb22389c

dagożki po prostu mówią mi, jak wykonać pracę. A przecież to jest potężna różnica. Nie nazwałabym mansplainingiem jakiejś konstruktywnej krytyki. Wydaje mi się, że nie mam takiego przykładu mansplainingu ze świata teatru, który byłby miażdżący.Może jeszcze nie byłam na tyle pewna i osadzona, żeby to wyłapać. Mam wrażenie, że częściej z mansplainingiem spotykałam się, pracując w innych miejscach. W gastronomii, w sklepach, księgarniach... Bardziej straszono mnie tym, co ma nadejść, niż tłumaczono, co mam robić. Wiele razy słyszałam: „kiedyś to zobaczysz", „kiedyś to będziesz wiedzieć", „kiedyś to ci się coś posypie". Mówią, że kiedyś będzie gorzej, a ja im nie chcę w to wierzyć.

Zaczynałaś studia reżyserskie w trakcie największej fali #metoo w polskim teatrze, w 2021 roku. Głośne były sprawy molestowania w Teatrze Bagatela, przemocy w Gardzienicach, wystąpienie studentki Anny Paligi w łódzkiej szkole filmowej. W krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych było czuć ten klimat?
– Owszem. Ale dostałam się na studia już po tych największych zwolnieniach w naszej Akademii. Weszliśmy już wtedy, gdy trwała próba budowania nowych praktyk. I rzeczywiście na Wydziale Reżyserii i Dramaturgii tych sytuacji, które opisuje chociażby Paliga, było dużo mniej. Kwestie dotyczące przekroczeń seksualnych, jakichś przekroczeń słownych mnie nie dotknęły. Była w nas duża czujność na takie rzeczy. I siła, żeby się sprzeciwiać. I nawet nasz rok nazwaliśmy Rokiem Karaczana...

Dlaczego Rokiem Karaczana?
– Na jednym z egzaminów nasz kolega aktor został poproszony przez kolegę reżysera, żeby zmiażdżył robala na scenie. Poruszyło nas to i nie spodobało nam się. I zaczęliśmy myśleć, jakie jeszcze zwierzątko może na scenie zginąć. To doprowadziło do działania – podnieśliśmy sprawę na Radzie Wydziału. Poprosiliśmy o wpis w regulaminie, że po prostu nie można żadnych żywych istot poza ludzkimi wprowadzać na scenę i się nimi bawić, a co gorsza je zabijać. I tak się stało. Na naszym roku była więc energia, żeby wprowadzać zmiany.

A jak została przyjęta przez szkołę fala twoich sukcesów, projektów realizowanych jeszcze na studiach?
– Byłam już na czwartym roku, więc zostało to przyjęte raczej pozytywnie i nie miałam większych problemów z tego powodu. Ale zdarzało się, że jak ludzie na wcześniejszych latach dostawali duże wyróżnienia wcześniej, to pogodzenie dużych projektów poza szkołą z trzecim rokiem studiów, kiedy są największe egzaminy, było dla niektórych obciążeniem. I wciąż istnieje taka narracja, że to uczelnia ma jakiś rodzaj pierwszeństwa w kształceniu przyszłych reżyserów. Dopiero po czasie zrozumiałam, że dużo rzeczy w szkole da się załatwić, będąc odważnym, śmiałym i komunikatywnym – tak to też działa w teatrach.

Czyli jesteś odważna?
– Nie, ja się tego uczę. W szkole raczej starałam się przykładać do egzaminów – na tyle, na ile byłam w stanie.

Wróćmy do spektaklu w Narodowym i do „Mężczyźni objaśniają mi świat". Macie chyba z dramaturgiem Mariuszem Gołoszem pewien dystans do Rebekki Solnit?
– Tak, mamy... Przeczytałam tę książkę w 2020 roku, gdy jeszcze pracowałam w księgarni. Miałam wtedy 22 lata. I pamiętam poczucie, że brakuje mi tam czegoś w rodzaju poradnika, odbicia do tego, co jest w rzeczywistości. Bo Rebecca Solnit ucina niektóre tematy, choć wymagają komentarza. Opisuje na przykład scenę morderstwa kobiety w autobusie, które było poprzedzone zbiorowym gwałtem. Zostawia nas z tym obrazem i zmienia temat. Pomyślałam: nic nie da się zrobić? Nic nie da się zmienić?

Solnit pisze też o nadziei...
– Solnit pisze, że jesteśmy na początku drogi w walce o prawa kobiet – zgadzam się z tym. Uważam, że musimy sobie jeszcze dużo wywalczyć. Ja staram się z nadzieją myśleć o tym, co już w tym momencie udało nam się osiągnąć. Staramy się też rozgraniczać inne jej teksty od tego, który adaptujemy – skupiamy się głównie na „Mężczyźni objaśniają mi świat".

Zdaję sobie sprawę z tego, jak funkcjonuje przemoc mężczyzn wobec kobiet. Jeśli chodzi o statystyki przemocy, zwłaszcza fizycznej, to one są nieubłagane wobec mężczyzn jako sprawców. Zastanawialiśmy się natomiast z Mariuszem, z którymi z tematów poruszonych przez Solnit chcemy dyskutować. No i doszliśmy do wniosku, że najbardziej chyba ciekawi nas podłoże języka. Że chcemy zacząć od podstaw. Że możemy się uczyć szybciej stawiać granice, szybciej mówić „nie". Możemy uczyć się sprzeciwiać komuś, kto robi nam krzywdę.

Rebecca Solnit będzie też postacią na scenie w waszym spektaklu.
– Tak, będzie! Będzie spotykać się zarówno z postaciami, które są wobec niej przychylne, i takimi, do których nie będzie miała dostępu. Bo język feministyczny niesie za sobą ryzyko niedostępności. My – w stolicy, w dużych miastach, po ukończonych studiach – sięgamy chętniej po te lektury...

Uważasz, że pisanie Solnit jest elitarystyczne? To jednak jest dość popularna książka, pisana lekkim stylem...
Jestem w stanie uwierzyć w to, że kobiety w małych miastach nie sięgną po tę książkę. Widzą tytuł: „Mężczyźni objaśniają mi świat" i mają myśl: „Co jest?". Że to zdanie budzi skojarzenie z tym, że trzeba od razu zakładać rękawice bokserskie i walczyć. Uwielbiam i staram się jak najlepiej wspierać osoby, które obierają taką taktykę rozmawiania o feminizmie, które walczą o rzeczy, o które ja mogę nie mieć siły walczyć. Każdy ma swój temperament i energię. Natomiast ja cały czas się zastanawiam nad teatrem jako miejscem, do którego powinno się zapraszać więcej osób, i wiem, że właśnie pisarstwo Solnit dla wielu kobiet było jakimś rodzajem olśnienia czy odkrycia. Ja też często czuję się przytłoczona w rozmowie z mężczyzną. Rozmawiałam z moimi znajomymi kobietami o Solnit. Część osób miała właśnie takie odczucie, że było im to potrzebne i bardzo się przydało w myśleniu o sobie jako samostanowiącej kobiecie.

Jaki będzie twój następny krok? Po Teatrze Narodowym?
Będę dramaturżką spektaklu z reżyserem Staszkiem Chludzińskim w Teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy. Będziemy razem pisali tekst o incelach. ▲

KLAUDIA GĘBSKA

– urodzona w 1997 r., studiowała reżyserię na Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie, teatrologię oraz zarządzanie kulturą na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracowała m.in. w gastronomii, w księgarni czy jako tatuatorka. Zwycięzczyni głównej nagrody na 14. Forum Młodej Reżyserii w Krakowie. Wyreżyserowała spektakl „Pieśni piekarzy polskich" Mariusza Gołosza w Teatrze Telewizji

eprasa.pl 05eb22389c

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

ANJA RUBIK: SAMOBADANIE PIERSI NIE WYSTARCZY

Halina Poświatowska: Miłość ważniejsza niż życie

Kinga Preis: Nie uspokajam sumienia

Zdrada kontrolowana: Dlaczego jawność może być dojrzalsza niż ukrywanie?

Joga twarzy. Ćwiczenia, które zdejmują napięcie

Numer dostępny z prezentem:
płatkami złuszczającymi SILCATIL w prezencie

eprasa.pl 05eb22389c